



DZIEWIĘĆ KOŁATEK
TROYA

ALICJA
CZARNECKA-SULS



ALICJA CZARNECKA-SULS

DZIEWIĘĆ KOŁATEK
TROYA



Copyright © Alicja Czarnecka-Suls, 2024

Wydanie I

Warszawa MMXXIV

Redakcja: Anna Landowska
Korekta: Beata Wójcik, Anna Jagiełło

Projekt okładki i stron tytułowych: Paweł Panczakiewicz
Grafika wykorzystana w treści książki: Michał Adamiak
Zdjęcie autorki: Izabela Adamiak

Skład i łamanie: pagegraph.pl
Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Wydawnictwo Mięta Sp. z o.o.
03-707 Warszawa, ul. Floriańska 14 m. 3
biuro@wydawnictwomieta.pl
www.wydawnictwomieta.pl

ISBN 978-83-67690-89-8

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

SPIS TREŚCI

W ROLACH GŁÓWNYCH:

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Epilog](#)

[OD AUTORKI](#)

W ROLACH GŁÓWNYCH:

LUDWIKA REKUCKA, ZWANA LULĄ – pesymistyczna optymistka, introwertyczna reżyserka i początkująca pisarka, wkręcona w tematykę templariuszy, poszukuje inspiracji do nowej książki, mentalnie na rozstaju dróg, czerpie spokój z porządkowania szuflad, wierzy, że gdyby umarła, wszyscy będą wiedzieć, że lubiła czystość i porządek. Ma syna i córkę z Gabrielem

ADRIANNA IDALIA STANKIEWICZ, ZWANA ADA – pełna optymizmu pomimo trudnych doświadczeń życiowych psycholog, kolorowy ptak, typ Pollyanny, łatwo nawiązuje kontakty, co czasami jest przydatne, a czasami wpędza bohaterów w kłopoty, ma wbudowany automatyczny przycisk reagujący na hasło „help”, wielbicielka umięśnionych torsów i łydek oraz markowych butów. Rozwiedziona matka dwóch dorosłych córek

GABRIEL ZBIGNIEW GÓRSKI, ZWANY GABRYSIEM – partner Luli, prywatny przedsiębiorca, były alpinista, typ entuzjasty, pierwszy człowiek na świecie komunikujący się z otoczeniem za pomocą warkoczyków zaplecionych w rudo-siwej brodzie

KRYSPIN MAREK WIŚNIEWSKI, ZWANY KRISEM – roztargniony informatyk, podpięty sztywnym łączem do serwera wszechświata Krisopedii, ma wybitny talent do gubienia się na prostej drodze. Singiel, nigdy nie założył rodziny, kolekcjoner wszystkiego

EDWARD GÓRSKI - OJCIEC GABRYŚIA, nie upilnował antaby i można powiedzieć, że przez niego to wszystko się zdarzyło

KAROL GÓRSKI - SYN LULI I GABRYŚIA, prawnik, co chwilę wyciąga kolegów z państwowych sanatoriów, a starych z kłopotów, ma

użyteczne znajomości w świecie polskich kiboli

WSPIERAJĄCY:

TEODORA GÓRSKA, ZWANA TESIĄ – córka Luli i Gabrysia, mieszka w Trydencie z mężem Lorenzo, pół Włochem, pół Polakiem, przygląda się rozwojowi sytuacji z daleka

LORENZO - MAŻ TEODORY, pół cyklista, pół człowiek, zna się na piwniczkach ogrodowych

SOFIA - WNUCZKA LULI I GABRYSIA, na razie zbiera potencjał, żeby pojawić się w kolejnym tomie przygód starszaków, i rośnie

NELA I EMILKA - CÓRKI ADY, skończyły studia, nadal mieszkają z matką, i to niestety będzie kłopot

REPREZENTACJA ZAKONNIKÓW:

BRAT PETRUS – ksiądz dyrektor, zwany opatem, pasjonat historii zakonu templariuszy, w odpowiednim momencie wychodzi ze śpiączki, aby udzielić wsparcia czwórce dociekliwych bohaterów

BRAT MIKOŁAJ – próbuje opanować rozgardiasz w klasztorze podczas nieobecności Petrusa, przez niego omal nie utopiły się Lula i Ada

BRAT MARIAN – poprzednik Petrusa, mieszkaniec domu opieki, uroczy staruszek, ale bardzo szybko niestety umiera, na szczęście zdążył przekazać ważną kopertę dla Gabrysia

BRAT MALACHIASZ – typ Jorge z Burgos, ale tylko udaje strasznego

BRAT RAFAEL – ksiądz dyrektor, zwany opatem Rafaelem – dobry duch Edwarda, zarządzał zgromadzeniem przed wojną

THOMAS APENGETER – tajemniczy współczesny zakonnik wojownik, opiekun niemieckiej młodzieży na obozie

GWIAZDY ZAGRANICZNE, STRONA NIEMIECKA:

DAGOBERT TROY – naukowiec, który zarabiał antabę z Czerwińska oraz parę innych cennych drobiazgów, zarówno w celach prywatnych, jak i na zlecenie hitlerowców, i całe życie temu zaprzeczał. Obsesyjnie wierzy w przewagę germańskiego ducha oraz magiczną siłę dziewięciu antab. Szuka skarbu templariuszy

HENRIETTA TROY – chorowita żona Dagoberta, adresatka większości jego listów

DITTA TROY, po mężu Koch – wnuczka Dagoberta, matka Linusa i Walkirii

BALDUR KOCH – mąż Ditty, ojciec Linusa i Walkirii, okultystyczny neonazista, antagonist, całe życie goni za skarbem i za władzą nad światem, jest właścicielem wydawnictw neonaziolskich oraz sieci barów piłkarskich, kontynuator obsesji Dagoberta

WALKIRIA KOCH – córka Baldura, prawnuczka Dagoberta, ulubienica ojca, wielbicielka Christiana Louboutina i stylówki à la Lara Croft, ma przejąć aktywa ojca ku niezadowoleniu brata Linusa

LINUS KOCH – syn Baldura, prawnuk Dagoberta – od urodzenia w cieniu dość brutalnego ojca i siostry Walkirii. Chciał zostać botanikiem albo historykiem sztuki jak pradziadek, ale pracuje w barze u ojca, który uważa go za mięczaka. Linus, żeby się wkupić w jego łaski, stylizuje się na szefa kiboli i twardziela. W końcu zakłada konkurencyjną partię i zamierza przeprowadzić zamach stanu. Ma narzeczoną Frederikę

GÜNTER KOCH – ojciec Baldura, notariusz z Czerwińska, fanatyk Heinricha Himmlera i okultyzmu

HEINRICH BREDLOW – barman w barze w Stuttgarcie. Uprzejmie ulega wypadkowi i wstydzi się przyznać do kotki Mitzi, w związku z czym seniorom wszystko się zaczyna kręcić w innym kierunku, niż planowali

HANS PELKA – wredny kutten^{*}, pomocnik Baldura, paskudny charakter, brzydko się wyraża

ŁUKASZ WÓJCIK – jeden z kiboli w barze w Stuttgarcie, z pochodzenia Polak

W POZOSTAŁYCH ROLACH:

BOLESŁAW PŁYWAK – zwany Głuchym Olafem – kolega Karola, szef polskich kiboli, przydomek zawdzięcza temu, że kiedyś coś wysadził na tyle nieostrożnie blisko, że przygłuchł na jedno ucho

DUŻY MARIO – kumaty z Arki Gdynia

HENRYK WILK-KOŚCIEJOWSKI – ekspert od średniowiecza, przez przypadek ściąga na bohaterów kiboli niemieckich

PIOTR ŻELAZNY – pułkownik, szef antyterrorystów

STANISŁAW WALCZAK – fotograf z Czerwińska, robił zdjęcia w czasie wojny żołnierzom Żandarmerii Wojskowej, która zajęła klasztor, oraz Dagobertowi Troyowi; na jego życzenie także zrobił zdjęcia antaby

MICHAŁ WALCZAK – wnuk Stanisława Walczaka

FREDERIKA GONZALES – narzeczona Linusa, pół Hiszpanka, pół Marokanka, aktywistka ekologiczna, przykuwa się to tu, to tam

SIOSTRA IRENKA – opiekowała się bratem Marianem

REGINA KNAPIK – sklepowa z Kaszub, nie przepada za obcymi

SOWIŃSCY – znajomi babci Ady z miejscowości Amalka na Kaszubach
PIES WICEK – owczarek niemiecki, uosobienie psiego aspergera i arogancji w jednym

INNI:

TEMPLARIUSZE – wielcy nieobecni, którzy mimo to ciągle wpływają na losy świata i bohaterów tej powieści
PIELĘGNIARZ, RECEPCJONISTKA, KIBOLE POLSCY I NIEMIECCY, PERSONEL MEDYCZNY ZE SZPITALA PETRUSA

ORAZ GOŚCINNIE, PRAWDOPODOBNI:

DANUTA STENKA I MACIEJ MIECZNIKOWSKI – oboje z Gowidlina

* - Kutten – od niem. *Kutte* – kibol (wszystkie przypisy i tłumaczenia, jeśli nie zaznaczono inaczej, pochodzą od autorki).



*Boże, daj mi siłę, abym mógł zrobić
wszystko, czego ode mnie żądasz. A potem
żądam ode mnie, czego chcesz.*

św. Augustyn, tłum. Obiegowe

LISTOPAD 1939, CZERWIŃSK

Z okien klasztoru w czerwonym świetle zachodzącego słońca widać było wędrowkę ludów. Zaprzęgnięte w konie wozy z tobołami, wózki i objuczone figurki ludzkie. Nic nie słyszał, ale zorientował się, że coś ich wystraszyło, bo nagle zaczęli biec w różnych kierunkach. Opat Rafael spojrział w lewo. Szarą drogą, wijącą się wzdłuż niebieskiej rzeki i biegnącą pod górę między dwoma

ciemnozielonymi wąwozami aż do wysokiej skarpy, bezgłośnie zbliżały się cztery ciężarówki, aż w końcu zajęchały na podwórzec przed bazyliką. Wskoczyli z nich uzbrojeni żołnierze w mundurach. Łomot do drzwi klasztoru niósł się przez korytarze i nie sposób było udawać, że się ich nie słyszy.

Rafaël zamknął brewiarz i pogładził okładkę. Pomimo upływu ponad dwustu lat dobrze wyprawiona skóra nadal była miękka, lecz czerwień i złocenia już zupełnie wyblakły. Palcami przesunął po ciągle wypukłych literach i krzyżu. Wiedział, że powinien go zostawić jak resztę innych najcenniejszych inkunabułów na dole, ale tak się przyzwyczaił do wieczornych modlitw odczytywanych z tych starych kartek, że jakoś nie mógł się z nim rozstać. Gestem ręki uspokoił resztę braci zakonnych, którzy chcieli go zatrzymać, i zszedł na dół. To był jego obowiązek.

Mijając pierwsze piętro, kątem oka zauważył, że część chłopców będących na stacji wyszła z dormitorium i jak stado piskląt zbiła się na brzegu schodów w lękliwą gromadkę, ale tylko Edward jak zwykle ruszył za nim. Często go to wzruszało, bo od kiedy po ostatniej kradzieży ten chudzielec na błagalną prośbę matki prosto z sądu opiekuńczego trafił tu pod jego opiekę, zachowywał się jak mały psiak, który zawsze chce być blisko, ale teraz to nie był dobry pomysł. Kazał mu odejść, ale chłopiec nawet nie drgnął. Łomot do drzwi był ogłuszający. Zanim opat odsunął żelazną sztabę, którą ryglowali drzwi wieczorami, poczuł ciężar tamtego klucza w kieszeni. Zawołał bezgłośnie Edwarda i wsunął mu klucz do kieszeni szorstkiego swetra, odpychając go potem jak najdalej w głąb korytarza.

Przed nim stał oficer wyprostowany jak struna. Zasalutował.

– *Pater* Rafael, proszę zaprowadzić mnie do bazyliki. Z rozkazu Hitlera mam obowiązek zabezpieczyć dzieła sztuki niemieckich artystów.

Opat Rafael dopiero w tym momencie rozpoznał profesora Dagoberta Troya, eleganckiego niemieckiego naukowca, który rok wcześniej przyjechał do niego z wizytą w ramach wymiany naukowej jako gość profesora Stanisława Lorentza.

Niemiec bardzo się wówczas interesował skarbami bazyliki. Na prośbę polskiego uczonego wszystko mu sumiennie pokazano. Opat zapamiętał długie palce naukowca z wypiełgnowanymi paznokciami, ponieważ Troy co jakiś czas wyjmował białą chusteczkę z мереżką, obszytą białą koronką i ocierał nią wysokie czoło albo przecierał okulary, pochylając się nad starymi księgami. Rafael zwrócił na to uwagę, bo jego matka co sobota krochmaliła i prasowała podobną chusteczkę, własnoręcznie ozdobioną koronką, i wkładała mu do butonierki przed mszą w bazylice. „Przecież nie możesz wycierać nosa w rękaw” – mówiła, kiedy protestował, że nie chce paradować z babską chusteczką, bo koledzy się z niego śmieją. Ale nie było rady, nie chciała słuchać. Wcisnął więc chusteczkę jak najgłębiej w kieszeń, kiedy nie widziała albo może udawała, że nie widzi, choć potem się gniewała, że wymiętolił ją jak byle szmatkę. Widocznie profesor miał podobnie upartą matkę.

Kiedy wybuchła wojna, tknięty przeczuciem Rafael na szczęście zamurował w ścianie obraz Najświętszej Matki Boskiej Czerwińskiej. Inne cenniejsze rzeczy kazał zanieść do grobowych krypt, ale zupełnie zapomniał o średniowiecznej antabie, jednej z dziewięciu zachowanych w Europie, od wieków wiszącej na drzwiach w bocznym portalu kościoła. A dokładniej mówiąc, jeszcze tego

samego dnia rano, kiedy obładowany sam schodził ostatni raz do skrytki, prosił Edwarda, żeby wziął narzędzia z warsztatu i z pomocą jednego ze starszych chłopaków z internatu jak najdelikatniej odkręcił kołatkę. Zależało mu, żeby nie ukruszyli żelaznego gwoźdźca, który wygięty w łagodny haczyk wysuwał się powoli z okucia. To na nim stary odlewnik z Magdeburga zawiesił przed Wielkanocą roku Pańskiego 1170 ten przerażający łeb lwa z ludzką głową w rozwartej paszczy ku przestrodze wiernych.

Kołatka była znakiem, że ten, kto wejdzie do tej świątyni, ma szansę uwolnić się od grzechów. Była jednym z najstarszych i najcenniejszych śladów zamierzonych czasów, który salezianie zastali w zrujnowanym klasztorze i kościele, kiedy przejęli je po strudzonych norbertankach, żeby otworzyć szkołę i internat dla sierot i trudnych chłopców ku chwale założyciela zakonu, ojca Jana Bosko. Odlaną z brązu figurą z uchwytem do drzwi, błyszczącą od spoconych rąk grzeszników, przybywających w te progi od około tysiąca lat. Ukochanym lwem Edwarda, który przemawiał do niego jak do własnego domowego zwierzaka.

Niemiec uprzejmym gestem wskazał zakonnikowi, żeby szedł pierwszy, i powoli omiatał coraz bardziej pochmurnym wzrokiem ściany wewnętrznego dziedzińca. Odgłos podkutych butów odbijał się od ścian i wracał jeszcze donośniejszy. Opat odwrócił się i pytającym wzrokiem spojrzał na Edwarda, który szedł z tyłu ze zwieszoną głową, choć zwykle nie spuszczał z niego oczu. Troy zatrzymał się i położył ręce na biodrach, zawieszając kciuki na grubym skórzanym pasku. Stał w rozkroku na wprost starego romańskiego portalu, zasłaniając drzwi. Rafael poczuł, jak strużki zimnego potu spływają mu po plecach pod habitem. Niemiec

odwrócił się. I wtedy Rafael zobaczył ją w otworze utworzonym przez podniesione ramię i rękę w czarnej skórzanej rękawiczce opartą na biodrze.

Troy z uśmiechem zadowolenia obserwował, jak żołnierze mocują się z wygiętym gwoździem.

– A teraz proszę, niech *pater* zaprowadzi nas do krypt – zwrócił się do Rafaela.

Edward nie powinien był się rzucać na Troya, a szczególnie kopać go po błyszczących cholewkach, wypolerowanych z rana jak lustro przez adiutanta prawdopodobnie sprawdzoną w kręgach wojskowych metodą na kość wołową, przemknęło Rafaelowi przez głowę.

Żołnierz odciągnął od zniesmaczonego Troya wierzgającego chłopca i wyniósł go na zewnątrz.

Po chwili do wnętrza świątyni dobiegł odgłos szamotaniny i strzału. Rafael zobaczył w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, jak od witrażowego okna wędrują po czerwono-złotej ścieżce drobinki pyłu i odbijają się w zakurzonych cholewkach Troya. Dawno nie robili generalnych porządków w kościele, pomyślał, obserwując, jak Niemiec białą chusteczką z mereżką w tych czarnych skórzanych rękawiczkach stara się zetrzeć kurz z butów. Jeszcze zdążył się tylko zaciekawić, co powie matka Niemca, gdy zobaczy zabrudzoną chusteczkę, i poczuł, jak żelazna obręcz zaciska mu się powyżej żeber, zanim stracił przytomność.



*Człowieku, naucz się tańczyć, bo inaczej
aniołowie w niebie nie będą wiedzieć, co
z tobą zrobić.*

przypisywane Świętemu Augustynowi,
tłum. obiegowe

MAJ, CZERWIŃSK

Brat Petrus znajdował się dokładnie na styku prezbiterium i nawy głównej Bazyliki Czerwińskiej, która podobnie jak inne kościoły była zbudowana na podobieństwo Boże. Prezbiterium to głowa, chór to piersi, w transeptach widziano ramiona, a nawę przyrównywano do łona. Petrus leżał tuż pod krzyżem, umocowanym pod sklepieniem

w drewnianym sercu oplecionym zieloną-złotą winoroślą. Głowę miał skierowaną do ołtarza, ramiona rozłożone na północ i południe. Krzyż celował prostopadle w środek pępka jego wielkiego brzucha.

Brat Petrus, spadając ze stojących wokół ścian rusztowań, nie zaburzył tego świętego porządku, wręcz go podkreślił, pomyślała Lula, przepychając się przez wianuszek ludzi otaczających ciało.

Najpierw zobaczyła brodę Gabriela z trzema warkoczykami, a potem jego samego klęczącego przy ramieniu zakonnika skierowanym na północ. Badał mu puls. Ciężko się przy tym opierał o posadzkę. Będzie miał problem ze wstaniem z kolan, westchnęła. Pomimo stałego uprawiania intensywnych ćwiczeń, wspinania się przez wiele lat po większości szczytów w Europie i ogólnie dobrej formy te jego ponad sześćdziesiąt lat akurat w kolanach dawało mu się we znaki.

Postanowiła, że nie będzie mu pomagała wstawać, żeby go nie zawstydzić. Usłyszała, jak mówi do słuchawki:

– Tak, czuję słaby puls, ale nie chcemy go dotykać, bo ma rozwaloną głowę. I nie wiem, co z kręgosłupem.

Zobaczyła, jak Gabriel ponad głowami tłoczących się chłopców i szlochających dziewcząt pokazuje Krisowi drzwi przy portalu wejściowym, a Ludwice i Adzie drzwi w nawie południowej.

Zamknijcie je i nikogo nie wypuszczajcie, zrozumiała Lula z bezgłośnego szeptu Gabriela.

Pobiegła do ciężkich drzwi wzmocnionych żelaznymi sztabami i przyciągnęła je do siebie. Zatrzasnęły się z hukiem.

– Pogotowie będzie za parę minut. Policja prosiła, żeby nikt nie wchodził i nie wychodził – oświadczył głośno Gabriel i jego głos odbił się kilka razy echem od ścian. Zapadła cisza. W tej ciszy tym

donośniej zabrzmiał nagły szloch dziewczyny. Thomas Apengeter, jeden z opiekunów niemieckiej grupy Polsko-Niemieckiego Obozu Modlitewnego, którego pół godziny wcześniej przedstawił im Petrus, poklepywał ją trochę bezradnie po plecach, równocześnie obejmując pocieszająco.

– Muszę ją wyprowadzić i dać jej coś na uspokojenie, zanim dostanie ataku epilepsji – powiedział do Ludwiki zadziwiająco poprawnie po polsku, choć z twardym akcentem. Zawahała się, ale odsunęła po chwili, widząc półprzytomny wzrok dziewczyny.

Kilka godzin później w małym klasztorным sklepiku, udostępnionym tymczasowo przez księdza dyrektora, policjanci spisali i przepytali po kolei obecne w bazylice osoby. Młody funkcjonariusz podsuwał im protokół do podpisu, przyglądając się wszystkim po kolei. Zajrzał do notatek: ruda z kręconymi włosami, w kolorowej sukience w esy-floresy, to Ada Stankiewicz, lat pięćdziesiąt dziewięć. Nie wyglądała na tyle. Uśmiechała się do niego życzliwie i wspierająco, jak to psycholog.

– Adrianna Idalia. – Machnęła podpis z zawijaszem, nie czytając.

Lesiak sprawdził znowu w notatkach: rozczochrany w podkoszulku to informatyk, Kryspin Marek Wiśniewski, lat sześćdziesiąt dwa.

– Używam imienia Kris – poprawił go Kris, nachylając się nad kartką.

Ten z warkoczykami na rudo-siwej brodzie, w bluzie w kratę, to Gabriel Górski, lat sześćdziesiąt trzy, prywatny przedsiębiorca.

– I były alpinista – dodał Gabriel, podpisując się wielkimi literami.

Młody policjant zawiesił się na chwilę; zaskoczyło go to, bo nie wiedział, czy kazać mu to wpisać do rubryki „zawód”.

– To pan dzwonił do nas, prawda?

Stali przed nim mocno zakłopotani i zmęczeni. Najpierw ten wypadek, a potem długie przesłuchanie i spisywanie zeznań każdego z osobna. Dla ludzi w pewnym wieku mogło to być wyczerpujące. Lesiaka nauczono szacunku dla starszych, ale musiał wypełniać swoje obowiązki. Było ich tylko dwóch na posterunku. I akurat on miał prawie pełne wyższe wykształcenie. Liczył na awans w najbliższym czasie.

– Czy mogę poprosić o pani autograf? – zwrócił się do Ludwiki.

– Oczywiście. – Ludwika potrząsnęła zalotnie tak zwanym bobem w kolorze pszenicy, już po dwóch tygodniach nie tak równo ostrzyżonym. Swoją drogą, kto nadaje te nazwy, no i trzeba sprawdzić po powrocie do domu, czy nie ma odrostów. Sięgnęła do torby po długopis i promocyjną kartkę ze swoim zdjęciem, wydrukowaną kiedyś przez pewne wydawnictwo, które poprosiło, żeby rozdawała, gdzie i komu może. Wręczyli jej z tysiąc takich kartek i nie ruszała się z domu bez co najmniej dwudziestu.

– Nie, nie. – Zarumienił się lekko. – Na tym poproszę. – Podsunął jej protokół. – Ale tak szczerze, mój bratanek jest pani wielbicielem, ja też jestem fanem. – Ceglasty rumieniec dotarł do czoła.

– Ach, tak, jasne, to bardzo miłe, jak ma na imię? – Sięgnęła znowu po promocyjną kartkę.

Rozpoznał ją, dawno temu z okazji wydania jej pierwszej książki wydawnictwo przymusiło ją do udzielenia wywiadów w kilku

programach porannych. Przydało się tym razem, choć w dziwnych okolicznościach.

– Starszy posterunkowy Paweł Lesiak jakby co. – Do czerwieni policzków doszły krople potu na czole.

Niby jakby co, czy raczej jakby kto, poprawiła go w myślach Ludwika, jakbym opisywała policjanta w nowej książce?

Nie mogła się przyzwyczaić, że ludzie uważają postaci z jej książek za żywe, a zdarzenia za prawdziwe i mające wpływ na ich losy, gdy tymczasem życie było dla niej inspiracją do tworzenia nowych światów, choć oczywiście opartych na rzeczywistości.

– Zawód pani? Nie wpisaliśmy. – Starszy posterunkowy pukał w kratkę na dole protokołu. Lula zmrużyła oczy. Nic to nie dało i w końcu wyrwała mu kartkę z ręki.

– A, tutaj to niech pan pisze, nie mam ze sobą okularów. Reżyserka. Albo nie, pisarka. Początkująca. – Zacisnęła usta i pomyślała: co za bęcwał, przecież przed chwilą podobno mnie rozpoznał. Skoro jest wielbicielem mojej książki, to uwaga! Kim jestem z zawodu? Szczerze mówiąc, sama ostatnio nie wiem, kim jestem.

Paweł Lesiak zawiesił się ponownie. Czy ci ludzie nie mogą się zdecydować, jaki zawód uprawiają? Taka niby inteligentna, wystrojona w garnitur, jakby z biskupem była na spotkaniu, a nie wie, kim jest z zawodu. Chyba pochopnie wyskoczył z tym uwielbieniem.

– Mam tu miejsce tylko na jeden. Niech pani sobie wybierze.

– No to niech będzie pisarka. Akurat mam przy sobie jeden egzemplarz mojej książki. – Lula zaczęła grzebać w przepastnej czarnej torbie, w czarnej dziurze, jak zwykł mawiać Gabryś,

odmawiając pomocy przy prostych polecenioprośbach typu „Czy możesz mi przynieść klucze z torebki”? – To by pan bratankowi dał, gdzie ona... O, jest. Mogę mu dedykację napisać. – Lula wręczyła książkę starszemu posterunkowemu Lesiakowi, który wbił w nią wzrok. Naprawdę lubiła te chwile, kiedy ludzie, spotykając pisarza osobiście, kamienieli z wrażenia. Ten tutaj rzeczywiście stał jak urzeczony. Wzruszyła się. To piękny zawód tak nieść w naród polską mowę i historię. Czyli jednak może wybierze zawód pisarki. W sumie to nawet sympatyczny młody człowiek.

– To pani nie jest Maria Dąbrowska? E, to nie, dziękuję – rzucił i oddał książkę.

Luli zabrakło powietrza, chociaż dzień był rzeński, i w osłupieniu zaczęła łapać powietrze jak ryba wyrzucona na piasek na brzegu rzeki. Gabriel wyraźnie wymówił nazwisko Luli. Ludwika Rekucka.

Policjant odzyskał pewność siebie i bardziej oficjalnym tonem ponownie wskazał miejsce do podpisu pod wstępną relacją. Poinformował również całą czwórkę, że szczegółowo opowiedzą o zdarzeniu we właściwym czasie, gdy zostaną wezwani na komendę wojewódzką w Płocku. Oni jako posterunek lokalny mają tymczasem różne ważne zadania do wykonania. Wyjaśnił, że trzeba wykluczyć działania osób trzecich i poczekać, aż, daj Boże, brat Petrus wróci do przytomności. Jeśli oczywiście przeżyje ten koszmarne wypadek. Szkoda, że nikt nie widział momentu upadku ani nie wie, dlaczego opat Petrus z tą jego tuszą postanowił się wspiąć na rusztowania. Dlatego on, posterunkowy, prosi o podanie aktualnych danych kontaktowych, aby łatwo można było ich zawiadomić.

Te „aktualne dane kontaktowe” najmniej się spodobały Ludwice, bo wyjątkowo starannie ukrywała przed wszystkimi prywatny numer

telefonu i adres. Nie brakuje na świecie różnych takich, którzy mogliby akurat wpaść na pomysł, żeby za nią z jakichś powodów chodzić. Rekuckich dużo na świecie, ale na wszelki wypadek lepiej zachować ostrożność.

Jej prawdziwe miejsce zamieszkania знаła garstka przyjaciół oraz bank, w którym mieli kredyt.

– Proszę zapisać do mnie – Gabriel jak zawsze wybawił ją z kłopotu – żona podczas pracy często ma całymi dniami wyłączony telefon.

Podyktował posterunkowemu Lesiakowi swój numer. Podał też adres mieszkania, które komuś wynajmowali i gdzie Ludwika była zameldowana. Odbierali tylko co parę dni pocztę ze skrzynki. Było to kłopotliwe i Gabriel wiele razy prosił ją o przekierowywanie korespondencji na adres, pod którym mieszkali rzeczywiście. Bezskutecznie. Lula, jak sobie coś wymyśliła, to nie było sposobu, żeby ją przekonać.

– Niestety – powiedział Gabriel – nie widzieliśmy momentu upadku. Akurat zwiedzaliśmy inną część bazyliki. Byliśmy w Czerwińsku z powodów pół prywatnych, pół zawodowych.

Posterunkowy Lesiak z widocznym trudem starał się ukryć lekkie poczucie wyższości.

– Nie można być pół w ciąży, a pół nie – oświadczył z całą mocą sprawowanego urzędu. Nie miał wątpliwości, że trzeba nieustannie nieść ten „kaganiec” oświaty, jak go uczyli na szkoleniu z komunikacji ze społeczeństwem. Nawet wobec starszych, bo też nie zawsze są uświadomieni.

Lula wytrzeszczyła oczy. Dopiero co ledwie się opanowała i doszła do siebie po poprzednim afroncie posterunkowego Lesiaka.

Nawet nie chodziło o to, że ją pomylił z kimś innym, ale że z Dąbrowską, która nie żyła od ponad pół wieku. Ada cicho wytłumaczyła jej na boku, że *Noce i dni* nadal są obowiązkową lekturą dla młodzieży szkolnej jak za ich czasów i że w tej sytuacji może rozważy zmianę fryzury w niedalekiej przyszłości, bo rzeczywiście jest jakby trochę obcięta w stylu znamienitej autorki. To może być mylące. Lula doskonale pamiętała, co noblista Czesław Miłosz pisał o uczesaniu koleżanki po piórze. Tam było coś w rodzaju, że miała grzywkę przyciętą na pacholę, a włosy podstrzyżone dookoła głowy na donicę.

Nagła czerwien na policzkach Luli zwiastowała zbliżające się odpalenie lontu, który na ogół miała dość krótki. Ada w tej sytuacji pośpieszyła z wyjaśnieniem, biorąc na siebie rolę transformatora. Napięcie mogło spokojnie uruchomić fotowoltaikę płaszczącą się na pobliskiej stodole.

– Pani – wskazała na Lulę – jest tu z powodów służbowych, przyjechała, aby rozmawiać o ewentualnym filmie o Czerwińsku, który brat Petrus chciał jej zlecić. Oraz być może o książce. Zanim spadł. Więc służbowo. A my – szerokim gestem objęła pozostałą trójkę – na razie jako osoby wspomagające, na wycieczce. Więc prywatnie.

Posterunkowy Lesiak już miał im zwrócić uwagę, że jeśli jedna osoba jest tutaj z powodów zawodowych, a pozostałe trzy z prywatnych, to nijak nie da się powiedzieć, że są z powodów pół na pół, ale zadzwonił komendant. Paweł Lesiak, chociaż lubił zagadki matematyczne, co było jego półprywatną pasją, wybrał jednak służbę i odebrał telefon.

A miała to być miła wycieczka w słoneczny dzień. Petrus umówił się z nimi na spotkanie, żeby wprowadzić Lulę w temat. To była zaskakująca oferta. Zadzwoił do niej parę dni temu w porze śniadania, przedstawił się i zapytał, czy byłaby zainteresowana filmem. Wyjaśnił, że akurat mija sto lat od czasu, jak zakon wprowadził się do Czerwińska. A on oglądał jej dokument o templariuszach na Pomorzu i mu się spodobał. Ludwika myślała na początku, że to niewczesny żart, że dzwoni do niej jakiś zakonnik i składa dziwne propozycje.

– To jak, jest pani zainteresowana? – dopytywał niecierpliwie. – Możemy się umówić na najbliższy weekend?

Dlaczego nie, pomyślała, odkładając słuchawkę, może da się z tego zrobić ciekawy materiał i na dodatek coś z tego wycisnąć do książki, której termin oddania zbliżał się nieubłaganie. A pomysłu nie miała wcale. Film dla zakonników w Czerwińsku pasował do momentu w jej życiu jak klucz do skrzynki pocztowej z wyczekiwany listem. Akurat weszła w fazę, że nie wie, kim jest. I co ją określa. Zawód? Wiek? Płeć? Lula już jakiś czas temu pogodziła się z tym, że robotnicy kopiący rów przy jej ulicy nie gwizdzą za nią prowokacyjnie, tylko grzecznie zdejmują czapki i kłaniają się z szacunkiem należnym starszemu z plemienia. Niemniej jednak przeżywała rodzaj kryzysu twórczego (nie mam pojęcia, o czym pisać) oraz osobistego (jestem stara, sześćdziesięcioletnia kobieta, nikomu niepotrzebna). Propozycja zrobienia filmu wprowadziła ją na powrót na znane tory. Gdy odłożyła słuchawkę, jej twarz rozpromienił szeroki uśmiech, a oczy zaśniły zielonym blaskiem. Czuła się tak szczęśliwa, że mogłaby zaśpiewać partię z opery, chociaż może lepiej nie.

Następnego dnia zaproponowała Adzie i Krisowi, żeby się razem przymierzyli do dokumentu jako mała grupa produkcyjna. Od dawna się zastanawiała nad wystartowaniem z projektami filmowymi na własny rachunek, ale się bała. Propozycja Petrusa była jak otwarte okno w duszny dzień, zmuszała do konkretnego działania. I o dziwo, pomysł wspólnego zainwestowania w bezpieczny projekt dokumentu spodobał się Adzie, która zaczynała mieć serdecznie dosyć toksycznego szefa i też szukała nowego pomysłu na siebie. Ada nie miała odwagi rzucić pracy, bo chociaż obie córki, Nela i Emilia, skończyły już studia, nadal mieszkały z nią i częściowo ciągle były jeszcze na jej utrzymaniu. Dziewczyny z entuzjazmem przyjęły informację o wyjeździe matki. Miały wolną chatę na weekend. Mieszkanie było już za ciasne dla trzech dorosłych kobiet.

Było oczywiste, że propozycja Petrusa spodoba się Gabrielowi. On zawsze lubił wszelkie zmiany. Cud boski, że akurat nie w kwestii kobiet. Krisowi wyjazd był najmniej na rękę, bo miał dużo zajęć, ale lubił historię, więc chciał się przyłączyć. Jako singiel, czy raczej stary kawaler, jak dokuczała mu Ada, z nikim nie musiał uzgadniać wyjazdu, jedynie uporać się wcześniej z terminową robotą. Mimo to jęczał, że chwilowo mu się nie chce ani do przyrody, ani do zabytków, bo ma kolejne wdrożenie programu do systemu szpitala, w którym oboje z Adą pracowali. Bez niego jednak to nie byłoby to samo. Kris tyle wiedział na dziwne tematy, że wystarczyło tylko nacisnąć guzik i zaraz się łączył z serwerem wszechświata, czyli Krisopedią, i wypluwał potrzebne informacje. Taka przygoda dałaby sporo możliwości w poszerzeniu bazy danych, a to zawsze było kuszące. Poza tym podczas tego rodzaju wypraw Kris zawsze zyskiwał jakąś zdobycz do jego zbiorów, bo był, mówiąc delikatnie,

kolekcjonerem. Gdyby ktoś potrzebował kabla stosowanego w latach osiemdziesiątych albo modelu kuchenki turystycznej z lat sześćdziesiątych, Kris na pewno by je miał. Musiałby tylko zanurkować pomiędzy pudłami, ustawionymi wszędzie w malowniczych stosach, pomiędzy którymi pozostawały tylko wąskie korytarze. Nikomu nie pozwalał swoich „zbiorów” nawet tknąć. Ada powtarzała mu do znudzenia, że powinien je jakoś uporządkować, a nawet proponowała pomoc, bo miała fioła na punkcie porządków, ale zawsze ją zbywał, mimo że na herbatę nawet zimą zapraszał na taras, bo jedynie tam wystarczało miejsca, żeby swobodnie postawić filiżankę.

Już często wcześniej Lula i Gabryś robili sobie historyczne i krajoznawcze wycieczki z Adą i Krisem. Nie tylko dlatego, że mogły przynieść inspirujący temat dla Luli, która po nakręceniu poważnego filmu dokumentalnego o tajemniczych związkach templariuszy z Polską i napisaniu książki oraz stworzeniu komiksu opartego na filmie dokumentalnym niespodziewanie dla siebie wkroczyła też do młodzieżowego świata fanów templariuszy.

Przez ten poważny temat zrobiła się jeszcze bardziej poważna. W takich chwilach Gabryś zwracał się do niej per Ludwiko. „Nie możesz tak siedzieć godzinami przy komputerze, Ludwiko, trzeba się ruszyć, Ludwiko” – zwykł mawiać.

Lula machała ręką i na kilkanaście godzin znikwała w pokoju zwanym gabinetem. Nazywała to odpowiedzialnością. Gabriel bezskutecznie dopraszał się fragmentów do oceny jako szanowany przy pierwszej lekturze książki *beta reader*.

Uwagi Gabriela o zbliżającym się terminie oddania zamówionej powieści (na podobny temat co pierwszej) Lula kwitowała dziwnymi

minami. Gabryś oświadczył więc oficjalnie, że w trybie pilnym trzeba wdrożyć działania specjalne. Wyciągał ją sprzed komputera na małe wypadki do ciekawych miejsc w okolicy.

– Lula, ty rzeczywiście wolisz czytać lub pisać o przygodach innych, niż sama je przeżywać – zaczepiał ją Gabriel.

– A ty za to rzucasz się od razu w każdą przygodę bez względu na konsekwencje. To jest lekkomyślność, z którą czas by skończyć, jak się ma tyle lat co ty – odgryzała się Lula. – Tym bardziej jak jest się już dziadkiem, nawet z zagranicznym dystansem.

Propozycja Petrusa była w tej sytuacji dla wszystkich prezentem od losu i zamierzali ją dobrze wykorzystać.

Od świtu wszystko im sprzyjało. Ku zdumieniu Gabriela Ludwika rano wyjątkowo sprawnie się zebrała, przebrała się tylko dwa razy, co oznaczało też tylko dwie poprawki w układzie kolorystycznym w szufladach. Ze spokojem siedział na dole w fotelu z książką, wiedząc, że Ludwika nie wyjdzie z domu, jeśli choć jedna skarpetka nie będzie idealnie złożona po wyprasowaniu w komplet ułożony według kolorów tęczy. Tak uporządkowane szuflady dawały Ludwice pewność, że gdyby niespodziewanie umarła, to ktoś, kto do nich zajrzy, od razu będzie wiedział, że lubiła czystość i porządek.

W końcu udało się, mogli wyjść z domu.

Kris uparł się, że poprowadzi samochód, i jak zwykle zmylił drogę. Był jedyną na świecie osobą, która potrafiła się zgubić nawet wtedy, kiedy trasa prowadziła prosto z punktu A do punktu B. Pomimo tego domagał się zawsze, żeby być kierowcą, co natychmiast wprawiało ich w doskonały humor, ledwie wsiadali do samochodu. Dokuczali mu żartobliwie, ale zupełnie mu to nie przeszkadzało.

Kiwał głową, z której sterczały na wszystkie strony nieposłuszne szpakowate włosy. Żywił niewzruszone przekonanie, że jeździ lepiej niż większość ludzi, a że służby drogowe nie potrafią ustawiać znaków we właściwych miejscach, to nie jego wina.

– Oni je stawiają gdzie popadnie, robią tylko zamieszanie na drodze – powtarzał za każdym razem.

– Kris, wiemy, że ty masz własny kodeks drogowy – śmiała się Lula. Zwykle ich w gruncie rzeczy nie zauważał, a światła na skrzyżowaniu traktował dość dowolnie. – Czerwony to dla ciebie „jedź”, a zielony „stop”. – Ludwika nawet podejrzewała, że jest daltonistą.

Ledwie ruszyli, Ada otworzyła okno. Pęd powietrza porwał jej kolorowy szalik, który to malowniczo walił o dach i szyby samochodu, to łomotał w środku. Wijące się rude pukle wiatr zarzucał jej na twarz, co wprawiło Adę w doskonały humor. Zaśmiewała się perliście, łapiąc wystawioną ręką ciepłe powietrze.

– Ada, ty dzisiaj przeciągasz się jak Anita Ekberg w *Słodkim życiu*, tyle że w wersji wiewiórczej – rzucił życzliwie Gabryś z tylnego siedzenia, mimo że ze dwa razy dostał szalikiem z motywami etno.

– Żeby tylko nie skończyła jak Isadora Duncan – mruknęła zgryźliwie Ludwika, walcząc z własnymi włosami. Przytrzymała je obiema rękoma, wściekła, że nie zabrała szczotki. Ada miała takie włosy, że wystarczyło, że nimi potrząsnęła, i już. Ludwika musiała codziennie rano wypracowywać każde pasmo. A teraz przez to głupie okno było po grzywce.

– Ada, możesz zamknąć? Głowę mi tutaj urywa.

Ada posłusznie zamknęła okno i wyciągnęła kanapki. Każda była zawinięta w osobną serwetkę, dla każdego w innym kolorze, żeby

było miło. Poza tym do kompletu należał jeszcze woreczek z naklejonym imieniem, mandarynka i batonik. Dla Gabriela i Krisa czekoladowy, dla niej marcepanowy. Dla Luli owsiany bez glutenu, laktozy, fruktozy. „W ogóle bez niczego” – kpił Gabryś. Jak wycieczka, to wycieczka. Tyle że tym razem jechali do pracy, na pierwszą dokumentację.

– Ada, ty jak zawsze przechodzisz samą siebie, mnie by się nie chciało. Nikomu by się nie chciało. – Ludwika już dawno nauczyła się, że należy natychmiast pochwalić i docenić starania Ady, bo inaczej straci humor. Ada wiele lat temu rozwiodła się z ciągle krytykującym ją ojcem Neli i Emilii, ale trafiła w pracy na szefa o podobnym do eksmeża charakterze i często nawet niewinne uwagi odbierała jako atak lub napomnienie.

– O, przepraszam – obruszył się Gabryś – a kto przygotowuje zwyczajowy *pilgrim set*?

I wyciągnął płaską metalową piersióweczkę z Ballantine’s pomieszanym z colą. Jedną dla wszystkich. Gabriel wychodził z założenia, że zawartość alkoholu w whisky wystarczająco dezynfekuje, żeby nie trzeba było szykować dla każdego osobnej butelczyny.

– No chyba teraz nie będziemy pili whisky, zanim wejdziemy do bazyliki! – oburzyła się Ludwika.

– Jaka szkoda, prawda? Gabryś zawsze robi takie smaczne mieszanki. – Ada była zachwycona. – Ale rzeczywiście, masz rację, Lula. Nie wypada, poza tym to byłoby niesprawiedliwe wobec Krisa, który podjął się tego ciężkiego zadania, żeby nas dowieźć w całości. Prawda, przyjacielu?

Ku zdumieniu Ludwika Ada pogłaskała Krisa po plecach. Ludwika kątem oka zauważyła, że Kris ledwo dostrzegalnie się odsunął. Ada zamrugła. Ludwika szybko coś powiedziała, żeby zagadać ciszę.

Wiedzieli, że tak jest prawie zawsze. Kris nie lubił publicznego czulenia się, chociaż była pewna, że pomimo nieustannej wojny, jaką ze sobą toczyli przy każdej okazji, zależało mu na Adzie. Nie umiał tylko tego okazywać. Ludwika pomyślała, że jakby się zastanowił, to w ogóle unikał jakiegokolwiek kontaktu fizycznego. Odskakiwał, kiedy Gabryś próbował go poklepać po ramieniu. Śmiali się potem, że jako informatyk ma wszystkie kończyny chude jak pajak i łatwo je złamać. Innym razem Ludwika, składając mu życzenia świąteczne, przytuliła go niespodziewanie i wyczuła, jak w jej objęciach dosłownie cały skamieniał. Jego twarz wykrzywiła się w takim grymasie, że przestraszyła się, że coś go rozboleło. Od tej pory i Lula, i inni starali się nie przekraczać niewidzialnej granicy, jaką Kris wytyczył między sobą a światem. Dlatego Ludwika zdziwiła się, że Ada pogłaskała Krisa. Było to złamanie niepisanej umowy, jaką mieli od wielu lat. Nie przeszkadzała im. Trzeba nad nim popracować, postanowiła Lula i równocześnie cofnęła rękę, którą gładził zamyślony Gabryś.

Czerwińsk nad Wisłą był uroczym miasteczkiem, dla którego zatrzymały się wskazówki na przedwojennej tarczy zegara i które miało lata świetności za sobą. Najpierw stanęli przy małym placyku z wbitym tabliczką informującą, że tutaj kiedyś stał dom, w którym urodziła się i mieszkała Loda Halama. Przed wojną właścicielka najpiękniejszych nóg w Warszawie i pięciu mężów.

– Pamiętam jej dziki taniec przy wielkim kieliszku szampana z filmu *Kłamstwa Krystyny*, zrobiła to tak wspaniale, że zaczęłam marzyć o zostaniu tancerką. Miałam wtedy siedem lat. Zaczęłam nawet chodzić na zajęcia w osiedlowym kółku tanecznym, ale musiałam je porzucić, kiedy rodzice się przeprowadzili. Zresztą uważali to za dziecinną fanaberię. Długo nie mogłam tego przeboleć. Zróbcie mi fotkę przy tej tabliczce – poprosiła Ada.

– Pomyśleć, że ten radosny film nakręcili w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku. Nie wiedziałam, że ona stąd pochodzi – westchnęła Lula, która też uwielbiała i film, i Lodę Halamę. Przyglądała się Adzie pozującej do zdjęcia. Przyjaciółka nigdy im nie opowiadała o tym marzeniu. Ada, gadatliwa i na pozór tak otwarta, w gruncie rzeczy zasłaniała się tą nadpobudliwością.

Klasztor i bazylika z daleka wyglądały jak zamek obronny, którym zresztą podobno kiedyś były. Krisopedia uprzejmie doniosła im, że przekształcenie na opactwo zafundował mu na początku dwunastego wieku rycerz Piotr Włast Dunin, który sam się nadawał na bohatera filmowego bardziej niż Kmicic i Lancelot razem wzięci. Tak jak Kmicic porwał księcia Bogusława, tak Piotr Dunin zuchwale uprowadził na polowaniu niejakiego księcia Wołodara – konkurenta swojego szefa, Bolesława Krzywoustego – który zbuntował się przeciwko władcy i najechał część jego ziem. Piotr założył się z Bolesławem, że odda mu te ziemie i zrobi to bez przelania choćby kropli krwi. Poddani zapłacili za uwolnienie Wołodara gigantyczny okup, który w całości trafił do Bolesława Krzywoustego, bo Piotr nie wziął nawet jednego brakteata¹ prowizji. Bolesław po tym ufał mu jak dziecko i posłał go w swoim imieniu z prośbą o rękę pięknej

księżniczki Marii, córki księcia kijowskiego. Niestety Piotr wzorem Lancelota zakochał się w niej z wzajemnością i zaryzykował utratę łaski pańskiej i głowy. Nic dziwnego, że księżniczka obdarzyła go uczuciem. Piotr, prawdopodobnie wzmocniony domieszką krwi duńskiej, był przystojnym i barczystym blondynem, a Bolesław Krzywousty, no cóż, podobno urodą nie grzeszył i jeszcze usta miał, zdaje się, niezbyt proste. Piotr miał więcej szczęścia niż Lancelot, bo Krzywousty nie gniewał się na przyjaciela długo i pozwolił mu wziąć ślub z jego ruską Ginewrą, gdy tymczasem król Artur napuścił na Lancelota rycerzy Okrągłego Stołu, co jak wiadomo, nie dla wszystkich dobrze się skończyło. Bolesław nawet był po latach wdzięczny Piotrowi, bo piękna Maria okazała się heterą. Te historie spodobały się Gabrysiowi. Obaj z Krisem maszerowali przez dziedziniec jak dwa wcielenia średniowiecznych rycerzy i jakby podano im cięższą zbroję.

Lulę z kolei zelektryzowała informacja, że opactwo dostali kanonicy sprowadzeni z Francji, starsi bracia templariuszy. Akurat ci, z którymi templariusze dzielili tę samą sławetną Świątynię Salomona, pod którą jakoby znaleźli słynny skarb.

Wyjątkowo uprzejmy Petrus czekał na nich przed romańskim portalem. Powiedział im, że przebywa w klasztorze w Czerwińsku od niedawna. Ściślej mówiąc, zaczął tu nowicjat, a potem całe lata spędził w klasztorze w Oświęcimiu. Żałował, że nie ma już tutaj brata Mariana, który rezydował w Czerwińsku przez wiele lat i wiedział o nim wszystko. Obecnie mieszka w domu opieki dla braci zakonnych koło Płocka.

– Możecie spokojnie do niego jechać w ramach zbierania dokumentacji. On uwielbia gości, bo w sumie nie bardzo ma co robić.

Chory jest – przekonywał Petrus. – Dajcie mi znać, to do niego zadzwonię. Zaraz zresztą to zrobię. Uprzedzę.

Petrus wyjaśnił im, że wraz z opiekunami w klasztorze salezjanów przy bazylice mieszka grupa niemiecko-polskiej młodzieży uczestnicząca w tak zwanej letniej szkole, więc zwiedzanie odbywa się trochę w chaosie i tłumie. Przedstawił im opiekuna niemieckiej młodzieży Thomasa Apengetera, którego zauważyli już wcześniej, ponieważ od chwili kiedy weszli do bazyliki, przyglądał im się bacznie i krążył czujnie wokół nich.

Petrus chciał się podzielić wiedzą na temat bazyliki i wprowadzić ich w temat. Niesiony zainteresowaniem słuchaczy przejechał niemalże na jednym wdechu przez średniowiecze, gotyk i barok, relacjonując historię cudownego obrazu Matki Boskiej Czerwińskiej, który sam się upomniał o swoje miejsce na ołtarzu w bazylice, oraz oczywiście o Jagielle, który tutaj się przeprawiał w 1410 roku przez pierwszy w Polsce most łyżwowy pod Grunwald. Ten most jest dowodem, że warto czytać. Gdyby Krzyżacy czytali, to już pięć lat wcześniej znalazłby elegancko ilustrowany traktat wojskowy niejakiego Konrada Kyesera, w którym szczegółowo opisano, jak wyglądał identyczny most w Niemczech, i nie zlekceważyliby naszego dzielnego króla, który jak widać, czytał.

Grupka przyjaciół obchodziła kościół. W każdym miejscu znajdowali coś ciekawego. Gdy zatrzymali się przy starych romańskich drzwiach, Petrus zwrócił im uwagę na okucia zdobiące drzwi podzielone na trzy części. W centrum każdej był kolisty pierścień, od którego odchodziło osiem ramion podwójnego krzyża zakończonych trójlistnie.

– Koło jest najdoskonalszą figurą, nie ma bowiem niczego „przed” ani „po”, ani początku, ani końca, dlatego jest obrazem wieczności. Widzicie tę jasną okrągłą plamę pod pierwszym kołem? – Dopiero ją zobaczyli, odcinała się wyraźnie od ciemniejszego tła, pocerniałego przez wieki. – W tym miejscu wisiała do wybuchu wojny bezcenna romańska antaba, odlana w brązie. Wyobrażała głowę lwa, której forma sugerowała, że jest to raczej wizerunek lwa demona pożerającego ludzką głowę, wystającą między wielkimi kłami. Antaba miała też związek z pewną historią, legendą najprawdopodobniej, ale o tym później. Między kłami przewleczony był pierścień. O, tutaj widać ślady po ćwiekach mocujących kołatkę do drzwi.

– I co się z nią stało? – zapytała Ada.

– W czasie wojny odkręcił ją od drzwi znany niemiecki naukowiec Dagobert Troy. Po wojnie zarówno naukowcy, jak i rząd polski oficjalnymi i półoficjalnymi drogami starali się ją odzyskać od Dagoberta i jego spadkobierców, ale i on, i później jego rodzina odrzucali konsekwentnie te żądania. – Petrus westchnął. – Troy do końca życia zaprzeczał, że kiedykolwiek podczas wojny był w Czerwińsku – oburzył się. – Uważam, że kołatka jest nadal w rękach rodziny. Bardzo nam zależy, aby ją odzyskać po latach. Mamy we wrześniu pierwszą doniosłą uroczystość, a trzynastego grudnia ostatnią, ponieważ w tym roku mija sto lat obecności salezjanów w Czerwińsku. Właśnie prawie sto lat temu biskup płocki wydał dekret o wieczystej dzierżawie Czerwińska dla zgromadzenia salezjanów. Będą obecni kluczowi dostojnicy z naszego zgromadzenia z kraju i z zagranicy, różne media... – Ściszył głos. – To dla nas niebagatelna sprawa, żeby mieć antabę na powrót przed

tymi uroczystościami, z różnych względów. I ten film z tego powodu jest dla nas istotny. Będzie wtedy też wybór nowego księdza dyrektora i władz prowincji...

– Żeby nie było jak z Hongkongiem. Po stu latach wrócił do pierwotnych właścicieli – mruknęła Lula pod nosem.

– To znaczy?! – Petrus spojrzał na nią z ukosa. Już miał coś odpowiedzieć, ale Lula złapała go za rękaw i dość bezceremonialnie podsunęła mu komórkę z artykułem z internetu. Czują, jak swędzi ją lewa łopatką; zwykle był to znak, że warto się nad czymś zatrzymać. Pomyślała, że może tu znajdzie prawdziwą inspirację do książki, nie tylko do reportażu o historii zgromadzenia.

Petrus spojrzał na ekran, zrobił kwaśną minę i odwrócił wzrok.

– Może sobie pogadamy, pooglądamy najpierw, co my tu mamy za skarby z różnych wieków i krajów? Poznamy się trochę... – Zaczął stukać palcem w srebrny świecznik i obłupywać go z wosku.

– Oczywiście, oczywiście, wszystko po kolei. – Gabriel pośpieszył z pomocą i obskubał świecznik z drugiej strony. – Zwiedzajmy dalej.

W końcu zatrzymali się przy żelaznej furtecze, odgradzającej schody na dół w korytarzu przy muzeum.

– A co tam jest? Możemy zejść? – zapytała Ada, przekręcając uroczą głowę okoloną pierścieniem płomiennych pukli i dokładając do kompletu błagalne oczy Kota w butach ze *Shreka*. Zawsze działało.

– O, to tylko zejście do podziemi, nie wpuszczamy do nich nikogo, sami rzadko tam schodzimy, bo i po co? To jest rupieciarnia i takie tam, reszta zasypana – wymówił się Petrus. Widząc jednak

smutną minę Ady, powiedział ugodowo: – No, dobrze, już dobrze, pokażę wam. Wejdziemy tam na chwilę, ale tylko na chwilę.

Przekręcił włącznik. W słabym świetle żarówek zobaczyli długi korytarz zbudowany z szarych ociosanych kamieni, połączonych zaprawą, i z półkolistym sklepieniem, pod którym biegły plastikowe i żelazne rury oraz kable. W mroku ledwie widać było ścianę zamykającą jego drugi koniec. Zaskoczyło ich, że był stosunkowo wąski i wysoki. W niszy po prawej stronie leżało trochę brył czarnego węgla, spod których widać było dziwną kamienną wypukłość w posadzce.

– To jest na bank góra sklepienia jakiegoś pomieszczenia na dole – oświadczył z mocą Gabrys i zaczął wygrzebywać węgiel na korytarz.

– Może tak, ten rodzaj sklepienia najlepiej przenosił obciążenia – zgodził się Petrus, zamiast go skarcić, i nachylił się z zainteresowaniem. Ciche pik... pik... pik... w równych odstępach powinno im dać do myślenia, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

Byli tak podekscytowani, że udzieliło się to nawet poważnemu Petrusowi, który ze splecionymi na brzuchu rękoma przyglądał się Gabrielowi. A ten, nie zważając na wystające spod dresowej bluzy jasnoniebieskie mankiety niedzielnej koszuli, gołymi rękoma odgarniał węgiel. Czarny pył wzbijał się przy jego każdym ruchu.

– Zobaczcie! Tu są ewidentnie ozebrowania! Czy macie jakieś plany tych korytarzy?

Petrus pokręcił głową.

– Niestety, nie wiem. Kiedyś musiały być, ale nigdy nie sprawdzałem. Czas najwyższy, żebym kogoś dopytał, może naszego ekonoma? Część jest niedostępna na pewno. Nasz klasztor to jest

zabytek klasy zero i tym się zwykle zajmowały służby zewnętrzne. A tędy – wskazał na duży otwór w rogu powały – zrzucano węgiel z góry do pieca, zanim założyliśmy ogrzewanie gazowe. To resztką tego węgla.

– I bardzo dobrze! Bobyśmy tego w życiu nie zobaczyli. – Gabriel pogładził z zadowoleniem rudo-siwą brodę i trzy zaplecione w niej rano warkoczyki.

Było za późno, Lula nie zdążyła go ostrzec. Warkoczyki przybrały czarnoszary kolor. Przekręciła głowę, żeby się mu dokładniej przyjrzeć w świetle słabej żarówki, i uznała, że Gabryś w kruczoczarnym wydaniu wyglądałby jak stary kruk z tym swoim chudym profilem. Zachichotała bezgłośnie; przecież nic nie można mu było powiedzieć, zawsze upierał się, że mężczyzna musi być szczupły. Ale żeby aż tak? Gabriel w zamyśleniu gładził brodę raz za razem. Siwe zawsze dobrze łapie, wiedziała z doświadczenia przy farbowaniu się na pszeniczny blond co miesiąc. Przynajmniej będzie miał brodę porządnie i równo poczernioną. Już miała otworzyć usta, żeby go jednak ostrzec przed wycieraniem rąk w spodnie, co zwykle robił podczas gotowania, i właśnie zamierzał tak potraktować jasnoszare dzinsy, kiedy wokół nich rozległo się wycie. Nie wiedzieli, skąd się wydobywa, ale jednostajny wysoki dźwięk, odbijający się od kamiennych ścian wąskiego korytarza i półkolistego sklepienia, nie zostawiał żadnych wątpliwości, co to takiego.

– Matko Boska Czerwińska! Alarm pożarowy! Wychodźmy stąd szybko. – Petrus był blady i popychał ich zdenerwowany w stronę żelaznych drzwi.

– Przecież tu się nic nie pali! Pewnie ten pył węglowy wzbudził czujkę. Gdzie się dzwoni, żeby ten alarm odwołać? Albo gdzie

nacisnąć co trzeba? – Lula jak zwykle w sytuacjach kryzysowych była opanowana i nie wpadała w panikę. Było to bardzo przydatne w codziennym życiu. Zarówno zawodowym, na planie filmowym, kiedy zawsze coś poszło nie tak, na przykład zabrali za krótkie kable, jak i prywatnym, kiedy zamówiona na wymiar szafka nijak nie dawała się wcisnąć w kąt, a pan stolarz z wiosennie roztargnionym wzrokiem wmawiał im, że pomniejszyli dom od jego ostatniej wizyty. Lula komentowała z poważną miną, że tak, oczywiście, i wyjmowała dalmierz z szuflady. To zwykle załatwiało temat.

Przestraszony Petrus pchał ich w stronę drzwi do podziemi. Alarm przeszedł w stopień drugi, bo teraz już do pisków dołączyły niskie, buczące dźwięki.

– Czy wypada w tym miejscu użyć sformułowania, że ten alarm wyje jak potępieniec? – rzucił w przestrzeń Gabriel.

Petrus łypnął na niego wilczym wzrokiem i szarpnął za klamkę. Drzwi ani drgnęły.

– Czy one się zatraskują automatycznie? – Kris spróbował sam nacisnąć klamkę i otworzyć drzwi. – Zamknięte, kto ma klucz? Brat?

– Został w zamku z drugiej strony, przecież weszliśmy tylko na chwilę. – Petrus otarł pot, zostawiając na czole czarny ślad, który nawet się nieźle komponował z jego bluzą. – Może trzeba je jakoś mocniej docisnąć.

Gabriel i Kris zaczęli na przemian szarpać, dociskać drzwi i podwierać zamek. W tym momencie alarm przełączył się na poziom trzeci i basowe buczenie rozniosło się po całej okolicy. Wisła niosła je pewnie jeszcze dalej. Byli przekonani, że ludzie na uliczkach na

dole przystają i osłaniając ręką oczy, przypatrują się z niepokojem górującym nad okolicą zabudowaniom bazyliki i klasztoru.

– Jasny gwint! – wrzasnął Gabriel. – Na pewno zaraz przyjedzie tutaj straż.

– To będzie jakieś trzy tysiące kary – zauważyła z zadziwiającą trzeźwością Ada.

– I kto to będzie płacił? – Lula potrząsnęła głową.

– Może uciekniemy z drugiej strony? Nie ma tam wyjścia na końcu? – zaproponował Kris, co spotkało się z potępiającym spojrzeniem zarówno Luli, jak i Ady znad ekranów telefonów. – Nie ma jak alarmujący początek zażyłości z klientem. To się nazywa mocne wejście w nową znajomość – rzucił niezrażony.

Obie panie gorączkowo przewijały ekrany, szukając numeru miejscowej jednostki Ochotniczej Straży Pożarnej w Czerwińsku. Niestety zasięg się rwał i był ledwo, ledwo osiągalny tylko w jednym rogu przy zawiasach wielkich metalowych drzwi, ale nie dało się zadzwonić ani wysłać wiadomości. Czyli nie dało się zdalnie prosić o pomoc.

Nagle wszystko ucichło. Przez kontrast cisza aż dzwoniła w uszach.

– To oni przyjechali czy ktoś wyłączył ten alarm? – zapytała Ada.

Petrus stał spocony przy drzwiach. Łapał zasięg i powietrze jak ryba przed świętami.

– Może udało się komuś odwołać. Pytanie, czy ktoś tu przyjdzie i nas znajdzie, zanim – spojrzał wymownie na migocącą żarówkę i potem w głąb ginącego w mroku korytarza – zapadnie tutaj całkowita ciemność.

Wszyscy zaczęli walić w metalowe drzwi i krzyczeć. Czyli prosić o pomoc analogowo.

Kiedy wyszli z podziemi, światło na dziedzińcu wydało im się jeszcze mocniejsze.

– Ale przygoda! Pokaże nam brat jeszcze te freski? – Gabriel smyrał wskazującym palcem poczerniałe warkoczyki w brodzie. Zdumiony zauważył nagle czarne obwódki pod paznokciami i resztki pyłu węglowego na dłoniach. Wytarł je starannie o jasnoszare spodnie.

– A jak serce? – zatroszczyła się Ada, gryząc koniec kręconego rudego pukla.

Petrus westchnął i położył rękę na piersi.

– Dobrze, że nie zszedłem na zawał. Dla kogo przygoda, dla tego przygoda. Z tej paniki i zaskoczenia zapomniałem, gdzie jest wyłącznik alarmu. Nie wiem, dlaczego te drzwi się zatrzasnęły, czy ktoś je zamknął. No bo to bez sensu, że ten klucz jest przekręcony. To kolejne dziwne wydarzenie ostatnio. Dobrze, że akurat nasz ekonom mnie szukał i przechodził tamtym skrzydłem, bo nie wiem, jak długo byśmy siedzieli na dole. Zwykle wszyscy o tej porze aż do następnego dnia przebywają w innej części klasztoru albo w bazylice. On przysięga, że zszedł do podziemi dopiero wtedy, kiedy usłyszał nasze wrzaski. Jutro przyjdzie fachowiec i powie, czy to możliwe, żeby w drzwiach podczas zatraskiwania równocześnie przekręcił się klucz w zamku. No bo kto by mógł to zrobić i po co... Niech może najpierw wszystko się uspokoi. – Spojrzał na stojące na dziedzińcu grupki młodzieży, które alarm wypłoszył z bazyliki i klasztoru. Niektórzy żalowali, że straż w końcu nie przyjechała.

– To chodźmy, popatrzcie sobie chwilę na te nasze freski, tam jest coś niespotykanego w porównaniu z innymi malowidłami ściennymi z tego samego czasu. Ciekawe, czy to zauważycie. – Przerwał, bo spostrzegł, że z daleka macha do niego zakonnik. – Ja na chwilę odejdę, brat Mikołaj mnie woła. Troszkę odpocznę, lek wezmę i wrócę. A, i jeszcze jedno. Niedawno mieliśmy dziwne wydarzenie, ktoś nam się próbował włamać w nocy do bazyliki, spłoszył go jeden z braci. To niezwykle, tu ludzie są przyjaźni, bazylika jest prawie zawsze otwarta. Musieliśmy zamontować dodatkowe zabezpieczenia. Opowiem wam potem coś ważnego i pokażę ciekawe dokumenty. Pani Ludwika może jeszcze będzie ze mnie zadowolona. – Petrus obdarzył łobuzerskim uśmiechem Lulę, która spojrzała z miną niewiniątka, jakby mówiła: „Ależ ja jestem bardzo zadowolona, o co chodzi?”.

Petrus odszedł. Chwila przeciągnęła się do ponad godziny. Postali przed freskami, które były ledwie widoczne. Nie wiedzieli, co Petrus miał na myśli. Postanowili, że przejdą się po dziedzińcu i tam na niego poczekają. Kris zademonstrował im działanie starego zamka zapadki w żelaznej bramie bazyliki. Oczywiście wiedział wiele o tym mechanizmie. Zaskakujące, że tyle lat działał on bezproblemowo. Nie to co zamek w nowoczesnych wrotach do podziemi. Potem wrócili jeszcze raz do romańskich drzwi. Jasna plama kłuła w oczy stratą.

– To naprawdę świństwo – powiedziała Ada. – Facet, który w czasie wojny wpada do miejsciny na końcu świata, wie doskonale, po co tu jedzie. Naukowiec na dodatek.

– Nie wiem, czy nie gorsza jest jego rodzina. Pewnie są bardzo szanowani w swoich stronach. – Kris kręcił głową.

Gabriel stał na wprost drzwi i dotykał ręką jasnej plamy.

Nagle usłyszeli w kościele jakieś zamieszanie, krzyki. Okazało się, że brat Petrus spadł z rusztowania. I że wskutek wypadku zapadł w śpiączkę. To wszystko, czego się dowiedzieli.

Jechali do domu w zupełnie innym nastroju niż rano w tę stronę. Tylko Gabriel pogwizdywał wesoło, a zirytowana Ludwika pomyślała, że to trochę niestosowne w tej sytuacji. Na dodatek gładził odruchowo jeden z trzech ekstrawaganckich warkoczyków, jakie zaplótł sobie dzisiaj na brodzie, co u niego było oznaką wyjątkowo dobrego humoru.

– A ty co taki wesoły jesteś? – Nie wytrzymała w końcu.

Gabriel dojechał do świateł, odwrócił się i położył na jej dłoni ciężki klucz. Ludwika wpatrywała się przez chwilę w roślinny motyw oplatający jego główkę. Gęstwina gałązek pokrywała okrągły otok. Wypukłość na środku, pomimo wytarcia przez lata, może wieki, wyglądała jak głowa lwa.

– Skąd to masz? Chyba nie od...?

Gabriel pokiwał wolno głową. Wyjaśnił, że wyjął go z zaciśniętej pięści brata Petrusa, kiedy się nad nim nachylił, żeby zbadać mu puls.

– No nie, Gabriel, tak nie można! Musimy zaraz zawrócić i oddać go zakonnikom. Zbieram klucze w różny sposób, ale nie jestem hieną.

– Ale pomyślałaś, że za to ja nią jestem! Oj, Lula.

Gabriel wytłumaczył im, że choć zwykle wykorzystuje każdą okazję, żeby powiększyć imponujący zbiór starych kluczy Luli i nie zawsze posługuje się powszechnie akceptowanymi metodami, to tym

razem tylko chciał zabezpieczyć ten egzemplarz podczas chaosu, jaki powstał z powodu wypadku.

Zbiór był rzeczywiście imponujący. Zajmował już całą ścianę w ich gabinecie. Powstawał od czasu, gdy Lula chodziła do szkoły podstawowej i podczas lekcji historii w piątej klasie pan Stefański powiedział, że każdy interesujący i wartościowy człowiek ma jakąś kolekcję. Własny zbiór czegoś, co jest dla niego ważne, każda kolekcja bowiem opowiada prawdę o swoim właścicielu. Lula po powrocie do domu przeszła przez cały dom, zastanawiając się, co by mogła zbierać. Porcelana była poza jej zasięgiem, zresztą już mieli swoją, biorąc pod uwagę zawartość kredensu i kilku paczek na strychu. Te ponad sto spódnic z szafy w sypialni, które matka namiętnie kupowała na tak zwane okazje i do chodzenia po domu, chyba jednak się nie kwalifikowało pomimo ich liczby. A poza tym Lula chciała znaleźć własny styl i wyraz, skoro kolekcja miała mówić coś o niej. Po kilku próbach stworzenia zbioru z przedmiotów typu gliniane minidzbanuszki z pobliskiej Cepelii czy kolorowe drewniane ptaszki, nabywane na ryneczku, padło wreszcie na klucze. Od razu na start dostała od dziadka całe wiadro pełne starych, mniej lub bardziej zardzewiałych egzemplarzy. Zbudował dla niej potem oszkloną skrzynkę, w której na specjalnych haczykach umieściła pierwsze egzemplarze, opatrzone opisami typu: „klucz do spalonej stajni” i tak dalej. Z czasem, w miarę pogłębiania przez Lulę wiedzy na temat „kluczologii” – jak mówiła matka przy kawie do przyjaciółek, robiąc porozumiewawcze miny, kiedy wydawało się jej, że córka nie słyszy – opisy i okazy stawały się coraz ciekawsze. Matka wzdychała: „Ty i te twoje klucze”. Swoją drogą, myślała Lula, ciekawe, co mój zbiór kluczy mówi o mnie samej.

Luli więc wystarczyło spojrzeć na trzpień i otok, żeby od razu wiedzieć, że ten klucz wygląda na średniowieczny. Niewiele takich zachowało się z dawnych czasów. Miał na pewno długą historię. Bardzo chciała ją poznać, dlatego Gabrielowi udało się dość łatwo ją przekonać, że zabierając go, nie miał w istocie złych intencji.

Uznali, że wrócą do bazyliki i oddadzą go osobiście, kiedy Petrus wyjdzie ze szpitala, a Ludwika dotykała co chwilę winorośli oplatającej klucz, który włożyła do przegródki z boku torebki. Czuła, że niedługo odkryją taką historię, że będzie mogła wreszcie napisać tę książkę, albowiem – głupio się jej było przyznać, ale nie miała jeszcze nawet wstępu.

¹ Brakteat – moneta o małej wartości, w formie cienkiej blaszki bitej jednostronnie, w Polsce najbardziej rozpowszechniona podczas panowania Bolesława Krzywoustego.



*Za dwadzieścia lat bardziej będziesz żałował
tego, czego nie zrobisz, niż tego, co zrobisz.*

powiedzenie przypisywane Markowi Twainowi, cytaty za: Jackson
Brown Jr H., *P.S. Kocham Cię*,
tłum. Natalia Osiatyńska

Nie mogli zapomnieć o tym, co się stało. Odezwali się po kilku dniach do Mikołaja, żeby dowiedzieć się czegoś o stanie Petrusa. Wieści niestety nie były dobre. Petrus po operacji nadal był w śpiączce. Robiono mu różne badania i bez wyników lekarze na razie nie mogli nic im przekazać.

Lula spojrzała na Gabriela. Jej mina mówiła wszystko, choć starała się ukryć rozczarowanie: „I co teraz? Po filmie?”.

W tej sytuacji nie wypadało pytać Mikołaja o projekt. Na szczęście on sam z siebie powiedział, że dużo rzeczy zważyło mu się teraz na głowę, ale że pamięta.

– Znam sprawę i wiem, że Petrusowi na tym bardzo zależało, więc róbmy, jak ustaliliśmy. Ucieszy się, gdy wyjdzie. – Lula odańczyła w duchu taniec zwycięstwa. Powtarzała sobie, że dostali drugą szansę i muszą ją wykorzystać jak najlepiej.

W następnych dniach spotkali się kilka razy. Ciągle przeżywali ostatnie wydarzenia. Emocje w nich buzowały. Gabriel nie przestawał gładzić brody i bezwiednie splatać i rozplatać w niej warkoczyków.

– Zostaw wreszcie te warkoczyki w spokoju. Wyglądasz jak podstarzała wiewiórka rastamanka. – Ludwikę tak to irytowało, że miała ochotę podnieść głos, ale byłoby to nie w jej stylu. Szczyciła się, że kulturalni ludzie potrafią się porozumiewać bez prostackich wrzasków.

– To było dość wredne, Lula, do tej pory ci się podobały. – Gabriel strzelił focha.

– Nadal mi się podobają, sorry, żart taki głupi – przymiliła się Lula. – Gabryś, uważam, że powinniśmy napisać list, ewentualnie maila do rodziny Troya i zaproponować im, żeby honorowo oddali antabę do bazyliki.

– Nic to nie da. Gdzieś czytałem na szybko w telefonie, że nawet rząd poprosił o interwencję ambasadora niemieckiego, ale on odmówił. Przekazał, że takie pytanie może skierować ambasador polski w Niemczech bezpośrednio do rodziny, ponieważ jest to bardziej w zakresie jego kompetencji. Oczywiście wszyscy się obrazili na wszystkich i nic z tego nie wyszło. Lula, co ty znowu

robisz? – Złapał ją za rękę. Lula jak zwykle czyhała na jego popielniczkę. Co strzepnął popiół, to palcem go zmiatała na jedną stronę w schludną kupkę. Cud boski, że dzisiaj pozwoliła mu zapalić w domu. Pewnie się ulitowała przez ten deszcz i burzę, dobra kobieta.

– Może tego naprawdę nie mają, a głupio im dyskutować o przewinach przodka. – Ada swoim zwyczajem wystąpiła w obronie nieobecnych.

– Och, Ada, a ty zawsze obrończyni niewiniątek! Nawet Ewę Braun byś przytuliła i powiedziała, że współczujesz jej utraty ukochanego mężczyzny. – Gabriel, uśmiechając się dobrotliwie, podsunął jej telefon z artykułem i wywiadem profesora Lorentza, który wprost opowiadał o przedwojennej znajomości z Troyem.

W artykule była mowa o brutalnej grabieży skarbów sztuki i historii przez grupę pseudonaukowców w niemieckich mundurach, którym przewodził Troy. Profesor Lorentz pamiętał, jak Niemiec wybierał kolejne artefakty palcem wskazującym ręki w czarnej skórzanej rękawiczce. Tej samej ręki, którą wymierzył mu policzek. Profesor mówił też, że po wojnie dostawali sygnały od zaprzyjaźnionych kolegów naukowców niemieckich, którzy mniej lub bardziej otwarcie sugerowali, że w tym samym czasie, kiedy Troy na łamach różnych europejskich periodyków naukowych drukował zaprzeczenia, że kiedykolwiek brał udział w grabieży dóbr kultury w Polsce, a już z pewnością wobec nikogo nie użył przemocy, to byli tacy, którzy widzieli antabę zawieszoną w kasetonie na ścianie jego mieszkania w Stuttgarcie.

– A to fałszywy łobuz! – zagotowała się Ada, przerzucając pukle na plecy.

– Wydaje mi się, że raczej nie będzie trudno namierzyć adres rodziny Dagoberta i ustalić, dostając się pod jakimś przebraniem do mieszkania, czy antaba nadal się tam znajduje – powiedział Gabriel.

– Żartujesz? Czy zwariowałeś?! – Ludwika spojrzała badawczo na Gabriela. Stukała opróżnioną popielniczką w brzeg kosza pod zlewozmywakiem. W zasadzie wyglądał dość normalnie, nie licząc tych warkoczyków na brodzie, ale to akurat od lat mieściło się w jej granicach normalności.

– Wcale nie. – Gabriel uśmiechał się słodko i pobłażliwie, co wytrącało ją z równowagi, wiedział drań o tym. – Wejdziemy tam pod wymyślonym pretekstem, zrobimy zdjęcia i przekazemy komu trzeba w Polsce, żeby można było oficjalnie wystąpić o jej zwrot. Nie mamy za dużo czasu, niedługo to stulecie zgromadzenia. I koniec ich wieczystej dzierżawy. Petrus bardzo był tym zaniepokojony. Może mi się wydaje? Ciekawe, czy to w ogóle możliwe, żeby biskup nie chciał z jakichś względów im tej dzierżawy przedłużyć? Ja i Kris znajdziemy ten adres, a ty i Ada wykminicie, jak się tam dostać.

– To proste, wypożyczymy brunatne mundury, zapukamy i przedstawimy się jako koledzy dziadka z Breslau – walnęła Lula.

Po chwili ciszy wszyscy zaczęli mówić jedno przez drugie.

– Idiotyczny pomysł. – Ada była bardziej stanowcza niż zwykle.

– Puknijcie się obaj w głowę. – Lula mniej delikatnie wyraziła swoją opinię.

Ada powtórzyła im krótką rozmowę z Petrusem, którą przeprowadziła, kiedy na chwilę zostali sami. Oświadczyła Petrusowi, że chciałyby odnaleźć podobną antabę i wykonać kopię, którą podarowałiby bazylice razem ze złotą tabliczką z ich nazwiskami, które zostałyby utrwalone na wieczność jak pamięć

o innych ofiarodawcach różnych wotów w bazylice. Petrus się niezwykle ucieszył z tego pomysłu, właściwie to niemal wymógł na nich zobowiązanie, że zrobią kopię przed uroczystościami stulecia, a on im we wszystkim pomoże.

– Dobry pomysł – przyznała Lula. – Może wystarczy znaleźć dobre zdjęcia, na wzór tej świetnej dokumentacji średniowiecznych antab z Wielkiej Brytanii, zrobionej przez studentów historii z Torunia? – Ludwika była świeżo po starannym przekopaniu wszechświata internetu w temacie antab.

Gabriel i, o dziwo, na ogół milczący Kris byli jednak bardziej podekscytowani wizją wejścia do mieszkania Troyów i zrobienia tam porządnych zdjęć.

Gabriel przekonywał, że to realne.

– Witaj, przygodo, seniorze! – Nieledwie podskakiwał z ekscytacji.

– A co, jeśli tej antaby tam rzeczywiście nie ma? A nas, tfu, was, złapią na gorącym uczynku? – dopytywała się Lula. – Już widzę te nagłówki: odrażające podstarzałe typy z Polski, czyli początkująca pisarka z późnym debiutem i jej przyjaciele, psycholożka, były alpinista i informatyk, wszyscy lat jakieś sześćdziesiąt plus, przyłapani na gorącym uczynku w mieszkaniu rodziny znanego naukowca w Stuttgarcie! Nieznane są motywy ich czynów, zapewne emerytury w Polsce mają głodowe i nie wystarczają im na życie. Bieda zmusiła ich do tak desperackiego czynu jak próba kradzieży dzieł sztuki należących do szanowanej niemieckiej rodziny.

– Hej! Wstrzymaj te konie, Mario Dąbrowska! – oburzył się Gabriel. – Po pierwsze, nie odrażające podstarzałe typy, tylko ci wspaniali mężczyźni, wciąż młodzi w swoich latających maszynach,

i ich uroczę partnerki, a po drugie, nikomu nic nie będziemy kradli. Wejdziemy, zrobimy zdjęcia i wyjdziemy. Reszta będzie należała do państwa polskiego. – To ostatnie powiedział z takim naciskiem, jakby państwo polskie właśnie pochyliło się nad nimi w oczekiwaniu na podanie dowodów wprost na wyciągniętą łapę.

– Jakich maszynach? – zainteresowała się Lula. – Nic z tego! – oświadczyła stanowczo. – Beze mnie. Jak chcecie resztę uroczego życia spędzić w Reichu w więziennej bibliotece, to mnie w to nie mieszajcie. Za słabo znam niemiecki.

Gabriel kojarzył ten ton. Uznał, że dzisiaj nic już tutaj nie zwojuje. zaproponował, żeby za parę dni spotkali się ponownie i przeanalizowali, jakie mają źródła do zrobienia kopii antaby.

*

Ludwika stała nad brzegiem rzeki. Czarna woda pozornie leniwie, a jednocześnie z groźną siłą odbijała się od brzegu. Lula miała wrażenie, jakby delikatne pluskanie zdradzało, że pod powierzchnią kryje się coś nieznanego. Woda była tak ciemna, że niemal czarna, ledwie rozjaśniona słabym blaskiem księżyca. Z góry rzeki nadpływał miotany nurtem duży zwalony pień drzewa z rozłożonymi gałęziami. Czuła, jak ciemność otacza ją z każdej strony, a woda pociąga ją ku sobie coraz głębiej. Szum wody narastał i zdawał się rozlegać w nieskończoność.

– Lula, Lula!

Gabriel szarpał ją za ramię. Ludwika usiadła tak gwałtownie na łóżku, że zakreśliło się jej w głowie.

– Woda, rzeka szumi – powiedziała bezładnie.

– Nie, to ta klima. – Pogłaskał ją po ramieniu delikatnie. – Muszę jutro wezwać serwisanta, bo jest za głośna. Znowu ci się śniła?

Wiedział, że Ludwika czasami odreagowuje wydarzenia dnia poprzez sny o rzece, czasami łagodnej, a czasami wzburzonej. Zawsze powtarza się jeden motyw: Ludwika stoi nieruchomo nad brzegiem, wpatrując się bezradnie w spienioną, przepływającą obok niej wodę, aż w końcu rzeka zaczyna ją wciągać w mroczną otchłań, a ona nie może wydobyć głosu, żeby zawołać o pomoc. Zwykle udaje mu się ją w ostatniej chwili wyciągnąć z odmętów, bo Ludwika z wielkim wysiłkiem wydobywa z siebie głos i krzyczy przerażona, najpierw budząc jego, a potem on ją.

*

Ludwice wizja utrwalenia nazwisk na złotej tablicy w bazylice bardzo się spodobała. Dręczyła ją myśl, że któregoś dnia umrze, a świat będzie trwał dalej jak zawsze. I śladu po niej nie będzie. Zniknie w czarnej dziurze, jej życie zniknie jak papierek porwany przez nurt ciemnej wody. Okej, zostanie trochę dominujących genów w ciele syna Karola, córki Teodory, zwanej Tesią, i wnuczki Sofii. A także trochę jej powiedzonek i parę niepodpisanych zdjęć, ale to już tchnęło wieczną anonimowością. Czasami budziła się w nocy i nie mogła spać, bojąc się tej czarnej dziury. Książki, które stają się bestsellerami, nie wszystkie znikną wraz z ich autorem, tak jak te stare księgi ze średniowiecza. Zamówiła sobie w duchu od losu bestseller. Wiedziała, że trzeba sprecyzować, czego sobie życzymy,

inaczej możemy się zdziwić, jak nasze życzenia zostaną zinterpretowane przez siły wyższe.



Daleko się trzymajcie od tego straszego potwora, jakim jest pycha, i od bezwolnego pogrążania się w rozpuście, jak też od sprzecznych twierdzeń rzekomej nauki.

św. Augustyn, *Wyznania*, tłum. Zygmunt Kubiak

2 SIERPNIA 1934

Droga Henrietto!

Mam nadzieję, że zastaję Cię w dobrym zdrowiu i że dotarłaś szczęśliwie do domu Twego brata. Pozdrów go najserdeczniej. Jestem mu głęboko wdzięczny, iż zechciał przejąć nad Wami opiekę na czas mojej czterotygodniowej nieobecności.

Jestem bardzo rad, że moje wysiłki, aby zauważono potrzebę przeprowadzenia badań naukowych nad wpływem sztuki niemieckiej na sztukę polską w okresie średniowiecza, zostały uwieńczone sukcesem. Koszty podróży naszej grupy roboczej zostały zatwierdzone, wyruszamy wkrótce, a plan obejmuje, jak wielokrotnie o tym rozmawialiśmy, przejazd przez całą Polskę, szczególnie centrum, Płock i okolice, oraz dotarcie aż do Lwowa przez Lublin. Cele podróży są jasne i oczywiste dla wszystkich: musimy zbadać oddziaływanie sztuki niemieckiej poprzez niemieckich artystów, najmowanych w owym czasie przez możnych, oraz uniemożliwić Polakom przypisywanie sobie do nich praw własności intelektualnej.

Strona polska oczywiście neguje wpływ niemiecki na sztukę i kulturę swego narodu. Omawialiśmy kilkakrotnie tak oczywisty przykład wielkiej postaci jak Wit Stwosz, którego Polacy próbują zawłaszczyć. Musimy udowodnić światu, że jest inaczej, przez pokazanie, że nasza kultura przeniknęła na najbardziej wysunięte na wschód obszary Polski. Jak wiesz, na potrzeby tej podróży informuję tylko naszych wschodnich sąsiadów, że pragnieniem moim jest stworzenie monografii sztuki polskiej.

Polscy koledzy obiecali udzielenie wszelkiej pomocy podczas podróży, zatem mamy nadzieję, że w kręgu naukowców będziemy mogli odpowiednio zadziałać propagandowo na rzecz naszych narodowosocjalistycznych Niemiec.

Obiecuję pisać, gdy tylko znajdę czas, a Ciebie ogromnie proszę, byś dbała o siebie i swoje zdrowie. Mam nadzieję, że nasi synowie odpowiednio wykorzystują ostatnie dni wakacji na przygotowanie się do wytężonej pracy, ale nie zapominają też otaczać Cię właściwą opieką.

Kreślę się z szacunkiem,

Heil Hitler!

Dagobert Troy



*Każdy morderca jest zapewne czyimś starym
przyjacielem.*

Agatha Christie, *Tajemnicza historia w Styles,*
tłum. Tadeusz Jan Dehnel

Oparcie błękitnego fotela, skierowanego do wielkiego okna, które wpuszczało światło latarni i stłumione odgłosy ludzi z ulicy, wibrowało coraz mocniej. Muchy uwięzione w pułapce mieszkania uderzały skrzydełkami o szybę w tym samym rytmie. Na chwilę zamarły, kiedy wibrowanie się wzmogło, i usiadły ponownie na błyskającym ekranie. Wabione blaskiem, latały od telefonu położonego na szerokim oparciu fotela do okna, a jedno i drugie było dla nich pociągające. Trwało to chwilę, zanim zza fotela wysunęła

się ręka z opuchniętymi paluchami, z których jeden zdawał się nieomal pękać od pierścienia ozdobionego runą.

– *Ja... hast du es verfolgt?*¹... dobrze... nie dzwoń do mnie o tej porze... muszę o tym pomyśleć, *mach es so, wie ich es dir gesagt habe*². – Aparat wylądował w tym samym miejscu na oparciu. Owady poderwały się i podjęły walkę o wolność.

¹ *Ja... hast du es verfolgt?* – z niem. Tak... zrobiłeś to?

² *Mach es so wie ich es dir gesagt habe.* – z niem. Rób, jak ci kazałem.



*Nigdy nie wiesz wcześniej, kiedy jest za
późno.*

prawo Murphy'ego, tłum. obiegowe

Kilka dni później wciąż tkwili w tym samym miejscu. Ada i Gabriel nie przestawali szukać, ale nigdzie nie było zdjęć ze zbliżeniem kołatki z Czerwińska. W sieci znaleźli jedynie wszędzie powielane te same dwa zdjęcia z początku wieku z jakiejś wyprawy konserwatorskiej. Drzwi z romańskim portalem, wmurowane w tamtym czasie w zewnętrzną, boczną ścianę kościoła. Czyli w tym miejscu, gdzie widział je Troy. Zbliżenie kołatki, ale tak niewyraźne, że ledwie widać było pysk lwa. Wydawał się znacznie łagodniejszy, niż można by się spodziewać z opisów. Ada konsultowała z jednym

ze swoich pacjentów, rzeźbiarzem, czy na podstawie tych fotografii da się zrobić kopię antaby.

– Niestety nie – referowała im spotkanie z rzeźbiarzem. – Potrzebne jest wyraźniejsze zdjęcie z lewego i prawego boku. Oczywiście da się zrobić bez nich podobną kołatkę, ale z pewnością nie taką samą, a przecież nie o to chodzi.

Przypomnieli sobie, że Petrus powiedział im, że sam dopiero od niedawna mieszka w klasztorze w Czerwińsku, dlatego zachęcał ich do wizyty u brata Mariana, który rezydował tam przez wiele lat.

– Petrus mówił, że on wie wszystko o Czerwińsku. Może ma więcej informacji o antabie i może ma inne, dokładniejsze zdjęcia – przekonywała Ada.

Dom opieki dla księży i zakonników prezentował się bardzo ładnie. Wybudowany z czerwonej cegły miał duże okna i przeszklone korytarze, łączące ze sobą na poziomie pierwszego piętra jednopiętrowe budynki rozrzucone na kilkuhektarowej działce. Na terenie, otoczonym murem z czerwonych klinkierowych cegieł, znajdował się ogród i park schodzący po łagodnej skarpie w stronę Wisły. Portier wpuścił ich bez problemu na hasło, które śmiało rzucił Gabryś: „My z Czerwińska”. Szli od bramy wybrukowaną alejką w kierunku zabudowań, wciągając zapachy rozsiewane przez różaneczniki. Część krzewów jeszcze się zastanawiała, czy czas wybuchnąć kwiatami, a część już bezwstydnie pchała przed oczy różowe pąki.

– Mógłbym zostać księdzem albo zakonnikiem, gdybym miał gwarancję, że to tutaj trafię na starość – wymamrotał Gabriel za plecami Luli, kiedy recepcjonistka wskazała im, żeby poczekali na

bladożółtych, miękkich skórzanych fotelach w holu na potwierdzenie, że brat Marian ich przyjmie. Lula, zapadając się w wygodne głębokie siedzenie, w duchu pogratulowała sobie dzisiejszego wyboru ciemnogrnatowych bawełnianych spodni. Ada po dyskusji poprzedniego dnia, jaki strój jest właściwy dla takiego miejsca, zdecydowała się na sukienkę maxi w herbaciane róże. Obicie foteli elektryzowało ją przy każdym ruchu i Ada walczyła z przylepiającą się do nóg tkaniną.

– Za sucho tu jest – oświadczył Kris i wyciągnął rękę, żeby pomóc Adzie odlepić się od fotela, kiedy zeszła po nich salowa. – Trzaski świadczą, że w pomieszczeniu jest zbyt duża ilość jonów o ładunku dodatnim. – Aż się poderwał, bo prąd przeskoczył między dłonią jego a Ady. – Ale masz wysokie napięcie, trzeba je rozładować – zażartował, trąc dłoń i udając, że nie widzi nagłego rumieńca Ady.

– Pewnie różnica potencjałów elektrycznych między nami. Twój pewnie jest dużo niższy – odgryzła się Ada.

Lula pokiwała głową i położyła palec na ustach. Ci jak zwykle się ze sobą droczyli.

Brat Marian ucieszył się na ich widok i wcale nie był zaskoczony, ponieważ Petrus mu wspominał, że prawdopodobnie do niego przyjadą. W pokoju kręciła się niziutka siostra zakonna, na oko w dość podeszłym wieku. Na biały habit miała narzucony opinający ją niebieski roboczy fartuch, którego końce ledwie trzymały się z tyłu na minikokardce. Kiedy się schylała, poprawiając pościel, zastanawiali się, czy się nie rozwiąże. Obrzuciła badawczym wzrokiem każdego z nich po kolei. Ludwice wydawało się, że, o dziwo, najprzychylniej spojrzała na brodę Gabriela. Dzisiaj

ozdabiał ją jeden warkoczyk, co było znakiem, że Gabriel czuje się trochę niepewny, aczkolwiek lekko podekscytowany. Reszta niestety najwyraźniej nie zdobyła takiego samego uznania, jako że siostra zwracała się tylko do niego.

– Niech one nie nabrudzą tutaj i usiądą dalej, żeby jakiej zarazy nie przyniosły. – Przeżegnała się z trwogą na twarzy.

– To siostra Irenka, moja opoka, ona zawsze tak straszy, ale to dobra dusza – przedstawił ją brat Marian dość młodzieńczym jak na swój wiek głosem.

Gabriel oświadczył, że rzeczywiście przysłał ich tutaj Petrus i że pozdrawia. Siostrę Irenkę również, co zostało przyjęte przychylnym kiwnięciem biało-czarnego czepca.

Siostra Irena poprawiła kilka razy czerwony pled w kratkę na kolanach brata Mariana i pokręciła się jeszcze chwilę, dała im kilka podobnych instrukcji jak poprzednio („niech one nie otwierają okna pod żadnym pozorem”, „nie łażą po pokoju, bo zادةpczą podłogę, a dopiero co Florentyna froterowała”), zanim wreszcie wyszła i mogli się spokojnie rozejrzeć.

Pokój brata Mariana był połączeniem eleganckiego i wygodnego pokoju hotelowego z domowym. Drewniana ciemnobrązowa szafa w rogu i rzeźbiona biblioteczka pod sam sufit, pełna starych książek, oraz wielkie drewniane biurko pod oknem dopełniały wrażenia. Obok łóżka zgrabna, jasna sosnowa szafeczka w typie nakastlika, który Ludwika znała z domu dziadków. Miała z nakastlikami ciepłe skojarzenia, bo stały w ich sypialni obok wielkiego drewnianego łoża i kryły różne skarby, które chętnie odkrywała z nią babcia lub dziadek. W przeciwieństwie do rodzinnego domu wolno jej tam było buszować w sypialni.

– Kto jeszcze wie, co to nakastlik – szepnęła do Krisa.

– Ja wiem – odszepnął. Ale akurat w przypadku Krisa to jej nie zdziwiło. Poza tym też pochodził z południowej Polski.

Tylko profesjonalne łóżko oraz znajdująca się nad nim listwa z licznymi diodami i przyciskami wskazywały, że nie są w zwykłym pokoju czy sypialni.

– Usiądźcie sobie wygodnie. Zaraz wam wszystko opowiem. Petrus mi mówił, że bardzo was interesuje historia bazyliki i zakonu. Sięgnij no, moja droga, po ten album na drugiej półce, troszkę w lewo, ten ciemnobrązowy grzbiet, złotko, o tak, ten. To wam się spodoba. – Brat Marian rozłożył na kolanach okrytych pledem wielki album ze starymi zdjęciami, starannie opisanymi, co, gdzie i kiedy.

– No więc na tym zdjęciu tutaj jestem ja, podczas pierwszej komunii. Wtedy sobie obiecałem, że jak dorosnę, wstąpię do zakonu. Bo naszym opiekunem i proboszczem był salezjanin.

I tu potoczyła się opowieść o tym, jak się dostał do zakonu, o nauce w Niższym Seminarium Duchownym oraz o rozkładzie dnia w bawarskim klasztorze w Benediktbeuern, gdzie dla bezpieczeństwa posłał go w swojej łaskawości ówczesny ksiądz dyrektor razem z innymi kolegami na przełomie jesieni i zimy 1940 roku.

– Dzięki Bogu zdrowie mi wtedy dopisywało, a jak czułem jakąś dolegliwość, to się szczerze zabierałem do pracy i wszystko mi mijało. Pomimo tego, że wtedy wcześniej spadł śnieg i przykrył kapustę i buraki, na szczęście nie było mrozu, bo inaczej wszystko by było kaput.

Godzinę później byli nadal w Bawarii. Nie śmieli przerywać ponaddziewięćdziesięcioletniemu staruszkowi, który pełen werwy opowiadał im ze szczegółami całe swoje życie. Zapewne nieczęsto

miał słuchaczy. Ada siedząca najbliżej przez cały czas kiwała z entuzjazmem głową i zaśmiewała się z przygód młodego wówczas zakonnika. Ludwika miała ochotę nawet ją lekko kopnąć albo trącić, bo każda taka entuzjastyczna reakcja wywoływała kolejny łańcuszek skojarzeń. Niestety nie zbliżyli się ani na krok do Czerwińska. Ludwika obracała w kieszeni klucz, który dostała od Gabriela, i czekała na jakiś przełom.

– Gołąbeczko, poczęstuj się jabłuszkiem, taka jesteś szczuplutka. – Brat Marian przysunął bliżej Ady talerzyk z jabłkiem pokrojonym w zgrabne ćwiarteczki przez siostrę Irenę. Ada aż pokraśniała z zadowolenia. Zerknęła ukradkiem na Krisa, który akurat z rozanielonym uśmiechem gapił się na nią, ale gdy napotkał jej wzrok, natychmiast przybrał obojętną minę.

– To mi przypomina sad przy klasztorze salezjańskim w Oświęcimiu. Takich jabłek jak tam nigdzie już nie jadłem, a jak oni mieli zorganizowane te sady...

Przy historii o sadach i jabłkach Ada wprost już zapytała o Czerwińsk i antabę.

Brat Marian nakierowany we właściwą stronę podjął temat.

– Nie wiem, czy wiecie, ale w średniowieczu najlepsi kowale cieszyli się sławą podobną do współczesnych gwiazd telewizji. Mieli własny styl podrabiany przez innych. Potrafili się bawić formą i często popisywali się humorem i wiedzą, na przykład umieszczając w kołatkach głowę krokodyla albo dzika. Gdzie ja mam zdjęcie tej antaby z kościoła Mariackiego w Neubrandenburgu? O, zobacz, dziecko. – Brat Marian podsunął Adzie album.

– Niezwykły zwierz jak na średniowieczną kołatkę. Częściej chyba były lwy? Jaka była ich rola? – Ludwika chciała pogłębić

temat.

– Ano właśnie miałem wam więcej opowiedzieć o kołatkach, czyli inaczej antabach. Miały one nie tyle zdobić wrota kościelne, ile już na progu świątyni być dla wchodzącego widzialnym symbolem. Dlatego dodawano do nich różne stwory. Kołatki z głową lwa nabrały w średniowieczu szczególnie symbolicznego znaczenia. Zgodnie ze słowami psalmu: *Salva me ex oro leonis* – wybaw mnie od lwiej paszczy – lew to symbol diabła, jego otwarta paszcza to otchłań wiecznego potępienia, a pożerana ofiara stanowiła personifikację grzechu. Kołatek z głowami lwa w całej Europie dotrwało do naszych czasów chyba około pięciuset, jednak antaba z Czerwińska była wyjątkowa. W każdym razie ten Niemiec Troy dobrze wiedział, co zabiera. Petrus wam o tym opowiadał, prawda? – Brat Marian zadumał się na chwilę. Zapadła cisza, a salezjanin uciął sobie drzemkę. Nie śmieli drgnąć, spał tak spokojnie. Po paru minutach Ludwika trąciła lekko Adę, a ta jeszcze delikatniej dotknęła ręki brata Mariana.

– A przepraszam was, stary jestem, to się zapominam czasami. – Uśmiechnął się i mrugnął łobuzersko do Ady.

– Jak mój laptop – wymamrotał Gabryś pod wąsem i zarobił kuksańca od Luli.

– O czym to ja wam...?

– O antabie z Czerwińska. Dlaczego była wyjątkowa. A ma brat jakieś inne zdjęcia, zbliżenia, bo te z internetu nie pokazują jej szczegółów – dotarła do sedna Ludwika.

– Mam, mam dwa inne zdjęcia i mam też kopertę, którą u mnie zostawił Petrus, „gdyby coś mu się stało”, a właśnie się stało przecież, ten nieszczęśliwy wypadek z tą śpiączką, ja mam jasne

instrukcje. Zaraz po obiedzie wam to dam i opowiem więcej o antabie z Czerwińska, teraz muszę chwilę odpocząć, bo zmęczyła mnie już trochę wasza wizyta, dzieci, a poza tym mają tutaj za chwilę dzienny obchód. Ale nic to, nie martwcie się, odpocznę sobie. Pogadamy dalej. Taa... Z nią jest związana bardzo ciekawa legenda, opowiem wam. Ale ciągle się zastanawiam, czy antaba była dziełem mistrza z Magdeburga, czy może wyszła z pracowni rodziny Apengeterów z Lubeki, to był taki...

I wtedy, w najciekawszym momencie opowieści, w pokoju pojawił się typ spod ciemnej gwiazdy, najwidoczniej pielęgniarz. Nie spodobał się Ludwice od razu, bo wszedł z tacą z lekami i zdecydowanie wyprosił ich na korytarz. Brat Marian musi odpocząć przed obiadem, takie są zasady. Pomimo protestów wszystkich, proszącego głosu i zniewalającego uśmiechu Ady, że to jeszcze tylko chwila, co niemal zawsze działało, musieli wyjść.

Nawet Ada niezbyt skora do skrajnych reakcji obrzuciła pielęgniarza wzrokiem bazyliuszka. Ewidentnie nie lubił rudych kobiet. Zazwyczaj mężczyźni ulegali jej czarowi.

Stanęli na korytarzu i słyszeli przytłumioną rozmowę, naleganie na zażycie lekarstwa. Po chwili pojawiła się gruba salowa z wózkiem z obiadem.

– Pachnie nieziemsko ta pomidorowa – westchnęła Ada. To im przypomniało, że są od rana tylko na kanapkach. Zanim ruszą do domu, trzeba iść gdzieś na obiad, może do tej knajpki przy rynku obok katedry o śmiałej nazwie Tylko dla Wybranych.

– Że też akurat w takim momencie nas przepędził, gad jeden – syczała rozeźlona Ludwika. – I że nie udało ci się go uprosić, zawsze byłaś w tym skuteczna. Dużo bardziej niż ja.

– Może już wasz urok nie działa jak kiedyś, kwestia wieku – wypalił nietaktownie Gabrys i tym razem to on zarobił bazyliuszka od Ady. Ludwika, a nawet Kris posłali mu mordercze spojrzenia.

Nagle lampa nad wejściem do pokoju zamigotała na czerwono. Zaczęły wyc jakieś urządzenia. Przepędzono ich w przeciwną stronę w głąb korytarza, za róg. Jeszcze kątem oka, przesuwani przez salową, zobaczyli, że do pokoju brata Mariana wpadają lekarze i pielęgniarki, a na końcu z rozwianym fartuchem siostra Irena. Jednak za krótkie robią im te wiązania.

Za chwilę ta sama salowa zaczęła wypychać ich w drugą stronę, na dół budynku. Zobaczyli przez uchylone drzwi, że w pokoju ojca Mariana panuje bałagan, wygarnięte rzeczy z jego gustownej szafki przy łóżku kłębią się na podłodze. Album, który chwilę temu oglądali, najwyraźniej upadł w zamieszaniu na podłogę i zatrzymał się pod ścianą z listwą. Na podłodze leżały rozsiane pojedyncze karty i zdjęcia, a tłum ludzi z dziwnymi urządzeniami obstąpił łóżko i głośno wydawał komendę za komendą. Recepcjonistka kazała im opuścić budynek. Nie są rodziną.

Kiedy wyszli, stanęli oszołomieni przed zatrzaśniętymi im przed nosem drzwiami.

– Co tu się wydarzyło?! – Ludwika bezradnie pokazała palcem zamknięte drzwi.

– Umarł – odezwał się nagle stanowczo Kris, do tej pory milczący.

– Ale jak to umarł? Nie umarł! Przecież z nami dopiero co rozmawiał! Może nie umarł? Może tylko zasłabł? – Pytania Ludwiki pozostawały bez odpowiedzi.

Kris rozłożył bezradnie ręce, wzruszając ramionami. Postali tak jeszcze przed drzwiami ponad godzinę w nadziei, że ktoś wyjdzie i powie im, że wszystko dobrze się skończyło. Nikt nie reagował na pytania zadawane przez domofon. Ruszyli w końcu w milczeniu w kierunku bramy i portierni. Ledwie wyszli na ulicę, usłyszeli, że woła do nich siostra Irena.

Wiekowa siostra zakonna zarzuciła na siebie cienką granatową kurtkę i truchtem dogoniła ich, sapiąc przy bramie.

– Przepraszam, przepraszam. Szukałam was. Takie straszne zdarzenie. Mam coś dla was. – Zobaczyli, że ma ze sobą sporą kopertę i przekłada ją z ręki do ręki w zakłopotaniu. – To okropne, co się stało. Można się było spodziewać. Chociaż, wiadomo, nikt nie chce się spodziewać. Ale niezbadane są wyroki boskie... Ta zastawka w zasadzie była nieoperacyjna i tym razem nie przetrzymał kolejnego ataku. – Otarła rękawem kącik oczu.

Ada pogłaskała ją delikatnie po ramieniu przez kraty bramy. Materiał zaszeleścił i zatrzeszczał jak pocierany tarką.

– Była siostra przywiązana do brata Mariana?

– O tak, bardzo, lubiłam z nim sobie pogawędzić na różne tematy. Zaprzyjaźniliśmy się, w zasadzie przywiązuję się do wszystkich moich podopiecznych, ale on był taki serdeczny. Ja trafiłam do zakonu jako czternastoletnia dziewczynka. Tak, to były inne czasy, bo się głupio uparłam, że coś udowodnię rodzicom, mieszkaliśmy wtedy w Serbii, długo by opowiadać. Niewiele mnie spotkało serdeczności i uwagi w życiu – wzięła głęboki oddech – bo tu o co innego chodzi, ale w każdym razie on był najmiłszą osobą, jaką znałam. Wiedział, że jest bardzo chory. Jego ostatnie słowa brzmiały: *Salve me ex oro leonis*. – Łzy kapały siostrze Irenie na habit

i niebieski fartuch. Nabrała głęboko powietrza. – Kilka dni temu dał mi tę kopertę na przechowanie. Mówił, że to kopie jakichś dokumentów opata Petrusa z Czerwińska. Przekazał mi instrukcje, że gdyby coś mu się stało, mam ją zwrócić opatowi Petrusowi albo dać panu Gabrielowi Zbigniewowi Górskiemu, który miał tu przyjechać, a przecież to pan, prawda? – zwróciła się do Gabrysia.



*To nadzwyczajne, że wszystko zawsze
okazuje się inne, niż się sobie wcześniej
wyobrażało.*

Agatha Christie, *Śledztwo na cztery ręce*,
tłum. Alina Pożarowszczyk

WARSZAWA, 15 SIERPNIA 1938

Droga Henrietto!

Śpieszę Ci donieść, że dotarliśmy do Warszawy. Podróż pociągiem była spokojna i wygodna, a koledzy polscy uprzejmi i pomocni. To nasza druga podróż w celu uzupełnienia spisu zabytków, które są ewidentnie wytworzone przez niemieckich artystów lub pod ich wpływem.

Katalog zabytków, który zrobiliśmy w 1934 roku, znakomicie udaje się na bieżąco uzupełniać nowymi informacjami, zdjęciami i rysunkami. Mam nadzieję, że będzie przydatny ministerstwu kultury. Mój towarzysz podróży doktor Bruckmann, biorący ze mną udział w wyprawie, który sam intensywnie zajmował się polską historią i mówi doskonale po polsku, jest dla mnie wielkim wsparciem. Zanim wyruszyliśmy na wschód, dobraliśmy kierowcę i samochód, po czym pojechaliśmy do Czerwińska, żeby znowu nacieszyć się widokiem wytworów średniowiecznej niemieckiej sztuki i rzemiosła. Szczególnie ważnym obiektem jest średniowieczna antaba. Niestety, pomimo wypytywania i sprawdzania nie udało się ustalić, czy polscy zakonnicy są w posiadaniu dokumentacji tego zabytku. Nie wiem, czy kłamią, czy nie mają pojęcia, o czym mowa. Ale podejrzewamy, że jakieś dokumenty musiały być. A są one w sumie dla mnie niezwykle ważne, zatem nadal będę badać temat. Polacy nie potrafią zadbać niestety o zabytki tak jak my.

Pieniądzy, jakie na spełnienie naszych celów przeznaczyło Ministerstwo Nauki, Wychowania i Oświecenia Publicznego oraz nasz sponsor ambasador graf Moltke, wystarczy na wygodną podróż. Niczego nam nie brakuje, zatem nie martw się o mnie, droga Henrietto.

Bardziej ja martwię się o Twoje zdrowie. Mam nadzieję, że kaszel Ci już mniej dokucza. Przywiozę ze sobą specjalne ziołowe krople na płuca, które dał mi miejscowy przeor z Czerwińska z klasztornej apteki. Podobno robione przez ichniejszego aptekarza według starodawnej niemieckiej receptury. Zatem muszą być dobre.

Kreślę się z szacunkiem

Heil Hitler!

Dagobert Troy



Żyj tak, by znajomym zrobiło się nudno, gdy umrzesz.

Julian Tuwim, cytata za: Mariusz Urbanek, *Tuwim*

Kris zaproponował, żeby zawartość koperty obejrzeć w domu, na spokojnie. Przez chwilę milczeli, ale tuż za rogatkami Płocka Ludwika nie wytrzymała i wypaliła zaczepnie:

– A od kiedy ty masz na imię Gabriel Zbigniew, nigdy mi o tym nie mówiłeś, może nie tylko o tym?

– Gdybyśmy nie byli małżeństwem na kocią łapę, tylko urzędowym, tobyś wiedziała albo wcześniej zauważyła – odgryzł się Gabryś, przy okazji nawiązując do odkładanego z różnych powodów ślubu. Najpierw, bo jakiś program pilny, potem dom w trakcie

budowy, a później akurat urodził się Karol, po nim Tesia i jakoś zeszło. O co najwyraźniej winił Ludwikę.

– O, to nie fair – wkurzyła się Ludwika. – A porządne oświadczyzny były?

– A kto cię poprosił o rękę w blasku świec?

– Mówisz o tym, jak we Wszystkich Świętych poślizgnąłeś się na cokole grobowca i nie mogłeś wstać? Żenujące!

– Ale poprosiłem? Poprosiłem!

– Ej, tam z przodu, nie będziecie się kłócić teraz. – Ada starała się załagodzić spór na znany jej temat.

– My się nie kłócimy przecież, tylko przekomarzamy, tak jak wy często – zdziwiła się Lula. – Ale skąd ojciec Marian znał aż dwa twoje imiona? – Nie odpuszczała dalej. – I jakim cudem przewidział, że przyjedziesz do niego, skoro się nie znaliście wcześniej, a Petrus miał tylko ogólnie uprzedzić o naszej ewentualnej wizycie? I przecież nie znał też twojego nazwiska, he?

Gabriel już spokojnym tonem wytłumaczył, że po pierwsze, tego drugiego imienia nie używa, bo go okropnie nie lubi, a po drugie, chociaż im tego wcześniej nie powiedział, wcześniej poznali się z Petrusem. Że się rozglądał po świecie, szukając tematu dla Ludwika. Nic jej nie mówił o tych staraniach, bo wie, jak ona nie cierpi, gdy się jej pomaga. Podczas jednej z rozmów Petrus powiedział, że jest zainteresowany zrobieniem filmu o Czerwińsku, o bazylice i zgromadzeniu. Obaj się zgodzili, że Lula będzie do tego idealna. Od niego miał więc numer telefonu do Ludwika.

Wyciągnął z kieszeni odręcznie napisany list, w którym Petrus zwraca się do niego po imieniu, informując, że odnalazł coś ważnego i że koniecznie musi to jemu i Ludwice pokazać. Wierzy, że ostatnie

osiągnięcia Ludwika pozwolą łatwiej rozwikłać sprawę. I dziękuje Gabrielowi za jakieś spotkanie. Poleca mu też skontaktować się z bratem Marianem w Płocku, już go uprzedził. Więcej mu powie, jak się zobaczą.

– To nie jest śmieszne – powiedziała znacznie łagodniej Ludwika. Poczowała niepokój; po raz pierwszy okazało się, że Gabriel jej czegoś nie powiedział, a do tej pory miała wrażenie, że mówią sobie wszystko. – Ale oczywiście dziękuję za podsuniecie pomysłu o filmie Petrusowi. To nieprawda, że nie lubię, jak mi się pomaga.

W domu z koperty wysypało się kilka zbliżeń antaby, ale też parę zdjęć żołnierzy na motocyklach, w mundurach niemieckich, a pomiędzy nimi dzieci puszczające latawce. Może dzieci, dzięki Bogu, puszczają latawce zawsze?

Na dwóch miniaturowych zdjęciach wielkości pudełka od zapalek dwóch eleganckich mężczyzn w mundurach esesmanów rozmawiało z zakonnikiem. Trudno odgadnąć, gdzie fotografie zostały zrobione. Swędząca łopatką potwierdziła ponownie, że Ludwika być może trafiła na interesującą historię do swojej książki.

– Uważam, że nie możemy się wycofać, bo i tak jesteśmy już w to wplątani. Za chwilę nie będzie nikogo, kto pamięta, o co z tą antabą chodziło – oświadczył Gabriel.

– Co masz na myśli, że jesteśmy wplątani? Ten pielęgniarz też mi się wydał podejrzany! Widział go ktoś potem w pokoju Mariana albo na korytarzu podczas reanimacji?

– Pielęgniarz? Nie, nie widziałem, dlaczego?

– Ciebie to naprawdę nie niepokoi, że naraz drugi zakonnik, z którym rozmawiamy o antabie, dziwnym trafem ma wypadek albo umiera? Dla mnie to za dużo zbiegów okoliczności.

– Może trochę – przyznał Gabriel – ale to są według mnie niezależne od siebie dwa nieszczęśliwe wypadki. Łączy je tylko to, że mężczyźni byli z tego samego zgromadzenia. Chociaż oczywiście nie pomaga fakt, że Petrus nie zdradził Marianowi, co odkrył ostatnio, a miał nam pokazać, a Marian ze swojej strony też nikomu nie powiedział o własnych odkryciach przed chorobą.

Luli przemknęło przez głowę, że Gabriel wygląda na zmieszanego, ale może się jej wydawało. Odpędzała tę zabłąkaną myśl, ale ta wracała uporczywie po chwili jak naprzykrzająca się mucha.

– Wygląda na to, że adres w Stuttgarcie, który namierzyliśmy z Krisem, to rzeczywiście adres rodziny Dagoberta Troya. Możemy tam pojechać na początek, żeby zrobić pierwszą dokumentację.

– Jak to sobie wyobrażasz? – Ludwika rysowała już trzecią gwiazdkę na serwetce w żółte kurczaki. Zostało trochę tych serwetek po Wielkanocy, ale używali ich w dalszym ciągu przy domowych i proszonych obiadach, za dużo drzew jest ścinanych dla naszej przyjemności.

– Powinniśmy wyjechać do Stuttgartu co najmniej na tydzień i spokojnie rozejrzeć się na miejscu. – Gabriel pocierał czoło w zamyśleniu.

– Na serio chcecie się pchać w kłopoty? A co z Wickiem? Pomyślałeś, co z nim będzie przez ten co najmniej tydzień? Jak się bierze psa ze schroniska, to się go nie porzuca dla zabawy! – Lula wygłosiła to ostatnie zdanie, kładąc nacisk na „nie porzuca”.

– O jakim porzucaniu mówisz? Nasz syn się nieustannie doprasza, żeby mu dać Wicka na parę dni, ale ty uważasz, że spacer

w parku w Śródmieściu są ograniczaniem praw obywatelskich psa, Lula, no proszę cię. – Gabriel się zaśmiał.

Musiała mu niechętnie przyznać rację. Karol wiele razy przypominał, że to jest też jego pies, nazywał to opieką naprzemienną nad „pieckiem” i prosił, żeby mu go dać, niech jada sobie na jakiś wywczas albo gdzieś, ale Lula zwykle wynajdywała pretekst, że może innym razem. Karol dokuczał jej, że się nie chce nim dzielić, bo jest o niego zazdrosna, a Lula dogadywała Karolowi, że psa bierze tylko po to, żeby na niego podrywać w parku właścicielki psów. Po takiej opiece Wicek wracał rozpuszczony jak dziadowski biczą i ich piękną jasną kanapę traktował jak swoje legowisko. Parę dni trwało, zanim się go znowu przyuczyło do porządku. Wicek, ewidentnie owczarek niemiecki, został przygarnięty nie ze względu na ilość składanych w harmonijkę zakładek w książeczce rodowodowej, którą rozwijała im zachęcająco przed oczami pani w schronisku, ani z powodu uroku osobistego, ale pomimo tego, że był uosobieniem psiego Aspergera i arogancji w jednym. Siedział tyłem do nich w kącie klatki i nawet nie odwrócił głowy, kiedy Lula kwiliła coś w rodzaju „śliczny piesek” przy kracie, majtając kawałkami kiełbasy krakowskiej z kanapki.

– On nie ma wywalone. On po prostu nie chce się rozczarować. Nikt go nie weźmie, nigdy, jeśli my go nie weźmiemy – oświadczyła i pokazała palcem, że chcą właśnie tego. – Tak, ten – potwierdziła dwa razy, widząc pytające spojrzenie pani. Co powinno dać im do myślenia. I to był początek ich skomplikowanej relacji z Wickiem.

– Lula, jakie kłopoty, nikt na nas nie zwróci uwagi, bo jesteśmy w wieku, kiedy zaczynamy być przezroczyści dla innych, a poza tym

kto by podejrzewał o cokolwiek takie słodkie staruszki jak wy obie. – Gabriel nie ustępował.

– Tylko nie staruszki! Co najwyżej doświadczone starsze panie, starszaki! – Ada tupnęła nogą. Gdyby wzrok mógł zmieniać rodzaj lub gęstość płynu, to w żyłach Gabriela właśnie by się skraplał azot. – A poza tym dlaczego my? To wy będziecie udawać glazurników albo malarzy na klatce, co wszyscy przyjmą za oczywistość. Polacy na robotach. Chociaż, prawdę mówiąc, na hydraulików z Polski nie wyglądacie.

Gabriel i Kris przyznali, że też trochę boją się tego pomysłu, ale w sumie, jak o tym myślą, to właśnie teraz, kiedy są społecznie przezroczyści, łatwiej im robić to, na co zawsze mieli ochotę, czyli żyć, jak im się podoba, nie przejmując się innymi. Czy w wieku dwudziestu lat tak by się wahali, czując zew przygody? Nie! Więc tym bardziej teraz nie mogą odkładać na jutro tego, co się dzieje dzisiaj. Przecież nie chcą okradać mieszkania, chcą tam wejść „na legalu”, zrobić zdjęcia i wyjść.

– O, zobaczcie! Są takie genialne kamery w guzikach albo w okularach – zachwycił się Gabryś.

– James Bond z Leoncina przede wszystkim jest zainteresowany gadżetami i oprawą wydarzenia, a nie myśli o konsekwencjach. – Nie mogła sobie darować Ludwika, po czym pochyliła się nad laptopem. Na stronie zatytułowanej zachęcająco „I ty możesz zostać szpiegiem” zwykły czarny guzik z pięcioma dziurkami przekonywał, że wystarczy podłączyć go do zasilania, a wbudowana kamera przez trzy godziny będzie rejestrowała idealny obraz i dźwięk.

– No nie, świat nie będzie już taki sam. Już zawsze będę podejrzewać każdego faceta z takimi czarnymi guzikami na

marynarce, że mnie nagrywa – zajęczała w rozpaczy Ada. Nie do końca byli pewni, czy żartuje, czy mówi poważnie. Pamiętali zazdrosnego wariata, jej byłego męża, który podkładał dyktafony za pluszową zasłonę, żeby nakryć na gorącym uczynku Adę, i równocześnie sam miał mały romansik na boku. Ada długo dochodziła do siebie po koszmarnym rozwodzie i dopiero wiele lat po nim opowiedziała szczegółowiej o tym, co się działo za zamkniętymi drzwiami.

– Nie martw się, nikt cię nie będzie nagrywał, bo i po co? Żeby się dowiedzieć, czy przybyło ci tu i ówdzie? – oświadczył z poważną miną Kris, kręcąc czarnym guzikiem przy koszuli. – Tylko bez przemocy, proszę! – Ostatnie wydanie „Wysokich Obcasów” i tak wylądowało mu na głowie.

– Podam cię do Strasburga!

Gdy już się uspokoili, Kris oświadczył, że według jego wiedzy może uda im się zrobić nie tylko zdjęcie dowodowe czy film, ale może nawet skan antaby w formacie 3D, na wszelki wypadek, gdyby rodzina nadal odmawiała jej oddania.

– Dzięki temu pacjent Ady będzie w stanie zrobić odlew antaby nieomal w stu procentach identyczny z oryginałem – stwierdził Kris. – Przekażemy go bazylice jako nasz dar, tak jak sobie wymarzyliśmy. I jak w sumie obiecaliśmy Petrusowi. A jeśli się nie uda wejść do mieszkania Troyów, to chociaż zwiedzimy Stuttgart. Dawno nie mieliśmy wakacji.

– Szczególnie chyba Lula. Od lat nie jeździłaś na żadne wczasy, prawda, Lula? Powinnaś odpocząć – wtrąciła się z troską w głosie Ada. Sama już od dawna nie była na urlopie, bo bała się o niego poprosić swojego toksycznego szefa, który „nie tolerował lenistwa”,

jak wygłaszał surowym tonem. Jak zwykle najpierw martwiła się o innych.

– Poza tym ja się zgadzam z Gabrielem – kontynuował Kris. – Każde z nas jest ważne dla świata, dopóki coś od nas zależy i coś posiadamy. A tak byśmy pokazali temu światu, że na coś nadal mamy wpływ, chociażby na wymierzenie kary lub potępienie. Uważam, że nigdy nie jest za późno na sprawiedliwość, i moim zdaniem nic nam nie grozi.

To były najdłuższe zdania podrzędnie złożone, jakie usłyszeli od Krisa w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

– Wow, Kris, dziękuję, panie Miura. – Gabriel uklonił się przed nim niczym ekipa towarzysząca słynnemu osiemdziesięcioletniemu japońskiemu himalaistce po zdobyciu przez niego Mount Everestu i zwrócił się do Luli: – Nie chcę ci tutaj marudzić, Lula, ale całe życie kierowałaś się najpierw tym tak zwanym obowiązkiem wobec wszystkich innych, wobec twojej rodziny, matki, firmy, współpracowników i na końcu ewentualnie własną przyjemnością – w tym miejscu Gabrys dodał trochę kiloherców do przemówienia – ale tym razem powinnaś zrobić coś na odwrót, zagrać światu na nosie, skoro ma nas gdzieś, bo się starzejemy. To się zabawmy nim na własnych warunkach, a potem w ramach obywatelskiego obowiązku oddamy Bogu, co boskie. A cesarz niech czeka.

*

Ludwika znowu stała nad brzegiem rzeki. Tym razem wokół panowała absolutna cisza. Tak gęsta, że prawie można było ją kroić nożem. Wydawała się jeszcze bardziej przerażająca niż regularny

szum wody. Z daleka nadpływał konar drzewa, duży rozłożysty pień. Ludwika schyliła się i podniosła kamień. Rzuciła w pień. Kamień odbił się od niego z łoskotem i wpadł do wody z głuchym pluskiem. Pień z bliska okazał się ciałem Petrusa. Jego brązowy zakonny habit był przewiązany białym sznurem i rozłożony na wodzie jak żagiel. Woda przepływała przez tkaninę, tworząc na powierzchni małe fale, które pulsowały wraz z ruchem wody. Kaptur zasłaniał głowę, rzucając cień na jego twarz. Petrus miał zamknięte oczy, jakby spał albo umarł. Ludwika jednak prawie przez skórę czuła, że się stara nie poddawać i zapiera ze wszystkich sił. W oddali fale uderzały o skały na środku rzeki, tworząc wir, który wciągał wszystko, co znalazło się w jego zasięgu. Ciało Petrusa przez chwilę walczyło z rzeką, uderzając to z jednej, to z drugiej strony o wystający kamień. W końcu biały sznur zaklinował się o ostry brzeg skały i wir to natychmiast wykorzystał, wolno wsysając go pod wodę. Lula chciała krzyknąć, żeby go ostrzec, ale nie mogła wydobyć głosu.



Muzyki dzieci słucha się sercem, nie uszami.

Jan Bosko, tłum. obiegowe

CZERWIŃSK 1938

Edward, gdyby mógł cofnąć czas, nie zrobiłby matce ponownie tej przykrości. Chciał tylko zobaczyć wystawę cukierni pana Pawłowskiego. Wspaniała piramida różowych ciastek pyszniła się na środku, a obok niej, na osobnych paterach, leżały wielkie puszyste kule, polane cukrem. Chłopiec wszedł do środka, a zapach różnej wielkości pączków ułożonych na ladzie w podobnych piramidach łaskotał mu nos i brzuch. Ekspedient nie zauważył go, zajęty podawaniem paczki ze słodkościami eleganckiej klientce. Edward szybko złapał jeden pączek i wcisnął go pod koszulę. Podczas gdy

sprzedawca giął się w ukłonach przed ową damą, Edward wpakował sobie pod ubranie kolejne dwa ciastka. W tym momencie ciężka ręka przygniotła go do ściany.

– Ty wstrętny złodziejaszku! Policja! Zawołaj mi tu zaraz posterunkowego! – Jakiś gruby mężczyzna drugą ręką przywołał ekspedienta. Purpurowy na twarzy, z sumiastymi wąsami, ścisnął chłopca mocno za ramię, a drugą wykręcał mu ucho.

– Pan mnie puści! Ja nic nie zrobiłem! Morderca!

W sklepie zrobiło się zamieszanie, jedni krzyczeli: „Puść pan to dziecko, brutalu!”, inni: „Na posterunek z nim!”. Próbował się wyrwać. Pączki wypadły mu spod koszuli i potoczyły się po podłodze. Bezsporny dowód jego przestępstwa.

Matkę zobaczył dopiero w sądzie. Wcześniej wyblagała, żeby go przyjęto na naprawę charakteru do szkoły salezjanów. Stojący obok niej zakonnik potwierdził, że przyjmą Edwarda do internatu i podejmą się skierowania młodocianego na dobrą drogę. Znana reguła ojca Bosko dawała gwarancję sukcesu. Sędzia przychylił się do tej prośby z uwagi na wiek oskarżonego i Edward wyszedł z budynku ciągnięty za rękę przez nieznanego. Matka zdążyła tylko przytulić go na chwilę i wcisnąć mu płócienny worek z ubraniami.

– Bądź grzeczny, synku, ja po ciebie przyjadę. Czekać. A teraz idź z tym księdzem. Wszystko będzie dobrze.

Zapamiętał z tej drogi tylko statek, którym długo płynęli w dół rzeki, aż przybili do brzegu, skąd widać było zbudowany na wysokiej skarpie kościół i mury wyglądające z daleka jak zamek. Zakonnik zagadywał go, ale Edward wpatrywał się w brzeg rzeki, żeby zapamiętać jak najwięcej szczegółów.

Półprzytomny ze zmęczenia, po nieprzespanej nocy poprzedzającej sprawę w sądzie, padł na łóżko i od razu zasnął. Obudził się, kiedy ktoś przykrywał go kocem. Wydawało mu się, że ciepła ręka pogłaskała go delikatnie po głowie, ale może mu się to śniło, i wpadł znowu w czarną dziurę.

Edward długo nie mógł się przyzwyczać do nowego miejsca. Kiedy nikt nie widział, chował się na strychu klasztornej stodoły i płakał. Obiecał matce, że poczeka tutaj na nią, więc nie mógł uciec. Już pierwszego dnia w szkole stoczył kilka bójek z chłopakami z internatu i dochodzącymi z miasta. Kilku pochodziło z niemieckich rodzin kolonistów osiadłych tutaj od dawna. Mówili tak samo dobrze po polsku i po niemiecku, a nawet czasami lepiej, bo w przeciwieństwie do miejscowych ich język nie był zabarwiony gwarą. Trudno było w nich rozpoznać Niemców, ale trzymali się raczej oddzielnie. Jeden z nich, piegowaty Baldur, syn miejscowego notariusza, podstawił nogę przechodzącemu Edwardowi, dokładając grube słowo. Edward skoczył do gardła wyższemu od siebie chłopakowi z zajadłością małego teriera. Przewrócił go i okładał pięściami z taką furją, siedząc mu na brzuchu okrakiem, że wezwany na pomoc Rafael z trudem zdołał go odciągnąć, podnosząc za kołnierz, jak się podnosi za kark małego szczeniaka. Chłopcy stali później ze spuszczoneymi głowami przed zakonnikiem i nie chcieli powiedzieć, o co poszło. Za karę obaj musieli sprzątać przez tydzień stajnię klasztorną. Ojciec Baldura, Günter Koch, wystrojony w czarny mundur i obwieszony medalami, przyszedł do Rafaela następnego dnia z synem ubranym w mundurek Hitlerjugend, żeby się dowiedzieć o powód kary i okoliczności podbicia synowskiego

oka. Jak się okazało, w domu Baldur nie zdradził, dlaczego ma ubłoconą kurtkę i sponiewieraną twarz, być może ze wstydu, że mniejszy od niego go pobił.

Ksiądz dyrektor Rafael, którego chłopcy z nowicjatu zwali między sobą opatem, grzecznie i ze spokojem mu wyjaśnił, że bójki w szkole są zabronione, a gdy się zdarzą, bo chłopcy tak już mają, to musi być kara za złamanie regulaminu, co zostało przyjęte przez Güntera Kocha ze zrozumieniem. Dyscyplina przede wszystkim. I kara została wzmocniona w domu ojcowskim pasem.

Rafael stopniowo, nie narzucając się Edwardowi, zdobywał jego zaufanie. Zresztą wzajemnie. Opat miał słabość do tego przedwcześnie dojrzałego niepokornego dzieciaka, który na początku wystawiał kolce jak jeź i nie dawał do siebie podejść, ale zlecone zadania wykonywał z przejęciem i wysiłkiem dorosłego. Rafael uczył więc Edwarda pomagać w klasztorze w różnych pracach, żeby go zająć i zobaczyć, do czego ma smykałkę. Chłopak najpierw pomagał w piekarni, gdzie wreszcie mógł się najeść pączków do woli, tak że się od nich rozchorował. Potem opat przeniósł go do prac ogrodowych, w których pomagali, oczywiście poza normalnymi zajęciami szkolnymi, chłopcy z internatu, a czasami też i ci z miasta. Rafael chciał wierzyć, że gdy Edward osiągnie odpowiedni wiek, zacznie nowicjat i odpowiednią formację duchową.

Rafael rozumiał, że małemu łatwo nie było. Miał dopiero dziesięć lat. Ciężkie życie sprawiło, że nie zdążył być dzieckiem, od małego musiał pomagać matce. Rafael oswajał go powoli, opowiadając mu różne historie, których Edward słuchał jak baśni ze sobą jako głównym bohaterem.

Najbardziej zafascynowała go opowieść o tym, że antaby takie jak ta, zawieszona na żelaznych okuciach w bocznych drzwiach do bazyliki, miały w średniowieczu moc zapewniania azylu. To znaczy, że uciekający przestępca nie mógł być ukarany, jeśli ukrył się w kościele, na którego drzwiach wisiała podobna kołatka z głową lwa.

Wierzył, że i on, taki mały złodziejasek, jest w takim razie pod ochroną i że żadne złe moce go tutaj nie dosięgną, że nic mu się nie stanie, dopóki będzie w klasztorze lub w bazylice.

Codziennie polerował głowę lwa i przemawiał do niej jak do domowego psa, zanim zabrał się do innych zajęć.

Pewnego razu, kiedy Edward zmarkotniał po kolejnej bijatyce z chłopakami ze szkoły, tym razem w obronie kolegi, Rafael opowiedział mu, że według legend antaba była też znakiem, że w tym miejscu ukryto coś bardzo wyjątkowego – ważne dokumenty zakonu kanoników oraz ich przyjaciół templariuszy. A może nawet coś jeszcze. Skąd templariusze, ci rycerze z baśni, wzięli się w Czerwińsku, opat nie wiedział, ale miał pewność, że kiedyś odwiedzili klasztor. Templariusze, jak mu opowiadał, byli to szlachetni zakonnicy-rycerze, którzy bronili w Jerozolimie Świątyni i Grobu Jezusa. Opiekowali się też pielgrzymami wędrującymi do Ziemi Świętej. Byli bardzo bogaci, bo któregoś dnia odkryli wielkie skarby w stajniach Salomona, w których trzymali swoje wspaniałe wierzchowce i dlatego znienawidził ich francuski król Filip Piękny. Przygotował zasadzkę i pewnego dnia zaatakował ich znienacka i podstępnie. Edwardowi od tej pory śnili się rycerze w lśniących zbrojach, którzy przybywali na białych koniach, aby stanąć u jego boku przeciwko każdemu wrogowi.



*Sądzę, że tylko Bóg jest w stanie przeczytać
niemiecką gazetę.*

Mark Twain, *Aforyzmy i sarkazmy*, tłum. Marian Dobrosielski

CZERWIEC 2021, PODRÓŻ DO STUTTGARTU

– Jesteś pewny, że to tutaj? Dobrze sprawdziłeś? – zapytała Ludwika, rozglądając się niepewnie. Była zasapana po wspięciu się po schodach z metra, a wcześniej kluczeniu, przejściu kilku kilometrów między peronami dworca głównego w Stuttgarcie i szybkim marszu w kierunku starego miasta. Ponoć dworzec główny był w przebudowie już od kilkunastu lat i co kawałek zaskakiwał ich

zamkniętym przejściem, przez co znowu musieli wracać i szukać nowej drogi.

Gabriel oczywiście szedł po ulicach lekko, bez śladu zmęczenia. Nadal z rozpędu podskakiwał na chudych nogach („szczupłych i umięśnionych”, jak ją za każdym razem niezrażony poprawiał), znowu dając Luli do zrozumienia, że może i skończył jakiś czas temu sześćdziesiąt lat, ale też w przybliżeniu tyle samo uprawiał różne sporty. I że to się opłaca! Szczególnie w takich sytuacjach.

– Tak, tak, to na pewno tutaj. Stuttgart, Tübinger Strasse dwadzieścia jeden. Mieszkanie jest w tamtym budynku po drugiej stronie na drugim piętrze, to chyba te okna na rogu, te z firanką.

Budynek z wieżyczkami, szerokimi gzymsami i roślinnymi motywami wokół wielkich okien wyglądał na przedwojenny. Sznurkowa firanka w kolorze piaskowym łopotała, zawijając się wokół kamiennego narożnika; półprzymknięte skrzydła okien to uderzały o siebie, to znowu się otwierały.

– Ktoś jest chyba w domu. Takie ładne te stare okna, kamienne balkoniki i firanka jak u mojej babci kiedyś. Takie piękne miasto. Musimy wszystko pozwiedzać! – podsumowała radosna jak zwykle Ada.

– Nie ma z czego się cieszyć. Przyjechaliśmy tutaj najwyżej na tydzień. Mamy zbadać, nie wierzę sama, że to mówię, czy da się udowodnić, że w mieszkaniu rodziny Troya jest średniowieczna kołatka, którą ich prześwietny pradziadek naukowiec zarębał z bazyliki w Czerwińsku w czasie wojny. Na więcej nie mamy ani czasu, ani pieniędzy. I raczej nie przyjechaliśmy na zwiedzanie. A według Facebooka ta jego wnuczka czy córka miała być na konferencji od dzisiaj przez tydzień.

Ludwika nie mogła sobie darować tej oczywistej uwagi. Lubiła Adę, ale czasami lekko ją irytowała jej dziecinna radość ze wszystkiego i wszystkich. Ada – pomimo codziennego odkrywania wielu czarnych światów w głowach pacjentów w szpitalu i mimo własnych doświadczeń albo właśnie dlatego – widziała świat na zewnątrz w różowym kolorze i nikt ani nic nie mogło tego zmienić. Ludwika podchodziła do życia z należną mu powagą i ostrożnością, a i po wszystkich doświadczeniach widziała rzeczy takimi, jakie są. „Należy się uczyć na błędach i wyciągać wnioski z doświadczenia” – mawiała.

Ada natomiast zawsze widziała możliwość zrobienia lemoniady z każdej cytryny, którą los jej podrzucał.

Pollyanna się znalazła, pomyślała Ludwika, a przecież ona miała pilną robotę do oddania, kolejne rozdziały książki konkretnie, a termin już był blisko, nie wiedziała, jak to się stało, że dała się wkręcić Gabrysiowi w ten szalony pomysł. On zawsze najpierw rzucał pomysłem, a potem inni, czytaj: ona, musieli to organizować, sprzątać po porażkach.

– No ale przecież jesteśmy w słynnym mieście Friedricha Schillera i Bruce’a Willisa podobno, a poza tym tu jest tak pięknie...

– Ada promieniała radością, niezrażona cierpką uwagą Ludwiki.

– Bruce Willis urodził się w miejscowości Idar-Oberstein w Nadrenii-Palatynacie, a nie w Stuttgarcie, czyli Badenii-Wirtembergii – wtrącił się Kris, nieśmiało kręcąc obcasem brązowego zamszowego buta w jedynej kałuży, jaka została w promieniu dwudziestu kilometrów po ostatnim letnim deszczu.

Kris był znany z tego, że najczęściej milczał przed komputerem, kiedy opracowywał te swoje skomplikowane programy dla szpitala,

ale jak się odezwał, to w istotnej sprawie.

Wszyscy zamilkli, badawczo przyglądając się butom Krisa. Zastanawiając się, czy je zamoczy, czy nie.

– Jürgen Klopp się tutaj urodził – dorzuciła niespodziewanie Ada, oblewając się ceglastym rumieńcem i zerkając przy tym na Krisa, którego twarz zdradzała, że zaskoczyła go jej znajomość życiorysu charyzmatycznego niemieckiego trenera.

To im przypomniało, po co tu jednak są.

– Jesteś pewny, że to tutaj? Dobrze sprawdziłeś? Czy to tu jest ten mały klimatyczny pub naprzeciwko domu i mieszkania Troya, przez którego tutaj przyjechaliśmy? I skąd łatwo nam będzie obserwować mieszkańców domu? – zapytała ponownie Ludwika, wyrywając im z ręki i obracając, może odrobinę zbyt gwałtownie, komórkę z mapą Google, którą Kris i Gabryś ustawiali tak, żeby namierzyć północ.

Odwrócili się. Ujrzeni wysokie szklane drzwi, wyklejone czarnym papierem, z długą srebrną metalową rurą zamiast klamki. Przez szereg zaciemnionych okien, ukrytych w półokrągłych podcieniach, ozdabiających dolną część budynku, nie dało się zobaczyć, co jest wewnątrz. Ludwika złapała za uchwyt i pchnęła drzwi. Przez chwilę nic nie widzieli, bo w środku pomimo klimatyzacji było jeszcze cieplej niż na zewnątrz, a to z powodu gotującej się Gulaschsuppe, przez którą całkowicie zaparowały im okulary. Po chwili, kiedy udało się im przetrzeć szkła, zobaczyli niespodziewanie przestronne i długie pomieszczenie. Na ścianach, w rzędach jedna pod drugą, wisiały oszklone ramy z czerwono-białymi koszulkami z numerami lokalnej drużyny VfB Stuttgart. Wszędzie też były zdjęcia piłkarzy i karty z autografami. Na końcu, na tylnej ścianie na wprost wejścia,

zwisła długa żółta flaga, najwidoczniej z herbem klubu i z napisem „Die Schwarzen Wölfe Commando”. Wzdłuż prawej bocznej ściany wydzielono strefę dla kibiców, z długim stołem. Nad nią widniał sklepiony sufit nawiązujący kształtem do owalu stadionu, ozdobiony tysiącami zdjęć wiwatujących fanów i z reflektorami zamontowanymi pośrodku. Odtwarzał dramatyczną akcję rozgrywającą się na płycie stadionu. Kilkanaście dużych telewizorów z płaskim ekranem ustawiono tak, aby z każdego miejsca zapewnić dobrą widoczność i optymalne wrażenia wizualne i akustyczne podczas oglądania meczu na żywo. Siatka głośników zapewniała doskonały dźwięk, dając złudzenie bycia na stadionie podczas rozgrywanego właśnie meczu.

Ludwika pomyślała, że to miejsce jest idealną współczesną interpretacją tradycyjnego klubu piłkarskiego. Opowiadało jego historię i dawało schronienie fanom szukającym wspólnoty. I rzeczywiście tłum kilkudziesięciu rosyjskich mężczyzn, z podwiniętymi rękawami albo w podkoszulkach, odwróconych do nich tyłem, co chwila podnosił w triumfalnym geście szklanki z piwem, krzycząc i gapiąc się w ekran. Po stadionie biegali piłkarze w takich samych jak oni czerwono-białych T-shirtach.

Pośrodku sali, na podwyższeniu otoczonym drewnianą barierką, na które wchodziło się po trzech schodkach, stały okrągłe stoliki ze szklanymi blatami, służącymi jako gabloty na zdjęcia, i wygodne, czerwone skórzane kanapy. Ewidentnie była to strefa dla VIP-ów. Siedziało tam kilku rosyjskich osiłków z brodami à la kadyrowcy i grzywkami zaczesanymi na dwie strony z przedziałkiem, w opiętych podkoszulkach na umięśnionych klatkach. Jeden z nich, wysoki i przystojny blondyn, chyba musiał być najważniejszy, bo

zajmował całą kanapę. W okularach lenonkach, z włosami zaczesanymi na bok i z przystrzyżoną modnie brodą, nogi w krótkich spodniach rozsunął szeroko w pozycji samca alfa, a upierścienioną rękę niedbale przewiesił przez barierkę. Wszyscy mężczyźni mieli jakieś tatuaże na ramionach i na szyjach oraz czarne znaki na podgolonych głowach i umięśnionych łydkach.

Brązowo-szary sufit nad strefą pomalowano w pasy z białymi napisami rozchodzącymi się w różnych kierunkach. Trudno je było odczytać z dołu, mimo że Ludwika przekrzywiła głowę.

Nagle zapadła cisza, wszyscy odwrócili się w stronę drzwi i wlepili w nich wzrok.

– *Wir wollen ein Bier.* Chcemy napić się piwa – wydukała Ludwika z akcentem rodem z Cesarstwa Austro-Węgierskiego, nabytym ponad czterdzieści lat wcześniej od Frau Handke, nauczycielki niemieckiego w liceum w rodzinnym mieście w południowej Polsce, po czym pokazała, że na zewnątrz jest okropnie gorąco. Pot rzeczywiście spływał jej po plecach.

Jakiś młodzian, około trzydziestoletni, także w opiętym podkoszulku, dla odmiany czarnym, wyciągnął rękę w ich kierunku i z wykrzywioną miną coś mamrotał po szwabsku – dosłownie, bo przecież Stuttgart to Szwabia. Ludwice się zdawało, że było tam znane im słowo „raus”, ale też o dziwo „wynocha”.

Ada niezrażona jego groźną miną złapała go oburącz za rękę i uścisnęła radośnie.

– *Guten Tag, guten Tag, I am Ada and you?* – I stuknęła go palcem wskazującym zakończonym długim pomarańczowym paznokciem w okolice splotu słonecznego, a po chwili zastanowienia zrobiła to ponownie.

Młodzieniec, wzięty z zaskoczenia, odpowiedział grzecznie:

– Lucas. – I niespodziewanie dodał po polsku: – Łukasz, znaczy.

Ciekawe, jak on się poznał, że my z Polski, zdziwiła się Ludwika.

Po butach czy jak?

Swoją drogą, jeśli spojrzeć na nich, stłoczonych nieśmiało przy wejściu, to wyglądali każdy nie od pary: Ludwika w niebieskim garniturku z równo przyciętą blond fryzurą, prosto od stylisty, Ada z pomarańczowymi puklami opadającymi na plecy, w kolorowej sukni etno i obwieszona koralikami, a Kris jak to Kris, przypominał chudego pająka w wyciągniętym podkoszulku w kolorze zbliżonym do beżowego i włosami sterczącymi we wszystkich kierunkach. Gabriel w koszuli w czerwoną kratkę, z rudo-siwą brodą z zaplecionymi trzema warkoczykami – mimo pozornej ekstrawagancji – dzięki bicepsom wyrobionym w pocie czoła w siłowni i na ścianie najbardziej tu pasował.

Ada wręczyła Lucasowi, to jest Łukaszowi, rączkę swojej podręcznej walizki na kółkach i jakby nigdy nic radośnie wskazała wolny stolik pod oknem, po czym pociągnęła przyjaciół za sobą. Przeciskali się w kierunku okna, rozdając blade uśmiechy milczącym mężczyznom, jakby udało im się wejść do zatrzymanego filmu, z ogłupiałym Łukaszem ciągnącym za nimi walizkę Ady. Blondyn na podeście pstryknął palcami i cała sala drgnęła, kibice znowu zaczęli śledzić rozgrywkę i z ich gardeł wydarł się triumfalny ryk. Łukasz z dość nieprzytomnym spojrzeniem wrócił, łaskawie zwolniony przez Adę, do swojego piwa. Wszyscy obrócili się do ekranów. Grupa przyjaciół znów stała się niewidoczna.



(...) tragedia późnego wieku polega nie na tym, że się jest starym, ale na tym, że się jest wciąż młodym.

Władysław Kopaliński, *Mój przyjaciel Idzi*

Bycie starym ma jednak swoje zalety, doszła do wniosku Ludwika, moszcząc się bliżej okna. Gabriel miał rację, że ludzie, a przede wszystkim kobiety, starzejąc się, zaczynają przypominać coraz bledsze hologramy, coraz mniej widoczne. Ten proces zaczyna się już w okolicach czterdziestki, ale wyraźnie już go widać po pięćdziesiątce. Dopóki jeszcze coś znaczysz, masz pracę lub firmę, od której zależą inni, to cię dostrzegają i zauważają. Wypadasz

z obiegu biologicznej atrakcyjności lub pracy, to wypadasz też socjalnie.

Różnie się walczy z blednięciem hologramu, mężczyźni ruszają do siłowni i na ściany wspinaczkowe albo biorą sobie dwudziestoletnie kochanki na utrzymanie, żeby potwierdzić, że są nadal atrakcyjni. Ze społecznego punktu widzenia to pierwsze rozwiązanie wydaje się właściwsze. Niektóre kobiety odwiedzają chirurgów plastycznych, napinają skórę na twarzy, odchudzają się z trenerem osobistym i masują. Część z nich chętnie przyjmuje role ukochanych, niezbędnych babć, inne uczęszczają na odkładane wcześniej kursy i szkolenia, bo to na chwilę zatrzymuje proces socjalnego blednięcia. Dobre więzi rodzinne sprawiają, że nie znikają tak szybko. W dzieciach zostawiasz jakąś część siebie. Niektórzy wczepiają się w życie dzieci, starają się być niezbędni i żyją tylko ich życiem. Jeszcze inni zaczynają malować – stąd te wybuchy talentów na kursach trzeciego wieku. Inni piszą pamiętniki, a nawet chociaż jedną książkę opartą na własnym życiu. Wszystko po to, żeby nie zniknąć bez śladu, ale proces w sumie jest nie do zatrzymania.

Dlatego Lula zgodziła się na ten szalony pomysł Gabriela; raz – żeby wykorzystać to, że są społecznie nieomal przezroczyści i nikt ich nie będzie o nic podejrzewał, a dwa – żeby zaznaczyć, jak sugerował Kris, swoją obecność, pokazać, że nadal mają siłę sprawczą i o czymś decydują. I żeby się tak nie bać wszystkiego. Postanowiła, że już nic nie chce odkładać do jutra.

Ada trąciła ją łokciem.

– Lula, widziałaś, jacy oni są wysportowani i umięśnieni? Przystojni, prawda? – Zalotnie przerzucając wijące się włosy na

plecy, Ada przeniosła lekko rozmarzony wzrok z wytatuowanej, umięśnionej łydki Lucasa na dość wątle łydki Krisa i jego stopy w doszczętnie przemoczonych zamszowych bucikach.

– To są ultrasi, Ada! Oni nie są przystojni! – oburzył się Kris.

– Kris, a nie chciałbyś sobie zrobić takiego tatuażu na łydce? – rozmarzyła się Ada.

– Nie, nie chciałbym! Nigdy nie chciałem wyglądać jak kurdyban⁵! Jak możesz, Ada! Nie zachowuj się jak dzierlatka. – Kris wyraźnie był obrażony.

– A mnie się podobają tatuaże, są takie męskie. – Ada nie odpuszczała.

– Tylko infantylne panienki ekscytują się takimi tępyimi mięśniakami. – Kris skrzyżował ramiona z miną wyrażającą, co sądzi o otaczających ich mężczyznach i rozglądającej się z rozanieloną miną Adzie. – A nie poważne matki dzieciom. – Nie mógł sobie darować przypomnienia Adzie o jej dwojce, co prawda już dorosłych, dzieci, które dziesięć lat temu zostały z nią po rozwodzie.

– Dlaczego? Nieźle wyglądają, widać, że dużo trenują. – Gabriel nie zgodził się z Krisem i w dobrym nastroju ruszył w stronę baru. Ultrasi czy nie, szybki spacer w upale po dworcu i ulicach dał im się we znaki.

Lula była coraz bardziej przekonana, że jednak Gabriel miał idiotyczny pomysł. Czy on nie może chociaż raz czegoś porządnie sprawdzić od początku do końca? Ewidentnie nie jest to mały klimatyczny pub dla turystów, nikt normalny się tutaj nie pakuje bez zaproszenia albo wprowadzenia przez miejscowego zioma, jak mówi ich syn Karol. To lokalna piwiarnia kibiców drużyny Stuttgartu, a dokładniej mówiąc, chyba rzeczywiście ultrasów. Może nawet

hooligans, jak ją douczał o lokalnych ciekawostkach Karol przed wyjazdem. Nie zdziwiłaby się, sądząc po tym, że na niektórych koszulkach mieli napisy „Schwabensturm”, gdzieś mignął jej „Neckarbrigade”, a ten waśniak na środku sali miał wywalone na koszulce na plecach, gigantycznym gotykiem, „Die Schwarzen Wölfe Commando”. Na dodatek gapił się na nich cały czas taki jeden stary w dżinsowej kurtce bez rękawów, wytapetowanej różnymi naszywkami. Siedział w grupie podobnie odzianych łysawych blond staruchów (czyli mniej więcej w ich wieku) naprzeciwko przy stoliku pod ścianą, między dwiema zwisającymi flagami.

Gabriel oczywiście zagadywał barmana. Ten to miał talent do nawiązywania kontaktów i przyjaźni. Czasami bywało to nawet użyteczne, panie ze sklepu mięsnego kręciły dyskretnie głową, kiedy wybierał mięso, i wskazywały brodą ten kawałek dalej. Albo w aptece za rogiem można było „pożyczyć” lek na nadciśnienie. Kiedy Lula nie zdążyła zapisać się do lekarza, Gabriel szedł, pożyczał i przynosił za kilka dni, a nawet tygodni receptę. Teraz też słychać było, jak barman, kolejny blondyn, zaśmiewał się z czegoś, co Gabriel opowiadał, odwijając rękaw koszulki i demonstrując bicepsy. „Czterdzieści pięć centymetrów w biku”, czy jakoś tak, doleciało do nich.

– Podobno to jest świetne piwo z lokalnego browaru. – Gabriel postawił przed nimi tacę z czterema szklankami piwa Stuttgarter Hofbräu tak zamasyście, że jasnozłoty płyn chlusnął Ludwice na rękaw.

– Uważaj, no co ty! – wściekła się Ludwika, ale Gabriel wcale się nie przejął.

– Lula, zdejmij ten żakiecik, naprawdę, upał jest i w czymś bardziej na luzie będzie ci wygodniej.

To był dalszy ciąg wczorajszej rozmowy, kiedy się okazało, że Ludwika pakuje do walizki na tydzień siedem kompletów spodni z pasującymi do nich żakiecikami. Po jednym na każdy dzień. Miał rację, ale choć wiele razy o tym rozmawiali, to nadal – mimo że trudno jej było się do tego przyznać – w przeciwieństwie do większości ludzi Ludwika w dżinsach czuła się przebrana, a znajome garnitury i komplety były jej naturalną zbroją.

– Zajmij się lepiej obserwacją mieszkania Troya. Po to tutaj jesteśmy – odburknęła mu, zanurzając usta w słodowym napoju, zaskakująco delikatnym i aromatycznym, mocno pachnącym chmielem. Nie była wielbicielką piwa, ale w takim miejscu i dniu jak ten pasowało idealnie. Nie było na szczęście goryczkowe, czego nie znosiła.

Okna, przyciemnione w taki sposób, że z zewnątrz nie było widać, kto jest w środku, świetnie nadawały się do obserwowania ulicy, no i oczywiście domu naprzeciwko. Gdyby tylko tak nie odstawali od reszty gości lokalu.

– Uprzedziłem barmana, ma na imię Heinrich, że przyszedliśmy prosto z dworca głównego z walizkami, bo musimy poczekać do osiemnastej, kiedy możemy się zameldować w tym apartamencie pod numerem trzydzieści osiem, więc raczej posiedzimy chwilę jeszcze tutaj, zjemy coś, et cetera. A jutro rano wpadniemy na śniadanko i kawę, zanim ruszymy zwiedzać miasto. – Gabriel był zadowolony ze swojej przebiegłości.

Firanka w oknie w mieszkaniu naprzeciwko łopotała cały czas. Może jednak autentycznie gospodarze wyjechali, zgodnie z tym, co

Ditta Troy oznajmiła znajomym na facebookowej grupie międzynarodowych socjologów społecznych, pomyślała Ludwika, która zapisała się tam z fejkowego konta jako Katrina Spolsky, badaczka współczesnych przemian wśród młodzieży i doktorantka uniwersytetu w Lublinie. Umawiali się wszyscy w Londynie w najbliższy piątek na niezobowiązujące wino, w tym co zawsze Gordon's Wine Bar przy Villiers Street, więc Ditta powinna tam teraz być, razem z mężem Baldurem, z którym się wybierała na cały tydzień. A dzisiaj jest poniedziałek.

Nie wyglądało to jednak dobrze, mieszkanie znajdowało się na wysokim drugim piętrze, drzwi do kamienicy zatrzaśkiwały się automatycznie i szczerze mówiąc, nie bardzo mieli pomysł, jak się dostać na klatkę schodową i pod jakim pretekstem.

– Może będę udawać kuriera? – Gabriel studiował dział ogłoszeń o pracy w „Stuttgarter Zeitung” i tłumaczył słowo po słowie za pomocą internetowego translatora.

– Eee, nie, chyba musiałbyś tu mieć jakąś kartę pobytu albo coś w tym stylu, żeby cię przyjęli.

Ludwika zastanawiała się, jakim cudem dała sobie wmówić, że w ogóle to będzie możliwe, ale skoro już tu byli, to musieli do końca próbować znaleźć jakieś rozwiązanie. Mieli na to równy tydzień.



*Staraj się nie wyglądać podejrzanie – to
przyciąga ogień.*

prawo Murphy'ego, tłum. obiegowe

Z ZAPISKÓW ADY

Wtorek

Stuttgart to zaskakująco zielone miasto. Domy zbudowano na wzgórzach na miejscu starych winnic. Musieliśmy się trochę ruszyć, nie możemy siedzieć cały czas w barze, bo to będzie podejrzane. Dzisiaj pochodziliśmy po Schlossplatz, czyli placu pałacowym, na którego środku stoi trzydziestometrowa kolumna z figurą bogini Concordii. Nigdy o takiej nie słyszałam wcześniej. Podobno gwarantuje obfitość,

zgode i jedność mieszkańców. To się tu czuje. Przydałaby się u nas. Zaraz obok jest Schillerplatz, na którym stoi pomnik mojego ukochanego Schillera, słusznie nazywanego niemieckim Szekspirem. Stąd jest wszędzie łatwo dojść spacerkiem do wspaniałych zabytków tego miasta. Mogłabym tu zamieszkać, kiedy dzieci się w końcu wyprowadzą. Podoba mi się wszystko, nawet te setki schodów, które są wszędzie, chociaż Lula cały czas pomstuje, że ona się na przymusowy fitness po niemiecku nie umawiała. Lula i chłopaki bez przerwy główkują, jak się dostać do mieszkania Troyów, ja staram się zaprzyjaźnić z lokalsami, co mi się oczywiście udaje bez problemu przy moim wrodzonym wdzięku. Kris jest ewidentnie zły, kiedy któryś z tych napakowanych mężczyzn do mnie podchodzi. Ciekawe, dlaczego tak reaguje, skoro już dawno dał mi do zrozumienia, że nie zamierza porzucić swojego życia starego kawalera. Mówi, że jako przyjaciel nie może spokojnie się przyglądać, jak się znowu pcham w kolejną życiową porażkę. Też coś! Strasznie mnie wkurza takie protekcyjne traktowanie przez faceta, któremu do tej pory nie udało się ułożyć sobie prywatnego życia. Ja tylko jestem miła dla ludzi wokół i oni to odwzajemniają. Tylko ci w dziwacznych kurtkach z milionem naszywek nie reagują na moje uśmiechy.

Środa

Poszliśmy dzisiaj zwiedzać muzeum Mercedesa. Widziałam najstarszy samochód na świecie i ten, który pierwszy tak nazwano po córce wynalazcy. Lula, Gabriel i Kris, przechodząc obok rozkopanej ulicy, wpadli na pomysł, że chłopaki poszukają jakiejś roboty na czarno w budowlance, żeby dostać ubranka z napisem firmy, będą udawać, że są z jakiejś ekipy remontowej, i będą mogli łatwiej powęszyć

w kamienicy bez budzenia podejrzeń. Może firma, w której pracuje na budowie Łukasz? Oswajam go dalej, pomimo ostentacyjnych fochów Krisa.

Nieprzyjaźni starsi w kurtkach z nalepkami są jedynymi, którzy nie odpowiadają nam na nasze „Guten Tag”, jak przychodzimy do baru na poranną kawę i wieczorem na późny obiad. Łukasz mi powiedział, że to jest grupa tak zwanych Kutten, takich kibiców z lat osiemdziesiątych, których nikt nie zaczepia, pamiętając o ich osiągnięciach, typu międzynarodowe wyjazdy klimatyczne, umacnianie zgody między narodami oraz słynne walki na kosy, jeśli dobrze zrozumiałam. Należy im się szacunek za wieloletnie wysiłki, aby zbliżyć ciągle kłócące się narody do siebie. Bardzo się to im chwali, dlatego nie rozumiem, dlaczego patrzą na nas tak ponuro. Łukasz, który tu mieszka od dziesięciu lat, zniechęca mnie jednak do podchodzenia do nich, bo mogą mnie „oklepać”, czy jakoś tak, mimo że honor nie pozwala „robić akcji wobec kobiety”, ale „z helmutami nic nie wiadomo”. No to nie podchodzę, ale uśmiecham się nadal do nich, bo wierzę w moc uśmiechu.

Czwartek rano

Dzisiaj byliśmy w barze rano krótko, tylko na kawie, żeby chwilę popatrzeć na mieszkanie. Nadal ta franka się wije wokół gzymsu. To dobry znak, jak mówi Kris, bo znaczy, że nie ma żadnego alarmu, a on się na tym zna. Łukasz przybiega do mnie, jak tylko mnie widzi, po codzienną porcję pochwał, chyba się od tego uzależnił. Najpierw łasi się jak mały szczeniaczek, jak mu mówię, że jest mądrym, przystojnym młodym człowiekiem i że pięknie mu w tej podkoszulce, a potem chmurnieje i powtarza, że szkoda, że matka uważa, że jest paskudnym

leniem, mimo że co miesiąc posyła jej ciężko zarobione euro. No dobra, mogę być jego zastępczą matką, choć przyznam, że robią na mnie wrażenie jego mocarne ramiona wypracowane na budowach, chociaż w życiu się do tego nie przyznam Krisowi, bo znowu mnie wyśmiej i będzie obrażony. Przyznam, że nie rozumiem go czasami. Bardzo mi pomógł, kiedy się tak dramatycznie rozwodziłam, wszędzie ze mną chodził i pomagał załatwiać sprawy urzędowe, bo miałam w głowie mętlik. Myślałam, że czuje do mnie coś więcej, ale stanowczo mnie odsunął, kiedy raz przytuliłam się do niego. Przez chwilę mnie unikał. Od tej pory obiecałam sobie, że będę się trzymać wyznaczonych granic.

Gabriel z kolei już tak się zaprzyjaźnił z barmanem Heinrichem, że ten mu wyznał, że mieszka naprzeciwko baru w mieszkaniu, taramtam! tego ważniaka Linusa Troya, syneczka Ditty Troy i Baldura Kocha. Linus ma siostrę o okropnym imieniu Walkiria, jeszcze jej nie widzieliśmy. Podobno często tu wpada i pilnuje interesów tatusia. Pupilka ojca, ponoć strasznie to wkurza Linusa. Linus ma mieszkanie obok rodziców, a właściwie starą służbówkę przedzieloną drzwiami, co prawda zamkniętymi na stałe i zastawionymi kredensem, ale Linus krępować, że matka jest za ścianą, jak on „obraca panienki” (sic!). Heinrich, który przyjechał na studia do Stuttgartu i szukał mieszkania, spadł mu z nieba. Tym bardziej że Linus, który jest jego szefem, i tak potrzebował, zgodnie z życzeniem ojca, ochrony dla matki, więc Heinrich pełni dyskretnie obie funkcje – lokatora zza ściany i ochroniarza. Lula twierdzi, że jakby połączyć kropki: firmę Łukasza i mieszkanie Heinricha, to może coś by się dało z tym zrobić. Mamy o tym pogadać wieczorem w barze przy obiedzie, teraz lecimy na wieżę telewizyjną, podobno pierwszą w Europie tego typu, potem wszyscy ich naśladowali. Och, ty mój Stuttgartarciu! Coraz bardziej mi się podobasz.



*Staraj się wyglądać niepozornie – może
przeciwnik ma mało amunicji?*

prawo Murphy'ego, tłum. obiegowe

WALKIRIA

Tuż po śniadaniu, kiedy na specjalną prośbę Luli wybierali się, żeby zobaczyć wieżę telewizyjną, poznali wreszcie siostrę Linusa, Walkirię, atrakcyjną blondynkę z włosami upiętymi w ciężki węzeł na karku. Co prawda przelotnie, bo ledwie skinęła im głową, przechodząc szybko do najbardziej ekskluzywnej strefy w barze, strefy Super VIP, do której nie było wolno im wchodzić. Na tyle jednak długo, że Ada zdążyła zauważyć czerwone podeszwy szpilek (banał, szpilki Christiana Louboutina), Ludwika szczupłą figurę

(roztyje się lada moment jak jej matka Ditta, pooglądajcie sobie jej zdjęcia na Fejsie), Gabriel umięśnione pęciny (musi uprawiać sporty, chyba się wspina, widzieliście, jaki ma wyrobiony ten czterogłowy), Kris jak to Kris, zauważył, że ma dwie nogi i dwie ręce, chyba, bo nie był w sumie pewien, czy zarejestrował, że przechodziła.

Wracając z łazienki, przez niedomknięte drzwi pomieszczenia dla największych VIP-ów Ludwika spostrzegła na ścianie wielki portret przysadzistego, prawie bez karku, butnego mężczyzny w podeszłym wieku, ubranego w czarny mundur. Na dłoniach miał białe rękawiczki i miał wystający brzuch, przepasany czerwoną szarfą. Najmniej ze cztery metry musieli zużyć tej szarfy, żeby go tak opasać jak prezent pod choinkę, przemknęło Ludwice przez głowę. Przed portretem stała grupa mężczyzn, w większości również ubranych na czarno. Wydawało jej się, że jednego gdzieś już widziała. I nie był to żaden z lokalnych kiboli, których w większości znała już z widzenia po tych paru dniach. Na półce pod obrazem paliło się kilka grubych świeczek i stał bukiet polnych kwiatów. Nie mogła oderwać wzroku od zmrużonych, gniewnych oczu mężczyzny na portrecie, który ewidentnie też się na nią gapił. Jak przesunęła się w lewo, on wodził wzrokiem za nią, jak w prawo, on za nią. Parę razy wykonała te ruchy, przekręcając głowę. Ewidentnie działał tu efekt Mony Lisy, choć ten grubas mało miał z nią wspólnego. Podobno, jeśli wydaje ci się, że obraz na ciebie patrzy, to według badaczy oznacza, że masz silną potrzebę poczucia, że inni patrzą na ciebie, poświęcają ci uwagę, i że chcesz być dla nich kimś istotnym. Ludwika na pewno nie chciałaby być istotna dla tego gościa z obrazu, nawet przez chwilę. Nagle zauważyła, że Walkiria stoi w progu i obserwuje

ją od kilku minut z szyderczą miną. Zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

– Tam jest uroczystość ku czci zmarłego z tego portretu? – zapytała Heinricha po powrocie do sali. Ten obejrzał się wokół, choć w barze rano było dość pusto i cicho, i powiedział, że to spotkanie ludzi z partii Baldura, a na portrecie jest on właśnie. To ojciec Linusa i Walkirii i oczywiście ciągle żyje i ma się dobrze. – Może nawet za dobrze – dodał z przekąsem.

Ludwice udało się wyciągnąć z niego, że Baldur jest bajecznie bogaty, że zbudował sieć barów futbolowych, między innymi ten tutaj, największy, którego jest właścicielem. Linus tylko u niego pracuje. Ojciec Linusa i Walkirii to nie tylko bogaty biznesmen, ale też wydawca gazet i książek. To barwna postać, gwiazda prawicowej sceny w Niemczech.

– Do niedawna był szefem założonego przez siebie Germanische Einheitsbund, Germańskiego Związku Jedności, a teraz już działa w nim tylko z tylnego rzędu. – Heinrich zniżył głos, sprawdzając pod światło, czy szklanki do piwa są idealnie czyste. – A urodził się w Polsce. Słyszałaś o tym?

Ludwika pokręciła głową.

– To poczytaj sobie gazety i nie zabieraj mi czasu – uciał szorstko. – Muszę posprzątać bar, dzisiaj mamy małą uroczystość po południu.

Ludwika się odwróciła. Kilka kroków dalej stał Hans Pelka, ten najbardziej nieprzyjazny z grona kuttenów, i nie spuszczał z niej wzroku. To zaraźliwe, pomyślała, co oni mają tutaj za obsesję, żeby się tak gapić na człowieka!



*Starość ma jedną zaletę - nie musisz się
bać, że umrzesz młodo.*

Stephen King, *Doktor Sen*,
tłum. Tomasz Wilusz

LULA ZOSTAJE KRÓLOWĄ ULTRASÓW

Czwartek, wieczór

Już od rana coś wisiało w powietrzu. Heinrich powiedział rano Gabrysiowi, żeby się nie przejmowali, ale ta dotychczasowa ciepła atmosfera wokół nich jakby ciutkę się ochłodziła. Ledwie weszli do baru i usiedli nad Schwäbische Maultaschen, czyli lokalnymi pierożkami, a Gabriel nawet nie zdążył zamówić drugiej kolejki piwa,

gdy wystartował do nich ten stary kibol, kutten Hans Pelka, i śliniąc się i nachylając nad ich stolikiem, zaczął wygrażać im pięściami.

A że leciał miejscowym szwabskim dialektem, ledwie rozumiała, co tam wykrzykiwał, że po cholere tu szpiegują, że mają wypierd... przekłeci Polaczkowie... i że jak się nie wyniosą, to będą „płakać w karetkce”. To brzmiało groźnie, tym bardziej że inni w barze udawali, że tego nie słyszą. Ludwika rozejrzała się wokół. Żadnej przyjaznej twarzy. Nawet Heinrich przecierał po raz siódmy szklanki odwrócony do nich tyłem, a Łukasz udawał, że nie widzi błagalnego spojrzenia Ady. Ludwika wstała, pamiętając, że zgodnie z naukami na kursach komunikacji społecznej w sytuacji konfliktu musisz natychmiast się podnieść na tę samą wysokość co twój antagonist. Wzięła się pod boki i najgłośniej jak mogła, wrzasnęła:

– To tak się przyjmuje gości ultrasów!? My tu zbieraliśmy pół życia jako emeryci kasę, żeby być w ten weekend na meczu VfB Stuttgart z Bayern Monachium, w nadziei że nasza ukochana drużyna powróci wreszcie na należne jej miejsce w Bundeslidze i powtórzy zwycięstwo z sezonu dwa tysiące sześć na dwa tysiące siedem! Bo myśmy tu byli i cieszyli się wtedy z całym miastem z mistrzostwa. Chcemy znowu poczuć się tak samo. Niektórzy z was raczej byli wtedy w piaskownicy, to nawet nie pamiętają. Ale czy ten trener Matarazzo udźwignie temat, to ja nie wiem. Zgadzą się z waszymi akcjami zapalania zniczy przed bramą klubu, bo ten klub jest prawie martwy przez działanie władz i do tego ta krzywa akcja zwalniania szkoleniowca w trakcie sezonu! A ta cała komercjalizacja to jest jakiś szemrany przypał! I w ogóle co to jest za patologia, żeby starych koalicjantów wywalać z gościny! Trzeba będzie zadzwonić na

niektóre telefony, widzę – zakończyła wciąż podniesionym głosem i usiadła z impetem, wypijając haustem całą szklankę piwa.

Kris i Ada uznali od pierwszych słów jej przemówienia, że musiała oszaleć, kiedy tak plotła trzy po trzy. Gabriel wiedział, że ich syn Karol, weekendowy kibic entuzjasta, który nawet zakupił sobie modną w tych kręgach koszulkę marki Pitbull West Coast, oświeca matkę czasami w sprawach futbolu, ale żeby takie coś? Zaraz ich wyrzucą na ulicę, jeśli tylko na tym się skończy.

W barze po przemowie Luli można było policzyć, ile razy na sekundę muchy ruszają skrzydłami, Łukasz tylko półgłosem tłumaczył jeszcze na boku to, co pół po polsku, pół po cesarsko-austriacku wykrzykiwała przed chwilą Ludwika.

Nagle wybuchł wrzask, kilkadziesiąt rąk sięgnęło po krzesło, na którym siedziała Lula, i podniosło ją razem z nim. Podawali ją sobie górą przez cały bar. Miała nad sobą brązowo-szary sufit i wreszcie mogła odczytać z bliska jeden z napisów: „Stop przemocy w sporcie”. Zgadzała się z tym całkowicie.

– To koniec – wyszeptała.

Całe życie przemknęło Ludwice przed oczami. Zacisnęła powieki, kiedy jakieś ręce ściągnęły ją z krzesła i posadziły na czymś miękkim.

Kiedy otworzyła oczy, siedziała na największej czerwonej kanapie w strefie VIP obok Linusa, który całą swoją postawą wraz ze wszystkimi wokół okazywał jej największy szacunek.

I tak niespodziewanie dla siebie Ludwika w wieku lat sześćdziesięciu została królową niemieckich ultrasów.

Ten wieczór zdecydowanie różnił się od innych. Ludwika siedziała na czerwonej kanapie do samego końca, mimo że Ada,

Gabriel i Kris co chwila do niej machali. Miejsce w strefie VIP nie jest dla każdego. O pierwszej w nocy Linus łkał na kolanach Luli, że ojciec go nie rozumie i nie chce, że woli jego siostrę Walkirię, że on w sumie chciałby studiować botanikę albo historię sztuki jak jego pradziadek Dagobert, albo może produkcję filmową. Robiłby wtedy filmy z akcji ekologicznych swojej narzeczonej Frederiki, która przykuwa się to tu, to tam, w zależności od tego, jaki pomnik przyrody wskaże ta ich Fundacja Lasy Ziemi.

– Zobacz, jaka śliczna, pół Hiszpanka, pół Marokanka, a on jej nie lubi. – Linus pociągał nosem akurat przy kieszeni niebieskiego zakieciku, więc miała nadzieję, że w razie czego to, co kapie z jego nosa, wpadnie do tejże kieszeni, a nie rozmaże się na brzegu. Tego by nie zniosła nawet po siedmiu aperolach.

Linus łkał dalej, że właściwie to rozumie. Stary mógł się trochę wkurzyć, po tym jak się przykuła do dębu w prastarym Czarnym Lesie. Pech, że akurat w części należącej do rodziny (w tym krytycznym momencie słuchający opowieści Łukasz wsparł Linusa szorstkim, męskim klepinięciem w plecy). Do tej pory dyskretnie i bez rozgłosu rodzina eksploatowała swój kawałek Czarnego Lasu, wycinając i posyłając najszersze bale do budowy tak modnych ostatnio Ekochatek, najnowszego biznesu Kochów.

Tymczasem Frederika ściągnęła na nich stado pismaków, a akurat na rozgłosie im nie zależało. Posłany przez Baldura z ekipą kiboli, żeby zrobili z lewackim towarzystwem porządek, Linus z przerażeniem spostrzegł swoją dziewczynę przykutą z kolegą z Fundacji wspólnym łańcuchem, opasującym wielki dąb na środku polany. Gdyby nie te kajdany łączące jego kobietę z obcym gamoniem, to Linus miałby poważny problem, jak się zachować,

i straciłby twarz wobec kolegów. Ale tak się wkurzył na tego na końcu żelaznych okowów, że odpiłował najpierw jego razem z dębem, a potem, przy aplauzie kiboli, na łańcuchu zaciągnął Frederikę do samochodu, mimo że wierzgała i wrzeszczała, obrzucając go obelgami typu nazista et cetera... Ojciec, któremu zdano z tego relację, był pod wrażeniem, nie wiedział tylko, czy z powodu tego dębu, czy łańcucha. Poklepał go niemalże z uznaniem, tak że Linus o mało co nie pofrunął. Przez parę dni w barze zaczął się nawet komunikować niższym tonem, takim pomiędzy Marlonem Brando a Amandą Lear. Próbował ten sam ton zastosować wobec Frederiki, ale najpierw zapytała, czy znowu dokładał sobie lodu do drinków i się zaziębił, a potem wywaliła go na zbity pysk ze swojego mieszkanca pod miastem. Wykombinował, że ma jeszcze jakieś szanse, bo do sterty jego rzeczy wywalonych na podjazd dorzuciła płyn do płukania gardła. Przez jakieś trzy miesiące musiał się potem płaszczyć i prosić o wybaczenie. Kosztowało go to zresztą cztery ary lasu, plus minus trzy euro za jedną sadzonkę. Ojcu znowu podpadł. Czy to są zbyt wygórowane oczekiwania ze strony dziecka, żeby ojcu zależało na jego szczęściu?

Tutaj Linus totalnie się załamał i siedząc na podłodze u stóp Luli, zupełnie otwarcie wycierał nos w wytatuowane ramię z napisem – Ludwika przekrzywiła głowę, żeby go odczytać – *Avanti Reichsbürger!*

Ludwika dała znak do wymarszu sporo po drugiej w nocy, kiedy Linus zrzucił już na jej ramiona, okryte kurtką Hansa z nalepkami, cały ciężar swego życia w nadmiernie dominującej i wtrącającej się rodzinie. Nie było mowy o nieprzyjęciu daru, starszyzna ultrasowska uznała, że jedynym sposobem na zmycie hańby z ekipy kuttenów za

obrażenie tak znamienitego gościa i na dodatek kobiety jest oddanie Ludwice kurtki Hansa Pelki, noszącej ślady trzydziestoletniej walki na polu chwały międzynarodowego środowiska kibolskiego. Trudno się było przyzwyczaić do smrodu papierochów, którymi była przesiąknięta, a poza tym, umówmy się, Hans zapewne nie prał jej od czasu, kiedy naszył pierwszy proporczyk klubu. Ludwika zamierzała to zrobić natychmiast po powrocie do domu.

Zostali również obdarowani koszulkami drużyny i wszystkich band kibicowskich, bo na pytanie, którą wybiera, Ludwika odpowiedziała sprytnie, że poprosi o reprezentację każdej, bo wszystkie darzy takim samym szacunkiem. Zostało to przyjęte z wielkim uznaniem jako grzeczność najwyższej próby. Ada oświadczyła ze znanstwem, macając każdą z nich, że bawełna, z której je uszyto, jest egipska, czyli dobrego gatunku, i że świetnie się będzie w nich spało. Na samo wyobrażenie delikatnej Ady w koszulce z gigantycznym napisem w gotyku *Schwabensturm* Ludwika zwinęła się ze śmiechu.

Trzeba było iść spać. Ekipy odprowadziły ich z honorami na Tübinger Strasse 38 i zapowiedziały, że następnego dnia będą ich honorowymi gośćmi na stadionie ukochanej drużyny, noszącym nazwę od sponsora, Mercedes-Benz Arena.

Następnego dnia przeogromny kac z powodu ilości wypitego lokalnego piwa oraz wina nie pozwolił Ludwice podnieść głowy mniej więcej do południa.

– Mogłabyś zostać żywą reklamą bojlerów Viessmanna – przygadał jej Gabriel, stawiając butelkę wody na stoliczku obok łóżka.

– Dlaczego? – wyjęczała Ludwika.

– Z powodu pojemności, Lula. Nie wiem, jak ci się udało wlać w siebie tyle piw.

Gabriel oszczędził jej dalszych komentarzy. Polecił do baru po informacje, o której mają być gotowi, i przytargał zrobione przez Heinricha wielkie kanapki oraz alka-seltzer. Wyciąg z kory wierzbowej zrobił wielką karierę od czasów starożytnego Egiptu i sprawdza się od tylu lat nieprzerwanie, przynosząc kokosy firmie Bayer. Gdzieś czytała, że w produkcję kwasu acetylosalicylowego wplątał się Thomas Edison. Podczas pierwszej wojny światowej musiał rozwiązać problemy z dostawami fenolu, który był używany nie tylko do produkcji aspiryny, barwników, substancji wybuchowych, ale też popularnych płyt gramofonowych. Niemcy zablokowali jego import do Ameryki, co miało poważne skutki dla amerykańskiego przemysłu. Thomas Edison opracował własną metodę wytwarzania fenolu z węgla i otworzył największą fabrykę fenolu na świecie. Zamiast wspierać amerykańską armię, odsprzedawał za korzystne stawki nadwyżki firmie Bayer, czyli zaopatrywał wroga w surowce pomimo zakazów wynikających z wojny. Tak to się plecie, wystarczy tylko pogrzebać odrobinę w historii zwyczajnych rzeczy.



*To, czego szukasz, znajdziesz w ostatnim
z możliwych miejsc.*

prawo Murphy'ego, tłum. obiegowe

KAŻDEGO CZASEM TRZEPIE

Wyruszyli około szesnastej, Ludwika w samochodzie z Linusem gwizdzącym jak zwykle jakiś przebój, rzecz jasna, w luksusowej limuzynie, mercedesie GLA, a reszta razem z Heinrichem w jego mercedesie SL 500 z 1998 roku. Musieli jeszcze pomachać ze starszyzną z mostu do kibiców maszerujących dołem w kierunku stadionu i już zostali wprowadzeni z honorami do sektora ultrasów.

Zaskoczyła ich piknikowa atmosfera przed stadionem. Pamiętali z Polski, że kibice drużyn przeciwnych musieli być oddzielani

kordonem policji, żeby się nie pozabijali, a tutaj zero spiny. Pod samym stadionem trwał generalnie jeden wielki Piknik Country Mrągowo połączony z Love Parade. Wymieszani kibice obu drużyn pili wspólnie browary na parkingu i zajadali grillowane kiełbasy. Żadnych śpiewów ani innych – oprócz barw klubowych – oznak tego, że za chwilę zacznie się zacięty mecz. Zauważyli wiele par mieszanych, czyli chłopaków w koszulkach Bayernu idących z dziewczynami w koszulkach VfB albo odwrotnie. Ada się trochę podśmiewała na ucho do Luli z nazwy sektora Ultras/Cannstatter Kurve, ale Ludwika zgromiła ją wzrokiem.

Zostali usadzeni na środku sektora w linii prostej pod dwoma napisami „Morgen ist heute!”¹ oraz „Du bist unser Stolz, du bist mehr als ein Verein!”² obok Linusa i Heinricha. To pierwsze hasło przemawiało do niej, mogła się z nim utożsamiać, nawet gdyby ktoś jej zrobił zdjęcie i zamieścił na Fejsie. Gorzej z tym drugim, ale chwilowo nie miała do tego głowy. Wyjątkowo do rzędu obok gości został dopuszczony Łukasz, niebędący tak wysoko w hierarchii, żeby im tłumaczył co trzeba z planowanego obrzędu oprawy. Z boku siedzieli rzędowi dbający o porządek i bezpieczeństwo, ale też o równe podnoszenie kolorowych kartonów. Na dole, zwrócony tyłem do płyty stadionu, stał na bandzie tak zwany młynowy i zagrzewał kibiców do rytmicznego powtarzania rymowanych wyzwisk w stronę przeciwnika oraz śpiewania hymnu drużyny. Cała ich czwórka była pod wrażeniem tej niemal wojskowej organizacji imprezy.

Wielka fala czerwono-białych flag łopotała po brzegach. W sektorze pod dźwięki muzyki raz po raz w równym tempie zmieniały się białe i czerwone kwadraty, na przemian tworząc

jednobarwne pola. Cały sektor na widok wbiegających piłkarzy równo wydarł się, stojąc na baczność:

*Wenn die ganze Kurve tobt,
schlägt mein Herz im Weiss und Rot.
Ich lass dich niemals allein
Du bist ewig mein Verein!
Wir werden niemals untergehn
solange unsre Fahnen wehen
lala lala la la Verein! Verein!*³

Oni razem z grupą też krzyczeli: *Verein, Verein!*

Pod nimi, na znak Linusa, w jednej wielkiej płaszczyźnie powoli zaczął spływać przez sektor ogromny biały obraz, zwany tило, z twarzą z czarnymi oczami i czerwonym napisem. Chyba było na nim coś w rodzaju: *Fick dich dfb*⁴ – jeśli dobrze to mogli odczytać.

Cały ten spektakl robił ogromne wrażenie na nich, wychowanych na serialu o Hansie Klosie, *Czterech pancernych* i *Siedemnastu mgnieniach wiosny*. Flagi zafalowały i czerwono-białe kartony ułożyły się w kolejny napis. W dwudziestej minucie stadion odleciał, Müller strzelił gola i sektor oszalał. Niestety coś poszło nie tak z opuszczaniem nowego tило. Ludwika obserwowała, jak Linus dostaje szału i drze się na opuszczających. Oj, będzie dzisiaj afera w barze, przyszło do głowy Ludwice. Bębniarze dawali bez dwóch zdań czadu; Łukasz napomknął, że jeden z nich, nadający rytm jako dyrygent, jest na serio po szkole muzycznej.

– Czy to prawda, że stadion może pomieścić ponad czterdzieści tysięcy ludzi? Na moje oko jest więcej – zapytała Ludwika, nagle

kaszląc.

Z boku, z jednego z pierwszych rzędów, ktoś z grupy niesfornych *hooligans* wypuścił czerwone piro.

– Który frajer – darł się Linus – wypuścił piro poza oprawą?!

Sektor gości odpowiedział odpaleniem niebieskich rac.

– To pokazówki *Jugend*, nie można dać się sprowokować, bo ostatnie zakazy stadionowe mocno przetrzebiły naszą grupę – objaśniał przejęty Łukasz.

Ludwika uznała, że to, co ogląda, jest jak szekspirowski dramat, tyle że współcześnie podany. Kibolska Julia, którą widziała przed meczem, jak zgodnie trzymając swojego Romeo za rączkę, podeszła z nim do wejścia na stadion, przed chwilą skopała siatkę odgradzającą sektor gości od Cannstatters Kurve, a jej ukochany, trzymając transparent z napisem VfB, zaczął wygrażać jej pięścią po przeciwnej stronie.

Zniesmaczony Łukasz nachylił się do ucha Luli.

– Widzisz, jaka to patologia jest na tym zgniłym Zachodzie, pokrzyczą, pokopią w bandę, a potem zgodnie za rączkę wrócą do domu. U nas by to było nie do pomyślenia. Gdyby jakaś polska drużyna zagrała z takimi niemiaszkami mecz, to z helmutów nie byłoby co zbierać po paru minutach dopingowania. Nie mówię, że oni nie śpiewają czy nie dopingują, ale po takiej liczbie ludzi można by się spodziewać dużo więcej. Pierwsza polska ekipa z jakiej bądź ligi rozpętałaby tu piekło, gdyby doszło do jakiegoś avanti. Patrz, ile tutaj rurek i ahmedów. Jak tak za parę lat będzie u nas, to czeka nas kibolski armagedon.

– Rurek? – zapytała Lula.

– Gejów, no, ciot – doprecyzował Łukasz.

Ludwika odsunęła się od niego z obrzydzeniem. Odwróciła się w kierunku swojej grupy i ze zdumieniem zobaczyła, że Kris dygocze jak w ataku malarii.

– Co się dzieje? Chory jesteś? – Nachyliła się do niego. Kris podniósł na nią nieprzytomne oczy i telepał się coraz bardziej. Ludwika zdała sobie sprawę, że nie dygocze z żadnej gorączki, ale dostał ataku paniki z powodu otaczającego go tłumu i trzął się coraz bardziej. Ludwika przypomniała sobie, że kiedyś wspominał, że cierpi na demofobię, ale wpadło i wypadło. Więc teraz albo ich zdemaskują, bo w tym środowisku tchórzy się wyjątkowo nie szanuje, albo Kris odleci, bo wyglądało na to, że się odkleja i nie dociera do niego, co Ludwika i Gabriel mówią, klepiąc go po plecach.

W tym momencie zaalarmowany przez Ludwikę Heinrich położył wytatuowaną, ciężką łapę na ramieniu Krisa, tak że częściowo go przygniótł do ławki.

– Co, ciebie też trzepie? – odezwał się niespodziewanie współczująco. – Chłopaki, Krisa trzepie! – W tym momencie wokół odezwały się równie współczujące pomrukiwania i z kilku stron do Krisa wyciągnęły się ręce z małymi różowymi, białymi i zielonymi tabletkami.

– Bierz którąś, stary. – Klepnął go znowu Heinrich. – Każdego czasami z nerwicy trzepie.

Kris, ku ich zdumieniu, sięgnął po wszystkie i połknął, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Popił jednym wielkim haustem piwa z plastikowego kubeczka z napisem VfB Stuttgart. Równo po dziesięciu minutach poderwał się i wyrwał flagę z rąk brzegowego, po czym, machając nią jak szalony, wszedł na ławkę. Następnie wskoczył na brzeg bandy, wyrwał bęben jednemu z bębnowych

i zaczął ryczeć razem z tłumem. Też skończył podstawową szkołę muzyczną, więc całkiem dobrze mu szło, ale długo nie pociągnął, bo zwałił się między ławki.

Ludwika ubłagała Heinricha, żeby pomógł im wynieść go do samochodu, że tam poczekają na koniec meczu, i Heinrich, chociaż wściekły, bo akurat na płycie rozprowadzała się obiecująca akcja, zarzucił sobie bezwładnego Krisa na jedno ramię i wypadł z sektora, żeby jak najszybciej wrócić. Ada dreptała za nim, z czerwono-białym szalikiem i okularami Krisa, które mu spadły, kiedy zwałił się między ławki.

Bezwładny i półprzytomny Kris wcale nie dawał się tak łatwo zapakować do samochodu. Gdy Heinrich i Gabriel próbowali go wciągnąć na tylne siedzenie, to zapierał się o drzwi i przewracał obok. Heinrich zarządził, że wepchną go sposobem, Gabriel będzie ciągnął za ramiona, a Heinrich będzie go wpychał od strony nóg, równocześnie blokując. Już prawie im się to udało, kiedy Kris nagle wyprostował się jak struna, wrzasnął: *Verein! Verein!* i zwiotczał znowu. Prostując się, z taką siłą kopnął zniecierpliwionego się niczego Heinricha w klatkę piersiową, że ten runął jak długi, uderzając głową o krawężnik. Wokół jego głowy szybko zaczęła rosnąć wielka kałuża krwi, a Heinrich znieruchomiał.

– *Hilfe!* – wrzasnęła Ludwika, macając mu puls. Był słaby, ale na szczęście był. Przy okazji, pod spłoszonym wzrokiem Ady, wyjęła mu z kieszeni poza kluczykami do samochodu także klucze do mieszkania. Nikt nie zareagował, bo stadion właśnie wspólnie zaczął śpiewać, pewnie padł gol i żaden ochroniarz ani policjant nawet nie spojrzął w inną stronę niż na stadion.

Gabriel przypomniał sobie o ambulansie stojącym przed wejściem i poleciał po pomoc. Na hasło „wypadek” ekipa karetki natychmiast włączyła sygnał dźwiękowy.

– A temu też coś dolega? – Ratownik wskazał na Krisa moszczącego się wygodnie na tylnym siedzeniu samochodu i coś mamroczącego przez sen.

– Nie, chyba nie, tylko trochę przedawkował tabletki na uspokojenie. W razie czego zawieziemy go sami do szpitala na płukanie żołądka. Tak że na razie tylko ten.

Sanitariusze wnieśli nieprzytomnego Heinricha do karetki.

– Halo, a dokąd go wieziecie? – Gabriel złapał za klamkę rozsuwanych drzwi.

– Katharinenhospital, Kriegsbergstrasse 60. – Ratownik trzasnął drzwiami i ruszyli na sygnale.

Szczęśliwie Gabrielowi udało się bez problemu uruchomić samochód Heinricha.

– Te stare mercedesy SL pięćsetki są niezawodne, a poza tym miałem kiedyś takiego. – Gabriel poklepał kierownicę zadowolony z podziwu Luli i Ady. Kris nieświadomy, że mkną za pogotowiem na sygnale, wygodnie pochrapywał na tylnym siedzeniu.

Szpital był blisko, wjechali z rozpędu na podjazd za ambulansem, ale kazano im się wycofać na parking dla samochodów prywatnych. Potem długo błądzili, zanim odnaleźli oddział ratunkowy; szpital był nowoczesny i pachnący świeżością, ale trochę jeszcze słabo oznakowany. Heinrich miał właśnie robiony rezonans, jak się dowiedzieli w informacji. Mogli na szczęście podać dane Heinricha, bo Ludwika przytomnie zabrała z jego kieszeni nie tylko klucze, ale też portfel z dokumentami. Ada została z Krisem, który

spał w samochodzie spokojny jak dziecko i nawet chwilami coś mówił przez sen.

Ludwika z Gabrielem czekali na korytarzu na wieści. Wpuścili ich w końcu. Heinrich leżał z zamkniętymi oczami i obandażowaną głową w małej salce na oddziale ratunkowym. Kołdra ledwie sięgała mu do połowy nagiej klatki piersiowej, ponieważ w dziale zaopatrzenia nowoczesnej kliniki nie przewidziano pacjentów o wzroście powyżej dwóch metrów.

Ludwika delikatnie położyła portfel i klucze na szafce. Heinrich otworzył oczy.

– O, to wy – ucieszył się. – Możecie mi przynieść jakiś podkoszulek i gacie na zmianę? Bo nie wypuszczą mnie do niedzieli po południu. Chcą sprawdzić, czy nie mam wstrząśnienia mózgu. Nie pamiętam, jak to się stało, że jestem tutaj.

Ludwika pokrótce opisała zdarzenie, pomijając rolę Krisa i kładąc nacisk na nieszczęśliwe potknięcie.

– Dobrze, że tam byliśmy i że udało się od razu cię przywieźć karetką – dodała. – Niestety nie znamy wyniku meczu, bo to się stało tuż przed drugą połową.

Heinrich, zerkając na pacjenta leżącego obok na drugim łóżku, zniżył głos i dał znać, żeby się nad nim nachylili.

– Jak będziecie w domu po rzeczy, to zastaniecie tam małą kotkę, która nazywa się Mitzi. Przygarnąłem ją jakiś czas temu, ale nikomu ani słowa w barze, bo mnie zabiją śmiechem. – Heinrich jeszcze bardziej zniżył głos. – Gdybym miał psa, to co innego, nawet yorka albo chihuahua, ale nie kotkę! Straszny obciach.

Lula i Gabryś pokiwali głowami ze zrozumieniem. Rzeczywiście obciach.

– Na dodatek ona cierpi na lęki separacyjne, więc za długo nie mogę jej zostawić samej w domu, bo urządzi demolkę, jakiej sobie nawet nie możecie wyobrazić. Praca w barze naprzeciwno jest dla mnie z tego względu bardzo wygodna. Linus bardzo sobie ceni, że co parę godzin sprawdzam, czy z matką i jej mieszkaniem jest okej.

– To całkiem sprytne – wyraziła uznanie Lula.

– A może byście się do poniedziałku przeprowadzili do mnie? Zawsze parę euro oszczędzicie na wynajmie apartamentu, a ja będę spokojniejszy.

– Heinrich, przecież możemy się zająć Mitzi, nie przenosząc się do ciebie. – Ludwika nachyliła się nad nim z ciepłym uśmiechem.

Gabriel zdumiony kopnął ją w kostkę.

– Tak będzie lepiej, naprawdę, proszę – nalegał Heinrich.

Więc się zgodzili.

[1](#) *Morgen ist heute.* – z niem. Jutro jest dzisiaj.

[2](#) *Du bist unser Stolz, du bist mehr als ein Verein.* – z niem. Jesteś moją dumą, jesteś czymś więcej niż tylko klubem.

[3](#) Kiedy cała żyłeta szaleje, moje serce bije biało-czerwono, nigdy cię nie opuszczę. Jesteś na zawsze moim klubem, nie zginiemy, dopóki powiewają nasze flagi, lalala (nasz) klub!

[4](#) *Fick dich dfb* – z niem. Pierdol się, dfb (Ligo Niemiecka).



*Kiedy zabraniasz mężczyznom coś zrobić,
jak amen w pacierzu właśnie to zrobią.*

Owen King, Stephen King, *Śpiące królowny*,
tłum. Tomasz Wilusz

RAZ KOZIE ŚMIERĆ

Klatka schodowa była skromniejsza, niż przypuszczali, ale to przecież było wejście od strony służbówki.

– Bardzo korzystny układ, jedno mieszkanie dla służby na jednym piętrze – ucieszył się Gabriel. – Klatka schodowa dla państwa musiała mieć te marmury i rzeźbione poręcze, służbie musiały wystarczyć pomalowane ściany.

Mitzi skoczyła na Adę i wbiła się jej boleśnie pazurami w nogę, ledwie przekroczyli próg. Ada syknęła i odruchowo strąciła ją z siebie. Mieszkanie rzeczywiście wyglądało jak pobożowisko. Na podłodze leżało roztrzaskane radio, wszędzie walały się podarte w strzępy gazety, a w łazience na terakocie zawartość całej kuwety.

– Posprząta się, jak wrócimy, teraz trzeba poszukać tych ubrań dla niego, nakarmić ją i uspokoić – zarządziła Lula, po czym namierzyła Mitzi pod łóżkiem w sypialni i usiadła spokojnie z kawałkiem szynki w ręku, nie próbując jej na siłę wyciągać.

Mitzi zanęcona zapachem i ciszą wyszła w końcu spod łóżka i wpakowała się Ludwice na kolana. Okazała się słodką, młodą, beżowo-brązową kotką syjamską i nikt by jej w tej chwili nie podejrzewał o skłonności do takiej demolki, kiedy tak ugniatała nogi Ludwice.

Wrócili szybko do szpitala, uspokoiли Heinricha, że Mitzi i mieszkanie jest w miarę w porządku.

– Mieszkanie i kot cali. Oczywiście przy założeniu, że ta mała zastana demolka to norma. – Gabriel porozumiewawczo mrugnął do Heinricha.

– Bardzo wam dziękuję, nawet nie wiecie, jak jestem wam wdzięczny. I za Mitzi, i za sok, i za ubranie. – Heinrich próbował się podnieść, żeby ich uściskać, ale zaraz opadł z jękiem.

– Nie wolno ci podnosić głowy przez parę godzin. Leż spokojnie.
– Lula uspokajająco pogłaskała Heinricha po rękę.

– Jestem wam bardzo wdzięczny, zawsze możecie na mnie liczyć, jak będziecie w Stuttgarcie.

Umówili się, że przyjadą po niego w niedzielę, podrzucą go do domu, a potem szybko ruszą do Polski, bo w poniedziałek wszyscy

muszą być już w pracy.

Wpadli jeszcze do baru, żeby opowiedzieć, co się stało. Nastroje były nie najlepsze, trzy do dwóch to nie było coś, co by VfB Stuttgart zbliżyło do powrotu do pierwszej ligi. Wieści o wypadku Heinricha dodatkowo pogłębiły ponury klimat po przegranym meczu. Linusa nie było, podobno pojechał się uspokoić do dziewczyny za miasto, inaczej mógłby kogoś zabić, szczególnie za to drugie tило, którego nie udało się wyciągnąć zgodnie ze scenariuszem i ekipa stała się obiektem drwin ultrasów z drużyny przeciwnej.

Kris doszedł już do siebie. Chłopaki w barze klepali go po plecach, komplementując, że cicha woda z niego. Ada opowiedziała mu na boku, co nawyrabiał. Ta część o bębnach nawet mu się podobała, w końcu rzeczywiście był po szkole muzycznej, więc wstydu raczej nie powinno być, trochę gorzej z częścią dotyczącą tego, jak Heinrich znalazł się w szpitalu. Kris bez słowa pokornie zabrał się do sprzątnięcia łazienki w ramach kary i pozbierał rozrzucone kupy Mitzi, jak surowo nakazała mu Ada.

Wreszcie mogli usiąść i się zastanowić, jak wykorzystać ten niezwykle zbieg okoliczności. Nagle byli tak blisko tego, co wymyślili sobie w Polsce, kiedy Gabriel wpadł na swój abstrakcyjny pomysł. I teraz mieli antabę za ścianą albo za drzwiami oddzielającymi dawne mieszkanie służbowe od mieszkania Troyów. Czasami lepiej nie mówić na głos tego, co się planuje, bo może się ziścić i głupio się z tego wycofać.

Odsunęli wielki rzeźbiony kredens zasłaniający drzwi. Były zamknięte na klucz. Gabriel pocmokał, próbował otworzyć stare, porządne zamki za pomocą zestawu najróżniejszych kluczy,

zakupionego specjalnie na ten wyjazd w internecie, ale żaden nie pasował.

– Za stary zamek. Takich już nie robią – oświadczył rozczarowany po godzinie prób.

– Może tobie się uda? Dlaczego mu nie pomagasz? – Ada zwróciła się do Krisa, który stał obok, przyglądając się próbom Gabriela.

– Gabryś wie, co robi, nie będę mu przeszkadzać – zachnął się Kris. – Zobaczmy, jak daleko są okna drugiego mieszkania.

Wychylili się, a firanka, przyczepiona do chropawego tynku, odsłoniła eleganckie wnętrze. W dole pomimo dość późnej pory panował duży ruch. Piesi i rowerzyści przemierzali się jak zwykle między Marienplatz a Königstrasse.

Kamienne balkoniki łączył dość szeroki, płaski gzyms, okalający budynek.

– Mogę po nim przejść – oświadczył Gabriel. – Nieraz chodziłem po takich gzymsach, opowiadałem wam.

– Zwariowałeś?! To było pięćdziesiąt albo czterdzieści lat temu! To jest drugie piętro, wiesz, co się stanie, jak spadniesz?

– Tak – odpowiedział Gabriel. – Będę miał profil na Grobonecie. I przełożył nogę przez barierkę.



*Przemoc tkwi w głowach ludzi, a nie
w zaciśniętych pięściach.*

Jan Guillou, *Zło*, tłum. Anna Marciniakówna

CZERWIŃSK, 9 WRZEŚNIA 1939

Droga Henrietto!

Mam nadzieję, że masz się dobrze i minął Ci ten okropny kaszel, z którym Cię zostawiłem. Spieszę Cię uspokoić, że dotarliśmy bezpiecznie do Płocka i Czerwińska, które zaraz mają zostać oficjalnie włączone do Rzeszy jako nowa rejencja Prus Wschodnich ze stolicą w Ciechanowie. Są to tereny odwiecznie germańskie.

Zabezpieczyłem zgodnie z planem antabę i mam nadzieję niedługo rozpocząć współpracę przy przygotowaniu wystawy, na której

zaprezentuję ją jako wybitne dzieło giserników z Magdeburga wraz z innymi dziełami świadczącymi o potędze germańskiego ducha. Zdaje się, że niemal nikt, albo bardzo niewiele osób, zdaje sobie sprawę z jej znaczenia. Liczę, że będę mógł wrócić i zająć się szczegółowymi poszukiwaniami i badaniami w klasztorze. Sama antaba jest bardzo ważną częścią mojego planu. Zajmę się nim oczywiście dopiero po wypełnieniu wszystkich ważnych zadań, jakie nałożyła na mnie ojczyzna, takich jak eksperckie wsparcie Urzędu Pełnomocnika Specjalnego do Spraw Spisu i Zabezpieczenia Dzieł Sztuki i Zabytków Kultury. Moim celem jest zabezpieczenie zabytków zgodnie ze spisem przygotowanym przeze mnie przed wojną w czasie moich podróży na wschód. W klasztorze planowane jest umieszczenie Szkoły Żandarmerii, co trochę utrudni mi poszukiwania, ale mam nadzieję, że usługi, jakie oddaję naszemu państwu, będą pomocne w uzyskaniu zgody na naukową eksplorację. Na chwilę wracam do Breslau, żeby odebrać zgodę rektora na urlop i wyjazd do Warszawy oraz Krakowa w październiku i listopadzie.

Pozdrawiam Cię najserdeczniej

Heil Hitler!

Dagobert Troy

PS Napisz, proszę, czy masz wieści od naszych synów. Spotkałem w Czerwińsku bardzo miłego chłopca z rodziny niemieckiej, osiadłej tutaj od wieków. Bardzo był mi pomocny w tłumaczeniu rozmowy z zakonnikami i miejscową ludnością. Myślałem, patrząc na niego, o naszych synach w jego wieku, tak samo spragnionych wiedzy oraz pełnych entuzjazmu i wiary w zwycięstwo naszej nacjonalistycznej ojczyzny.



Jeśli coś może pójść źle, to pójdzie.

prawo Murphy'ego, tłum. obiegowe

W tym podnieceniu Gabriel zapomniał zabrać telefon, ale za to wziął rękawiczki gumowe, które kupili, żeby posprzątać kocie kupy.

– Jak zawsze w gorącej wodzie kąpany, zamiast chwilę się zastanowić, coś zaplanować! – syczała Lula, wychylając się przez okno.

Nie mogła krzyknąć, bo okna wychodziły na Tübinger Strasse, ulicę pełną starych uroczych kamienic, po której do późna spacerowali turyści.

Gzysms rzeczywiście był dość szeroki, jak się na niego patrzyło z okna, ale jak się po nim szło, wydawał się sporo węższy. Nie mógł się cofnąć, stopa przez chwilę lekko mu się zachwiała na wyslizganej

cegle, tak jakby trafił akurat na kilkusetletni pas startowy dla gołębi. Nie znosił gołębi. Wszędzie srają i roznoszą choroby. Jeden z nich poderwał się na jego widok z parapetu i zaczął krążyć mu wokół głowy. A drugi z tych przebrzydłych latających szcurków siedział na jajkach w gnieździe na górnym gzymsie okalającym okno i wcale nie zamierzał odlecieć. Według ludowych przesądów, gdy niezamężna dziewczica zobaczy białego gołębia fruującego wokół jej domu, to wkrótce wyjdzie za mąż, a jak biały gołąb siedzi na parapecie, to ukochany tęskni za nią. Pierwsza część przepowiedni nie pasowała, bo ani ptak nie był biały, ani Gabriel nie mieszkał w tym domu, ani nie był niezamężną dziewczicą, co najwyżej konkubentem żyjącym od wielu lat w nieformalnym związku, chyba że los przyniósłby mu jakąś zmianę w tym zakresie. Ta druga część... chyba częściowo się zgadzała, twarz Luli wychylającej się w mroku z okna mieszkania Heinricha zdradzała wielkie emocje. Czy gołębie nie powinny spać w nocy? Ten akurat wpatrywał się w niego hipnotycznie. Lula ma rację, w tym mieście wszyscy się na wszystkich gapią.

– Ty paskudny, tfu, śliczny ptaszku, muszę tutaj złapać się ręką, nie zamierzam ci zabierać tych ślicznych jajeczek. – Niemal gruchał czułym szeptem do niego, wolno kładąc obok gniazda rękę na wystającym dekorze. Kiedy już równie wolno ją odrywał, żeby przenieść ciężar na kolejny dekor, wredne ptaszysko z całej siły wbiło dziób w środek jego dłoni.

Poczekaj, gadzino, policzę się z tobą, jak wrócę do mieszkania Heinricha! – zawył w duchu. Spojrzał na dół; akurat pod bramą migdałiła się jakaś para.

Udało mu się wskoczyć do mieszkania Troyów. Krwawa rana wyzierająca spod postrzępionej gumowej rękawiczki nie wyglądała

za dobrze. Powinien poszukać jakiegoś środka dezynfekcyjnego i papierowego ręcznika. Na szczęście kuchnie niemieckie są przewidywalne pod tym względem. Oczywiście, że woda utleniona znajdowała się tam, gdzie powinna, czyli w szufladzie z nożami pod stołem. Dzięki latarni ulicznej w mieszkaniu było całkiem jasno.

Musiał przyznać, że rodzice Baldura mieli ciekawy koncept designerski. Zanurzył się w wielkiej narożnej niebieskiej skórzanej kanapie, na której dwóch końcach dwa wielkie ciemnobrązowe łby lwów stroszyły grzywy. Rozejrzał się spokojnie dokoła. Po jednej stronie długie, ciężkie story z błękitnego aksamitu z wytłaczanymi motywami kwiatów, rozciągające się od podłogi po sufit w narożniku między dwoma oknami, stanowiły przyjemny widok z kanapy, na której siedział. Z drugiej strony nowoczesna, wielka ściana kominkowo-telewizyjna z jasnoszarego marmuru kontrastowała interesująco z ciemnymi sprzętami – drogimi współczesnymi meblami, zestawionymi z bardzo porządnymi meblami gdańskimi, ręcznie rzeźbionymi z litego drewna dębowego. Bogato zdobione fronty ze scenami myśliwskimi przeplatały się z motywem akantu. Do kompletu był stojący zegar z wahadłem, wsparty na dwóch figurach – pasterki i pasterza, jakby wprost przeniesionych z sielanek. Precyzyjnie odmierzał czas, który szybko płynął, i Gabriel aż drgnął, kiedy wybiła pierwsza. Równocześnie rozległ się sceniczny szept Luli:

– Jest coś?

No i kłopot właśnie, bo nic nie było. Nic nie wisiało ani w salonie, ani w gabinecie urządzonym podobnymi meblami, ani w sypialni z wielkim rzeźbionym łóżem, przykrytym czerwoną aksamitną kapą, ani kuchni, zaskakująco nowoczesnej. Rozejrzał się

znowu, przecież nie będzie grzebał ludziom po szafkach, kredensach, bufetach i szufladach z bielizną stołową, nie są przecież złodziejami. To było bardzo rozczarowujące. Trudno, musi wracać. Właściwie już wychodząc, postanowił jeszcze odsunąć błękitne story, czasami ludzie składują coś na parapetach, przynajmniej on tak robił, o co wściekała się Lula. I zmarł.

Ludwika nie chciała się przyznać przed Adą i Krisem, że jest bliska omdlenia. Postanowiła, że porozmawia z Gabrielem, że nie może jej fundować równie ekstremalnych emocji. Tylko niech on wreszcie wróci. Serce jej dudniło tak, że chyba było słychać na ulicy. Tymczasem Ada, siedząc na podłodze, spokojnie głaskała Mitzi, a Kris oglądał stan swoich paznokci, jednego po drugim. Czy oni nie mają nerwów?

Wychyliła się przez okno, szczęśliwie nikt nie szedł, może wreszcie skończy się ta wędrówka ludów. Nic dziwnego, że się nudzą i nie mają co robić, skoro im wprowadzili czterodniowy tydzień pracy. Leniuchy, pracować im się nie chce. A może Francuzom. Nie była pewna. Z baru naprzeciwko dudniło niemieckie volkstümliche Musik, odpowiednik polskiego disco polo. Widać dzisiaj był dzień na sentymenty.

– Jest tam coś? – syknęła do Gabriela. Ale oczywiście on nie mógł odpowiedzieć od razu, żeby ona nie dostała zawału albo ciśnienie jej nie skoczyło!

Po chwili zobaczyła, jak Gabriel przechodzi przez parapet z przewieszonymi na obydwu ramionach plastikowymi torbami z Kauflandu. Ominął dekor z gniazdem, tym razem w ostatniej chwili uciekł z dłonią przed dziobem gołębia i dotarł do okna w mieszkaniu

Heinricha, z którego wszyscy już wychylali się z wyciągniętymi ramionami, żeby go złapać. Gabriel zeskoczył na parkiet, rzucił im torby i pognął do kuchni po szczotkę do zamywania. Po chwili znów podbiegł do okna i jak oszalały zaczął nią wywijać, starając się strącić gniazdo.

– Zwariowałaś! Co ci zrobiło to biedne stworzenie? – Ada wyrwała mu szczotkę. Podsunęła jej z furią pod nos dłoń owiniętą w poplamiony krwią papierowy ręcznik. Sięgnęła do szuflady pod stołem obok noży. Te kuchnie niemieckie są takie przewidywalne. Najpierw zlał mu ponownie ranę wodą utlenioną, a potem postawili na stole kuchennym trzy plastikowe torby z napisem: *Nicht nur polnische Wurst! Polnische Woche im Kaufland*, czyli „Nie tylko polska kiełbasa. Tydzień polski w Kauflandzie”.

– No wiesz, Gabryś, jeszcze nie upadliśmy tak nisko, żeby ludziom wygarniać jedzenie z lodówek. – Ludwika była szczerze oburzona.

Gabriel rozchylił torby z uśmiechem triumfu.

– Co to jest?! – wydusiła z siebie po chwili milczenia.

Na stole leżały trzy specjalnie przystosowane kaszty drukarskie, a w każdej jedna antaba z brązu z głową lwa i kółkiem w pysku. Obok nich znajdowało się spore kartonowe pudło ozdobione runami.

Zaczął im opowiadać, co czuł i co mu przeleciało przez głowę, kiedy tak stał przed chwilą w dostatnim mieszkaniu Troyów i gapił się na zawieszane w trzech równych rzędach po trzy sztuki ciemnobrązowe kaszty drukarskie. Razem dziewięć. Niektóre kaszty były udekorowane małymi rzeźbionymi główkami aniołków, po innych wiły się liście winogron, a na jednej po dwóch stronach

napinali łuki myśliwi. Widać wykonał je ten sam rzemieślnik, który zrobił meble.

W środku każdej kaszty jedna antaba. Lew z otwartą paszczą pożerający główkę człowieczą. Na pierwszy rzut oka – identyczne. Dopiero po chwili zaczął dostrzegać różnice. Tego nie przewidzieli. Gabriel sięgnął do kieszeni i zorientował się, że zapomniał telefonu. Pomyślał, że pewnie o to chodziło Luli, kiedy szedł po gzymsie. Nie miał też żadnej kamery w guziku, bo zrezygnował z jej zakupu na stronie „I ty możesz zostać szpiegiem” po wykupieniu całego tego szpiegowskiego ekwipunku przez Lulę. Przyszło mu na myśl, że w przyszłości powinien jednak przeszeregować statusy rejestrowania uwag Luli, bo do tej pory, kiedy Lula syczała – w ramach polityki przetrwania w konkubinacie, w którym żyli od ponad trzydziestu lat – tylko części informacji płynących z jej strony nadawał status ważnych, resztę wrzucał do mniej ważnych i tak zwanych przelatujących. Tę o telefonie potraktował jako należącą do ostatniej kategorii, bo był skupiony na gzymsie. Uznał więc, że porady w stylu „uważaj na przeciąg” albo „nie przezięb się”, w których celowała Ludwika w najbardziej niespodziewanych momentach, akurat kiedy wisiał dwa piętra nad ulicą, w środku dość zimnej majowej nocy, były mu niepotrzebne. No cóż, pomylił się. Nie mógł porównać żadnej prezentowanej tu antaby w tak starannie zaaranżowanej kompozycji ze zdjęciem tej oryginalnej z Czerwińska od brata Mariana. Szybko przeanalizował sytuację: dadzą radę mu podać telefon? Nie, za daleko i jak spadnie, stłucze się. Postanowił, że zabierze najpierw trzy. Zrobią im skany w mieszkaniu Heinricha i wróci je odwiesić oraz sfotografować pozostałe sześć. Ale które wybrać? Pewnie trzy najważniejsze są w środkowym rzędzie. On też by w takiej kolejności

je zawiesił. Na małej półce pod antabami stały segregatory i kartonowe pudełko ozdobione runami. Zajrzał do środka, a tam pełno zdjęć wyglądających na stare i jakieś dokumenty, listy. Trudno, zabierze także to pudełko, zrobią też skany zdjęć i przejrzą na szybko dokumenty.

Pierwszy ze stuporu wyrwał się Kris, któremu na nogę skoczyła Mitzi, strącając wcześniej jedną z toreb z Kauflandu ze stołu. Oświadczył, że muszą błyskawicznie zrobić zdjęcia każdej antaby, z każdej możliwej strony, a potem zeskanować zdjęcia i dokumenty. Trzeba jak najszybciej odnieść wszystko do mieszkania Baldura. Ada zerkała na Krisa z uznaniem. Ustawił każdemu w telefonie opcję skanowania, a Lulę delegował do zrobienia dokładnych zdjęć antab, bo miała najlepsze obiektywy w telefonie, a musieli dać sobie radę tylko przy świetle latarni z ulicy. Na wszelki wypadek nie chcieli zapalać światła, by nie zwracać na siebie uwagi. W tym momencie Lula pogratulowała sobie, że uległa namowom Gabrysia, który zwykł mawiać, że Maria Dąbrowska musi mieć godny sprzęt odpowiadający jej pozycji zawodowej, i podjęła decyzję o zakupie najnowszego telefonu, choć żal jej było tej furmanki pieniędzy. A jednak szybciej, niż myślała, ta inwestycja się zwróci.

Szło im całkiem dobrze.

Nagle usłyszeli charakterystyczne pogwizdywanie. Zza franki zobaczyli, że Linus wychodzi z baru naprzeciwko i zmierza do kamienicy. Zamarli. Kucnęli przy ścianach pod parapetami, mimo że nie mógł ich widzieć. Słysząc było, jak trzaska drzwiami wejściowymi, wchodzi po schodach i w końcu otwiera drzwi mieszkania rodziców.

Po krótkim czasie Linus wyszedł znowu na klatkę i zamknął drzwi. Po czym cofnął się, słysząc było, jak narzeka: „Oj, *Mutti, Mutti*, zawsze zapomnisz je zamknąć”. Przez moment mocował się z firankami, które wiatr wywiewał na zewnątrz, i w końcu udało mu się z trzaskiem zamknąć okno. Chwilę później usłyszeli, jak Linus zbiega po schodach, gwizdząc *Stairway to Heaven*. Nawet ładnie mu szło.

– Ma słuch – szepnęła Lula do Ady. – Powinien się zgłosić do jakiegoś konkursu, może do *Mam talent* albo *Voice of Poland*?

Ostrożnie wyjrżeli, żeby zobaczyć, jak skręca na parking za rogiem, więc ewidentnie wpadł tylko po coś do mieszkania matki i zamierzał wrócić na przedmieście do Frederiki. Prawdopodobnie do poniedziałku mają go z głowy.

I tak niespodziewanie dla siebie Lula, Gabriel, Ada i Kris w wieku sześćdziesiąt plus zostali międzynarodowymi włamywaczami i złodziejami.



*Nie bolą mnie te głupstwa, które już
zrobiłem, ale te, które mam jeszcze zrobić.*

Karol Franciszek Irzykowski, *Cięższy i lżejszy kaliber*

MIESZKANIE HEINRICHA

– I co teraz? Przecież miało go nie być! – Ludwice trzęsły się ręce.

Wszyscy mieli ten sam niepewny wyraz twarzy.

– To twoja wina, Gabriel! – Palec wskazujący zakończony czerwoną hybrydą, lekko odłupaną (musi to zareklamować, jak wróci, żeby hybryda wytrzymała tylko kilka dni, to skandal), celował prosto w jego serce. – Najpierw wymyślasz jakiś kretyński pomysł, żeby wpakować się do mieszkania obcych ludzi podczas ich nieobecności... – Lula nabrała powietrza – konkretniej to włamać

się, potem nie bierzesz telefonu, okradasz ich, a gdybyś zabrał chociaż telefon, mielibyśmy zdjęcia i nie musiałbyś tam wracać ani nikt z nas!

– Nie chcę się wtrącać, ale wszyscy się na to zgodziliśmy i podjęliśmy wspólnie te decyzje. – Kris wkroczył ze spokojem, kiedy Ludwika nabierała powietrza po drugim zdaniu podrzędnie złożonym, a przed trzecim. Ewidentnie rozpędzała się, więc dobierała z przepony.

Teraz to jemu Ludwika skoczyła do gardła. Można przecież było liczyć, że chociaż on włączy myślenie, kiedy wszyscy się tak głupio nakręcili na tę „przygodę”. Ale nie, on, drugi niedojrzały chłopczyk, wszedł w tę zabawę z rozwianą chorągwią. Husaria z Leoncina się znalazła! Mamy prze-rą-ba-ne!

Ada splotała i rozplatała dłonie, spoglądając to na jednego, to na drugiego. Nie była pewna, po czyjej stronie ma stanąć ani jak załagodzić scysję. W jej DNA nie było nawet jednego centymorgana miejsca na prawdziwy konflikt.

Drogę mieli odciętą. To był niezaprzeczalny fakt. Nie mogli wejść do baru i powiedzieć: Hej, Linus, wpadliśmy do mieszkania twojego pradziadka, ładnie urządzone, gratulujemy, pożyczylimy od twojej matki pudełko ze zdjęciami i aha, oddajemy też trzy antaby, które rodzinka ukryła za zasłoną.

– Dobra, Lula – odezwał się wreszcie Gabriel. – Wiem, dałem cię z tym telefonem, ale wydaje mi się, że gdybym robił te zdjęcia wszystkim antabom po kolei i skanował dokumenty tam – wskazał na ścianę odgradzającą oba mieszkania i na stos zdjęć oraz papierów przewalających się po kuchennym stole – to Linus by mnie przyłapał na gorącym uczynku i teraz byśmy wszyscy siedzieli w niemieckim

komisariacie. Albo oddałby nas Hansowi. On przy okazji mógłby odzyskać swoją cenną kurtkę, bo nadal patrzy, jakby miał ochotę obedrzeć cię ze skóry, a nie tylko z kurtki.

Gabriel gładził przy tym brodę i Lula zdała sobie sprawę, czego jej od rana na tej brodzie brakowało. Nie było ani jednego warkoczyka.

W gruncie rzeczy wiedzieli, że wszyscy wpakowali się w tę historię tak samo.

Nagle Lula zaczęła chichotać.

– Wyobrażacie sobie ich miny, kiedy odsuną tę zasłonę, a tam nie ma środkowego rzędu? A poza tym, co, złodziej zgłosi, że został okradziony?

Teraz wszyscy dostali takiej samej głupawki. W sumie szkoda, że Gabryś nie zostawił znaku, że był tu Arsène Lupin. Albo Janosik. Albo Zorro, wycinając wielkie „Z” na kotarze... To byłby dobry pomysł! Ślad prowadziłyby na wschód!

Kiedy już odreagowali cały ten stres i się pogodzili, ustalili, że muszą uciec najszybciej jak się da, nie budząc podejrzeń.

W niedzielę po południu, jak gdyby nigdy nic, mieli odebrać Heinricha ze szpitala. Uprzedzili go, że muszą zaraz potem gnać na samolot. Linus do poniedziałku będzie jak zwykle u Frederiki na przedmieściach. Baldur z Dittą wraca również w poniedziałek. Muszą zachowywać się jak do tej pory, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń.



*Ludzie z wiekiem nie stają się lepsi, stają się
tylko sprytniejsi.*

Stephen King, *Carrie*, tłum. Danuta Górską

Z ZAPISKÓW ADY

Sobota

Jesteśmy trochę nieprzytomni po tym wczorajszym zwariowanym dniu i szalonej nocy. Chyba żadne z nas tak naprawdę nie spało. Lula i Gabryś pogodzeni na szczęście (bo już się bałam) poszli spać do sypialni Heinricha, ja na rozkładanej kanapie w salonie, a Kris na materacu na dywaniku przy kanapie. Trochę Mitzi dawała się nam we znaki i ugryzła Krisa w wystający duży palec, aż wrzasnął wniebogłosy.

Lula ją zawołała i podobno potem już cały czas kotka grzecznie spała z nimi. Dzisiaj rano, jak zwykle, najpierw poszliśmy do baru na śniadanie. Potem na chwilę znowu do Mitzi i do szpitala.

Heinrichowi się już trochę nudziło, więc poleciałam na dół kupić mu gazety. Byłam pewna, że będzie chciał „Bilda” albo którąś z tych przebrzydłych nazistowskich gazet jego szefa, ale on, o dziwo, poprosił o „Die Zeit”. Lula też się zdziwiła, i Kris też, że taki młody, a nie czyta gazet online. Heinrich powiedział, że wspiera prasę drukowaną i dlatego kupuje od czasu do czasu.

Jako że miało to być nasze ostatnie półtora dnia w Stuttgarcie, do którego raczej już nie będzie nam z wiadomych względów dane znowu przyjechać, ustaliliśmy, że każdy ma prawo wybrać jedną lokalizację do zwiedzania.

Gabrys wybrał na przedpołudniowe zwiedzanie Stuttgarter Markthalle, słynną halę targową pod dachem. Niedawno obchodziła stulecie, choć podobno została wybudowana w tym samym miejscu, w którym od średniowiecza odbywały się regionalne targi. Wiadomo, Gabriel jest świetnym kucharzem, więc go to interesuje. Lula chciała raczej iść do Staatliche Museum für Naturkunde, żeby zobaczyć słynną czaszkę „Steinheim”, czyli skamieniałą czaszkę dwudziestopięcioletniej neandertalskiej kobiety, odkrytą w 1933 roku, sprzed około trzystu tysięcy lat. Ponoć zachowały się na niej ślady guza mózgu. Lula mówi, że cieszy ją potwierdzenie, że już wtedy kobiety miały mózgi, czemu zaprzecza część współczesnych facetów.

Wobec tego, że zostało nam mało czasu, Lula zgodziła się jednak na propozycję Gabrysia, tym bardziej że byliśmy już głodni. O matko, można stracić tam głowę, jedzenie z całego świata i wszystko tak kolorowe i pachnie egzotycznymi przyprawami i kwiatami. Kupiliśmy do

domu lokalne wino i piwo. Kris dziwnie reagował na te kolory, zapachy i hałas. Powiedział, że rozboleła go od tego wszystkiego głowa. Postanowiliśmy też zjeść w maleńkim klimatycznym hiszpańskim tapas barze o wdzięcznej nazwie *Désirée*. Usiedliśmy tak, żeby widzieć szefa kuchni podczas pracy. Mieliśmy mieszane wrażenia kulinarne. Dostaliśmy po pięć tapas w cenie 11 euro. Niektóre z nich były niezbyt smaczne. Moje danie z kraba i pikantne małże Krisa były w zasadzie zimne i prosto z puszki. Natomiast do skrzydełek z kurczaka Luli i *albondigas Gabrysia* nie można się było przyczepić, rozplływały się w ustach. Bardzo nam smakowały. Żadnych skarg także na zamówioną przez nas rioję w cenie 5,20 euro za szklankę ani na słodkiego młodego hiszpańskiego kelnera, który nas obsługiwał, nie składam. Kris przewracał oczami za każdym razem, kiedy kelner do nas podchodził i nachylał się życzliwie nade mną, pytając, czy wszystko w porządku.

Muszę wyznać, że zazdroszczę Niemcom po tych kilku dniach, że są tak zasobnym krajem, co widać na każdym kroku. Gabriel powiedział, że jak się tyle pozwoziło różności ze świata w czasie wszystkich wojen, to nic dziwnego i dlatego nie ma wyrzutów sumienia w związku z naszą eskapadą. Oby tylko udało się nam uciec. Zaczynam się denerwować.

Wpadliśmy do Mitzi, potem na popołudnie Kris wybrał *Landesmuseum*, ze względu na to, że bardzo chciał zobaczyć kalkulator Philippa Hahna. To jeden z najwcześniejszych kalkulatorów mechanicznych z XVIII wieku, z których tylko dwa przetrwały do naszych czasów. Nie jest to duże, ot, okrągły mechanizm jak zegarek, tak mniej więcej 10, 11 cm na 30, ze złotymi tarczami i bębniami, na których można mnożyć, dzielić, dodawać i odejmować. Rzeczywiście fascynujące, że to już wtedy było możliwe. Nie dziwię się, że Kris chciał go zobaczyć. Ciekawe, czy dałoby się przeliczyć wartość naszych antab.

Potem znowu Mitzi, tym razem zrobiła tylko małą demolkę. Zostawiłam na krześle mój żółty zakiet w zielone kwiaty, ściągnęła go i nasikała na niego, łobuzica jedna. No trudno, moja wina. Może myślała, że to łąka.

Sobota wieczór

Jednak jestem wściekła na Mitzi. Mimo prania i moczenia zakietu w płynie do płukania jej zapach został, bo nie mogę na ulicy opędzić się od kotów. Idą za mną jak zaczarowane i miauczą, wszyscy się na mnie gapią. Wieczór w barze, jak zwykle, żeby nie budzić podejrzeń. Linusa nie było, ciągle szczęśliwie u Frederiki. Pomimo meczu na stadionie oglądało go w barze na ekranach trochę ludzi, bo część z nich po wczorajszym ma zakazy stadionowe. Wszyscy wiedzieli, że mamy odebrać Heinricha w niedzielę po południu ze szpitala, a dzisiaj tylko byliśmy go odwiedzić. Łukasz żałował, że nie przestał przez nas dwóch butelek piwa, ale wytłumaczyłam mu, że w szpitalu raczej by to nie przeszło. Zostawimy mu w domu. Ech, ci faceci.

Jutro rano mój wybór miejsca do zwiedzania przed wyjazdem do szpitala, a potem na lotnisko.

Niedziela rano

Szybkie śniadanie i pożegnanie. Wszyscy żałują, że już wyjeżdżamy. Ponoć jesteśmy spoko, chociaż trochę starsi i z Polski, ale jak to oni powiedzieli, skroilibyśmy przez naszą energię niejednego młodego ultraska... Gdyby tylko wiedzieli...

Ja chciałam przed wyjazdem pojechać jeszcze do Grabkapelle, czyli kaplicy grobowej królowej Katarzyny, wybudowanej przez króla Wilhelma I jako pomnik dla ukochanej żony, po jej przedwczesnej

śmierci w wieku trzydziestu jeden lat na różyczkę. Mieliśmy stamtąd precudny widok na miasto i pola pełne kwiatów. Ich związek to bardzo romantyczna historia, Wilhelm był już żonaty, jak się poznali, ale zrobił wszystko, żeby się dla niej rozwieść. Ciekawostka – on się urodził w naszym Lubinie na Dolnym Śląsku, a zapamiętałam to, bo w Lubinie mieszkają Jan i Iwona, bliscy przyjaciele Luli i Gabriela, których bardzo polubiliśmy. Muszę ich kiedyś zapytać, czy wiedzą o Wilhelmie. Mnie ta opowieść bardzo wzruszyła, Kris oczywiście kpił, że starsza pani ze mnie, a się wzruszam historią jak z romansu dla nastolatek. Przyznam, żałuję trochę, ponieważ mu przygadałam, że widać, że nikogo tak bardzo nie kochał, boby rozumiał takie uczucie. Kris, zamiast zwyczajowo mi się odgryźć, odwrócił się na pięcie i pognał na dół. Usiadł w tramwaju po drugiej stronie i nie odzywał się do mnie do końca wieczoru. Mam wyrzuty sumienia, ale zirytował mnie tym razem bardzo.

Niedziela w nocy/poniedziałek

Uff, jesteśmy już w pociągu z Berlina do Warszawy. Chyba nam się udało. A było tak: po południu chłopaki pojechały do szpitala po Heinricha, my w tym czasie z Lulą dokończyłyśmy pakowanie, sprzątanie i obiad dla Heinricha i Mitzi. Był bliski płaczu, jak to zobaczył. Wyściskał nas jak nie Niemiec i zapowiedział, że od teraz już zawsze mamy u niego nocowanie, jeśli tylko wpadniemy znowu do Stuttgartu. Bardzo bym chciała, dobry chłopak z niego, ale nie sądzę. Z uprzejmości powiedzieliśmy, że i my go też zapraszamy, wyślemy adresy, telefony... et cetera, też ściskamy. Jeszcze zamówił nam taksówkę na lotnisko, pomachaliśmy mu z dołu i już. Ledwie ruszyliśmy, Lula poleciała kierowcy, by zmienić trasę i pojechał na dworzec główny, trochę się pultał, ale powiedziała to swoim tonem, od którego nawet jak

to piszę, mam ciarki na plecach: „Bitte, keine Diskussion!”, więc się zaraz zamknął i nas zawiózł na dworzec. Wczoraj uradziliśmy, że zwracamy bilety lotnicze, bo nie możemy zabrać antab w bagażu podręcznym do samolotu. Nie, proszę pana, nic nie przewozimy, to tylko małe artefakty ze średniowiecza znalezione na pchlim targu, kopie oczywiście. Kupiliśmy w kasie bilety do Berlina, a z Berlina jedziemy kolejnym już pociągiem do Warszawy. Po drodze zdecydujemy, czy wynajmiemy samochód, czy Karol po nas przyjedzie. Najważniejsze: żadnych nazwisk nie było potrzeba w kasie podawać. Inaczej niż przez internet lub przy locie samolotem. Nie chcemy zostawić żadnego śladu.



*Głupstwa dorosłych nazywa się zajęciami.
Kiedy zaś chłopcy głupstwami się zajmują,
dorośli wymierzają im karę.*

św. Augustyn, *Wyznania*, tłum. Zygmunt Kubiak

POWRÓT DO DOMU

Podróż pociągiem była długa i wyczerpująca, bo razem z przesiadką w Berlinie, na którą mieli raptem półtorej godziny, trwała dwadzieścia jeden godzin. Karol przyjechał po nich z Wickiem na dworzec i porozwoził do domów.

– I jak wycieczka? Dużo zwiedziliście? – zapytał.

Coś mu tam odpowiadali na tyle niemrawo, że aż spoglądał podejrzliwie. Przecież wiadomo, nic mu nie powiedzieli przed wyjazdem, boby ich nie puścił. Gabryś argumentował, że po pierwsze, chciałby im przeszkodzić albo zakazać, a oni nie są dziećmi, żeby im coś zakazywać, a po drugie, jakoś głupio było powiedzieć dziecku, dorosłemu co prawda, że zamierzają się, nazwijmy to wreszcie po imieniu, włamać do cudzego mieszkania. Szczególnie jeśli Gabryś latami wygłaszał mu kazania dydaktyczne, kiedy Karol w młodzięcym wieku wybierał różne ścieżki na lewo, nie zawsze właściwe. Ale w końcu wybrał na prawo, które szczęśliwie skończył. Odpowiadali więc półsłówkami, wymawiając się zmęczeniem. Sytuację ratowała jak zawsze Ada, bo z entuzjazmem opisywała ze szczegółami zwiedzane zabytki.

Kiedy Lula dłubała w milczeniu widelcem w łązankach z kapustą, które Karol specjalnie dla niej zrobił, bo je uwielbiała, Karol zapytał wprost:

– Ej, co jest grane? Pożarliście się?

Tego by nie chciał, żeby na starość się rozstali. Paru geniuszy, których znał, postanowiło na emeryturze odnaleźć nowe życie z nowymi partnerami. Jakaś głupia moda się zrobiła, nie że klasycznie po czterdziestce, tylko później. To wszystko przez te suplementy i witaminy, ludzie są dłużej sprawni i dłużej im się chce.

Nie wyobrażał sobie żadnego z nich z kimś innym ani tego, że ich rodzinnego domu nie będzie. Z kim by się tak wygłupiał jak z nimi, zawsze gotowymi do wariactwa? Nikt nie ma takich fajnych starych jak on. No nie, trzeba im to wybić z głowy. I zadzwonić do Tesi, niech z matką pogada.

Przyciśnięci do muru, a chyba też z chęci podzielenia się kłopotem, wyznali mu prawdę. Zaczęli od Czerwińska, opata Petrusa i brata Mariana, potem opowiedzieli o tym, co wyprawiał Kris po różowych tabletkach, a zakończyli historią o matce, która została królową niemieckich ultrasów. Oszczędzili mu szczegółów o gzymsie i dość gładko przeszli do nocnego włamania do mieszkania Troyów, po czym położyli antaby i dokumenty na stole.

Karol, na którego twarzy, ku ich zdumieniu, pojawiła się ulga, tylko w miarę jak opowiadali, przenosił oczy z jednego na drugie.

W końcu wybuchnął śmiechem. Nie tego się spodziewali, ale skoro tak zareagował, może ich sytuacja nie jest beznadziejna. Ludwika wycierała nos, co chwilę wrzucając kolejną zużytą chusteczkę do kosza pod zlewozmywakiem.

– Jest beznadziejna! Niemieccy kibole, a do tego facet, który ma jakieś neonaziolskie ciągoty, wam nie odpuści. I te dokumenty na dodatek... – Karol pozbawił ich złudzeń. – Mamo, do NBA nadal nie da się ciebie sprzedać, a taki mógłby być cudowny transfer – marudził, zbierając chusteczki rozrzucone wokół kosza. Lula jakoś nigdy nie trafiła.

– Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, że aż tacy z was kozacy. A ja się bałem, że wy się pokłóciliście i chcecie się rozstać!

Teraz to oni poczuli się urażeni. Wolne żarty, a niby dlaczego. Nie wolno mu tak nawet myśleć.

Karol kazał im się przyczaić w domach i obiecał, że zobaczy, co da się sprawdzić, neutralnie, przez stare kontakty.

– Tylko proszę, synku, bądź ostrożny, nie chcę mieszać w nasze sprawy żadnych twoich starych kolegów – zareagowała nerwowo Lula.

Codziennie z niepokojem sprawdzali wiadomości polskie i niemieckie, szukając wielkich napisów: „Uwaga na gang seniorów z Polski! Kradną nie tylko samochody, ale też okradają mieszkania”. Mijały tygodnie, mało wychodzili z domu poza spacerami z psem. Wicek po ich powrocie najpierw demonstrował, że jest totalnie na nich obrażony, ale przekupstwo w postaci zgody na dzielenie kanapy w salonie uregulowało na powrót układ i hierarchię w stadzie: Gabryś, Wicek i Lula. W tej kolejności.

– To jest jednak trudna miłość – wzdychała Lula, kiedy Wicek mijał ją bez jednego ruchu ogonem po powrocie do domu.

Ale z czasem doczekała się przejawów entuzjazmu w postaci dwóch czy trzech machnięć na powitanie, z tym że skierowanych bardziej do Gabryśia wybranego nietaktownie przez Wicka na pana, czym zawiódł Lulę, która narzekała, że nawet pies się z nią teraz mniej liczy.

Tymczasem mijały dni i nic. Żadnego alarmu, śladu poszukiwań policji. Gabriel podtrzymywał teorię, że złodziej nie może informować świata, że szuka innych złodziei i ukradzionych wcześniej artefaktów, i że raczej nic im nie grozi, bo trudno ich połączyć ze sprawą. I z całą pewnością nie będzie łatwo ich odnaleźć.

Mieli tylko numer telefonu Gabriela, ale on zaraz po powrocie do Polski zrezygnował z niego i przeniósł się z Playa do Plusa z nowym numerem. Dostał nawet dwadzieścia cztery miesiące promocyjnej opłaty za Disney+, więc świąteczne filmy z pozytywnym zakończeniem w tym roku mieli zapewnione.

Z czasem się uspokoili. Niemniej jednak uznali, że muszą jak najmniej rzucać się w oczy. Antaby i dokumenty ukryli w piwniczce pod domkiem ogrodowym.

– Nie ma opcji, żeby ktoś się zorientował, gdzie jest do niej wejście – powtarzał Gabryś. Ale jak się już wiedziało, to łatwo było się tam dostać.

W sumie Lula musiała przyznać, że ten upór Gabriela, żeby zainstalować pod domkiem nowoczesną modułową piwniczkę ogrodową, opłacił się im szybciej, niż sądziła.

Uległa po dwóch latach przekonywania. Wcześniej nie działały argumenty, że oszczędzą czas na zakupy, rzadziej będą na nie chodzić, bo w idealnym, klimatyzowanym wnętrzu produkty się nie psują – ale to głównie Gabriel chodził po te zakupy. Że mogą mieć dużo miejsca na kolekcję win – jednak mało przecież pili win, woleli rum albo whisky. Zadziałał dopiero, głupio to było jej przyznać, przykład sąsiadów, którzy wynieśli cenne rzeczy do takiej piwniczki i tym sposobem rozczarowali nieproszonych gości odwiedzających ich dom, kiedy wyjechali na urlop. Hasło „Keep up with the neighbours” nie było jej obce. Odmówiła stanowczo tylko zainstalowania w piwniczce telewizora i kanapy, nie będzie siedzieć w dziurze wykopanej w glinie i oglądać serialu. Chociaż wobec tego upału na zewnątrz chłodna piwniczka była kusząca. A już tak do końca przekonał Lulę i Gabrysia do tej piwniczki ogrodowej Lorenzo, mąż Tesi, ich córki mieszkającej od ślubu w ślicznym miasteczku Riva del Garda nad jeziorem Garda. Mieli podobną u siebie w ogrodzie i często z niej korzystali podczas włoskich upałów. Gabryś na początku do wszystkiego w kwestii włoskiej się czepiał, nawet do tego, że ślubu udzielał im burmistrz, który okazał się farmaceutą w lokalnej aptece (czy to w ogóle ważne jest). Nie bardzo mu się podobało, że ma zięcia pół Polaka, pół Włocha (jakby mieszaniec, ani taki, ani taki) i po co to jechać szukać męża tak

daleko (wiadomo, córeczka tatusiowi się urwała. Poza tym, czy on coś robi oprócz tego, że ciągle jeździ na rowerze?). Gabriel wierzył w logikę i ostatecznie przekonał go argument Luli, że Chopin też był pół Polakiem, pół Francuzem, a bardzo go lubi i ciągle słucha. Lula tylko miała nadzieję, że ani Tesia, ani Lorenzo nigdy się nie dowiedzą, że przechowują w tej piwniczce artefakty wyniesione przez Gabrysia z cudzego mieszkania, bo szczere uwielbienie, jakim zięć darzył teścia, mogłoby wyparować.

Nie chcąc rzucać się w oczy, Lula odmówiła w tej sytuacji wydawnictwu aktywnego udzielania się na osobistym profilu autorskim na Facebooku i już naprawdę nie było mowy, żeby cokolwiek zamieszczała na Instagramie, mimo że przemile dziewczyny z działu social media i promocji przekonywały ją, że jest to niezbędne, aby utrwałać rozpoznawalność na długo przed drukiem książki. Lula uparcie odmawiała, nie i nie, da im znać, jak będzie gotowa. Zrezygnowane i trochę złe na nią dziewczyny wymieniały się spojrzeniami. Na koniec spotkania wymogły na niej obietnicę, że zacznie za dwa miesiące. Wkurzające, jak niektórych trzeba ratować przed nimi samymi, kiwały głowami nad uporem Luli.

Wstępnie wymusiły na niej tylko wywiad dla telewizji lokalnej, która jakiś czas temu sama zgłosiła się do wydawnictwa. Wywiad więc już był umówiony i nie do odwołania. Lula się zgodziła, bo doszła do wniosku, że tego nikt nie zobaczy, jako że stacja ma bardzo mały zasięg.

Podczas wywiadu dziennikarka wypaliła, że bardzo są wszyscy ciekawi, bo podobno teraz, zgodnie z doniesieniami ich informatorów, Ludwika bardzo czymś się interesuje w Czerwińsku, zatem czekają na wynik. Wściekła Lula zbagatelizowała sprawę dla

zmylenia przeciwnika. Jakoś tak wyszło, że nie wspomniała o tym wywiadzie ani Gabrysiowi, ani pozostałym.



*Wojna wyrabia szczególną zdolność do
zapominania.*

Carlos Ruiz Zafón, *Cień wiatru*,
tłum. Beata Fabjańska-Potapczuk

WARSZAWA, 9 LISTOPADA 1939

Droga Henrietto!

Śpieszę Ci donieść, że udało mi się bez przeszkód dotrzeć do Warszawy, gdzie spotkałem profesora Lorentza, tego, który gościł u nas z wizytą w ubiegłym roku. Niestety nie był jak kiedyś przyjaźnie usposobiony i czynił nam spore trudności w wykonywaniu naszych tak ważnych starań przy zabezpieczaniu dzieł sztuki, będących wielkimi osiągnięciami artystycznymi germanizmu. Bardzo to było

rozczarowujące, szczególnie że utrudniono nam pracę bez wątpienia dotkliwie. Bezmyślność Polaków jest oburzająca. Ciągłe znajdujemy ważne dzieła sztuki ukryte w piwnicach w warunkach urągających fachowej wiedzy. Czy możesz sobie wyobrazić, że przez zupełny przypadek natrafiłem, w jakimś mrocznym zakamarku między spiętrzonymi zwałami pak, na skrzynie zamkowe z obrazami Canaletta, które natychmiast przeznaczyłem do wywozu? Utrata tego cyklu najpiękniejszych portretów ulicznego życia byłaby niepowetowana.

Nie wiem, co by się stało z wieloma dziełami sztuki, gdyby ministerstwo kultury nie zgodziło się na moją propozycję powołania organizacji do spraw ochrony sztuki, która współdziałałaby z armią, i nie wysłało mnie do Warszawy. Nasze działania w ramach programu *Sicherstellung*¹ są realizowane wraz z grupą niemieckich historyków sztuki i kustoszy z *Einsatzkommando Paulsen*, pod kierownictwem profesora prehistorii *SS-Untersturmführera Petera Paulsena*. Poznałaś go, moja droga, po wykładzie w Berlinie, na który byłem zaproszony. To bardzo kompetentny i wszechstronny fachowiec. Osobiście zwróciłem mu uwagę, aby przesłuchać Lorentza w sprawie 500 obiektów, które miałem w moim spisie, a które zastaliśmy podstępnie ukryte.

Obecnie dostałem zadanie, aby wskazać, które elementy architektoniczne w zamku w Warszawie należy zabezpieczyć przed jego wysadzeniem, a następnie mam wrócić do Krakowa, tego odwiecznego niemieckiego miasta, aby kontynuować prace nad planowanym albumem, który ma być prezentem na urodziny dla naszego wodza Adolfa Hitlera.

I na koniec pragnę się podzielić z Tobą, droga Żono, wspaniałą wieścią: w ostatnie dni października, dekretem właśnie Adolfa Hitlera, mam otrzymać Krzyż Zasługi Wojennej za dokonania poza linią frontu.

Towarzyszyć temu będzie także nagroda pieniężna. Wiem to nieoficjalnie, ale to już pewne, wkrótce przekażę Ci szczegóły. Bardzo będzie nam pomocna, zarówno w zobowiązaniach prywatnych, jak i w realizacji moich naukowych planów. Niestety zgromadzenie kompletnego zbioru antab wymaga sporych środków.

Tymczasem bywaj zdrowa!

Heil Hitler!

Dagobert Troy

[1](#) *Sicherstellung* – z niem. zabezpieczenie.



*Im mniej wiesz, w tym więcej możesz
uwierzyć.*

Stephen King, *Serca Atlantydw,*
tłum. Arkadiusz Nakoniecznik

CZERWIEC, SPOTKANIE Z EKSPERTEM

Tydzień za tygodniem mijały spokojnie.

Trzeba jednak było rozstrzygnąć, która z tych antab, chwilowo schowana w piwniczce pod podłogą domku na drewno i narzędzia, jest tą właściwą. Ale jak to sprawdzić?

Brat Marian nie żył, opat Petrus ciągle w śpiączce w szpitalu, żadnego z braci salezjanów nie mogli zapytać z oczywistych względów. Przypomnieli sobie, że ojciec Marian wspominał nazwisko

historyka, eksperta od romańskich kościołów, niejakiego doktora Henryka Wilk-Kościejowskiego. Nazywał go wręcz swoim przyjacielem, więc uznali, że może on będzie mógł im pomóc.

Odezwali się do niego, powołując się na brata Mariana, i to otworzyło im drzwi.

Pomimo napiętego grafiku pan doktor przystał na propozycję spotkania, i to już następnego dnia. Mieszkał w odnowionej kamienicy w Śródmieściu obok Sejmu, ale samochód musieli zostawić niemal na Pradze, bo oczywiście znalezienie miejsca na parking granoczyło z cudem. Wsiedli do windy rodem z bloków z czasów słusznie minionych, która nie pasowała do ozdobnej drewnianej poręczy i marmurowych schodów oraz rzeźb na ścianach. Mijali wolno kolejne piętra i ku ich zdumieniu na każdym z nich mieszkania były wyposażone w nowe metalowe drzwi, obite drewnem, niektóre miały nawet dodatkowo kraty. Wszystkie wyglądały, jakby w tej kamienicy działał niezwykle przekonujący sprzedawca drzwi albo okolica była wyjątkowo niebezpieczna. W tym pierwszym przypadku, gdyby Lula miała firmę handlową, od razu szukałaby telefonu do tego sprzedawcy, żeby go podkupić. Winda zatrzymała się z szarpnięciem, o mało nie przyprawiając ich o atak paniki. Lula obiecała sobie, że na dół to ona już zejdzie schodami.

Drzwi otworzył im sam doktor Wilk-Kościejowski, bardzo szczupły i wysoki, kiedyś blondyn, w okularach, szarym swetrze, z jedwabnym szalikiem wokół szyi, w nieokreślonym wieku między czterdziestkąpiątką a siedemdziesiątką. Czarne oprawki założył wysoko na czoło. Przez chwilę przyglądał im się w milczeniu, jakby się zastanawiał, kim są. Po chwili jakaś zapadka zaskoczyła, kiwnął głową i nadal milcząc, uprzejmym gestem zaprosił ich do środka.

Zdziwiło ich, jak duże, czy raczej długie jest to mieszkanie. Minęli kilka pokoi, kłaniając się uprzejmie starszej pani układającej pasjansa w przedostatnim z nich. Nawet na nich nie spojrzała. Wilk-Kościejowski wskazał im wygodną kanapę i fotele w ostatnim pokoju, równie zawalonym książkami co poprzednie pomieszczenia, w tym korytarz, przez który ledwie się przecisnęli. Sam zastygł, wyczerpany tym wysiłkiem, w dużym żółtym fotelu typu chippendale. Byli zadziwieni, jak ktoś tak mało ruchliwy i milczący mógł być przyjacielem żywiołowego brata Mariana. Może przeciwieństwa się przyciągają?

Gabriel położył przed nim na biurku kopie zdjęć antaby z Czerwińska, które dostali od brata Mariana, oraz wydrukowane skany zdjęć trzech antab ze Stuttgartu.

– Tutaj są zdjęcia antaby z Czerwińska od brata Mariana, pewnie pan je zna, bo on szukał jej całe życie – wyjaśnił, a doktor skinął głową. Widać oszczędzał energię na gorsze czasy. – A te dostaliśmy od anonimowego ofiarodawcy, prawdopodobnie z Niemiec – Gabrielowi nawet nie drgnęła powieka – który w pełnej dyskrecji pragnie zwrócić antabę do bazyliki. Kłopot w tym, to znaczy ofiarodawca ma kłopot z tym, że wskutek różnych okoliczności trafiły do niego aż trzy. Jak pan widzi, są do siebie bardzo podobne. Brat Marian był ostatnim, który mógł stwierdzić z pewnością, która pochodzi z bazyliki. Czy pan może się podjąć rozpoznania oryginału tylko na podstawie zdjęć? Bo ten ofiarodawca na razie nie zgadza się na pokazanie artefaktów.

Twarz doktora to bladła, to oblewała się rumieńcem. Uznali, że ten gejzer uczuć jest wyrazem zainteresowania, tym bardziej że czarne oprawki zjechały na koniec nosa. Nagle mężczyzna zerwał się

i wybiegł bez słowa z pokoju. Po chwili wrócił ze srebrną tacą, na której stało pięć szklanek i dzbanek z sokiem jabłkowym. Wyglądało na to, że dostali akredytację na pozostanie w pokoju.

Doktor przez dłuższą chwilę oglądał zdjęcia przez szkło powiększające, w końcu sięgnął po album o Czerwińsku, taki sam, jaki oni kupili w sklepiku podczas wycieczki. Wiedzieli, że szuka zdjęcia z wyprawy objazdowej konserwatorów po Polsce na początku dwudziestego wieku, które oni w większym formacie dostali od brata Mariana. Na dodatek ze zbliżeniami.

Uczony odłożył na bok szkło powiększające.

– Szkoda, że nie można zobaczyć tych antab. Będzie trudno, ale na szczęście jest dużo tych zbliżeń z każdej strony. Na pierwszy rzut oka wyglądają, jakby pochodziły z tego samego warsztatu, ale widać różnice – mówił cicho, ale głos miał zaskakująco przyjemny.

Przede wszystkim zaskoczył ich, że w ogóle wydał z siebie jakiś dźwięk. Gabriel już zaczął podejrzewać niedawną tracheotomię przez ten ściśle owinięty wokół szyi jedwabny szalik i prezentowaną przez doktora komunikację jedynie niewerbalną.

– Muszę się skonsultować z kolegą profesorem, specjalistą od giserników średniowiecznych, to znaczy odlewników – wyjaśnił, widząc ich dość pusty wzrok, choć kiwali głowami, że niby wiedzą, o co chodzi. – Kościstym palcem wskazującym przytrzymał stertę zdjęć, którą chciał zgarnąć ze stołu Gabriel. Przewidzieli to na szczęście i zrobili dodatkowy komplet skanów.

– Okej, tylko nam, to znaczy... ofiarodawcy, zależy na pełnej dyskrecji. – Ludwika zniżyła głos, odwracając się w stronę drzwi.

Wilk-Kościejowski machnął w tym samym kierunku lewą ręką.

– E tam, głucha.

– Ofiarodawcy zależy ogólnie na dyskrecji, więc prosimy o rozważne dzielenie się materiałami, a wręcz niezostawianie ich u nikogo – uściśliła Ludwika.

– Tak, tak, naturalnie – potwierdził skwapliwie naukowiec, ciągnąc dalej oburącz stertę ze zdjęciami do siebie. Gabriel chwilę jeszcze przytrzymał je ze swojej strony, stopniowo obserwując, jak się mu wyślizgują, aż doktor z widoczną ulgą wyrwał je mu wreszcie całkowicie.

– Może NDA? – powiedział Kris, porozumiewając się z Gabrielem spojrzeniem, i od razu sam sobie odpowiedział: – No, ale wtedy nie da się skonsultować z kolegą profesorem kwestii giserników...

– Otóż to, otóż to. – Jeszcze bardziej ożywiony Wilk-Kościejowski zamknął odbitki zdjęć w szufladzie w biurku i ostentacyjnie schował klucz do kieszeni, klepiąc się po niej na znak, że jest tam całkowicie bezpieczny.

Na koniec wizyty w ostatniej chwili zdecydowali się na pokazanie odbitek dwóch zdjęć formatu zapalek, na których dwóch mężczyzn w mundurach rozmawiało z zakonnikiem.

– Według mnie jest to jakiś salezjanin i być może fotografia została wykonana w Czerwińsku, ale gwarancji nie dam, bo nie widać ani Wisły, ani bazyliki. Gdzieś widziałem podobne zdjęcie, gdzie to było... ja sobie to przypomnę. – Doktor wydawał się bardzo podekscytowany. – Mogę? – Zgarnął je równie stanowczo jak poprzednie do szuflady. Cała procedura z kieszenią się powtórzyła.

Umówili się na kolejne spotkanie za dwa tygodnie. Wilk-Kościejowski zapewnił, że powinien już wtedy wiedzieć coś więcej.

Nie powiedzieli mi o dziwnym koleżu, jaki znaleźli w kartonowym pudełku ze Stuttgartu, którego zawartość dopiero zaczęli przeglądać.

Na archiwalnym zdjęciu z procesu norymberskiego ktoś wkleił na miejscu dobrze wszystkim znanych głów oskarżonych hitlerowców głowy współczesnych polityków rządzących w Niemczech. Na odwrocie była też lista nazwisk, z których większość nic im nie mówiła. Ale niektóre niestety tak.

Wyszli od doktora z ciężkim sercem. Dzień już powoli się kończył, tym bardziej że niebo postanowiło nasunąć na siebie ciężką kołdrę granatowych chmur. Lunął deszcz, ubrania lepiły im się do ciała. Lula nie była pewna, czy ten zimny strumień płynący po plecach to deszcz, czy ostrzeżenie przed nadchodzącym czymś, czego nie chciała.



*Najwyższą tajność uzyskuje się często przez
ostentacyjną jawność.*

Robert Ludlum, *Tożsamość Bourne'a*,
tłum. Andrzej Dobrosz

BRESLAU, 12 LIPCA 1942

Droga Henrietto!

Cieszę się, że możesz znowu korzystać z gościnności rodziny i wypoczniesz na wsi. Oby świeże powietrze i mleko wzmocniły Cię na tyle, żebyś mogła powrócić do mnie jesienią. Ja tymczasem porządkuję papiery i notatki, szykując się do wykładów w tym semestrze. Szkoda, że nie udało mi się kontynuować pracy na terenie byłej Polski, ale mam tutaj wystarczająco dużo zadań. Trzeba mi się też pogodzić z tym, że być

może nie uda się już nic zrobić z kołatkami z Drzwi Korsuńskich. Muszą mi wystarczyć te, które mam, a co do reszty, to w miarę możliwości trzeba będzie wykonywać kopie. Staram się o audiencję u H. Himmlera, żeby poprosić o zgodę na zdjęcie i zbadanie kołatek z Halle i z Hadmersleben oraz na dołączenie do grupy naukowców we Francji. On akurat rozumie te kwestie w kontekście sprawy narodowej. Wiem, że nie pochwalasz akurat tego mego zamierzenia, ale wierz mi, gdybym nie był pewny mych decyzji, tobym tak nie nalegał. Zebrane razem mogłyby odmienić los nasz i naszego narodu. Pomyśl raz jeszcze o znaczeniu mojego imienia i o tym, dlaczego mi je nadano.

Pytałaś mnie w ostatnim liście, dlaczego upieram się, żeby tych kołatek było dziewięć. Spróbuję jeszcze raz wyjaśnić Ci pokrótce, na ile to możliwe w liście. Dla Zakonu cyfra trzy symbolizowała dawną wiedzę, a antaby miały stanowić furtkę prowadzącą do zrozumienia tajemnic. Wszystkie one kryją sprawy, z którymi trudno mierzyć się ludzkiemu umysłowi, lecz mimo to są rzeczywiste.

Mam nadzieję, moja droga Henrietto, że Ci objaśniłem te kwestie na tyle, na ile mi wolno. Teraz już rozumiesz, dlaczego tak się upieram, aby każde nasze mieszkanie było oznaczone cyfrą trzy albo dziewięć.

Heil Hitler!

Dagobert Troy



*Prawda jest dziwniejsza od fikcji. Dzieje się
tak dlatego, że fikcja ograniczona jest
możliwościami wyobraźni. Prawda – nie.*

Mark Twain, *Król i osioł oraz inne opowiadania*, tłum. Antoni
Marianowicz, Antoni Słonimski, Anna Świdorska, W. Pawlak

POŁOWA LIPCA, WARSZAWA, DRUGIE SPOTKANIE Z EKSPERTEM

Doktor Wilk-Kościejowski odezwał się po kilku tygodniach z nowymi wieściami. Potwierdził, że zdjęcia niewątpliwie zostały zrobione w Czerwińsku w czasie wojny. Skontaktował się z nim mieszkaniec Czerwińska, który ma, jak się okazuje, inne z tej samej serii. To miłośnik lokalnej historii, Michał Walczak, wnuk miejscowego

fotografa, Stanisława Walczaka, który robił te zdjęcia dla Niemców po tym, jak zajęli klasztor salezjanów i urządzili w nim szkołę żandarmerii.

Pan Michał zapowiedział, że będzie przejazdem w Warszawie w sprawach prywatnych i przywiezie ze sobą zdjęcia dziadka. Bardzo się cieszy na spotkanie z panią Ludwiką, bo oglądał wywiad z nią w lokalnym programie *Nasze gwiazdy* i jest ciekawy, na cóż to pani Ludwika natrafiła.

Doktor Wilk-Kościejowski wyraźnie uradowany wycierał okulary w serwetkę, na której stały szklanki z sokiem jabłkowym w oczekiwaniu na pana Michała.

Wymienili spojrzenia.

– O jakim wywiadzie pan mówi? – zdziwił się Gabriel.

– Och, nic takiego, dawno kiedyś – wymamrotała Ludwika, upuszczając długopis i nurkując pod biurko. Jak długo jednak można szukać długopisu pod biurkiem, nawet tak dużym w typie gabinetowym z okresu międzywojnia, jak to należące do doktora Wilk-Kościejowskiego. Lula przetarła mankietami białej bluzeczki, wykończonymi brabancką koronką, lekko zakurzone lwie łapy, na których dumnie stało antyczne biurko (co oni wszyscy z tymi lwami), i macała dalej. Nad nią, na spodzie szuflady biureczka, ktoś nagryzmolił ołówkiem kopiowym: *Hic sunt leones*, czyli: Tu są lwy. Tak oznaczano kiedyś białe plamy na mapie. I tak mówił Wilhelm do Adso w powieści *Imię róży*. To by się akurat zgadzało. Teren był nieznany.

Kiedy tak dumiała, po drugiej stronie zobaczyła twarz doktora przyglądającego się jej bez śladu zdziwienia i tuż za nim okrąglą, uśmiechniętą twarz obcego mężczyzny.

Pan Michał okazał się przemiłym i rozmownym człowiekiem. Opowiedział im, że jego dziadek miał zakład niedaleko rynku, blisko tylnej bramy kamienicy ogrodnika Ottona Blecha, niemieckiego kolonisty, który urodził się i wychował na tych ziemiach. Wnuk doskonale pamiętał wiele razy opowiadane mu historie o tym, jak do miasteczka wjechała kawalkada Niemców na motorach i w ciężarówkach.

– Początkowo byli mili, częstowali nas papierosami, a dzieci cukierkami. Szybko im przeszło. Siostra dziadka została skierowana jako służąca do domu Blecha, z czego się na początku cieszyli, bo miała bardzo blisko, ale wracała wykończona z pracy po godzinie policyjnej, bo jej nowa pani zarzucała ją ogromem roboty. Sam Blech nie był zły, tak przynajmniej opowiadał dziadek. – Pan Michał szczegółowo nakreślał tło historyczne. – Miał dużo wpływów u nowej władzy, ale szanował rodzinę dziadka, którą znał sprzed wojny. Pomógł mu zresztą kiedyś zwolnić się od przymusowego wyciągania gruzu z Wisły po zawałonym moście, do czego został zapędzony przez żandarmów. Wytłumaczył miejscowemu komendantowi, że zamiast kazać dziadkowi stać po biodra w lodowatej wodzie, w miasteczku bardziej potrzeba zawodowego fotografa, bo jest jedyny w okolicy. Dziadek, dzięki rekomendacji Blecha, został stałym fotografem oddziału i szkoły żandarmerii, która zajęła niemalże wszystkie pomieszczenia w klasztorze. Robił zdjęcia żołnierzy upozowanych na generałów, a że miał wyjątkowy zapał i talent do retuszowania, to spędzał wiele godzin przy pulpicie podświetlonym lampą, wygładzając ołówkiem na negatywach szyje i powieki żon nowych właścicieli miasta i okolicy. Wkrótce stał się ulubieńcem pań i miał nawet specjalny glejt od komendanta do

poruszania się po godzinie policyjnej. – Pan Michał uśmiechnął się na wspomnienie wyjątkowych uzdolnień dziadka. – Zatrzymany w nocy błyskał gapą: *Hier ist bescheid*¹ i oświadczał, że otrzymał polecenie od komendanta, po czym zdecydowanie ruszał dalej, nawet się nie oglądając. Wykorzystano to oczywiście w jego pracy konspiracyjnej, ale to zupełnie inna historia, na inne spotkanie. – W jego głosie zabrzmiała duma.

Wilk-Kościejowski podsunął mu szklanę z sokiem. Pan Michał upił łyk i kontynuował opowieść.

– Któregoś słonecznego jesiennego dnia zawołano go do klasztoru. Było tam dwóch nieznanym mu eleganckich Niemców w mundurach esesmanów, wokół których biegał w lansadach komendant. Jednego tytułował: *Herr Doktor*. Dziadek zapamiętał bardziej drugiego z nich, chudszeo, podobno profesora, bo co chwilę wyciągał białą chusteczkę, którą przecierał okulary i spocone czoło, o, zupełnie tak samo jak pan doktor teraz. Kazano mu zdjęć z różnych stron zbliżenia tej starej kołatki, która przedtem wisiała na bocznych drzwiach kościoła, obitych żelaznymi sztabami. I zdemontowanych dwóch dzwonów oraz drewnianej figury Matki Boskiej, takiej skręconej na bok. Wyglądała na bardzo wiekową, podobno z kaplicy z jednej z okolicznych wsi. Ten profesor miał powtarzać, że i Matka Boska, i antaba są bardzo starymi dziełami sztuki, wykonanymi przez niemieckich rzemieślników. Potem kazano mu zrobić zdjęcia, jak się wyraził ten chudy profesor, „reportażowe”. Spędzono dzieci z okolicznych domów, wtedy w Czerwińsku było sporo niemieckich rodzin, rozdano im baloniki i latawce i kazano biegać pomiędzy motocyklami i żołnierzami radośnie szczerzącymi zęby. – Pan Michał podniósł rękę, jakby

trzymał na sznurku jeden z balonów. – Potem ci dwaj Niemcy pozowali z kilkoma zakonnikami na tle klasztoru, po tej i po drugiej stronie Wisły, gdzie ich przewiózł swoją łodzią stary Willi, bo miał najlepszą. Jaki był cel tej sesji, nie wiedzieli, ale mówiono w okolicy, że ten chudy to znany profesor z Wrocławia. Podobno zdjęcia potrzebne mu były do książki czy wystawy o niemieckiej sztuce na terenach wschodnich. Dziadek wybrał dla nich najlepsze, a resztę wywołanych schował w skrytce w zakładzie, gdzie przetrwały wojnę, tak jak i inne dokumentujące, co Niemcy robili w Czerwińsku.

Na zdjęciach dziadka pana Michała oprócz dwóch Niemców rozmawiających z ożywieniem z zakonnikiem widać było w oddali klasztor i charakterystyczne wieże bazyliki. Na jednym z nich, podobnym do tych malutkich dwóch od brata Mariana, choć w innym kadrze, na odwrocie było napisane: *D. Troy i K. Bruckmann*.

Trochę oszołomieni przyglądali się przez szkło powiększające charakterystycznemu zawijasowi przy literze „y” w nazwisku Troy. W tym momencie poczuli, jakby sok jabłkowy napełnił się bąbelkami radości, która powoli zaczęła krążyć w ich żyłach i docierać do głowy.

Więc mieli w ręku zdjęcie potwierdzające, że Troy był w Czerwińsku w czasie wojny, czego się wypierał do końca życia, robiąc nadal karierę naukową i będąc zapraszany na gościnne wykłady na uczelniach w całej Europie. Na dodatek pozował do fotografii w mundurze esesmana, czego nikt nie mógł mu do tej pory udowodnić, bo nigdzie nie było śladu, żeby go nosił. Jego dzieci, powszechnie szanowane, kroczyły spokojnie ścieżką naukowej kariery.

Kris nie byłby sobą, gdyby nie rzucił cierpko:

– Obawiam się, że nazwisko napisane na odwrocie nie będzie uznane za dowód, zwłaszcza że podpis jest stary, a zdjęcia są tak małego formatu, że po powiększeniu wyjdą same ziarna.

Doktor Wilk-Kościejowski, po chwili zastanowienia, pokiwał twierdząco głową: niestety Kris ma rację. Ale nic to, muszą się umówić na kolejną wizytę, bo ich gospodarz czeka na wyniki ekspertyzy antab na bazie dostarczonych mu zdjęć.

Wieczór uderzył ich lipcowym żarem i zaduchem spalin samochodów parkujących na chodnikach i zaskoczył głośnym tłumem nadciągających przedstawicieli narodu, którzy pomimo wakacji wracali z Sejmu, po pracowitym dniu, do domów i hoteli, aby tam dalej pracować. Ludwika poczuła się uspokojona, że ktoś czuwa nad nimi bez względu na porę roku.

Za przesadę jednak uznała, że to czuwanie posuwa się aż do wędrowania za nimi do parkingu, który jak zwykle znaleźli niemal na Pradze, ale pozostali przekonywali ją, że czas najwyższy popracować nad jej manią prześladowczą, a może nawet manią wielkości, jak by się nad tym spokojnie zastanowić. Nie wyglądało na to, żeby ktoś się nimi specjalnie interesował i ich śledził. W wakacyjny wieczór wszyscy dokądś zmierzali rozbawieni, nie mogąc zasnąć od gorąca, jakie oddawały stare kamienice. Czwórka seniorów o tej porze była transparentna jak firanka pod światło.

¹ *Hier ist bescheid* – z niem. Oto jest.



*Świat jest dziwnym miejscem, miejscem
niezwykłym i interesującym. Wszyscy ludzie
są obłąkani, wszystkie inne zwierzęta są
obłąkane, ziemia jest obłąkana, nawet
przyroda jest obłąkana.*

Mark Twain, *Aforyzmy i sarkazmy*,
tłum. Marian Dobrosielski

Ciemność spadła na miasto razem z czarną mgłą. Poczul się jak w środku horroru, a nie zwykł panikować. Cień przemknął przez korytarz, ale chyba miał coś na sumieniu, bo zniknął w mroku dalszych pomieszczeń. A on raczej raczej nie chciał zwracać na siebie uwagi.

Powietrze przesiąknięte było złymi intencjami, choć niewykluczone, że był to zapach przypalonego popcornu z kuchni z mieszkania na parterze. Myśl, że ten nowy sąsiad, kompletny głupiec, beztrósco przygotowywał sobie seans filmowy, ukłuła go jak igła i jeszcze wzmogła jego irytację. Ta zuchwała kradzież stanowiła dla niego obelgę nie tylko dlatego, że nagłaśniała czyn, który zdarzył się dawno temu. A on nie może wystąpić przeciw nim oficjalnie, ponieważ nie ma dowodów. Oficjalne znalezienie przedmiotów byłoby równoznaczne z rozpoczęciem dyskusji o posiadaniu prawa do nich. On tylko chce odzyskać to, co uważa za swoje.

To, co przyszło mu na myśl, jako oczywiste w tej sytuacji, to zemsta. Planował każdy krok, szukał każdej szansy na odwet. Z jednej strony chciał być brutalny, ale z drugiej musiał być dyskretny. Powinni poczuć się tak samo jak on, kiedy pozbawiono go jego własności i zlekceważono jego rodzinę. Nie pozwoli sobie wydrzeć tajemnicy.

Muszą zostać uwięzieni w labiryncie własnego oszustwa, kiedy będą szukali sposobu, aby uciec przed jego gniewem. Oni jeszcze tego nie wiedzą, ale ich czas się kończy.



*Gdy spodziewasz się najgorszego,
otrzymujesz w końcu coś, co nie jest takie
złe.*

Mark Twain, *Aforyzmy i sarkazmy*,
tłum. Marian Dobrosielski

PRZEŁOM LIPCA I SIERPNIA, TRZECIA WIZYTA U EKSPERTA

Trzecie spotkanie przyniosło prawdziwą niespodziankę. Kolega doktora, profesor od giserników, stwierdził, pomimo utrudnionego zadania, czyli braku możliwości zbadania egzemplarzy na żywo, a jedynie na podstawie licznych zdjęć, że jedna z antab jest z pewnością średniowiecznym artefaktem. Dwie pozostałe, mimo że

nieomal identyczne, to świetne kopie, zmyślnie postarzone odlewy. Nawet niekoniecznie tego samego artefaktu. Trudno jednak określić ich wiek, ponieważ kopiowanie nie jest wbrew pozorom wynalazkiem współczesnych gimnazjalistów, trenującym obecnie chatboty sztucznej inteligencji w odrabianiu za nich zadań szkolnych w rodzaju: Napisz rozprawkę o motywach podróży w *Krzyżakach*.

Profesor potrzebował jeszcze trochę czasu na dalsze badania, ale już same te informacje były niezwykle. Wszystkich intrygowało, dlaczego rodzina Troya zbierała te antaby i w ogóle dlaczego było ich aż dziewięć. O tym akurat mu nie wspomnieli, żeby nie wchodzić w krępujące szczegóły.

Po drugiej wizycie w domu eksperta Lula miała wrażenie, że ktoś ich śledzi. Wyśmiali ją wtedy, ale teraz sami czuli, że wokół nich dzieje się coś dziwnego. Oglądali się, lecz nikogo nie zauważyli. Ich kroki odbijały się echem od ścian kamienic. W oknach nie paliły się prawie żadne światła.

Bez umawiania się, jakby dźgnięci elektrycznym pastuchem, najpierw przyśpieszyli, a potem jednocześnie zerwali się do biegu. Pędzili ulicą Frascati na dół w takim tempie, że nawet Gabriel się zadyszał, choć zawsze twierdził, że przebiega codziennie minimum dwadzieścia kilometrów dla zdrowia.

Przy skwerze Batalionu AK „Miłosz” musieli przystanąć, żeby odpocząć przed kolejnym biegiem wzdłuż ulicy Nulla, idącej na wprost pomnika z popiersiem. Lula obiecała sobie, że potem sprawdzi, czym zasłynęli i AK „Miłosz”, i ten Nullo, że wylądowali w tej zacnej okolicy.

Obejrzeni się znowu za siebie. Chyba bez sensu dali się ponieść panice. Na ulicy pusto, tylko na skwerze obok pomnika w ciemnościach słyhać było młodzież prowadzącą gorącą dyskusję ideologiczną.

– To ważne, że mamy taką zaangażowaną młodzież. Ciekawe, kto im patronuje w tę ciepłą noc – zainteresowała się Ada.

– To Włoch, Francesco Nullo, zginął w powstaniu styczniowym. Ten pomnik odsłonił w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku sam minister Ciano, zięć Mussoliniego – wypalił Kris, łącząc się na poczekaniu z serwerem wszechświata, kiedy i Lula zaczęła się zastanawiać głośno, kto to taki. Wytrzeszczyli na niego oczy.

– No to jeszcze pewnie wiesz, kto to był ten AK „Miłosz”, bo przecież raczej nie nasz noblista – odezwał się Gabriel z pewną dozą zgryźliwości, poirytowany pełnym podziwu wzrokiem, który i Lula, i Ada wbiły w Krisa.

– A wiem akurat, to oddział AK walczący w powstaniu warszawskim. Nazywał się tak od pseudonimu dowódcy. Jedyne oddział z głuchymi żołnierzami. Wcielili ich po zdobyciu Instytutu Głuchoniemych, który jest tutaj niedaleko.

– Ci przynajmniej nie słyszeli strzałów i wybuchów bomb – palnął Gabriel jeszcze bardziej zły.

– Wstydzilibyś się. – Lula spiorunowała go wzrokiem. Ada nie wiedziała, jak zareagować, bo rzeczywiście nie nadawało się to do obrony.

Ucieszyli się na widok swojego samochodu jak na widok starego znajomego. W milczeniu wyjechali na drogę podrzędną w kierunku Leszna.



*Zawsze będziesz odpowiedzialny za to, co
oswoiłeś.*

Antoine de Saint-Exupéry, *Mały Książę*,
tłum. Jan Szwykowski

CZERWIŃSK, 1938

Edward znowu płakał przez sen. Śniła mu się wczorajsza kolacja, przy której, sam nie wiedział dlaczego, łzy kapały mu na rękaw zwisający nad talerzem. Rafael tylko na niego spoglądał z daleka, o nic nie pytał.

– Obudź się. – Delikatne szarpnięcie wyrwało go ze snu. – Ciii...
– Palec położony na ustach skutecznie zatrzymał pytanie z zaskoczenia.

Było jeszcze ciemno, niewątpliwie przed prymą. Zakonnik rzucił spojrzenie w głąb dormitorium; reszta spała. Na zewnątrz pokazał Edwardowi gestem, żeby poszedł za nim. Weszli na drugie piętro, położone częściowo pod skosami dachu i ciemne nawet w ciągu dnia, a teraz pogrążone w aksamitnej czerni. Wszyscy spali, tylko z dołu dochodził dym z rozpalanego pieca pod kalefaktorium. To koadiutor brat Anzelm szykował go jak zwykle, żeby zakonnicy mieli się gdzie ogrzać po porannych modlitwach. Wstawał najwcześniej, bo jesień już dawała się we znaki, a to było jedyne ogrzewane miejsce w całym klasztorze pomimo funkcjonującej elektrowni i prądu, z którego za opłatą korzystali też mieszkańcy Czerwińska.

Rafael zatrzymał się przy ciężkich szafach bibliotecznych, w których przetrzymywano mniej cenne książki, niemieszczące się w głównej bibliotece klasztornej, i kazał Edwardowi się odwrócić. Kiedy pozwolił mu znowu spojrzeć, część szafy bibliotecznej stała w poprzek i w ciemnym otworze widać było wąski korytarz i schodki prowadzące na dół. Rafael podkręcił światło i Edward dopiero teraz zobaczył, że opat trzyma w ręku starą lampę naftową, używaną czasami w stajni, kiedy zabrakło prądu. Zamknął za nimi drzwi, które okazały się równocześnie tyłem szafy. Edward w życiu by na to nie wpadł. Wzdrygnął się, kiedy się zatrzasnęły z cichym skrzypieniem.

Korytarz miał mniej niż metr szerokości i był dość wąski dla dorosłego człowieka o tęgiej posturze, jakim był Rafael, który prawie dotykał biodrami ścian po lewej i prawej stronie. Ale się ubrudzi, pomyślał Edward, widząc, jak kreśli na ścianie pas w ciemnym kurzu.

– To stary nieużywany korytarz, wybudowany jeszcze w średniowieczu w grubości muru, dlatego taki wąski, zaraz będzie

szerszy – powiedział Rafael, odczytując jego myśli. – Kiedyś służył jako sekretne przejście dla ważnych osób między klasztorem a kościołem.

Ciekawe, jak oni się tutaj mieścili, zastanawiał się Edward. Przypomniawszy sobie, że na obrazach, wzdłuż korytarza przy refektarzu, wisiały stare portrety różnych dostojnych i ważnych osób dla zgromadzenia, jak mu powiedzieli chłopcy z jego dormitorium, oprowadzając go pierwszego dnia na prośbę księdza dyrektora. Widać było po nich, że zgromadzenie miało dobrego kucharza, o czym sam się miał przekonać. To była jedna z tutejszych zasad, nikt nie może być głodny, jeśli ma pracować i wydajnie się uczyć.

Zeszli jeszcze kilka stopni i znaleźli się w miejscu, w którym schody rozdzielały się na trzy strony. Dwa przeciwległe korytarze prowadziły w górę, a trzeci schodził na dół i ginął w ciemnościach.

– To zejście do krypt i karceru, gdzie wsadzano nieposłusznych mnichów albo kleryków, a nawet uczniów, którzy nie odrabiali na czas zadań.

Zaniepokojony Edward zerknął na Rafaela, ale jego żartobliwy ton świadczył o tym, że dzisiaj mu to nie grozi, chociaż rzeczywiście ostatnio się trochę opuścił. Na wszelki wypadek przysunął się do opata, a jego mina wskazywała, że wszystko wkrótce nadrobi.

Schody skręciły lekko i przeszły w kolejny korytarz, już szerszy. Edward starał się nie patrzeć w górę. Na ścianach, na wysokości głowy opata, co parę metrów szczyrzyły się stwory podobne do tych przy portalu głównym, przy wejściu do bazyliki.

Korytarz kończył się ścianą i Rafael kazał chłopakowi się znowu odwrócić. Po chwili, kiedy rozległo się skrzypnięcie, Edward zobaczył przez otwarte drzwi małą salę z dwiema kolumnami po bokach.

W ścianach wykute były wnęki zabudowane drewnianymi półkami. Na niektórych ułożono wielkie księgi wyglądające na stare, tak jak te w bibliotece klasztornej, których nie wolno im było dotykać. Na innych widać było pudła, z których wystawały jakieś papiery. Na środku na drewnianym podeście stała wielka skrzynia z okuciami nabitymi żelaznymi guzami, z łańcuchem wiszącym z przodu. Rafael wyciągnął z kieszeni habitu duży klucz, mający dziwne nacięcia na płaskim trzpieniu, i otworzył skrzynię, trochę ją przy tym zasłaniając. Mimo to Edward zerkał z boku. W środku były jakieś oprawione w czerwoną skórę księgi i rulony pergaminów. Wydawało mu się, że coś błysnęło, jakby złoto. Rafael odwrócił się i położył na jego dłoni małego drewnianego lwa.

– Masz, to jest twój własny skarb. Nie możesz go nikomu pokazać ani powiedzieć, od kogo dostałeś. Przysięgnij.

Edward przyjrzał się figurce. Łeb i grzywa lwa były całkiem wyraźnie wyrzeźbione. Paszczę miał otwartą i wyglądał groźnie z jedną podniesioną łapą. Przycisnął go do piersi. Mimo że skończył dziesięć lat, była to jego pierwsza własna zabawka. Postanowił, że się z nią nigdy nie rozstanie.

Rafael wyjaśnił mu potem, że byli w armarium, klasztornym skarbcu, w którym mnisi przechowują najcenniejsze księgi i dokumenty oraz rzeczy. Lew też jest bardzo stary, więc musi o niego dbać. I że tę drogę do armarium zna tylko on, Rafael, i jeszcze jeden mnich. Edward potem w tajemnicy kilka razy pomimo zakazu opuszczania dormitorium w nocy prześlizgnął się szerokimi, wydeptanymi przez wieki schodami w bocznej klatce schodowej na korytarz na drugim piętrze i próbował naciskać różne półki w ciężkich bibliotecznych szafach. Bez skutku. Żadna nie drgnęła.

Trwały nieruchomo. Mógłby pomyśleć, że mu się to śniło, gdyby nie mały drewniany lew ukryty w wewnętrznej kieszeni.



Jeśli wróg jest w zasięgu, ty również.

prawo Murphy'ego, tłum. obiegowe

ATAK NIEZNAJOMYCH

Kris całkiem sprawnie prowadził, a wszystkie konie jego toyoty RAV4 gnały, jakby wracały do stajni po całodniowym popasie.

Długa i kręta droga prowadziła przez las i to był jeden z powodów, dla którego Lula zastanawiała się nad sprzedażą domu i wyprowadzeniem do innej, gęściej zaludnionej okolicy. Kiedy kupowali ten dom, las był dla nich atutem, zapewniał wytchnienie i ciszę po całodniowej pracy i hałasach miasta. W miarę upływu lat Luli zaczęła doskwierać przyroda i choć nie przyznawała się nawet przed sobą, wieczorami nie lubiła patrzeć w ciemną ścianę lasu po

drugiej stronie szosy. Potem w sąsiedztwie zbudował mały dom Kris, następnie kolejni sąsiedzi zapalali lampy nad drzwiami wejściowymi i na szczęście doskonale się wszyscy zgrali. Zmierzchy nie były już takie samotne, nawet po wyjeździe Tesi na studia w Trydencie i wyprowadzce Karola na swoje, do centrum Warszawy, blisko jego ulubionych barów śniadaniowych i pubów, do których mógł powędrować o każdej porze na piechotę. Lula zamyśliła się i zaczęła drzemać.

– Co jest!?! Upił się... sukinkot je... czy co! – zaklął Kris jak nie on, kiedy nagle za kolejnym zakrętem jadący za nimi od pewnego czasu wielki pikap najechał na nich i stuknął ich w zderzak.

Lula natychmiast oprzytomniała. Ada, drzemiąca do tej pory na przednim siedzeniu, krzyknęła.

Kris przycisnął pedał gazu i konie poszły w galop z piskiem opon. Przelecieli przez skrzyżowanie w pędzie na czerwonych światłach. Kątem oka zarejestrował motocykl, który przewrócił się po lewej stronie.

Światła pikapa oślepiły ich znowu. Usłyszeli trzask wgniatanego tyłu samochodu. Najeżdżał na nich z całą siłą, nie wiadomo, czy chciał ich zepchnąć z drogi, czy ich zatrzymać.

Było jasne, że to nie przypadek.

Gabriel wyciągnął komórkę i wrzucił mapę, żeby zobaczyć, jak daleko są od domu. Pytanie, czy to bezpieczne, żeby w ogóle w tej sytuacji tam wracać.

Ludwika i Ada zacisnęły ręce na uchwytych nad drzwiami. Światła samochodów jadących w przeciwną stronę raz za razem przecinały ciemność jak ostrza. Ludwika widziała uciekające drzewa i znowu gnali przez ciemność.

Odkoczyli, wyprzedzając na długiej prostej kilka samochodów. Ścigający ich pikap był w zasięgu wzroku, miotał się ze trzy–cztery samochody za nimi.

Klaksony ryczały. Usłyszeli, jak ostro hamują pojazdy po lewej i po prawej stronie. Bardziej usłyszeli, niż zobaczyli, że jakiś samochód wgniół tył drugiego. A na ten pierwszy wpadł kolejny.

I znowu byli sami z pikapem pędzącym za nimi jak kula armatnia.

Odkakiwali na chwilę, ale pojazd doganiał ich i brutalnie uderzał w tył samochodu. Ada walnęła głową o przednią szybę.

Lula wpadła z impetem na fotel Ady. Waliło jej serce i szumiało w uszach. Czuła w ustach smak adrenaliny. Przez tego drania z pewnością skoczyło jej ciśnienie. Dlaczego nie ma policji, jak jest potrzebna?

W lusterku zobaczyła twarz Krisa. Nie wyglądał na przerażonego. Obudził się w nim uśpiony kierowca rajdowy. Skupiony naciskał pedał gazu i zerkał w lusterka. Przelecieli obok tablicy z nazwą „Roztocze”.

– Trzymajcie się mocno! – krzyknął Kris, szczerząc zęby. Po czym gwałtownie przekreślił kierownicę w lewo.

Poczuli zapach palonej gumy opon. Kris przeciął w poprzek jezdnię, gwałtownie zahamował i ogłuszony krzykiem zaskoczonych Luli i Ady wbił się samochodem obróconym o dziewięćdziesiąt stopni w krótką przerwę w pasie świateł pędzących w kierunku Warszawy.

Po drugiej stronie usłyszeli pisk opon i huk kolejnego samochodu walącego w tył pikapa, a potem zgrzyt blachy szorującej po jezdni. Klaksony trąbiły z furją.

Pędzili chwilę, po czym Kris skręcił w prawo w przecinłę w lesie. Samochód podskakiwał na wyboistej, krętej drodze.

Nikt za nimi nie jechał. Jedno było pewne, okoliczni blacharze będą mieli sporo pracy po dzisiejszej nocy. Policja również.

Stanęli po paru kilometrach, kryjąc się ze zgaszonymi światłami za stertą pociętych pni. Musieli się zastanowić, gdzie są i co dalej robić.

Nie mogli wrócić do domu, adresy mieli spalone, ale musieli się dowiedzieć, kto to był. Udało się im uciec, ponieważ Kris wykonał manewr zgodnie ze swoim jak zwykle nieprzewidywalnym stylem jazdy. Lula masowała nadwerżony nadgarstek, przysięgając sobie w duchu, że już nigdy nie będzie się z niego śmiała, kiedy znowu pomyli drogę.

– Co to było? – Wyciągnęła rękę w kierunku, z którego przyjechali.

Nikt jej nie odpowiedział. Ada przecierała czoło Krisa, który osunął się bez sił na fotelu. Adrenalina, która go niosła w jego nowym wcieleniu kierowcy rajdowego, wyparowała.

Musieli się ukryć na jakiś czas. Pytanie, gdzie byliby bezpieczni.

– Może pojedziemy na Kaszuby? – odezwała się Ada po krótkim milczeniu. – Za małą wsią Amalka, z zaledwie kilkoma domami, na końcu cypla Jeziora Gowidlińskiego, babcia miała letni domek, bez wygod niestety, właściwie w lesie. Nie został jeszcze zarejestrowany na mnie w księgach hipotecznych, nie zdążyłam. Wiem, gdzie są klucze.

– Jeśli nie ma cię w księgach, trudno będzie go namierzyć – zgodził się Gabriel.



*W ostatecznym rozrachunku motywy się nie
liczą, czyż nie? Tylko rezultaty.*

Robert Ludlum, *Krucjata Bourne'a*,
tłum. Zdzisław Nowicki

BERLIN, 20 SIERPNIĄ 1950

Droga Henrietto!

Już się nie gniewam, że wolałaś zostać z naszym synem Christianem i synową Eriką, niż pojechać ze mną do Berlina, żeby mnie wesprzeć przy nowym projekcie, który powierzyli mi starzy towarzysze. Teraz rozumiem, narodziny naszej pierwszej wnuczki Ditty to wielka radość dla nas wszystkich. Powiem Ci w sekrecie, że miałem nadzieję na narodziny wnuka, ale są młodzi, wszystko przed nimi. I oby też przed

nami. Te ostatnie lata były bardzo ciężkie. Przyznam, że jestem wyczerpany długą walką o moje dobre imię. Czuję się jak ścigane zwierzę. Polscy prokuratorzy jeszcze nadal nie dają mi spokoju, ale dzięki Bogu amerykański i francuski prokurator dali wiarę moim wyjaśnieniom. W końcu kto w tamtych latach mógł się uchylić od współpracy z SS? My, naukowcy i konserwatorzy, przynajmniej staraliśmy się robić tyle, ile było możliwe, aby w tamtych burzliwych czasach ochronić dzieła sztuki. Zawsze mieliśmy poczucie odpowiedzialności za ich zachowanie wobec przyszłych pokoleń.

Dziękuję Ci za pomysł z tymi kosztami drukarskimi. Nadają się doskonale. Marzę o dniu, w którym wszystkie przechowywane w nich artefakty uwolnią swoją moc. Muszę teraz być wyjątkowo ostrożny, bo po oddaleniu zarzutów powoli zaczynają do mnie wracać zaproszenia na wykłady, także z zagranicznych placówek naukowych. No i też ten najnowszy projekt z ministerstwa tchnął we mnie nową energię. Szczęśliwie przywiozłem z Breslau wszystkie moje notatki i dokumenty. Podejmiemy na nowo naszą pracę przerwaną przez niesprzyjające wydarzenia. Musimy mieć przygotowane do druku, w wersji ostatecznej, atlasy oraz albumy ze szlakiem niemieckich zabytków na terenach środkowej i wschodniej Europy. Muszą być gotowe, gdyby nadszedł znowu dogodny moment.

Mało czasu i mało rąk do pracy, ale zgłosił się do mnie z chęcią pomocy młody chłopak, Baldur Koch, może kojarzysz jego rodzinę? Jego ojciec Günter był bardzo związany z H.H. Chłopak chciał poprosić o podpowiedź w kwestii wyboru kierunku studiów. Jest zafascynowany historią sztuki, więc domyślasz się mojej rady. Ale co najdziwniejsze, w czasie rozmowy okazało się, że jego rodzina i on pochodzą, nie uwierzysz, z Czerwińska. Mieszkali tam od dawien dawna. Jego ojciec

był tam znaczącą figurą, miejscowym notariuszem i on do wojny chodził do szkoły prowadzonej przez zakonników. Wyjechali w 1943 do Berlina, po wezwaniu jego ojca do pracy w Reichsministerium des Innern¹. Przypomni mi, że to on był tym małym chłopcem mówiącym po niemiecku, który tłumaczył zakonnikom i miejscowym moje polecenia. Zrobiłem podobno na nim tak silne wrażenie, że mnie zapamiętał i odszukał po latach. Nie martw się, możemy być pewni jego lojalności i milczenia. Nikomu nie wyzna, że tam się poznaliśmy. Miło się dowiedzieć, że na młodym charakterze nasze spotkanie odcisnęło takie piętno. Biorę go pod moje skrzydła.

Szczęśliwie nasz projekt został zaszczycony patronatem i dotacją ministerstwa kultury, a współpracownicy będą otrzymywać miesięczne ryczałtowe wynagrodzenie, co mnie cieszy w kontekście sporych wydatków, jakie mieliśmy ostatnio na lekarzy. I nawet będę mógł sypnąć coś temu Baldurowi, chociaż zapewnia, że jest gotowy pomagać w ramach wolontariatu.

Dbaj o siebie, moja droga, i nie przemęczaj się za bardzo przy wnuczce. Rodzice są młodzi, mają więcej siły.

Pozdrawiam Cię serdecznie

Dagobert Troy

¹ Reichsministerium des Innern – z niem. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Rzeszy.



*Czasami najwięcej cienia rzucają własne
wyjaśnienia.*

Jan Izydor Sztaudynger, Piórka prawie wszystkie

WYZNANIE GABRIELA, KASZUBY

Ada zadzwoniła do córek, informując, że ma pilny wyjazd z interwencją w sprawach służbowych, do czego były przyzwyczajone, i poprosiła, żeby na siebie uważały, a najlepiej wybrały się do ojca na weekend. Dziewczyny uznały, że to dobry pomysł. Gabriel zamienił się z Krisem. Świtało już, kiedy minęli wieś Amalkę, w zimie pełną ludzi z powodu wyciągu narciarskiego, jedyne na Pomorzu, potem małą stację benzynową z dwoma dystrybutorami i pojedyncze gospodarstwa rozrzucone na polanach

wyrwanych z lasu po wichurach. Po prawej na rozdrożu w kępie drzew kryły się resztki fundamentów pałacu byłego właściciela tych ziem, pochodzącego z Berlina. Amalka to podobno nazwa od imienia jego córki. Zaspiane psy podnosiły jazgot, kiedy mijali ogrodzenia kolejnych domostw. Zgasili światła w samochodzie, ale i tak ktoś obudzony stuknął okiennicą i wyjrzał za nimi. Na końcu drogi, zanurzony w kępach sosen, na pagórku łagodnie schodzącym do jeziora stał mały drewniany domek, pokryty czerwoną dachówką, z drewnianymi okiennicami pomalowanymi też na czerwono i ozdobionymi motywem białych, wijących się pędów.

– Wygląda jak domek z piernika. – Lula była zachwycona.

Gabriel ucieszył się, że chwilowo nie zauważyła stojącego obok drugiego małego domku, ze spadzistym dachem z wyciętym serduszkiem. Dałby sobie rękę uciąć, że to stary wychodek, dla Luli coś nie do przyjęcia. Nie miał jednak siły na odwrót i szukanie innego schronienia.

Klucze Ada znalazła na podeście pod trzecią doniczką. Zawsze tu były. Domek, jak im wyjaśniła, pozostawał pod dyskretną opieką zaprzyjaźnionej z babcią rodziny Sowińskich, mieszkających w pierwszym domu przy wjeździe do osady. Należy się spodziewać, że wkrótce tu wpadną, bo akurat oni na bank ich namierzą.

O dziwo, w domku nie czuć było wilgoci, ale w nos buchnęło zagęszczonym kurzem. Otwarte okiennice wpuściły światło, świeże powietrze i pierwsze promienie słońca.

– Ale tu pięknie – westchnęła Lula, wychodząc na próg.

Domek był rzeczywiście maleńki, raptem tylko kuchnia z szafkami, które zamiast drzwiczek miały fikuśne zasłonki w zielone osty, powiększona o kawałek pomieszczenia ze stołem i ławami pod

oknem. Ciasny pokój za kuchnią pełnił funkcję sypialni. Strome schodki prowadziły na strych, gdzie pod niskim skosami, tak że trzeba było się schylić, znajdowało się kolejne miejsce do spania. Lula z ulgą – bo i owszem, zauważyła od razu malowniczy przybytek na zewnątrz – odkryła mikroskopijną łazieneczkę, w której siedząc na sedesie, opierało się kolanami o drzwi. Na tej wysokości miały wgłębienia i wytartą farbę.

Kris i Gabriel uruchomili pompę wodną i wkręcili korki ułożone porządnie w pudełku. Mieli światło, wodę i miejsce do spania. Musieli tylko pojechać do miejscowego sklepiku i kupić coś do jedzenia. Potem odpoczną, odeśpią i zastanowią się, co dalej.

Sklep przemysłowo-spożywczy mieścił się w długim prostokątnym budynku wzdłuż ulicy i był nadspodziewanie dobrze zaopatrzone jak na miejscowość z co najwyżej dwustoma mieszkańcami. Sklepowa Regina Knapik ucieszyła się na widok Ady, która powiedziała, że wpadli ze znajomymi trochę posprzątać, no i też znajomi się zastanawiają, czy nie kupić czegoś w tej okolicy. Zaraz i tak się rozniesie, a tym sposobem skończą się dywagacje, kto i po co. Sklepowa pokiwała głową.

– Pełno tu teraz nowych miastowych. Niektórzy dziwni są. – Lula czuła, jak ich obrzuca krytycznym wzrokiem. – Nie to co pani babcia, pani Helena, to był swój człowiek. Czy pani wie, że obok naszego tartaku pobudowali się tacy, którzy chcą, żebyśmy uciszyli naszego koguta, wie pani, tego wystawowego, jak oni przyjadą na sobotę. Bo za wcześnie pieje i że w ogóle pieje! A oni chcą pospać do dziesiątej. Proszę pani, o dziesiątej to nasz kogut jest już po robocie, popiał o trzeciej, podeptał kury, a teraz se chodzi po łące. Nie będzie darł się po próżnicy o dziesiątej. To co? Mamy mu gardło poderznąć

dla ich widzimi się?! Dobrze mówię, pani Danusiu? – Lula dopiero zauważyła, że przy półce z miodami stoi elegancka, krótko ostrzyżona brunetka, wypisz wymaluj Danuta Stenka, i przygląda się słoikowi z miodem manuka. Kiwnęła głową do sklepowej, że dobrze mówi. – A jajeczko od kurki grzebiącej to by się zjadło! – Pani Regina wzmocniona poparciem z furią zaatakowała plasterki mielonki. Ludwika na wszelki wypadek przyjęła postawę sygnalizującą „kocham koguty” oraz „kogut najlepszym przyjacielem człowieka”. Trochę uspokojona pani Regina włożyła mielonkę zamówioną przez Lulę do plastikowej torby, ale jej mina nie wskazywała, że nabrała zaufania.

Kiedy wychodzili, Lula była prawie pewna, że minęła się z Maćkiem Miecznikowskim, który poszedł na koniec sklepu. Aż zawróciła. Wydawało się jej, że grzebał w koszu z kolorowymi skarpetkami, ale może to poranne omamy z niewyspania. Najpierw Danuta Stenka, a potem Maciek Miecznikowski. Pewnie się zasugerowała tablicą na wjeździe. Gowidlino było o rzut beretem.

Odsypiali ostatnie wrażenia prawie cały dzień. Wieczorem Lula z Adą usiadły na wygrzanym progu domku z plastikowymi kieliszkami wina i zapatrzyły się w milczeniu na zachodzące słońce na dole nad jeziorem.

Gabriel i Kris oparli nogi na zbitym z bali stole pod czereśnią. Rozkoszowali się spokojem wieczoru, kiedy Gabriel nagle zepsuł ciszę.

– Muszę coś wam wyznać – powiedział to takim głosem, że Luli po plecach przebiegł dreszcz. Mogła się wszystkiego spodziewać,

słyszac ten ton. Spojrzała na jego brode, nie miał ani jednego warkoczyka.

Gabriel nie patrzył na ich. Wzrokiem błędził po lesie za domem.

– Jestem związany z Czerwińskim nie dlatego, że poznałem Petrusa – zawiesił głos – ani też dlatego, przepraszam cię, Lula, że tylko szukałem tematu do twojej książki, choć to też oczywiście, ale przede wszystkim z tego powodu, że mój ojciec, Edward, wychowywał się u salezjanów. Zakon prowadził szkoły dla trudnej młodzieży i sierot, a on spełniał oba warunki.



*Dobroć serca jest tym, czym ciepło słońca,
ono daje życie.*

Henryk Sienkiewicz, *Bajka*

LIPIEC 1939, CZERWIŃSK

Od tamtej nocy Edward wielokrotnie dopytywał o tajny korytarz. Rafael zbywał go, aż w końcu obiecał mu, że jeśli na koniec roku będzie miał same dobre oceny, to jeszcze raz go tam zabierze.

I rzeczywiście tego samego dnia, kiedy Edward skończył rok szkolny, pobiegł, machając triumfalnie świadectwem, do opata, który wydawał się bardzo z niego dumny i obiecał, że wkrótce spełni obietnicę.

Edward nie mógł przez kilka dni zasnąć z podniecenia, ale Rafael nie przychodził. Aż któreś nocy obudziło go znajome potrząśnięcie.

Tym razem, zamiast iść w górę korytarzem, zeszli schodami na dół. Rafael pokazał mu wielką salę w przyziemiu, wysoką na kilka metrów, o ścianach wymurowanych z cegieł, podłodze z kolorowych płytek i ze sklepieniem podtrzymywanym – jak w bazylice – przez kilka kolumn. Zamaskowane drzwi prowadziły do kolejnego korytarza z półkolistym beczkowym sufitem, zbudowanym z wielkich ciosanych kamieni obrzuconych zaprawą. Szli nim dość długo, aż Edward poczuł powiew zimnego powietrza, kiedy opat zbliżył się do dziury zarośniętej przez wielkie, poplątane korzenie drzew. Rafael wyjaśnił mu, że korytarz prowadzi przez całe wzgórze i wychodził na mały stary port u stóp wzgórza. Był to korytarz, o którym wiedział tylko opat i jego zastępca, wybudowany jeszcze w średniowieczu, droga ucieczki dla zakonników na wypadek ataku. Podobno również tędy kilkaset lat temu weszli do klasztoru templariusze, kiedy w tajemnicy przy płynęli do Czerwińska, uciekając przed prześladowaniami.

Edward poczuł dumę, że Rafael powierza mu takie ważne sekrety. Postanowił, że będzie się uczył pilnie od niego i w szkole, a przez ten czas dowie się wszystkiego o templariuszach. Jak dorośnie, zostanie rycerzem. Obiecał sobie, że postara się nigdy go nie zawieść.



*Czego człowiek nie przeżyje, tego innym nie
przebaczy.*

Jerzy Leszczyński, Wszystko fraszka

WYZNANIE GABRIELA, CIĄG DALSZY, KASZUBY

Gabriel nachylił się i nalał sobie pełny kieliszek wina. Wypił go jednym haustem, nie patrząc na nich. Nie odzywali się. Zapadł zmierzch. W oddali słychać było tylko krakanie stada wron kotłujących się na drzewie i szykujących do snu.

– Rafael przeczuwał, że na groźbach się nie skończy, że będzie wojna. Jeszcze przed ogłoszeniem mobilizacji, już od sierpnia, znikwały co cenniejsze rzeczy. Poprosił któregoś dnia Edwarda, żeby z pomocą starszego kolegi odkręcił delikatnie antabę. Mój ojciec nie

mógł się przemóc, ciągle to odkładał, bo wierzył, że dopóki antaba wisi na drzwiach kościoła, oni wszyscy – tu Gabriel westchnął – są bezpieczni. Jeszcze tego samego ranka, kiedy Niemcy wieczorem zajechali na dziedziniec, opat Rafael przypomniał Edwardowi o zdjęciu antaby, ale on – Gabriel odchrząknął – to znaczy mój ojciec, zapomniał o tym w ferworze pakowania rzeczy. Po południu, tuż przed wejściem Niemców, dwoma statkami pod opieką księdza Pawła odpłynęła w kierunku Warszawy część kleryków i młodych z nowicjatu. Mieli zamiar maszerować na wschód. Edward, pomimo sprzeciwu księdza dyrektora, odmówił opuszczenia klasztoru. Został razem z paroma osieroconymi chłopcami, którzy jak on nie mieli dokąd iść. Ojca stracił zaraz po swoich narodzinach. Mój dziadek – Gabriel przełknął głośno ślinę – był marynarzem, podobno utonął podczas rejsu. Matkę, czyli moją babcię, która zostawiła go u salezjanów, stracił podczas nalotów na Warszawę zaraz na początku wojny. – Gabriel przerwał na chwilę. – Oznaczało to, że Edward został sam na świecie. Rafael obiecał przerażonemu malcowi, że będzie się nim opiekował. W Czerwińsku w stajniach zostało bydło i konie. Stary Grześkowiak, koadiutor Anzelm i kilku starszych zakonników sami nie daliby sobie rady. Edward nie mógł i nie chciał zostawić Rafaela.

– I co się z nim stało? – zapytała cicho Ada.

– Kiedy Troy pojawił się w klasztorze, od razu skierował się do antaby i krypt. Wiedział, czego szuka. Ojciec do śmierci nie zapomniał spojrzenia Rafaela, który się nawet nie gniewał, tylko miał w oczach pytanie: dlaczego nie dotrzymałeś słowa? Ale Edward przecież był tylko dzieckiem. Rzucił się na Troya, kiedy ten kazał wyrwać antabę. Kazali żołnierzowi go wyprowadzić. Niemcy zajęli

klasztor i przeznaczyli na szkołę żandarmerii. Niemal wszystkich zakonników wywieziono w listopadzie do różnych więzień i obozów. Także Rafaela. Niestety już nie wrócił. Szkołę zamknięto, a szkołę dla dzieci z okolicznych niemieckich rodzin przeniesiono do innego budynku. Pozostałych z nowicjatu i polskie sieroty z internatu, których nie odebrała rodzina, takie jak Edward, któregoś dnia Niemcy wywieźli ciężarówkami pod Warszawę w okolice Łomianek i zabronili im wracać. Edward poszedł piechotą prosto do drugiego domu zgromadzenia w Warszawie na ulicę Lipową, potem przeniesiono go do domu dziecka salezjanów w Miedniewicach pod Warszawą i tam przeżył wojnę. Zostało mu tylko to po Rafaelu. – Gabriel wyjął z kieszeni małą drewnianą figurkę lwa.

– To okropne. – Ada westchnęła ze współczuciem. – Małe dziecko musiało dawać sobie radę od początku.

– Tak, niestety. Ojciec wrócił do Czerwińska dopiero zimą czterdziestego piątego roku. – Gabriel nachylił się i zaczął splatać bezwiednie warkoczyk w brodzie. – Nie wiem, jak to się stało, że ojciec jeszcze w tym samym roku wyjechał do Gdyni do Szkoły Jungów na kursy przygotowawcze, a do Czerwińska wracał tylko w wakacje, jak do domu rodzinnego. Potem uczył się w Szkole Morskiej w Szczecinie na wydziale nawigacji. Zdaje się, że nadal miał ten sam niepokorny charakter, bo podobno często polerował i konserwował łańcuch kotwiczny, który otaczał budynki szkoły. – Gabriel się uśmiechnął. – To była kara dla tych łamiących regulamin. Piął się zawodowo i w końcu pływał po świecie jako pierwszy oficer. W Gdyni poznał w biurze PŻM moją matkę, ale ślub brali w Czerwińsku.

Gabriel urodził się już w Gdyni i tylko kilka razy jeździł do Czerwińska. Mieszkał wtedy w klasztorze i znał wiele jego zakamarków. Biegał po podwórkach i polach z chłopakami w jego wieku, którzy chodzili do szkoły salezjanów i mieszkali na stacji. Jednym z nich był Petrus, wówczas jeszcze Piotr. Bardzo się zaprzyjaźnili. Ot, taka chłopięca przyjaźń na śmierć i życie, jakie się zawiera w tym wieku. Obaj czytali równocześnie te same książki i wyobrażali sobie, że są starodawnymi rycerzami, którzy szykują się na przeprawę Wisłą przed bitwą pod Grunwaldem. Czasami urządzali małe pojedynki na drewniane miecze w ogrodach salezjańskich. Po jednym z nich ojciec opowiedział Gabrielowi, kiedy ten miał dwanaście lat, pierwszy raz swoją historię. Wywarła na nim silne wrażenie.

Mimo że Gabriel obiecał nikomu nie zdradzić tajemnicy, podzielił się jej ciężarem z Petrusem. Klasztor był już wtedy częściowo przebudowany.

Edward pokazał Gabrielowi na dziedzińcu, przy resztce cegieł pozostałych po starych murach, gdzie mniej więcej według niego znajdowała się krypta, do której zaprowadził go opat Rafael. Szukał wyjścia korytarza wiodącego do małej przystani, ale w miarę upływu lat płażało mu się to coraz bardziej i zaczął wskazywać coraz to inne miejsca.

Zakonnicy mieli wystarczająco dużo kłopotów z władzami w tamtym czasie, żeby pozwalać na plotki o ukrytych skarbach, które mogły się skończyć zamknięciem klasztoru i szkoły pod pretekstem badań archeologicznych. Wejście do podziemi zostało w końcu podobno zamurowane i częściowo zabetonowane, a równocześnie wzmocniono fundamenty, resztę zaś zamaskowała natura. Ślad po

korytarzu od strony portu również zaginął w gąszczu ziemi, krzaków i drzew. Dopóki Gabriel jeździł do Czerwińska, razem z Petrusem przeczesywali wzgórze na własną rękę. Potem codzienne życie wciągnęło Gabriela, przestali tam jeździć. Tylko ojciec czasami mu przypominał, że powinni znowu odwiedzić klasztor. Nie było jednak czasu podróżować tam przez pół Polski, a z Petrusem też jakoś urwał się kontakt.

Dopiero niedawno Petrus odezwał się do Gabriela, który wtedy się dowiedział, że nie zmienił on podjętej jako nastolatek decyzji, żeby po skończeniu szkoły zacząć nowicjat u salezjanów. Akurat tak się szczęśliwie złożyło, że odbywał go w Czerwińsku. Potem spędził wiele lat w Oświęcimiu. Gabriel ucieszył się, gdy się spotkali po latach, tak jakby odnalazł brata, którego nie miał. Powspominali stare czasy i Petrus poprosił go o pomoc w pewnej delikatnej sprawie. Dla Gabriela powrót do Czerwińska był jak powrót do dawno porzuconego domu. Oczywiście przygoda i być może szansa odkrycia tajemnicy templariuszy była bardzo kusząca, więc kiedy Petrus zwrócił się do niego z prośbą o wykorzystanie wiedzy i umiejętności Luli i chciał zlecić jej realizację filmu o bazylice, zgodził się od razu. Ale decydująca była nadzieja, że może w połączeniu ze sprawą templariuszy uda się zainteresować Ludwikę antabą. Gabriel uczciwie przyznał, że cały czas pamiętał, że największym marzeniem ojca było odzyskać antabę i zwrócić ją bazylice. A jego, żeby wreszcie o tym zapomnieć.

Gabriel podniósł oczy. Ludwika miała czerwone policzki. Niedobrze, pewnie skoczyło jej ciśnienie. Jąkała się bezładnie:

– Nie wiedziałam... przecież twój ojciec... Trójmiasto... urodził się tam... skąd w Czerwińsku... a ja myślałam... – A potem wstała gwałtownie. – Wiesz, co mnie tak naprawdę wścieka w tej całej historii? Po pierwsze, to, że żyłam z człowiekiem, o którym nie wiedziałam za wiele, jak się właśnie okazuje. Bo mi nie powiedział. A wie, jak dla mnie kluczowe jest zaufanie i prawda. Niby nic wielkiego, ale dlaczego zatem z tego taka była tajemnica? Po drugie, że zmanipulowałeś mnie, nas. – Pokazała na Adę i Krisa. – Wkręciłeś, że to takie ważne, żebyśmy wreszcie nie odkładali życia na później... i te wszystkie gadki o życiu pełną pierśią! A chodziło tylko o to, żeby załatwić własne sprawy! Naraziłeś nas na niebezpieczeństwa w Stuttgarcie, w barze z tymi wariatami, włamując się do tego mieszkania i teraz ktoś chce nas zabić! Nie mówię, że wtedy byśmy z tobą nie pojechali, gdybyśmy znali całą prawdę, ale ty za nas podjąłeś decyzję! Nie dałeś nam szansy! – zakończyła Lula, patrząc na Adę i Krisa.

– Niestety muszę się zgodzić z Ludwiką – wolno zaczął Kris, powoli się rozpędzając. – Czuję się jak idiota. Okłamałeś nas, brachu.

Ada milczała. Obracała plastikowy kieliszek. Na jej twarzy malowały się sprzeczne uczucia. W końcu zdecydowała się powiedzieć, co myśli.

– Wiesz, też czuję się wykorzystana. A wszyscy wiedzą, jak lubię pomagać bezinteresownie – podkreśliła i trochę ciszej dodała, nie patrząc na Gabriela: – Choć bardzo mi szkoda oczywiście Edwarda, twojego ojca.

– Nie roztkliwiaj się tak nad nim, Ada! – uniosła się Lula.

– A ty co się jej czepiasz? – Kris stanął w obronie Ady.

– Bo ja na koniec nawet nie wiem, czy chodziło mu o antabę, czy o te złote monety! – wyrzuciła z furią Ludwika.

Teraz Gabriel się wściekł.

– A ty taka niewinna! Wkręciłaś się tak bezinteresownie? Bez związku z książką i bez związku z ewentualną sławą podczas tej uroczystości stulecia, na którą zjadą się media ze świata? Sorry, wiem, powinienem był wam wszystko powiedzieć, ale po śmierci brata Mariana i zapadnięciu w śpiączkę Petrusa zdałem sobie sprawę, że już niewielu ludzi wie coś więcej na ten temat. I tak, chciałem wreszcie pozbyć się tego poczucia winy z powodu niezłaławionej sprawy, którą ojciec mnie karmił przez całe życie. Teoretycznie powinienem móc liczyć w tej sprawie chociaż na ciebie, Lula, bo do was nie mam pretensji, chociaż jako przyjaciele moglibyście starać się mnie zrozumieć – zwrócił się do Ady i Krisa. Kris udawał, że wiąże sznurówki, żeby zyskać czas na właściwą reakcję.

Ludwika z furią wyciągnęła telefon.

– Masz rację! Teoretycznie tak, ale praktycznie... co jest z tym cholernym zasięgiem tutaj?! – Ludwika potrząsała telefonem. – Już naprawdę ta twoja babcia nie miała gdzie zbudować sobie letniska! Na końcu świata, gdzie nie działają telefony!

Teraz Ada poczerwieniała po czubki włosów. Wybuchnęła:

– Szczerze mówiąc, to nie fair, Lula. Na siłę nikogo tutaj nie ciągnęłam, mówiłam, jak jest. Jak dla mnie możecie – odchrząknęła – każdy może wrócić do własnego domu i tam się zmierzyć z sytuacją, w którą się wpakowaliśmy, w którą zostaliśmy wpakowani!

Gabriel demonstrował mową ciała zaskoczenie. W jego oczach widniał wyrzut: „I ty, Brutusie?“, ale Ada wbiła wzrok w kolorowe eleganckie balerinki, które miały dodać jej szyku podczas wizyty u eksperta, a tutaj nad jeziorem były kłopotliwe. Mina Krisa mówiła, że w pełni popiera Adę. Trzymał wspierająco dłoń na jej ramieniu. Choć sam był zaskoczony stanowczym tonem i treścią wypowiedzi przyjaciółki.

– Nie zamierzam z nim jechać – oświadczyła Lula i owinęła się swetrem. – Idę bliżej wsi, tam na pewno jest zasięg.

Mimo protestów i straszenia ciemnym lasem oraz późną porą Lula poszła niesiona furią i dopiero w połowie drogi zorientowała się, że rzeczywiście jest ciemna noc, jest sama na drodze, na której końcu jak w horrorach wisi złowrogi, okrągły i podlany czerwienią złoty księżyc. Pełnia. Wilkołaki. Duchy. Wilki. Ale honor nie pozwalał jej zawrócić. Las, po obu stronach drogi prowadzącej do osady, trzeszczał. Słysząc było łamiące się gałęzie, jakby ktoś przedzierał się w jej kierunku przez splątane krzaki.

Na szczęście Kris posłany przez Adę, której pierwszej minęła złość, nadjechał akurat w chwili, kiedy serce już jej podeszło do gardła ze strachu.

Wsiadła bez słowa.

Na stacji benzynowej też nie było najlepiej z zasięgiem, trzeba łapać, jak radośnie poinformował ją obsługujący chłopak. Udało się i kiedy zaspany Karol wreszcie odebrał, musiała powtórzyć kilka razy, o co chodzi. Jak bardzo ma dosyć pomysłów ojca, wytłumaczyć, gdzie jest, nauczyć się posyłać pinezkę, co to za świetny wynalazek, człowiek uczy się do śmierci, a ona jest całkiem pojętna. Ojciec bez dwóch zdań już przeszedł samego siebie. Karol obiecał, że przyjedzie

rano, i nie kłóćcie się, proszę, co się z wami ostatnio porobiło. Lula powiedziała, że wyjaśni mu to po powrocie. To się zdziwi, że ma Gabriel korzenie w Czerwińsku, nie w Gdyni. A taki był dumny z tego Grabeksu¹.

¹ Grabex – popularne określenie Grabówka, dzielnicy Gdyni.



*Twoja nieszczęśliwa liczba to jest 1410, kiedy
Niemcy przegrali bitwę pod Grunwaldem.*

Elisabeth Duda do Steffena Möllera w programie TVP2 *Europa da się lubić*, odc. 12

WIELKA BITWA

Kiedy Karol przyjechał rano, wszyscy już na niego czekali. Nie była dobra dla nikogo ta ubiegła noc. Może poza Krisem, bo akurat on sobie swobodnie chrapał ku rozpaczy reszty. Gabriel zostawił śpiwór Luli, a sam położył się na zewnątrz na drewnianej ławie pod czereśnią mimo protestów Ady. Ludwika postanowiła, że się nie odezwie, choć wyglądała parę razy przez okienko na górze i widziała, że to się kładł, to siadał. Wyglądał jak uosobienie wyrzutów

sumienia. Od jeziora ciągnęło chłodem, a on z tymi stawami w jego wieku nie za bardzo powinien... Ale proszę bardzo, skoro chce być taki twardy. W końcu sama usnęła. Zerwała się półprzytomna, dopiero kiedy Karol zadzwonił, że jest blisko.

Rano na dole czekała na nią zaparzona herbata. Lula doceniła w duchu, że Gabriel o tym nie zapomniał. Otuliła się ciasniej swetrem i grzała dłonie splecione na kubku z napisem: „W życiu nie chodzi o czekanie, aż burza minie... chodzi o to, żeby nauczyć się tańczyć w deszczu” autorstwa Vivian Green. To chyba jakaś amerykańska piosenkarka. Takie ma rady na dzień dobry, mądrała. Lula siedziała na progu, słońce dopiero wynurzało się z jeziora, powietrze pachniało latem i borówkami, które w niektórych regionach Polski nazywają jagodami. Byłoby idyllicznie, gdyby nie cała sytuacja.

Po cichym śniadaniu, podczas którego Karol patrzył z ciekawością to na jedno, to na drugie, Ludwika wsiadła do samochodu Karola. Pokazała gestem Gabrielowi, żeby się nie wygłupiał i też jechał z nimi. Jadą w końcu do domu pod ten sam adres. Gabriel pokręcił głową i wrzucił plecak do samochodu Krisa. Lula z impetem trzasnęła drzwiami. Aha, teraz mamy fazę pod tytułem: będziesz jeszcze o mnie zabiegać? Niedoczekanie twoje! Kto w końcu zaczął? Karol ostentacyjnie zabrał jednak plecak ojca i dość stanowczo wskazał mu swój samochód.

– Przestańcie robić cyrki. Jedziemy do domu – zarządził.

Kris i Ada przez chwilę jeszcze wyjątkowo zgodnie naradzali się, czy nie zostać parę dni na wsi, ale ostatecznie także zdecydowali się na powrót do domu. Trudno, muszą temu stawić czoło. I bezpieczniej będzie jechać razem.

Na drodze przez Amalkę minęli Sowińskich, trzeba było się zatrzymać.

– A dlaczego tak szybko, właśnie do was jedziemy z makowcem, a co, państwu się nie podobało? – Sowińscy dyskretnie zerkali na mało przyjazne miny Luli i Gabriela.

Postanowili, że pojedą siódmką. Karol widział ich w lusterku. Siedzieli odwrócenii każde w swoją stronę bez słowa. Normalnie nadąsane dzieci. Nie dało się z nich wyciągnąć, o co się pokłócili.

Dopiero gdzieś w okolicy Pruszcza Gdańskiego Lula opowiedziała Karolowi o wizycie u eksperta, o tym, że im się wydawało, że ktoś ich śledzi, i słusznie, jak się potem okazało, o szalonej ucieczce przed samochodem z niemiecką rejestracją w drodze do Leoncina. Karol docenił manewr Krisa, w końcu chyba ocalił ich przed napaścią, może nawet utratą życia, chociaż na ten temat mieli różne zdania, biorąc pod uwagę, że samochód Krisa dosłownie wskoczył w strumień pojazdów pędzących w przeciwną stronę.

– No, no, nie wiedziałem, że z Krisa taki dzygit. – Karol pokiwał z uznaniem głową. Sam miał, jak to młody, ciężką nogę. Zerknął na samochód Krisa utrzymującego tempo jazdy.

Na rewelacje, że korzeni trzeba będzie szukać bliżej Warszawy, częściowo w Czerwińsku, Karol zareagował zupełnie spokojnie, co zaskoczyło Ludwikę.

– I co z waszym Grabeksem? Nie boli cię to, że nie jesteś z Gdyni? – drażyła nieustępliwa Ludwika.

– Matka, ja jestem z Grabeksu, ojciec się tam urodził, pamiętasz? Co najwyżej dziadka Edka trzeba będzie oficjalnie wywalić z tego elitarnego klubu – zaśmiał się Karol.

Okej, czyli nie mogła liczyć na poparcie Karola w tej sprawie, raczej był podekscytowany tak samo jak jego tatuś wizją sekretnych korytarzy i skarbu templariuszy.

Dojeżdżali mniej więcej do połowy drogi, kiedy zadzwonił Kris.

– Słuchajcie, nie żebym miał manię prześladowczą, ale wydaje mi się, że od pewnego czasu jadą za nami dwa merce. Jak ja zwalnię, to oni też, jak jadę na pierdołę, żeby mnie wszyscy wyprzedzili, to nie, oni kulturalnie za nami, siedzą mi na ogonie. I zobaczcie ich rejestracje.

Faktycznie, przy zakręcie obejrżeli się, jeden i drugi mercedes miał rejestrację niemiecką. Ze Stuttgartu.

– Dobra – powiedział Karol. – Może to turyści, chociaż wątpię, jak widzę tego łysego w tatuażach obok kierowcy. Przetestujemy ich. Dam po garach. Leć za mną.

Karol poczekał na najbliższą prostą i przyśpieszył. Jechali na pełnym gazie razem z Krisem wzdłuż kolumny sześciu samochodów po prawej. Dwa mercedesy gnały za nimi. Klaksony się roztrąbiły na widok nadjeżdżającego autobusu rejsowego z Warszawy do Gdańska. Wskoczyli w ostatniej chwili między betoniarkę a trzy ciężarówki, tuż przed zwężeniem pasów. Mercedesy musiały ostro hamować i wymusić, by wpuszczono je do kolumny kilka samochodów za nimi.

Dziesięć kilometrów dalej Karol i Kris powtórzyli manewr i znowu sytuacja była podobna. Nie mieli wątpliwości, że to pościg.

Jak ich namierzyli? Ewidentnie przez telefon Luli do Karola. Ale skąd mieli jej numer?

– Mam! – Gabriel palnął się w czoło. – Może wyciągnęli od właściciela apartamentu, bo tam Lula była kontaktem. Albo namierzyli nas po tym wywiadzie Luli w lokalnej stacji po powrocie

z Niemiec, o którym nam nie powiedziała. – Nie mógł się powstrzymać od małej uszczypliwości.

– Nie zaczynaj, proszę. – Ludwika znowu się nachmurzyła, choć już w obliczu niebezpieczeństwa była gotowa się pogodzić z Gabrielem. – To co robimy? – Zaczęła się trząść na myśl o powtórce koszmarnej nocy sprzed dwóch dni.

– Ja bym jeszcze, matka, nie panikował – powiedział spokojnie Karol, przyciskając gaz i czujnie obserwując w lusterku sytuację za nimi. – Dzień i za dużo świadków.

– Może jedźmy gdzieś na posterunek policji?! I zgłosimy, że nas śledzą niemieccy bandyci i atakują... zanim zaatakują. – Ada wtrąciła się, bo zostawili połączenie między samochodami na głośnym.

– Ada, i co im powiemy, że dlaczego nas śledzą? Bo ich szefowi gwizdnęliśmy parę drobiazgów z domu? To jest sytuacja pod tytułem złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma! – Lula, jak zwykle, nie mogła sobie darować sarkazmu.

– Tylko głośno myślę – fuknęła Ada.

– Bez paniki, powiedziałem. – Karol zwrócił się despotycznie do Luli, która nabierała powietrza, żeby uzupełnić poprzednią wypowiedź. – Dajcie pomyśleć.

Gnali przez S7. To swoją drogą bardzo ładna okolica, myślała Lula, patrząc przez okno na migające obrazki. Prawdziwe pustkowie. Mało domów po obu stronach. Dużo lasów. To ważne, żeby było dużo lasów, to są płuca Ziemi.

Karol tymczasem zadzwonił do kolegi.

– Olaf, cześć, stary, przeszkadzam? – Przeszedł z trybu głośnomówiącego na słuchawki. – Dobrze, taka sprawa, pamiętasz,

opowiadałem ci o ultraskach ze Stuttgartu? – Westchnął. – No właśnie, wiozę teraz moich starych i mam dwa samochody od nich na ogonie. Model? Chyba to merce GLS 450. – Karol uważnie popatrzył w boczne lusterka. – Tak, to na pewno oni, rejestracja Stuttgart. No, piękne są, szary mat. Uwzięli się na moich starych za tę grafę na ścianie i skopaną barwówkę. Pamiętasz, mój stary to jest kozak. – Gabriel, słysząc to, wyprostował się i pogłaskał brodę. – Tak, on nie mógł ścierpieć, jak ten Hans, ten stary hools w weście dżinsowym napluł na Arkę, w końcu ojciec z Grabeksu jest, wiem, wiem, Arka, ale polski klub, honor przede wszystkim. – Karol łypnął na matkę, która wytrzeszczała na niego oczy. – I teraz ich namierzyli od granicy i chcą dojechać. Jestem na trasie w okolicach Ostródy... Nie masz kogoś na grzybobraniu tu gdzieś? Sezon wyjazdowy przecież już wystartował?

– Na grzyby jeszcze za wcześnie – wtrąciła się Ada z drugiego samochodu.

Karol zrobił tylko minę do matki, weźcie jej powiedzcie, Ludwika więc cicho coś tam zaszepotała do telefonu.

Karol szczyrzył zęby.

– Super! To dasz kumatemu cynk? Powinniśmy być tam za jakieś dwadzieścia minut. Pozdrowię matkę, ona cię też pozdrawia. Dzięki, Olaf, odezwę się po akcji, stare czasy mi się przypomniały. – Odłożył telefon wyraźnie ucieszony.

– Damy radę, akurat na wyjeździe, tu niedaleko na MOP-ie są dwie ekipy na naradzie od Arki i Lecha Poznań. Potem jadą razem na spotkanie z Legią. Szczęściem obie mają kosę z VfB, ale i tak by za swoimi stanęli. Ojciec, wrzuc mapę, sprawdź jeszcze raz dokładnie, ile mamy do tego MOP-u?

Lula nie rozwijała tematu spotkania ekip, bo mniej więcej wiedziała, o co chodzi. Karol jej co nieco opowiadał, kiedy w czasach studenckich ciągle kibicował Arce i czasami wracał z podbitym okiem. Nie mogła się nadziwić, dlaczego policja pozwala na taką agresję podczas meczów, aż jej wyjaśnił, że to nie na stadionie, tylko podczas ustawek, na jakie czasami jeździ ze swoją ekipą. Tak długo suszyła mu głowę, że przyszłemu prawnikowi nie wypada, żeby trochę odpuścił, a potem po studiach i praca, i ówczesna dziewczyna odciągnęły go na tyle, że na mecze jeździł, ale na bójki już nie. Przynajmniej tak jej mówił. Ale znajomości zostały. Ten Olaf, a dokładniej Głuchy Olaf, miał przydomek stąd, że kiedyś coś wysadził na tyle nieostrożnie blisko, że od tamtej pory przygłuchł na jedno ucho. Wiedziała, że w rzeczywistości to niejaki Bolesław Pływak, nawet przyjemny młody człowiek, kiedyś do nich przyjechał po Karola. Akurat wróciła z zakupami. Bardzo był uczynny, wyrwał jej siatki i oświadczył, że w jego obecności żadna kobieta nie będzie nic dźwigać. „Chyba że moje dziecko w brzuchu”, błysnął dowcipem i *Hollywood smile* świeżo zrobionym w Turcji. To go zaprosiła na sok i ciasto. Nawet sobie pogadali o historii, zaskoczyło ją, że ma tyle wiedzy. Krótko rozmawiali, bo chłopcy musieli lecieć na spotkanie. Potem Karol jej wyjaśnił, co się stało, kiedy najpierw oni go wyciągnęli z aresztu, a potem on, jako aspirujący prawnik, wyciągał kolegów, tego Głuchego Olafa też. Mieli, jak jej powiedział, *police party* i po nim paru musiało odpocząć na koszt państwa.

Karol przyśpieszył trochę, ale samochody trzymały się ich nadal mocno. Zobaczyli z daleka, że po przeciwnej stronie, na dużym parkingu MOP-u, stoją dwa autobusy, obok których zgromadziły się grupki umięśnionych mężczyzn w żółto-niebieskich i niebieskich

koszulkach. Samochody osobowe z piskiem opuszczały parking w dużym pośpiechu, więc po chwili poza autobusami na parkingu nie było aut. Szczęśliwie po ostatnim wypadku drogowcy parę miesięcy temu zdjęli barierki między pasami i do tej pory ich nie założyli. Takiej sytuacji żal było nie wykorzystać.

Wrzasnął do Krisa:

– Uwaga, za chwilę powtórka z rozrywki! – I przeciął dwa pasy prowadzące w przeciwnym kierunku.

Zyskał uznanie Krisa, który ruszył za nim. Mercedesy pomknęły dalej, ale zaraz widać było zawrotkę, więc mieli tylko chwilę.

Zajechali z piskiem opon przed jeden z autobusów i Karol krzyknął do stojącego przy nim potężnego mężczyzny, na którym ledwie mieściła się żółto-niebieska koszulka Arki.

– Koledzy, ja od Głuchego Olafa! Te niemiaszki nas dojeżdżają od granicy!

Mężczyzna kiwnął głową, że wie, o co chodzi. Nastąpiła szybka prezentacja. Duży Mario, Karol. Dobrze wychowany człowiek wie, jak się zachować w każdej sytuacji, stwierdziła Lula. Przyjrzała mu się. Rzeczywiście zasługiwał na ten pseudonim.

Duży Mario oświadczył, że mają to przegadane z kumatymi z Arki i Lecha Poznań. Ekipa jest schowana między dwoma autobusami. Pokazał Karolowi, żeby zaparkowali tuż przed nimi. Oni się zajmą resztą.

Lula, Ada, Gabriel i Kris wyszli i w lekceważących pozach oparli się o samochody. Luli trochę drgało kolano, ale przycisnęła je drugim. Wydawało się jej, że niemal słyszy gdzieś w oddali melodię z westernu typową dla sceny pojedynku, nawet pora była odpowiednia, słońce prażyło, kurz wokół, prawie samo południe.

Ścigające ich dwa mercedesy zakręciły i wjechały wolno na parking. Widać było, że ich pasażerowie zastanawiają się, dlaczego nie widać nikogo z wyjątkiem czwórki tych zwariowanych starych, którzy im już drugi raz wykręcili numer.

– *O, Guten Morgen, Linus* – ucieszyła się Lula.

Linus cierpko się uśmiechnął.

– *O, Lucas* – zareagowała ciepło Ada.

Kris mruknął coś pod nosem. Lucas odwrócił głowę.

– *Halt die Fresse! Zamknij morda!* – Mało uprzejmie jak zawsze łamanym polskim odezwał się Hans Pelka, gramoląc się z samochodu. Trudno było się spodziewać czegoś innego po tym *hools*, który stracił kurtkę na jej rzecz. To takie małostkowe, pomyślała Lula, już raz dostał nauczkę za swoje grubiaństwo.

– Nie lubię, jak się ktoś tak odzywa do damy. – Duży Mario wynurzył się zza autobusu.

W tym samym momencie za nim wyskoczyły ekipy w niebieskich i żółto-niebieskich koszulkach. Żółto-niebieskie poszły lewą flanką i zamknęły teren, a niebieskie poszły prawą.

Lula i reszta seniorów cofnęli się na z góry upatrzone pozycje, za własne samochody.

Zaskoczeni Niemcy zaczęli się gorączkowo naradzać i na rozkaz Hansa szybko wyciągnęli z bagażników kije bejsbolowe. Hans miał na swoim kijku namalowaną przekreśloną strzałkę i napis: *Einbiegen nach links verboten*, zakaz skrętu w lewo. Ustawili się plecami do siebie.

Ultrasi zaczęli uderzać zaczepnie kijami o asfalt. Najpierw powoli i stopniowo coraz szybciej.

– Jeszcze brakuje, żeby nam dwa gołe bejsbole przysłali – parsknął do Karola Duży Mario, co spotkało się z uznaniem starszaków skrytych za samochodami. Młodzież teraz miała porządne wykształcenie ogólne.

– Kijów ci u nas dostatek – zarechotały żółto-niebieskie i niebieskie koszulki, wychodząc z za pleców pierwszego szeregu również z kijami bejsbolowymi. Karol, ku zgrozie matki, również miał w ręku jeden.

Osiemdziesiąt sekund później wszyscy ultrasi leżeli na ziemi z rękoma związanymi na plecach.

Duży Mario wyciągnął Linusowi i Hansowi dokumenty i telefony z kieszeni. Postukał w złote zawieszki na złotych łańcuszkach na ich szyjach ze znakiem run SS i zerwał je dość brutalnie.

– Rasa panów, myślałby kto. – Postawił okuty but na plecach Hansa, który mało się nie udławił z wściekłości.

Duży Mario kazał ekipie opróżnić kieszenie reszty ultrasów. Jakiś zagubiony kierowca w oddali dawał po hamulcach i cofał się gwałtownie na wjeździe na parking.

Karol zaczął wylewnie dziękować niebieskim koszulkom, a Gabriel żółto-niebieskim. Usłyszeli, że nie ma za co, akurat szukali takich modeli mercy, nie będą musieli ich sprowadzać, mają oszczędności na kosztach transportu. Widzą, że to są tak dobre egzemplarze, że aż Niemiec płakał, jak oddawał, tak że dzięki za dostawę, a niemiaszki mogą przekazać swoim szefom, że ich samochody już w Polsce są. Odbiorcy bardzo dziękują. Poklepywali Karola i Gabriela.

Dwóch kierowców odjechało z piskiem opon dwoma mercedesami w nieznanym kierunku.

Duży Mario oświadczył Hansowi i Linusowi, że w Polsce jest zakaz używania symboliki neonaziolskiej i muszą za to ponieść karę. Oni skonfiskowali ich samochody w ramach zatrzymania obywatelskiego i radzą im jak najszybciej udać się w drogę powrotną do Vaterlandu.

Linus wymamrotał coś w rodzaju:

– *Verfluchte Polnische...* – ale go Duży Mario powstrzymał dodatkowym wychowawczym kopnięciem.

Jeszcze zanim wyruszyli w dalszą drogę do domu, Ada podeszła do Lucasa leżącego na brzuchu z twarzą wciśniętą w krawężnik. Szare majty w różowe krasnale wystawały mu nad krawędź spodni na gołych plecach. Ada już wyciągała rękę, żeby litościwie mu koszulkę naciągnąć i zapytać, czy wszystko u niego okej, ale łypnął na nią czerwonym okiem i coś tam bluznął, więc się wycofała obrażona. Nie to nie, przegrywać też trzeba umieć na poziomie, a tyle mu tłumaczyła w Stuttgarcie, jak się należy odnosić do kobiet, żeby każda nie uciekała jak do tej pory. Strata czasu.

Domy Luli, Gabrysia, a także ten Krisa w Leoncinie zastali totalnie wywrócone do góry nogami. Brnęli w szoku przez sterty ubrań i dokumentów na podłodze. Nic nie zginęło na pierwszy rzut oka. Widać, że bandyci szukali antab oraz papierów. Ale jedno i drugie zostało sprytnie schowane pod domkiem ogrodowym Gabriela. Wejście było tak zamaskowane, że nie mieli szansy go odkryć. Kris odwiózł Adę do wynajmowanego mieszkania na Bielanych. Ada z drzeniem serca podczas drogi powrotnej zadzwoniła do Emilii. Córka mówiła normalnym głosem, więc żeby jej nie straszyć, Ada nie zadała jej pytania, czy widziały kogoś podejrzanego.

Lula obiecała Karolowi, że się zastanowi nad kupnem abonamentu i pójdzie z nim na mecz, tylko której drużyny? Legii, Lecha Poznań czy Arki Gdynia? Żeby się odwdzięczyć, ale nikogo nie obrazić.

Nieprzyjemne uczucie obrzydzenia, że ktoś łaził i dotykał ich rzeczy, długo nie opuszczało całej czwórki. Mieli nadzieję, że manto, jakie naziolo dostali od kolegów Karola, zniechęci ich ostatecznie do powrotu. W tej sytuacji należało pogodzić się z Gabrysiem. Nie miała szans poradzić sobie z uporządkowaniem domu sama.



Absolutna czystość nie jest z tego świata.

Mieczysław Jastrun, *Sztuka i wyzwolenie*

Z ZAPISKÓW ADY

Wtorek

Szczęśliwie ze względu na bezpieczeństwo Neli i Emilki ci złoczyńcy albo nie namierzyli mojego wynajmowanego mieszkania, albo był za trudny do niego dostęp. Akurat mamy bardzo czujnych sąsiadów, co do tej pory mnie tak złościło, lecz dzisiaj okazało się zaletą. Poza tym obie dziewczyny, zamiast pojechać do ojca, zaprosiły do siebie znajomych, więc stale się ktoś tutaj kręcił. W domu Krisa był podobny kipisz jak u Luli i Gabrysia, a nawet gorszy. Złoczyńcy mieli z powodu jego pasji

kolekcyjnerskiej utrudnione zadanie. Wszędzie na podłodze, na stołach, parapetach i krzesłach stały dziesiątki kartonowych pudeł, skrywających ciągle dokupowane nowe rzeczy. Do tej pory Kris nigdy nie chciał nawet słyszeć o tym, żeby się części rzeczy pozbyć albo jakoś staranniej je posegregować.

Zdumiałam się więc, kiedy poprosił mnie o pomoc. Kiedy weszłam do jego domu, podłogi były zasypane wyrzuconymi z pudeł i szaf hałdami rzeczy, na które zniecierpliwieni bandyci rzucali i deptali kartony. Bardzo przykry widok. Nie było jak się między tym poruszać. Od dwóch dni i wczoraj od rana do nocy układaliśmy wszystko na miejsce. Przy okazji wyrzucaliśmy trochę szpargałów. Nie mam złudzeń, powód był prosty – Krisowi nie chciało się rzeczy układać na to samo miejsce z powrotem, więc mi się udało szurnąć co nieco do śmietnika. Przynajmniej o połowę mniej zwojów miedzianego drutu, przedłużaczy, wtyczek, ładowarek, konwerterów, starych kartek i kolorowych plastikowych pocztówek dźwiękowych z nagraniami Beach Boysów i 2 plus 1 et cetera...

Kris powiedział, że podobno w PRL Polacy chałupniczym sposobem wyprodukowali coś z szesnaście miliardów pocztówek, tylko dlatego, że władzom brakowało papieru na obwoluty na winyle. I że to są już zabytki, które można sprzedać za grubą kasę. Po czym poleciał wygrzebać te pocztówki ze śmietnika. Nawet te niemieckie bandziory je doceniły. Kris zainstalował nowe kamery, bo się okazało, że te jego mają ograniczoną pojemność nagrywania i akurat się urwało, kiedy Hans zainteresował się jedną pocztówką zespołu z NRD, niejakiemu Uve Schikora Combo. Nawet na końcu świata poznałabym, że to Hans, mimo że był w kominiarce, po jego niechlujnym wdzianku. Pocztówki

nigdzie nie było, choć przeszukaliśmy cały dom. Ale i tak pozbyliśmy się wielu rzeczy. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło!

Po tym wszystkim usiedliśmy wieczorem w salonie, który odzyskał bardzo ładną kanapę i stół kawowy art déco, do tej pory ukryte pod pudłami. Zgasiliśmy górne światło i zapaliliśmy piękną stojącą lampę z kryształowym niebieskim kloszem. Naprzeciwko nas za umytą szybą kredensu, podświetlone wewnętrznym ledem, migotały różnokolorowym blaskiem zielone, kobaltowe i czarno-złote stare kryształowe butelki apteczne, których szczęśliwie ci dranie nie potłukli. Pudła z nimi znajdowały się na końcu garażu i akurat do nich nie dotarli, być może spłoszeni przez kogoś. Każda z buteleczek była owinięta troskliwie w osobną bibułę. Aż krzyknęłam z zachwytem, jak się na nie natknęłam.

– Musisz je wyeksponować, bo według mnie masz unikatowy i wyjątkowy zbiór naczyń aptecznych, jakiego raczej nie ma żadne muzeum w Polsce – powiedziałam stanowczo Krisowi i on, o dziwo, się zgodził.

Szczęśliwy, że mi się podobają, odwijął z papieru jedno po drugim i podając mi do umycia, przypominał sobie, gdzie je zdobył. Okazało się, że kupował je od lat na aukcjach i pchlich targach po całym świecie. Lula często powtarza, że każda kolekcja coś mówi o jego właścicielu. Umyte i poukładane według kolorów, stylu i wieku, wyglądały naprawdę pięknie. Patrzyłam na niego, jakbym go widziała pierwszy raz. Kiedy Kris wyjmował z kredensu kolejne naczynia i opowiadał z taką pasją o każdym z nich, lśniły mu oczy i nie było śladu jego małomówności i skrytości. Zawsze nieco rozczochrane szpakowate kosmyki spadały mu na czoło. Trochę mnie to wzruszyło i odruchowo odgarnęłam mu je z czoła i od razu cofnęłam rękę, bo przypomniałam sobie, że Kris nie lubi, jak się go dotyka. Tym razem nie zareagował jak zwykle.

Przeciwnie, sięgnął po moją rękę i kazał mi zamknąć oczy. Przeciągnął moimi palcami po szlifowanych bokach czarnej nieprzezroczystej butelki i złotej etykiecie. Zapytał, czy czuję, jaką mają gładką powierzchnię. Rzeczywiście była niezwykle delikatna, pod palcami szlifowane szkło łączyło się bez przeszkód z wypalaną szklaną etykietą.

Potem Kris sięgnął po moją drugą rękę, przytrzymał nią szklany korek i poprosił, żebym się przekonała, jak szlifowane zamknięcie jest idealnie dopasowane do szyjki naczynia. Obwodziłam palcami zaokrąglone obrzeża otworu butelki wychylone na zewnątrz, w które łagodnie wchodził korek. Poprosił, żebym nadal nie otwierała oczu, ostrożnie wyjął naczynie z moich rąk i włożył w nie inne. Chciał, żebym sprawdziła, czy i dla mnie jest chłodniejsze w dotyku. Było ewidentnie zimniejsze. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że jest błękitne w odcieniu i przezroczyste. Podobno zawdzięczało swój kobaltowy kolor koboldom, złośliwym duchom podrzucającym górnikom bezużyteczny wówczas kobalt zamiast rudy żelaza. Kris delikatnie włożył mi do ręki kolejne naczynie. To było zdecydowanie cieplejsze niż poprzednie. Kris powiedział, że to naczynie uranowe o pięknym jasnozielonym kolorze. A potem wymienił je na inne, o żółtym odcieniu. Czułam wręcz różnicę w temperaturze powierzchni, kiedy moje palce błądziły po jego smukłej szyjce, rozszerzającej się ku dołowi i przechodzącej płynną linią w cylindryczny korpus. Kiedy dotarłam do wklęsłego miejsca na dnie, w którym pozostał ślad po wydmuchu, Kris pocałował mnie po raz pierwszy.

Zapytałam go potem, jak doszło do tego, że jest sam i że, mówiąc delikatnie, dziwnie sobie żyje. Kris leżał na plecach. Obróciłam się na bok, oparłam głowę na rękę i wodząc palcami wzdłuż dziwnej długiej blizny, przecinającej go prawie na pół, rozejrzałam się po pokoju.

W przeciwieństwie do reszty domu sypialnia Krisa była prawie sterylna i pozbawiona sprzętów. Metalowe łóżko z wygodnym materacem, dwie szafki nocne również w stylu art déco i to wszystko. Kris nagle powiedział, że cierpi na coś w rodzaju syllogomanii pomieszanej z hiperestezją.

– Syllogomania to zaburzenie objawiające się nadmiernym zbieractwem i wręcz organicznym problemem z pozbywaniem się rzeczy z domu, do których taka osoba się niezwykle emocjonalnie przyzwyczaja, a w efekcie – westchnął – zagraca tragicznie swoje mieszkanie, co łatwo u mnie mogłaś zauważyć, choćby z racji swojego zawodu.

– No tak, ale jak to pogodzić z tą sterylną sypialnią? – Rozejrzałam się wokół. Żadnych obrazów, stojących lampek i przede wszystkim wszechobecnych w pozostałych pomieszczeniach kartonowych pudeł.

– To zaburzenie dotyka od dwóch do pięciu procent populacji i objawia się najmocniej u osób po pięćdziesiątym roku życia, chociaż symptomy mogą się pojawić o wiele wcześniej wskutek przebytej traumy. O tym kiedy indziej. – Przytrzymał moją rękę wędrującą tam i z powrotem po bliźnie i odwrócił na chwilę wzrok. – Przeczytałem kiedyś, że każde przeżyte dziesięć lat zaostrza objawy zbieractwa i może dojść do sytuacji, że zalegające wszędzie rzeczy będą zagrażać bezpieczeństwu osób przebywających w danym pomieszczeniu. Dlatego zwróciłem się o pomoc do specjalistów, zanim moje zbiory zaczną same wychodzić z pudeł i zaduszą mnie zupełnie. Mogłem sobie wyobrazić wcześniej, jak by to wyglądało po wizycie tych niemieckich drani. – Kris zaśmiał się, ale wyczułam w jego głosie smutek. – Dlatego poprosiłem cię o pomoc, bo sam bym sobie nie dał z tym rady. Potrzebny był ktoś z wrodzoną umiejętnością porządkowania otoczenia. I poza tym sama

proponowałaś mi pomoc kilka razy. Czy wiesz, że – Kris uśmiechnął się znowu, ale już z nutą przekory – część osób z syllogomanią objawia najpierw patologiczną obsesję symetrii i przywiązuje nadmierną wagę do porządku? – Roześmiał się już szeroko i obrócił na bok w moim kierunku. – Wy obie z Lulą z tą waszą pedantycznością musicie zatem również uważać.

To prawda, musiałam mu w duchu przyznać trochę racji. Każda z nas ma pewnego rodzaju obsesję na punkcie porządku. Ja nie pójdę spać, dopóki wszystko w domu nie będzie na swoim miejscu. Lula wstanie o trzeciej w nocy, żeby pomyć kontakty, bo idąc do łóżka, kątem oka zarejestrowała plamkę na jednym z nich i potem się przewraca z boku na bok, nie mogąc zasnąć.

– A ta, hiperestezja? – zapytałam, mimo że wiedziałam, czym jest. Gdzieś znikło moje ukrywane lekkie poczucie wyższości tej zawsze pedantki w porównaniu z innymi, którzy sobie gorzej radzą z chaosem wokół. Zdałam sobie sprawę, że każda cecha czy osobowość może mieć drugą stronę, jak moneta ma awers i rewers, a ciągle jest tą samą monetą.

– Hiperestezja. Również potrafi utrudnić życie. Jest to inaczej przeczulica albo nadwrażliwość zmysłowa. Człowiek cierpiący na hiperestezję ma nadzwyczaj wyostrome pięć zmysłów, czyli bardziej dojmująco odbiera wszelkie bodźce, jeśli nie jest na nie przygotowany. Dlatego, przepraszam, ale wzdrygam się i odsuwam, jak ktoś mnie dotknie nawet lekko bez uprzedzenia, bo mnie to fizycznie boli. Ale za to – tu Kris mnie przyciągnął mocno do siebie – osoba z hiperestezją czuciową doznaje niesamowitej, spotęgowanej, przenikającej całe ciało przyjemności, gdy poczuje nawet najdelikatniejszy dotyk, na który jest przygotowana i nastawiona.

Środa

Gabriel zadzwonił wcześniej rano i prosił, żebym jak skończę u Krisa, przysłała pomoc Luli, bo on już nie daje rady. Kris zanurkował pod kołdrę, bo mu zatkałam usta, kiedy parsknął na słowa Gabrysia: „kiedy skończysz u Krisa”. Zastałam Lulę, jak szorowała szczotką do zębów plastikową łyżkę do butów.

Ich dom wyglądał jak wielka pralnia. Pachniało morską bryzą. Cały był obwieszony mokrymi ubraniami podzielonymi na kolorystyczne sektory, bo Lula oświadczyła Gabrielowi, że nie tknie niczego w domu, czego dotykali ci bandyci. A ponieważ wygląda na to, że dotykali wszystkiego, to wyprała wszystko, łącznie z przyborami do pastowania obuwia.

Przedarłam się przez salon obwieszony mokrymi szmatami w kolorze niebieskim. Z daleka widziałam, że kuchnię opanował kolor czerwony.

– Lula – zapytałam ostrożnie – czy naprawdę sądzisz, że któryś z nich pastował sobie obuwie albo przymierzał wyjściowe buciki Gabrysia w trakcie demolowania naszych domów?

Ludwika wbiła we mnie dziki wzrok.

– Dobra – powiedziałam. – Pokaż, co mam ci pomóc wyprać. Ale tak czy inaczej, obecnie trafia do mnie to, co napisał poeta Mieczysław Jastrun.

– Co takiego? – zapytał Gabryś.

– Absolutna czystość nie jest z tego świata.

Piątek

Gabriel dzwonił i poprosił, żebym więcej nie przychodziła pomagać Luli. Że on jest bardzo wdzięczny, bo razem odwaliłyśmy kawał roboty.

Są już na etapie prania żółtego koloru (pokój gościnny) i nawet zaczęli zielony (sypialnia). Lula niestety po moim wyjściu wpadła w depresję i przestała pracować i układać. Pytał, co jej powiedziałam albo zrobiłam. A ja nic, przysięgam! Odpaliłam tylko link do ostatniego wywiadu z Marie Kondo, która po urodzeniu dzieci odwołała wszystkie poprzednie teorie o sposobie składania i układania ubrań. Podobno Lula płakała, że straciła idolkę i mentorkę i nie wie, na kim się oprzeć i kto jest jej przewodnikiem w życiu.

Powiedziałam, że ja uważam, że niech każdy sobie żyje, jak chce, i że jak dla mnie, ona może nadal układać w szufladach według kolorów, niezależnie od tego, czy Marie Kondo jeszcze tak robi, czy nie.

Sobota

Gabriel dzwonił i prosił, żebym pomogła mu znaleźć kogoś do prasowania, bo on nawet przy serialu Wikingowie końca nie widzi.

Wzięliśmy z Krisem żelazko, deskę do prasowania i przenośną maglownicę, podobno „najlepszy model z lat dziewięćdziesiątych”, którą kiedyś Kris dał mi na urodziny, i pojechaliśmy do nich. Wtedy kiedy ją dostałam, byłam trochę zła, ale dzisiaj się cieszyłam, bo okazała się taka przydatna, żeby pomóc przyjacielom.

Ich dom wyglądał jak wielki magiel. Pachniało krochmalem i wszędzie były sterty poukładanych ubrań, podzielonych na kolory, ale obok kłębiły się jeszcze większe sterty białej pościelowej przygotowanej do prasowania. Nauczona doświadczeniem nie komentowałam, że raczej ci złoczyńcy nie szukali akurat adamszkowej powłoczki do kołdry, bo faktycznie wszystkie wywalili na podłogę, a każdy wie, że wszyscy chowamy cenne rzeczy w szafie z ręcznikami i pościelą. Nawet ja mam tam... no mam coś tam... Bez pomocy nie

wyszliby z tego sami nawet po tygodniu. Ale widać było, że Lula wraca do formy. Znowu ledwie rozmawia z Gabrielem.

Odpaliliśmy Tożsamość Bourne'a i poszło szybciej.

Poniedziałek

Dzwonił Gabriel. Nie możemy się chwilowo spotkać i naradzić, co dalej z antabą, bo Lula ma dwa razy dziennie rehabilitację. Kręgosłup jej wysiadł po tej kampanii pralniczej. Poza tym jest nieprzytomna z niewyspania, bo boi się zasnąć, znowu jej się śni ta rzeka. Wzięłam część prasowania do domu. Jest lepiej z Petrusem, podobno odzyskuje przytomność. Gabriel był bardzo wzruszony, jak nam to przekazywał, nie wiedziałam, że aż tak to przeżywał. Też się cieszę, zdążyłam Petrusa polubić, choć znamy się raczej krótko. Ale wstyd mi przyznać, że jestem najbardziej ciekawa, czy zakonnik będzie na tyle przytomny, żeby pamiętać, co chciał nam powiedzieć i co się wtedy właściwie stało?

Kris mi się przyznał, że też go to bardzo ciekawi, ale że najbardziej ciekawię go ja!

Na razie spotykamy się w największej tajemnicy w domu Krisa, ale któregoś dnia będę musiała go zaprosić do nas, żeby dziewczynki go poznały. To znaczy znają, jest dla nich przyjacielem, wujkiem Krisem, ale powinny go poznać także w nowej sytuacji jako... no właśnie jako kogo? Kris mówi, że nie musimy się z niczym śpieszyć ani nikomu tłumaczyć, ale byłoby mu miło, gdyby go zaakceptowały.



*Historia, powiedział Stefan, jest nocną
zmorą, z której staram się przebudzić.*

James Joyce, *Ulisses*,
tłum. Maciej Słomczyński

Tak jak po deszczu wstaje słońce, tak po złych dniach przychodzą dobre.

Gdzie to było? W Biblii? W *Ani z Zielonego Wzgórza*? W jakiejś piosence? Trochę banalne, ale akurat to zdanie zaczęło się pałętać po głowie Luli, po tym jak do Gabriela zadzwonił brat Mikołaj z dobrą wiadomością. Idealnie pasowało do sytuacji i do tego, jak się znowu czuła. Petrus zaczął odzyskiwać przytomność i brat Mikołaj

uważał, że w jego powrót do zdrowia oni też mają i będą mieli swój wkład.

Tymczasem lekarze rekomendują, żeby aktywizować chorego poprzez wszystko, co miało dla niego znaczenie, i przyprowadzać ważnych dla niego ludzi. Brat Mikołaj dobrze pamiętał z rozmów, jakie prowadzili, że byli dla Petrusa niezwykle istotni w ostatnim okresie życia przed wypadkiem. Petrus, jak się okazało, obudził się podczas emisji programu pod tytułem *Klasztory polskie* i jego pierwsze niewyraźne słowa brzmiały: „Pani nasza Matka Boska Czerwińska”, co dla wszystkich było oczywiste, a następne brzmiały jak „nasza pani Lula”, co wprowadziło wszystkich w konsternację. Brat Mikołaj był trochę zakłopotany, podając te informacje, niemniej jednak zwrócił się do nich z uprzejmą prośbą o przybycie do szpitala. Oczywiście się zgodzili.

Lanie, jakie spuścili polscy kibole niemieckim, chyba miało swój wychowawczy efekt, bo ci ostatni jakby zapadli się pod ziemię. Może dali sobie spokój. W końcu zobaczyli, że z nimi to nie przelewki. Teraz Lula żałowała, że jednak nie wezwali policji, żeby pokazać ten bajzel, jaki im zrobili. Może policjanci zdjęliby jakieś odciski palców. Chciała to nawet zrobić dzisiaj, ale Gabriel jej szczerze odradził. Według niego nikt na świecie, włączając w to CIA i CSI nie odnalazłby nawet ułamka DNA w domu, który Lula wyprała wybielinką i pastą do podłogi, więc szkoda zachodu, tylko by sobie pogadali. I trzeba byłoby im opowiedzieć o wycieczce do Stuttgartu. Chyba nie warto. Tak czy inaczej, szło ku dobremu.

Parę dni później po uzgodnieniu, kiedy mogą odwiedzić Petrusa, pojechali do szpitala. Przeniesiono go już na oddział rekonwalescentów, ale i tak byli zaskoczeni, jak bardzo jest jeszcze

nieporadny w komunikacji. Tylko na filmach i w powieściach chory budzi się ze śpiączki i od razu podaje rodzinie PIN do telefonu i konta bankowego. Intensywne ćwiczenia neurolingwistyczne dały jednak już efekt, dzięki czemu z trudem, ale jakoś się porozumiewali. Obstawiony maszynami, które cały czas coś mierzyły i pokazywały na ekranach, wydawał się mniejszy i chudszy, niż go zapamiętali.

Brat Mikołaj wycofał się dyskretnie na korytarz, ale zostawił otwarte drzwi. Petrus słuchał uważnie. Opowiadali mu po kolei o wszystkim, co się wydarzyło, także o wyjeździe do brata Mariana. Niestety Gabriel rozpędził się i chlapnął o okolicznościach jego śmierci, co wywołało taki efekt, że Petrus zatrzepotał jak ptak w sieci, a spod przymkniętych powiek spłynęła mu wielka łza i kapnęła na poduszkę. Lula rozejrzała się i podłożyła w to miejsce chusteczkę higieniczną, mało co jest gorsze niż leżeć na mokrym. Kiedy zamilkli, Petrus otworzył oczy i wbił w Gabriela intensywny wzrok. „Dalej, dalej”, poprosił oczami. Więc przeszli przez całość ze szczegółami. Przy Stuttgarcie i opowieści o barze fanów drużyny VfB Stuttgart ewidentnie się ożywił, może był kibicem, kto wie, nie można było tego wykluczyć. Podczas opowieści Gabrysia o tym, jak przechodził przez balkon do mieszkania Troyów, machał rękoma, jakby chciał go złapać, zanim spadnie.

– I on oczywiście nie zabrał telefonu. – Ludwika zrobiła wstęp przed najważniejszą informacją. – I wiesz, co tam znalazł?

W szpitalnej sali słychać było tylko szum megabitów przelatujących przez zwoje kabli łączących Petrusa z maszynami. Przez chwilę się przestraszyli, że może umarł, bo nie oddychał, ale nie, on wstrzymał powietrze i w napięciu czekał na odpowiedź.

– Dziewięć antab! Różnych! Wisiały na ścianie w trzech rzędach, Gabriel zabrał trzy ze środkowego rzędu, bo mu wyglądały najpodobniej do tej z Czerwińska. Pamiętał tylko, że wasza miała dziurę w nosie, ale te trzy też miały dziury, tyle że w różnych miejscach. A potem syn właściciela baru przyszedł i zamknął okno... I ten ekspert od brata Mariana mówi, że jedna z nich to raczej na pewno jest z Czerwińska, ale na podstawie zdjęć tylko, bo nie chcieliśmy bez ciebie nikomu pokazywać, że je mamy, i słusznie, bo nas napadli dwa razy i mało nie zabili, ale nie zabili, bo jesteśmy tutaj. Koledzy naszego syna stłukli ich na kwaśne jabłko. – Ludwika wyrzucała z siebie te informacje, nie dając dojść do głosu ani Gabrielowi, ani reszcie, kiedy nagle Petrus zerwał się, usiadł na łóżku i powiedział bardzo wyraźnie:

– To cud! Ale dlaczego potrójny? – I opadł na poduszki.

Brat Mikołaj wpadł do pokoju i ukląkł przy łóżku, mówiąc:

– To prawdziwy cud, zresztą nie pierwszy i nie trzeci, Matka Boska Czerwińska jest znana z wielu, wielu cudów uzdrowienia od wieków. Ale się nasi bracia ucieszą. – Ścisnął wzruszony rękę Petrusa.

Ludwika pomyślała, że dobry z niego przyjaciel albo nawet „brat”, które to słowo było tutaj jak najbardziej na miejscu.

W sali zaroilo się od lekarzy, pielęgniarek. Przyjaciół poproszono uprzejmie o opuszczenie pomieszczenia, mimo że wszyscy docenili przełom, jaki dzięki nim nastąpił.

Przez kilka następnych dni wpadali codziennie chociaż na pół godziny i opowiadali Petrusowi od nowa kolejny fragment przygody. Przedstawiali te historie na cztery głosy tak obrazowo, że coraz więcej ludzi z personelu zatrzymywało się na dłużej; a to ktoś

poprawił kroplówkę, a to wpadł trzeci raz w ciągu piętnastu minut, żeby sprawdzić monitor, bo coś chyba szwankuje. W końcu zdarzało się, że poza nimi w sali Petrusa przebywało nawet z siedem osób. Lula żartowała, że skoro już produkują takie nowoczesne widowisko połączone ze słuchowiskiem, to może zgłoszą się całą grupą z rehabilitacyjnym serwisem usługowo-nagraniowym do różnych platform i szpitali, co zostało przyjęte z aplauzem. Słuchowiskiem w sumie bardziej, bo Petrus czasami zmęczony nadmiarem bodźców zamykał oczy, ale dawał rękoma znak, że nadal śledzi opowieść. Nie pytali, czy pamięta okoliczności wypadku, postanowili zrobić to później, kiedy się wzmocni na tyle, żeby móc wracać do trudnych wspomnień.

Któregoś popołudnia Gabriel wyjął ciężki klucz z kieszeni i położył go obok wędrujących po kołdrze rąk Petrusa. Zadziwiająco szczupłe i długie palce najpierw delikatnie dotknęły zimnego romboidalnego uchwytu, a potem zbadały każdą wypukłość winorośli oplatającej ucho, wypukłą główkę pośrodku łączenia z długim trzpieniem, a wreszcie nacięcie w kształcie krzyża w prostokątnym, ażurowym piórze klucza. Był dużo dłuższy niż współczesne klucze, miał może z osiemnaście centymetrów.

– Zabrałem go z twojej ręki, jak spadłeś – powiedział cicho Gabriel, nachylając się nad łóżkiem. – Nie chciałem, żeby zginął.

Petrus otworzył oczy i rzekł:

– To chyba twojego ojca. – Milczał przez chwilę, sprawdzając, jakie zrobił wrażenie. – To ten, który zgubił i którego cały czas szukał. Pamiętasz? Raz nam tylko o tym powiedział, ale ja czułem, że to jest druga niezagojona rana. Mam go w oczach, jak błądzi po ogrodach z nosem tuż przy ziemi. – Petrus poszukał ręki Gabriela,

położył mu klucz na dłoni i ją zamknął. – Ekipa telewizyjna go znalazła. Georadarem i wykrywaczem metali sprawdzali wirydarz i ziemię obok schodów. – Nabrał głęboko powietrza. – Tam go wykopali na głębokości jakichś trzydziestu, czterdziestu centymetrów. Tyle ziemi narosło od wojny. Miałem ci powiedzieć. – Poklepał go po ręce i zamilkł zmęczony mówieniem.

– A znaleźli to, czego szukali? – Gabriel przetarł czoło i przy okazji kciukiem przejechał wokół kącika oka. Ludwika przez chwilę wahała się, ale położyła mu rękę na ramieniu. Podał jej klucz bez słowa.

– Znaleźli i nie znaleźli. – Petrus uśmiechnął się zagadkowo.

– Ciekawe, do czego służył? – Ludwika w zamyśleniu przyglądała się kluczowi z uwagą. – Jego długość wskazuje, że mógł być i do drzwi, i do jakiejś skrzyni. Swoją drogą – Ludwika zważyła klucz w rękę – był raczej ciężki dla dziesięcioletniego chłopca. Nic dziwnego, że wypadł z kieszeni cieniutkiego sweterka. – Gabriel spojrzał na nią z wdzięcznością.

– Wiecie, że ślusarze mieli swój cech, odrębny od cechu kowali, z których się wywodzili? W niektórych miastach mieli nawet swoją ulicę. W Toruniu w Muzeum Mikołaja Kopernika przechowują zapiski z tysiąc trzysta siedemnastego roku z zebrań ślusarzy połączonych z uctowaniem. – Kris jak zwykle szybkim łączem wpiął się w Krisopedię. Ludwika spojrzała na niego z uznaniem; dołożył coś do jej „kluczologii”.

– Zamierzałem go wam pokazać, ale chciałem jeszcze coś sprawdzić. – Petrus zerknął na drzwi i ściszył głos tak, że Gabriel musiał się do niego nachylić.

Do pozostałych dolatywały strzępy słów, między innymi coś jak: „bazylika”, „stalle”, „szafy”. Gabriel dał im znać, że potem im powie, więc musieli uzbroić się w cierpliwość i udawać, że nie podsłuchują z całych sił.

Na koniec Petrus powiedział głośno, że zadzwoni do brata Mikołaja i niech jadą jak najszybciej do Czerwińska. Może i jego lekarze wypuszczą przed zgromadzeniem zakonnym, niedługo uroczystości, których za nic nie chciałby opuścić. Wszystko w rękach lekarzy.

– I Boga – dodał, po czym opadł wyczerpany na poduszki i zamknął oczy.

W tym samym momencie zaczął się codzienny obchód lekarski i poproszono ich o wyjście. Ludwika nie miała odwagi powiedzieć tego głośno, ale od czasu odwiedzin u brata Mariana zakończonych tak zaskakująco czuła te same ciarki na plecach, kiedy do pokoju chorego wchodził ktoś z personelu medycznego.

– No i co? No i co ci powiedział? Pamięta, jak to się stało, że spadł z tych rusztowań? Dlaczego mamy zaraz jechać do Czerwińska? – Rzucili się na Gabrysia jeszcze przed wejściem do windy. Gabriel położył palec na ustach.



*Starzy mężczyźni wywoływali wojny,
kradnąc życie młodym... i najmłodszym.*

Robert Ludlum, *Tożsamość Bourne'a*,
tłum. Andrzej Dobrosz

Żołnierz popchnął Edwarda na dół w kierunku sadu, warknął na niego po niemiecku i powtórzył to łamaną polszczyzną. Pokrzykiwał: *Los, los!* i *Schnell, schnell!* Kiedy ciężkie drzwi bazyliki zatrzęsnęły się z hukiem i ledwie już widać było świątynię z daleka, żołnierz nachylił się do niego i powiedział cicho:

– Mam syna w twoim wieku. Strzelę w powietrze i w ziemię, a ty uciekaj.

Edward w pierwszej chwili nie zrozumiał. Żołnierz znowu pchnął go w plecy i strzelił w ziemię. Edward skoczył w ciemność i poturlał się między stosami liści, które dwa dni temu grabił z innymi chłopakami w sadzie. Jeszcze poczuł na rękawach zapach słodkich renet, kiedy schylony odczepiał drewnianą łódkę, która kołysała się delikatnie w starym porcie. Na górze żołnierz pokrzykiwał coś za nim, strzelając w powietrze. Wiosłując cicho, odbił od brzegu i skrył się za zakrętem w małej zarośniętej zatoczce. Usadowił się wygodniej na ławce, owijając ciaśniej swetrem. Ciągnęło od rzeki. W tym momencie krew odpłynęła mu z głowy: kieszeń, w którą Rafael wsunął mu ciężki klucz, była pusta. Znowu zawiódł najważniejszą dla siebie osobę na świecie.



Pewność, że któraś szafa w którymś sześcioboku zawiera cenne księgi i że te cenne księgi są nieosiągalne, wydała się niemal nie do zniesienia.

Jorge Luis Borges, *Biblioteka Babel*,
tłum. Andrzej Sobol-Jurczykowski

Jakiś czas później dano im znać, że są oczekiwani w Czerwińsku. Wyruszyli jak najszybciej po załatwieniu bieżących spraw. Gabrielowi poszło z tym najsprawniej, bo jak się wyraził, sklep internetowy „nie zajac, nie ucieknie”. Tym razem nie usłyszał żadnego komentarza Luli na ten temat. Wrzucił na stronę informację o przerwie z powodu urlopu i z ulgą zapomniał o pracy. Kris

nadrabiał zaległości w pracy związanej z wdrożeniem oprogramowania w nowym oddziale szpitala i był mocno zajęty, ale też wygospodarował kilka dni wolnych. Nie mógł przecież sobie odmówić udziału w tej wycieczce. Tym bardziej że od czasu tego wspólnego sprzątanía wyraźnie szukał pretekstów, żeby więcej czasu spędzać z Adą, niezależnie od wspólnych planów z przyjaciółmi. Ada, jak to Ada, starała się nie sprawiać nikomu kłopotów swoimi sprawami, ale zwierzyła się Krisowi któregoś wieczoru, że nie wie, jak postępować ze starszą córką, Nelą, która przeżywała opóźniony okres młodzieńczego buntu. Akurat teraz, po latach, kiedy wspierała matkę jako nastolatka w czasie burzliwego rozvodu z ojcem i była zawsze po jej stronie, nagle postanowiła, że chce zamieszkać z ojcem, i wyprowadziła się do niego. Kris, który nie miał żadnego doświadczenia w wychowywaniu dzieci, sugerował, że może chodzi o większy metraż. Ada z dziewczynkami po rozwodzie przeprowadziła się do wynajmowanego mieszkania, które było oczywiście mniej wygodne i obszerne niż dom rodzinny przejęty bezwzględnie przez byłego męża. Czuły się tam jednak spokojne i bezpieczne, na czym kobiecie zależało najbardziej.

– Nie, to nie to. – Ada pokręciła głową. Nie chciała Krisowi robić przykrości, ale ten bunt i kłopoty zaczęły się od wspólnej kolacji, na którą go zaprosiła.

Emilka odnosiła się do niego serdecznie jak zwykle, natomiast Nela dość szybko zorientowała się, że matkę i Krisa łączy coś więcej niż dotychczasowa przyjaźń. Przekomarzali się jak dawniej, dokuczając sobie nawzajem, ale czułe, niby przypadkowe muśnięcia raczej nie pozostawiały co do tego wątpliwości. Nela siedziała coraz bardziej nastroszona, a w końcu gwałtownie wstała i oświadczyła, że

ma jakąś pracę do zrobienia na jutro. Od tej pory zachowywała się dość arogancko w stosunku do matki, aż w końcu oświadczyła jej, że wyprowadzi się do ojca, który serdecznie ją zaprasza. Zraniło to Adę, bo do tej pory, mimo że nigdy nie nastawiała dzieci przeciw ojcu, same wiedziały, czuły, że on zachowuje się nie w porządku. Wyprowadzka Neli była taką dodatkową zemstą wobec niej, ale Ada zacisnęła zęby i nie dała się sprowokować.

– Oczywiście, nie ma sprawy, przeprowadź się, ale pamiętaj, że zawsze możesz tu wrócić, córeczko.

Ada bardzo chciała oszczędzić Neli tego, co jak przewidywała, znając byłego męża, szybko się zdarzy, ale nie mogła nic powiedzieć. Po kilku dniach Nela, zapuchnięta od płaczu, wróciła do domu. Ada nie pytała, co się stało, ale też i Nela nie śpieszyła się z wyjaśnieniem. Za to ledwie przekroczyła próg, oświadczyła matce, że nie chce widzieć Krisa u nich w mieszkaniu. Adę zatkało. Chciała wejść za nią do pokoju i porozmawiać, ale Nela zamknęła drzwi na klucz.

Emilka naświetliła jej sytuację.

– Nie przejmuj się nią, mamó. Przejdzie jej. Ten wredny egoista, nasz ojciec – tu Ada zachnęła się, bo nie pozwalała sobie na dosadne określenia byłego męża, choć czasem ją korciło – szybko się odłonił z prawdziwymi intencjami. Tak naprawdę zaprosił ją nie dlatego, że się za nią stęsknił, ale dlatego, że chciał z niej zrobić darmową opiekunkę do nowo narodzonego dziecka. A poza tym oczekiwał od Neli sprzątanego domu, bo podobno tej jednej pozytywnej rzeczy nauczyła się od ciebie, mamó, sprzątanego. Jego nowa, młoda żona nie ma do tego głowy, a on po tobie jest przyzwyczajony do błysku. Ponieważ ta kretynka moja siostra wypaplała im, że masz faceta,

znaczy spotykasz się z Krisem, ojciec jej powiedział, że bardzo szybko będziesz się chciała nas pozbyć z domu, żeby swobodnie się łajdaczyć. Użył innego słowa, ale oszczędzę ci tego.

Ada cała spurpurowiała. Czuła, że zaraz eksploduje. Najpierw ten łobuz nie interesuje się własnymi dziećmi, po czym nagle zgrywa kochającego tatusia i obraża ją za jej plecami. Ale teraz należało zachować przede wszystkim spokój.

Choć od czasu Kaszub zachowywała się coraz bardziej asertywnie i częściej zdarzało się jej odmawiać, gdy nie miała na coś ochoty czy czasu, i nauczyła się stawiać granice, to jednak pomimo bycia dyplomowanym psychologiem czuła się bezradna wobec tej sytuacji. Lula popierała tę nową postawę. Szybko wyjaśniły sobie nieporozumienia i było jak dawniej. Ada opowiedziała o powrocie Neli do domu, ale pominęła część związaną z Krisem. Zasugerowała, że Neli chodzi o jakiegokolwiek nowego mężczyznę w życiu matki. Lula namawiała Adę, żeby wyjechała z nimi do Czerwińska na kilka dni i nabrała dystansu. Sama była gotowa wyjechać w każdej chwili, jako że Czerwińsk uważała za swój główny projekt. Datę uzależniała od przyjaciół. Ostatecznie umówili się wszyscy, że spędzą tam cały następny weekend.

Ada powiedziała Krisowi, który ją odwoził do domu, że przez te kilka dni do wyjazdu chce spędzić więcej czasu z Nelą i Emilką.

– Wysadź mnie, proszę, trochę wcześniej. Niech dojdą do siebie, do emocjonalnej równowagi po ponownym zderzeniu z ojcem. Potrzebują mnie teraz. Przepraszam. – Ada unikała wzroku Krisa.

Kris spojrzał na nią uważnie i położył ciepłą rękę na jej dłoni.

– Oczywiście. Nie martw się, wszystko się ułoży.

Ada cofnęła szybko dłoń i gestem pokazała, że może któraś z córek patrzy z okna. Kris otworzył jej drzwi i nie wyszedł, żeby ją jak zwykle przytulić, kiedy się żegnali. Ada weszła po schodach z myślą, że się wygłupiła. Wszystkie okna jej mieszkania wychodziły na drugą stronę.

Tydzień później, żeby mieć dużo czasu na dokumentację na miejscu, wyjechali wcześniej rano, pomimo ściany deszczu, kolejnej z serii ulew, które od kilku dni splukiwały kurz z budynków i roślin po gorącym lecie.

Petrus powiedział Gabrielowi, że jest przekonany, że gdzieś w kościele nadal istnieje stary, nieużywany korytarz prowadzący do dawnego skarbcza klasztornego. Nie chodziło mu o ten, o którym pisał Zygmunt Gloger w zapiskach z podróży po Polsce wzdłuż największych rzek. Z relacji historyka wynikało bowiem, że w Czerwińsku pokazano mu, w małym pomieszczeniu nad kruchtą, jedynie kilka pociętych starych srebrnych przedmiotów, pozostałych po zuchwałym napadzie, jakiego klasztor doświadczył w 1894 roku. Nigdy zresztą nie odnaleziono sprawców, a zrabowane sprzęty wywieziono za granicę, jak plotkowano w miasteczku. To nie był dobry okres dla klasztoru. Po kasacie zakonu kanoników regularnych w 1819 roku najpierw nie było jednego zarządcy, a potem do klasztoru wprowadziły się siostry norbertanki wyrzucone z Płocka. Sił im wystarczyło tylko na kościół. Zupełnie nie miały środków na dbanie o klasztor. Kiedy salezjanie przejmowali w 1923 roku na mocy dekretu biskupa dzierżawę opactwa na dziewięćdziesiąt dziewięć lat, do użytku nadawały się w całym klasztorze tylko trzy pokoje. Cała reszta była zrujnowana. Petrusowi nie chodziło też o to pomieszczenie, w którym obecnie salezjanie przechowują cenne

klasztorne rzeczy od czasu przejęcia i wyremontowania klasztoru przez zgromadzenie.

Petrus miał na myśli skarbiec ze średniowiecza, czyli z czasów intensywnego rozwoju opactwa. Od wieków szeptano po kątach o tajemniczych pomieszczeniach i korytarzach, ale nigdy nie natrafiono na prowadzący do nich ślad. O ile sam kościół jakoś się uchował od większych nieszczęść na przestrzeni wieków, o tyle klasztor wielokrotnie doświadczał pożarów, po których dźwigał się znowu remontowany i odbudowywany coraz okazalej. Za każdym razem coś burzono i coś zmieniano. I wiele pomieszczeń, a nawet części budynku znikało bez śladu, a na fundamentach starych pojawiały się nowe.

– Że niby powiedział, że ten klucz to od drzwi jakiegoś starego skarbcza? I że tam na nas czekają te stosy złota i diamentów? – Ada prawie podskakiwała na tylnym siedzeniu.

– No nie aż tak. – Gabriel doskonale się odnajdował w roli strażnika wiedzy tajemnej. – Nie wiemy, do czego jest klucz, ale byłoby świetnie odnaleźć choćby jakiegokolwiek stare dokumenty. Lula, prawda? Na przykład jakiś miły fragment zaginionego archiwum templariuszy? – W lusterku widział, jak Ludwika w zamyśleniu śledzi palcem pojedyncze krople deszczu na szybie i uśmiecha się do tej myśli. – Petrus powiedział mi, że znalazł przez przypadek w różnych szpargałach nieznanym mu wcześniej stary plan opactwa. Złożył go i wsunął pod skórzaną oprawę starego brewiarza, jednego z niewielu, które się ostały w opactwie po wojennej zawierusze. Wiedział, że tam będzie bezpieczny. Nie zdążył planu zbadać dokładnie, ale wydawało mu się, że się różni trochę od współczesnego. Chciał nam go pokazać. – Gabriel potrząsnął kilka

razy głową, czując na sobie pytający wzrok Luli. – Nikomu o nim nie wspomniał, bo zdaje sobie sprawę ze słabości ludzkiej natury. Mnie ufa, bo jak wiecie, już jako dzieci szukaliśmy nieznanymi pomieszczeń, to był nasz sekret z dzieciństwa. Mieliśmy różne tajemnice, których nigdy nikomu nie zdradziliśmy. – Uśmiechnął się do Luli porozumiewawczo. – Zostawił plan w bibliotece w klasztorze. Może jest na nim zaznaczony nieczynny korytarz do dawnego skarbcza jeszcze z czasów początków budowy bazyliki i klasztoru albo wejście do podziemi? I być może korytarz ewakuacyjny. Wszystkie klasztory je miały, a szczególnie te związane regułą świętego Augustyna, jak ten, do którego należeli przecież kanonicy regularni, pierwsi gospodarze bazyliki w Czerwińsku i klasztoru. I templariusze. Mamy przyjrzeć się temu planowi, brat Mikołaj ma nas wpuścić do biblioteki.

– Czytałem gdzieś, że takie korytarze budowane przez templariuszy pod kościołami i klasztorami powtarzały układ sklepienia ze stajni Salomona, które były pierwszą siedzibą templariuszy w Ziemi Świętej. Potem tego typu sklepienia zaczęły się upowszechniać w gotyckich kościołach. Może to przypadek, a może nie. – Kris jak zwykle sięgnął do zasobów Krisopedii.

Tyle że były to jego pierwsze słowa od chwili kiedy ruszyli, bo prawie całą drogę milczał, podobnie jak Lula. Natomiast Ada wyrzucała z siebie potok słów, jakby chciała zagłuszyć ciszę. Gabryś przenosił wzrok z jednego na drugiego, ale zrezygnował z dociekania, co się stało. Każdy powie, co go gryzie, w swoim czasie.

Stajnie Salomona to liczne podziemne sale wysokie na dziewięć metrów i szerokie na trzydzieści do sześćdziesięciu. Znajdowały się pod Drugą Świątynią zbudowaną w Jerozolimie przez króla Heroda,

po której do naszych czasów zachowała się tylko słynna Ściana Płaczu. W czasie pierwszej krucjaty król Jerozolimy Baldwin II od razu po petycji templariuszy, a w każdym razie wyjątkowo chętnie i szybko, przekazał im Wzgórze Świątynne, kiedy zdobyli meczet Al-Aksa, zbudowany przez muzułmanów na miejscu Świątyni Heroda. Od tej pory templariusze nazwali się Zakonem Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona. Podczas wypraw krzyżowych używali tych podziemnych sal jako stajni. Jeszcze do niedawna na niektórych kolumnach można było zobaczyć pierścienie, do których przywiązywano konie. Podobno podczas kopania w tych stajniach templariusze znaleźli coś, co zbudowało ich potęgę, i bardzo szybko nazwa Ubodzy Rycerze przestała mieć uzasadnienie. To bogactwo przyniosło im władzę w ówczesnym świecie, ale też stało się powodem ich upadku. Obecnie stajnie zostały być może bezpowrotnie zniszczone wskutek przebudowy meczetu Al-Aksa przez muzułmanów. Jerozolimskie Wzgórze Świątynne jest święte dla trzech religii i od wieków jest źródłem konfliktów.

Kiedy dojeżdżali do Czerwińska, deszcz przestał padać. Z daleka widoczne imponujące dwie wieże na tle niebieskiego nieba budziły respekt. Z tej odległości łatwiej było sobie wyobrazić, że miejscowość tak skromna współcześnie była kiedyś bardzo ważnym miejscem, do którego pielgrzymowali królowie. Zachowało się przemówienie burmistrza czerwińskiego z czternastego wieku, który podejmując gości z Warszawy, życzył im, aby Warszawa niedługo osiągnęła takie rozmiary i zamożność jak Czerwińsk. Dobitny przykład, jak to trzeba zawsze się zastanowić nad wypowiedzianym na głos życzeniem.

Na parkingu przy murze stało, ku ich zaskoczeniu, mnóstwo samochodów ciężarowych i osobowych. Na dziedzińcu okolonym lipami i kasztanowcami kłębili się ludzie noszący jakieś paki i elementy scenografii. Ludwika pomachała do kogoś pchającego skrzynie na kółkach z napisem „Lightcolor”.

– Znajomy z firmy oświetleniowej – wyjaśniła krótko w odpowiedzi na pytający wzrok Gabriela. W rogu dziedzińca przy Bramie Opata Kuli ruchem dyrygował brat Mikołaj.

– Co tu się dzieje? W czymś pomóc? – Podeszli do niego i grzecznie poczekali, aż się do nich odwróci.

– A, to wy... nie, nie trzeba, robimy to od blisko trzydziestu lat. Jutro startuje w Czerwińsku Campo Bosco, taki międzynarodowy festiwal dla młodzieży, znowu, po przerwie w pandemii. Następnie mamy Różaniec Wiślany, a zaraz potem gościmy w naszych ogrodach imprezę rekonstruktorów Mostu Jagiełły.

W tym momencie zauważyli na murach wyplecione plakaty z napisem „#moja misja, festiwal Campo Bosco”. Niektóre nazwy zespołów i nazwiska kojarzyli.

– O, wiele ciekawych zajęć jest planowanych! – Ada z entuzjazmem wskazała na zajęcia z improwizacji teatralnych. – Dużo tej młodzieży przyjedzie?

– Spodziewamy się mniej niż zwykle z powodu tej przerwy, ale kilkaset osób z pewnością będzie, głównie młodzież ze szkół podstawowych i gimnazjalna. Wśród nich przede wszystkim prowadzimy działalność Emmaus. Ale chodźmy, chodźmy, jestem zajęty, a wy macie popracować zgodnie z prośbą brata Petrusa. Mamy dla was dwa pokoje gościnne na pierwszym piętrze. Na razie

niestety lekarze nie wypuścili Petrusa. Ja wam muszę wystarczyć. – Zaśmiał się dobrotliwie.

Po drodze minęli ze zdumieniem Thomasa Apengetera, którego poznali przy pierwszej wizycie. Ukłonił im się z obojętną miną, ale byli pewni, że się za nimi obejrzał.

– To on tutaj mieszka na stałe? – zapytał niezbyt taktownie Gabriel.

– Nie, Thomas sprawuje latem opiekę nad młodzieżą z Niemiec, teraz szczególnie podczas Campo Bosco. We wrześniu wraca do macierzystego klasztoru w Bawarii.

Wzdłuż korytarza prowadzącego do ich pokoju po jednej stronie znajdował się rząd okien wychodzących na wirydarz, a po drugiej częściowo odsłonięty ceglany mur. Mikołaj szedł szybkim krokiem przed nimi, więc zajrzeli dyskretnie przez drzwi po lewej stronie. Kryły drewniane schodki pomalowane ciemnobrązową olejną farbą i podniesione o prawie metr w stosunku do podłóg dużych sal. Wysokie pomieszczenia na antresoli były szczelnie wypełnione drewnianymi pryzmami przykrytymi kocami.

– Kiedyś tu był nowicjat i dormitoria dla młodzieży z internatu. Dzisiaj przyjadą młodzi z Campo, częściowo będą spali w namiotach, częściowo tutaj. – Mikołaj cofnął się do nich. – A to są łazienki. – Otworzył kolejne drzwi. Rząd umywalek sięgał od drzwi aż po okno.

– Trochę przypomina to wojsko, prawda? – zauważył Gabriel.

– Gdzieś tutaj spał twój tata. – Lula poklepała Gabrysia po plecach.

Mikołaj poprowadził ich dalej korytarzem, który zakręcał w prawo. Luli już się w głowie zakręciło i straciła orientację, w którym skrzydle klasztoru się znajdują. Z okien widziała, że są

z boku bazyliki. Wreszcie dotarli do swoich pokojów. Pachniały czystą pościelą i bukietem ziół na stoliku pod oknem. Okazało się, że mają wspólną łazienkę z tamtymi dużymi salami.

– Oczywiście nic nam to nie przeszkadza – zapewnił Gabriel Mikołaja, który uprzejmie czekał, aż zostawią swoje małe walizki i plecaki.

Kurczę, przeszkadza właśnie, zakłęła w duchu Lula. Niewielu rzeczy nie znosiła bardziej niż braku własnej łazienki, a dokładniej toalety. Wizja stada młodzieży korzystającej z tej samej była niespodziewana i dość przerażająca.

– Nic się nie martw, Lula, będziemy cię pilnować na zewnątrz w razie potrzeby. – Ada jak zawsze pośpieszyła z pomocą. Ale mina Luli wskazywała, że najchętniej od razu wróciłaby do domu, gdyby nie zew przygody. I książka, której powoli zapisywała kolejne strony.

No właśnie, muszą jak najszybciej iść do biblioteki i zobaczyć ten brewiarz. A z tą toaletą musi jakoś wytrzymać do niedzieli.

Biblioteka była położona na parterze za zakrętem długiego korytarza w lewym skrzydle. Kiedy podchodzili do wysokich drzwi z tabliczką z napisem: „Zakaz wstępu”, Mikołaj poinformował ich, że w zasadzie nikogo, poza zakonnikami i ewentualnie historykami, do niej nie wpuszczają. I że w bazylice przy zakrystii jest jeszcze mała podręczna biblioteka na potrzeby liturgiczne.

– Kiedyś wielka biblioteka znajdowała się w dawnym refektarzu, tam, gdzie teraz jest kaplica. Widzieliście jej sklepienie? Jeśli nie, to potem zobaczcie. – Mikołaj uprzejmie przepuścił ich przodem. Weszli i oniemieli. Za drzwiami, które zaraz zatrzasnęły się za nimi, zobaczyli zakłęty, zaginiony świat, który przetrwał tylko w takich miejscach jak stare biblioteki.

W milczeniu rozglądali się po rozległym pomieszczeniu, w którym wszystkie ściany były szczelnie zasłonięte wysokimi rzeźbionymi szafami bibliotecznymi, nad którymi znajdowały się sztukaterie i kartusze z napisami po łacinie. Ozdobny sufit z barokowym malowidłem podtrzymywały zielone kolumny pomalowane we wzory przypominające marmur. Wnętrza szaf bibliotecznych też były ciemnozielone, podobne w tonacji do fresków ze stylizowanymi liliami, oplatającymi każdy wolny fragment ścian. Książki poukładano od największych na dole po najmniejsze, ustawione niemal pod sufitem. Pod oknem stał wielki globus w dekoracyjnym rzeźbionym stojaku. Wyglądał na bardzo wiekowy.

Stali nieśmiało w progu, podczas gdy Mikołaj szeptem przekazywał coś staremu zakonnikowi siedzącemu przy masywnym ciemnym biurku przy oknie na wprost globusa. Tamten wbił w nich bez cienia sympatii stalowoniebieskie oczy, podczas gdy Mikołaj nachylony coś mu tłumaczył.

– Łojek! – Gabriel zachichotał konspiracyjnie za plecami Luli.
– Wygląda jak ten Jorge z Burgos z książki Umberta Eco *Imię róży*. Kto go grał w tym filmie? Zaraz nam da księgę z zatrutymi kartami. Niczego nie liźcie.

– Idzie do nas – pisnęła z przerażeniem Ada.

– Cicho! Nie wygłupiajcie się – skarciła ich Ludwika, ale sama czuła ciarki na plecach, w miarę jak wolno i dostojnie zmierzał do nich przez całą salę, podpierając się laską, leciwy zakonnik. Nie spuszczał z nich wzroku nawet na chwilę. Obok niego w postawie pełnej szacunku, to z jednej, to z drugiej strony zachodził Mikołaj,

podsuwając mu pomocne ramię, które tamten gniewnym gestem odtrącał. Wreszcie stanął przed nimi.

– Bracie Malachiaszu, to są ci przyjaciele brata Petrusa. Gabriel bywał tutaj jako dziecko, ale może pamiętasz z dawnych lat jego ojca Edwarda?

Zakonnik milczał z kamienną miną.

– Ja cię! Nie wierzę, on się nazywa Malachiasz... jak ten bibliotekarz. – Tym razem to Kris nie wytrzymał i szeptał do Ady pod karcącym spojrzeniem Luli, która dygnęła przed starcem jak pensjonarka, kiedy przysłała kolej na jej prezentację.

– Petrus prosił, żeby im udostępnić – tu brat Mikołaj ściszył głos, chociaż nikogo poza nimi nie było w bibliotece, i nachylił się do ucha Malachiasza – brewiarz.

– To oni wiedzą o brewiarzu? Ten Petrus... Nie mogą go dotykać bez rękawiczek. A nie mają ich! – Zaskakująco dźwięcznie i głośno przemówił Malachiasz.

– Mają! – Gabriel wyskoczył do przodu i triumfalnie podsunął pod oczy obu zakonnikom cztery pary nowiutkich bawełnianych rękawiczek w kolorze camel, jak go poinformował ekspedient w sklepie z galanterią. Petrus uprzedził go, że Malachiasz będzie szukał pretekstów, żeby im nie pokazać księgi. Ludwika z uznaniem kiwnęła do niego głową. No, no, zaskoczył ją.

Wyraźnie niezadowolony Malachiasz kazał im iść za sobą i poprowadził ich do jednej z szaf. Nacisnął półkę i otworzyło się wejście do niedużej salki, oświetlonej małym romańskim oknem we wnęce. Jej ściany również były niemal całe zasłonięte szafami bibliotecznymi z półkami od podłogi po sufit. Księgi, ewidentnie starsze niż w pierwszym pomieszczeniu, ustawione były dziwnym

systemem grzbietami do ściany. Niektóre miały tytuły wypisane atramentem na kawałku papieru albo pergaminu przylepionym do górnej okładziny. Środek salki zajmował pulpit z pochyłą pokrywą, do której z jednej strony był przyczepiony łańcuch. Malachiasz, szurając nogami, przyniósł z trudem wielką księgę oprawioną w ciemną skórę z nabitymi trzema ozdobnymi guzami na pierwszej okładce. Ani Mikołaj, ani żadne z nich nie ośmieliło się zaproponować mu pomocy. Patrzyli, jak się ugina pod ciężarem grubego tomu, który z trudem położył na pulpicie, a następnie doczepił łańcuch do oprawy na dole i przekręcił zamek jednym z kluczy z pęku, który wyjął z kieszeni.

– Serio? – Ludwika nie wytrzymała, ale skarcona wzrokiem przez Mikołaja zaczęła wciągać rękawiczki.

– *Libri catenati*. – Tym razem to Gabriel popisał się wiedzą. – Czyli zabezpieczenie ksiąg za pomocą łańcucha jak w średniowiecznych bibliotekach.

Zaimponował Ludwice. Wydawało się jej, że po raz pierwszy coś na kształt uznania przemknęło również przez zmarszczoną gniewnie twarz zakonnika.

Mikołaj pożegnał się, wymawiając obowiązkami i mówiąc im, że mają szczęście, bo wszyscy są zajęci przygotowaniem Campo Bosco, więc nikt im tutaj nie będzie przeszkadzał.

Zabrali się ostrożnie do przeglądania księgi pod czujnym wzrokiem Malachiasza, który ze swojego biurka miał doskonały ogląd sytuacji. Pierwszy raz dotykali tak starego inkunabułu, więc przewracali ostrożnie pergaminowe karty, wydając stłumione okrzyki podziwu. Brewiarz miał okładki z desek powleczonych tłoczoną ozdobnie skórą. Tekst pomimo uszkodzeń dokonanych

przez upływ czasu i stulecia używania ciągle zachwycał zdobieniami i misternymi czerwonymi inicjałami, otoczonymi roślinną wicią lub skomplikowaną plecionką. Przy niektórych pojawiały się stylizowane wizerunki zwierząt. Tło tekstu gdzieś tam było podkolorowane na błękitno, żółto lub zielono. Były tam psalmy, hymny i fragmenty Pisma Świętego. Dało się zauważyć też imiona świętych: Stanisław, Wojciech i Jadwiga. Ludwika starała się zapamiętać słowa, żeby je później przetłumaczyć, jako że zdjęć nie mogli robić ani mieć niczego do pisania. Zabroniono im tego bardzo stanowczo. Malachiasz zapytał z takim niedowierzaniem trzy razy, czy na pewno nie mają żadnego ołówka lub pióra do pisania, że Ludwika już była pewna, że ich zaraz przeszuka. Telefony włożyli ostentacyjnie do kieszeni, zapewniając, że tak, rozumieją, to bardzo stara księga, będą się z nią obchodzić ostrożnie. Usiłowali więc na cztery pary oczu odczytać i zapamiętać łacińskie zawijasy. Większość dopisków była rozmyta i nieczytelna. Trudno się było zorientować w logice kolejności tych zapisów, poza tym, że robiło wrażenie, że ówcześni mnisi byli pragmatyczni i nieobce im były pojęcia takie jak „amortyzacja” i „efektywne wykorzystywanie dostępnych materiałów”, dopisywali też daty i ważne wydarzenia do księgi z psalmami.

Niespodziewanie szybko natrafili na pierwszy interesujący zapis. Był jednym z najwyraźniejszych i najdłuższych, przynajmniej z tych czytelnych.

– Wiesz, co tam jest napisane? – Kris zapytał Lulę, która sylabizowała łacińskie słowa.

Kiwnęła głową. Przydały się lekcje u pani profesor, która piłowała ich z podstaw łaciny w liceum, choć zapomniała,

o wstydzie, jej nazwisko.

– *Julii 3. sub Anno Domini MCCCXLVI sexta feria ipsa nocte sancti Kiliani tres fures latenter subnitrates templum beate Virginis violaverunt thesaurum et apparatus XLII seris sine clavibus; in cistulis nihil aliud nisi literas privilegiorum invenerunt, recipeintes tamen duo pallia Valentia receserunt. Mane facto prosecuti sunt, et in Gluscho hora prelibacionis tenti, feria autem secunda sequenti ibidem sunt suspensi. Ad futurorum premonicionem hoc euravimus annotare et cetera...* – czytała cicho Ludwika.

Brzmiało niby znajomo, ale w sumie nie do końca.

– Mniej więcej to znaczy: „Dnia trzeciego lipca roku Pańskiego tysiąc trzysta czterdziestego szóstego, w sam piątek, w noc świętego Kiliana, trzech zbójców, którzy wtargnęli do świątyni Najświętszej Maryi Panny, naruszyło skarbiec i aparat czterdziestu dwóch zamków bez kluczy; w skrzyniach nie znaleźli nic poza listami przywilejów, ale znalazłszy dwie słomki, wycofali się do Valentii. Rano ścigano ich, w godzinie libacji osądzono w Gluscho, a w następny poniedziałek tam ich powieszono. Dla ostrzeżenia na przyszłość postanowiliśmy to odnotować”.

– Co?! – Kris wybałuszył oczy na Ludwikę. – Dwie słomki? Aparat zamków? – To ostatnie powiedział tak głośno, że aż Malachiasz podniósł głowę i spojrzał na nich zgorszony.

– Ciii... – Ludwika położyła palec na ustach. – Potem kogoś poprosimy, żeby nam przetłumaczył porządnie, gdyby tylko to jakoś zapisać... ale wiemy z tego, że w tysiąc trzysta czterdziestym szóstym roku ktoś się włamał do kościelnego skarbcza. Ale był pusty, bo tylko z listami przywilejów. To gdzie była reszta? To się wydarzyło raptem trzydzieści sześć lat po ewentualnej wizycie

templariuszy w Czerwińsku, po której krążyły po okolicy legendy o statkach z białymi flagami i czerwonymi krzyżami. Może był jeszcze inny skarbiec? I co to są za miejscowości Valentia i Gluscho? – Ludwika była autentycznie podekscytowana. Ledwo udawało się jej zachować spokój.

Starali się nie zwracać na siebie uwagi Malachiasza i równocześnie dyskretnie obmacywali okładki, szukając ukrytego pod oprawą planu, o którym mówił im Petrus. Na dole księgi obok łańcucha skóra była lekko rozpruta pod jego ciężarem. Pod palcami dało się wyczuć małe zgrubienie. Ludwika z obojętną miną wsunęła w dziurę palec wskazujący. Ewidentnie poczuła złożony szorstki papier lub pergamin. Trudno było się do niego dostać, jako że Malachiasz co chwilę podnosił głowę i czujnie ich obserwował.

Ada spojrzała na nich porozumiewawczo i upuściła telefon w taki sposób, że potoczył się w stronę półek. Wydała przy tym okrzyk przerażenia i uklękła z hałasem, przyciągając na chwilę uwagę Malachiasza, który zdumiony i zaskoczony zobaczył nagle przed sobą kręcone rude włosy Ady, nurkującej na czworakach najpierw obok półek, a potem obok jego biurka. Przeprosiła go gorąco za niezdarność i zakłócenie ciszy, a Kris poderwał się, żeby pomóc jej się podnieść. Ada udała, że nie widzi jego dłoni, i oparła się, wstając, o bok drewnianego regału. Kiedy wrócili do Luli i Gabriela, tamci mieli dziwne miny iomalże dotykali głowami jednej z kart. Co ślepemu po oczach, znaczy okularach.

– Nie tak blisko – skarcił ich zakonnik.

– Macie? – bezgłośnie zapytał Kris.

Ludwika kiwnęła głową i klepnęła się kilka razy po klatce piersiowej na znak, że tak, są ukryte tam, gdzie wszystkie kobiety od

zawsze w pierwszym odruchu w chwili zagrożenia chowają cenne rzeczy. Kris także nachylił się nad pulpitem i zobaczył, że palec wskazujący Ludwika w bawełnianej rękawiczce leży na jednej z początkowych stron z zapisanymi w kolumnach wersami z czarnymi i czerwono-zielonymi literami. Po prawej stronie tych kolumn nadpisane tą samą ręką widniały łacińskie dopiski, najwyraźniej z ważnymi dla klasztoru informacjami i chyba datami. Ludwika parę razy stuknęła palcem w brzeg karty. Nie bardzo rozumieli, o co chodzi, na litery nachodziła rozmyta plama. Na tej karcie jedynie na wersach w prawej kolumnie były nadpisane mniejszym pismem wyrazy. A na samym brzegu karty, pionowo w dół biegł również jakiś napis. Ludwika przesunęła palcem po brzegu. Kris przekręcił głowę i bezgłośnie przesyłabizował:

– *Sub Anno Domini MCCXXVIII maior ecclesia Cyrwensis feria sexta magna tertiam partem...* Wiesz, co to znaczy? – zapytał cicho, a Ludwika znowu kiwnęła potakująco głową.

– To znaczy, że w roku Pańskim tysiąc trzysta dwudziestym ósmym w piątek spłonęła trzecia część większego kościoła w Czerwińsku albo trzy jego części. Jesteśmy blisko, szukamy daty między tysiąc trzysta siódmym a tysiąc trzysta dwunastym – odszeptała Ludwika i przewróciła poprzednią kartę.

W tym momencie Malachiasz niespodziewanie pojawił się koło nich. Zatrzasnął im księgę przed nosem i odpiął łańcuch kluczem z pęku u pasa.

– Musicie już iść, zamykam.

I gestem nieznoszącym sprzeciwu właściwie wypchnął ich z salki i biblioteki. Jak na wiekową osobę chodzącą o lasce, radził

sobie nadspodziewanie dobrze. Stanęli bezradnie przed drzwiami, które Malachiasz zamknął im przed nosem.

– Co tu się wydarzyło? – Ludwika była wściekła.

Bez Petrusa nic tu nie wskórają, a Mikołaj jest dzisiaj bez wątpienia zajęty, jutro początek Campo Bosco. Poza tym muszą przecież na spokojnie obejrzeć, co chciał chronić przed światem Petrus. Ktoś otworzył drzwi na dziedziniec i do gotyckiego korytarza wlał się dźwięk podkreślony wzmacniaczami. W ogrodach odbywała się próba jakiegoś zespołu.



*Nie rezygnuj z marzeń (...). Nigdy nie wiesz,
kiedy okażą się potrzebne.*

Carlos Ruiz Zafón, *Cień wiatru*,
tłum. Beata Fabjańska-Potapczuk

Plan był złożony na równe osiem części. Szorstki kawałek pergaminu był dość brudny, twardy i mocno zaplamiony na oberwanych brzegach. Ludwika poszła umyć się i przebrać do łazienki. To był odruch, żeby wcisnąć dokument za dekolt bluzki i jedyne miejsce, w którym na szybko dało się go ukryć bez wzbudzenia podejrzeń Malachiasza. Woląta nie myśleć, żeby nie wpaść w panikę, o miliardach bardzo starych i bardzo wygłodniałych bakterii, które skorzystały po wiekach z możliwości zerowania na jej skórze.

Niebezpieczeństwo trudno było oczywiście porównać z otwarciem grobowca Tutanchamona czy Kazimierza Jagiellończyka, ale obawa istniała. A wiadomo to, kto, kiedy i dlaczego rzucił klątwę? W tamtych czasach była to dość powszechna metoda zabezpieczenia włości za życia i po śmierci. A Czerwińsk krył niejedną tajemnicę.

Zamknęli drzwi na klucz na wszelki wypadek.

– Najpierw niech każdy sobie zrobi zdjęcie planu w całości i we fragmentach. I z każdej strony. Żebyśmy go mieli wszyscy w razie czego – zarządziła Ludwika po powrocie.

Widać było, że użyła szczotki, bo skórę miała czerwoną od dekoltu aż po policzki. Ludwika jak coś robiła, to robiła porządnie. Poza tym szczotkowanie dobrze robi na jędrność skóry. Nikt nie pytał, co miała na myśli, mówiąc „w razie czego”. Ostatnie tygodnie dowiodły, że wszystko się może zdarzyć. Dobrze, że mieli tych kiboli i neonazioli z głowy. Ludwika chyba nie była jednak tak tego pewna jak oni.

– Zobaczcie – Kris nachylił się nad planem – tu po lewej stronie nawa kościoła jest zamknięta półkoliście, to jest ta mała kaplica z fragmentami odsłoniętych murów z kamieni i z tym ołtarzem kamiennym. W środku, za ołtarzem głównym, jest duża absyda i... poczekajcie. – Kris przez chwilę milczał, wpatrując się w plan. – A po prawej jest taka sama absyda jak po lewej, przynajmniej tej samej szerokości. A na współczesnych planach, dajcie mi chwilę, odpalę zaraz telefon, bo zrzuciłem sobie taki jeden... w tym mniej więcej miejscu jest przedzielony prostokąt, tam, gdzie powinna też być absyda. Czy tam jest jakaś absyda? Bo już mnie zaćmiło i musimy to obejrzeć na żywo.

– Nie ma, w tym miejscu jest ta kaplica z freskami i zakrystią, a nad przejściem do wirydarza jest brama w środku skrzydła klasztoru, który się łączy z bazyliką od pierwszego piętra aż po strych. – Ludwika też odnalazła w telefonie zdjęcie klasztoru i bazyliki z lotu ptaka. – Zaraz to zobaczymy w realu, tylko ustalmy do końca, gdzie mamy to sprawdzić. Gabryś, co dokładnie ci opowiadał ojciec? Czy pamiętał, jak szli z dormitorium do tego korytarza? W dół, do góry?

Gabriel podniósł ręce w obronnym geście.

– Aż tak szczegółowo nie zapamiętałem, sorry. Kręciło mnie to jego opowiadanie, ale jak się jest nastolatkiem, to się nie przywiązuje wagi do szczegółów, tylko ogólnie do atmosfery i emocji. Głupie to, wiem, gdybym mógł cofnąć czas, to zadałbym mu wiele pytań, nie tylko o te schody. Pamiętam, że raz mi mówił, że szli schodami w górę, a raz, że w dół. I teraz nie wiem, czy mówił już o tajnym korytarzu, czy o dojściu do niego. Aha, i powiedział mi też, że kiedyś wyszli tym korytarzem do bazyliki, miał mi pokazać gdzie przy następnym wyjeździe do Czerwińska. Ale ja byłem zajęty, jakieś wyprawy, ważne sprawy rodzinne – spojrzał na Ludwikę – i tak odkładałem tę wspólną wycieczkę, aż... aż nie zdążyłem.

No tak, wszystkim nam się wydaje, że nasi bliscy i my też jesteśmy nieśmiertelni, pomyślała Ludwika. Ona też miała trochę pytań zawieszonych i niezadanych.

– A co to jest? – Gabriel stuknął w linię oznaczającą zarys ścian.
– Obrócił plan na drugą stronę. – Nie ma tu jakiejś legendy?

Pośrodku linii, ledwie widocznie, były zaznaczone ukośne kreski.

– To mogą być schody. – Kris podniósł plan bliżej oczu. – Taak... czytałem, że bardzo często budowano w grubości ścian schody i korytarze. O, i drugie maluteńkie kreski są na ścianie, jakby tam, gdzie w bazylice są stalle! To nie jest brud ani zaciek!

Ludwika poczuła znajome kłucie w lewej łopatce. Też pochyliła się nad planem.

– Słuchajcie, mamy zrobione zdjęcia planu. Musimy to porównać z rzeczywistym stanem rzeczy. Plan trzeba albo zostawić w pokoju i gdzieś ukryć – rozejrzała się po pomieszczeniu – albo włożyć w jakiś woreczek, o, taki na przykład, i schować do kieszeni. Gabryś, weźmiesz?

Przeszli korytarzem obok jadalni, z której dochodziły wesołe rozmowy młodzieży i tubalny śmiech Mikołaja. Stał na progu i przekomarzał się z kimś w środku. Jaka szkoda, że nie ma Petrusa, pomyślała Ludwika, on byłby w swoim żywiole.

– Dokąd idziecie? – Mikołaj się odwrócił. – Jedliście coś już? – Serdecznym gestem zaprosił ich do jadalni.

– Najpierw musimy uiścić opłatę za gościnę. – Ada jak zawsze była akuratna.

– Spokojnie, nie uciekniecie przecież – zaśmiał się znowu Mikołaj. – Rozliczymy się na koniec waszego pobytu.

– Bardzo chętnie zatem skorzystamy, tylko jeszcze chcieliśmy zajść na chwilę do bazyliki i zaraz wrócimy. – Ludwika powstrzymała Gabriela, który z wesołym uśmiechem już zaglądał do sali, żeby sprawdzić, co jest do jedzenia.

– Lula, no co – zamruczał niezadowolony trochę, kiedy wyszli na dziedziniec. – Bazylika stoi od kilkuset lat, przecież zaraz nie ucieknie.

– A ten znowu swoje – zezłościła się Ludwika. – Zawsze coś odłożone „na za chwilę”! Skończmy, co zaczęliśmy, i potem wrócimy tam na obiad, będzie mniej osób.

Rzeczywiście na dziedzińcu, w bazylice i ogrodzie kłębił się hałaśliwy tłum ludzi, którzy od rana rozstawiali namioty i rozciągali kable. Trudno było sobie wyobrazić, że zwykle jest to miejsce skupienia i ciszy.

Skusiło ich, żeby przejść przez zakrystię i przy okazji ją obejrzeć, ale drzwi zastali zamknięte, pewnie z powodu pory obiadowej. Na szczęście sam kościół był otwarty. Ludwika obiecała sobie, że muszą wrócić do tematu stworów na kapitelach w portalu, nie pamiętała, z czym się jej skojarzyła ta maska, z której wyrastały na dwie strony roślinne wici. Z logo firmy przerabiającej glony na suplementy? W środku panował przyjemny chłód. Przez wysokie okna wlewało się światło. Bazylika była jasna i kolorowa, co zawdzięczała w dużej mierze barokowemu wystrojowi. Teraz jednak najbardziej interesowały ich pozostałości romańskie i gotyckie, czyli z początków istnienia kościoła i klasztoru.

Rzeźbione stalle po obu stronach nawy głównej miały dwa rzędy siedlisk, górny dla ważniejszych, dolny dla zwykłych zakonników. Nawet tutaj są lepsi i lepsiejsi, pomyślała zgorszona Lula. Nad kartuszami z herbami opatów i fundatorów wisiało sześć wielkich obrazów z życia Matki Boskiej, na przemian z wotami dziękczynnymi.

– Czy Petrus nie mówił nam, że oryginalnie tu był tylko jeden rząd stalli? I że w tym miejscu te stalle się pojawiły w siedemnastym wieku? Bo wcześniej zakonnicy siedzieli bliżej ołtarza? Czy ja coś mieszam? I czy dobrze pamiętam, że Petrus zaczął nam mówić,

zanim go odwołał brat Mikołaj, że słyszał, że za stallami podobno było kiedyś jakieś przejście? Tylko do czego?

Do stalli wchodziło się po schodkach. Nad każdym siedziskiem umieszczony był portret jakiegoś ważnego dla kanoników świętego czy patrona. Wpatrywali się w kolejne twarze w rzędach od strony klasztoru, aż stanęli przy ostatnim portrecie, tuż przy ołtarzu. Nic nie rzuciło im się w oczy, wszystkie wyglądały podobnie. Każda postać była odziana w habit, zapewne kanoników, na ramieniu miała oparty przedłużony krzyż. Jedynie na ostatnim obrazie starzec z potarganą brodą patrzył ze współczuciem na pomniejszoną postać z rękoma błagalnie uniesionymi do góry i gorejącą w ogniu.

– To Święty Malachiasz. – Odwrócili się.

Za nimi stał Thomas Apengeter. Nie słyszeli, kiedy podszedł i jak długo słuchał ich rozmowy. Lula rzuciła mu wściekłe spojrzenie. Co jest z tym facetem, że zawsze się przy nich kręci. Stał teraz obok i jak się im wydawało, z lekko rozbawioną miną, poinformował ich tym swoim polskim z twardym akcentem jak audioprzewodnik w muzeum:

– Irlandzki mnich i prorok z dwunastego wieku, który przewidział, ilu będzie papieży. Na liście Malachiasza papież Benedykt był przedostatni. O ostatnim papieżu, sto dwunastym w jego spisie, napisał *Petrus Romanus Secundus*, i że po nim nastąpi koniec chrześcijańskiego świata – wyrecytował Thomas i skierował się w stronę zakrystii.

– Co z nim? Chce nas przestraszyć, że niby za Franciszka nastąpi koniec świata? O co chodzi? Co nam chciał przez to powiedzieć? – zapytała Ludwika i naciągnęła aż do nadgarstków podwinięte rękawy. Zrobiło się jakby trochę chłodniej.

Thomas jakby usłyszał i odwrócił się do nich.

– A wiedzieliście, że Malachiasz był bardzo bliskim przyjacielem Świętego Bernarda z Clairvaux? Nawet umarł na jego rękach. Tego samego Bernarda, który stworzył regułę augustiańską dla kanoników regularnych – wskazał na bazylikę – oraz templariuszy – dodał i zaśmiał się, znikając w zakrystii.

– Ten Thomas jest naprawdę dziwny, nie uważacie? Tak jakby specjalnie zwrócił naszą uwagę na tego Malachiasza. – Ludwika była szczerze zdziwiona.

Rozejrzeli się po bazylice, nikogo szczęśliwie nie było, po południu zaczynały się uroczystości i wszyscy byli w ogrodach. Podeszli ponownie do stali po prawej stronie prezbiterium, żeby sprawdzić jeszcze raz z bliska, czy zobaczą coś charakterystycznego na obrazach, a szczególnie na tym przedstawiającym Malachiasza. Coś, co by wskazywało na związek z templariuszami. Obmacali je wszystkie, jeden po drugim, łącznie z ramami, zasłaniając się nawzajem przed ewentualnym podglądającym. Nic.

– To rozczarowujące, prawda? – Ada powiedziała na głos to, co wszyscy myśleli.

– No, trochę. Dopiero zaczęliśmy, gdzieś to jest, znajdziemy. Nie poddajemy się. – Lula podtrzymała ich na duchu. – Musimy porównać długość nawy bocznej, bo mamy poważną różnicę między planem a rzeczywistością. – Wszyscy skupili nad ekranami telefonów. – Wygląda na to, że zburzono absydę na jej zakończeniu, tylko dlaczego?

– Wydaje mi się, że da się to wytłumaczyć – zaczął Kris powoli, widocznie nie od razu podłączył się do Krisopedii. – Po pierwsze, na tamtym planie jest jeszcze absyda po prawej, wschodniej stronie, tej

najważniejszej w kościołach i klasztorach. Czyli plan pokazuje kościół z najwcześniejszego okresu, romańskiego, może nawet z jedenastego wieku. Po drugie, zburzono ją z jakiegoś ważnego powodu, może po to, żeby połączyć kościół z klasztorem, dopiero budowanym, a to by było logiczne i w sumie najlepsze ze strategicznego punktu widzenia miejsce. To przy wejściu głównym jest wystawione od razu na niebezpieczeństwo.

– Po trzecie – przerwał mu Gabriel, od kilku minut wędrujący wzdłuż ściany nawy w tę i z powrotem – wygląda na to, że proporcjonalnie kościół na planie, zapewne romański, jest krótszy niż ten obecny. Założę się, że kościół został wydłużony, tylko nie wiem, w którą stronę. Więc stalle mogły, ale wcale nie musiały zostać przeniesione po przebudowie. Trzeba zadzwonić do Petrusa i dopytać go. A to by oznaczało, że albo myśmy źle zrozumieli, albo Petrus się pomylił, że za stallami nie ma żadnego korytarza i możemy sobie macać te obrazy i ramy do woli. O, zobaczcie, tutaj na ścianie jest tabliczka: „Stalle ufundowane przez opata Mikołaja Szyszkowskiego w tysiąc sześćset czterdziestym roku”.

– No to ja mam pytanie. – Ludwika przeszła do kaplicy z freskami po drugiej stronie muru oddzielającego nawę główną od bocznej. – Co to jest? – Podniosła grubą czerwoną tkaninę, w którą wpięte były łańcuszki i medaliki, zawieszoną na bocznej ścianie kaplicy. Przed nią stała ławka zagrządzająca dostęp. Pod tkaniną ukryte były drewniane drzwiczki pomalowane na ten sam kolor co ściana, zamknięte na skobelek. Daliby radę przez nie wejść, gdyby się schylili. Ludwika wyciągnęła rękę, żeby je otworzyć.

– O, tutaj jesteście! Szukałem was. – Uśmiechnięty brat Mikołaj nadchodził z gromadką młodzieży od strony empory. – Musicie teraz

iść szybko zjeść, bo zaraz zamykają kuchnię, a za dwie godziny zaczynamy. Przedtem jeszcze sobie odmówimy wszyscy nowennę w intencji powodzenia Campo. Szybko wracajcie i dołączcie do nas!



*Jeśli z przekonaniem i uporem dąży się ku
swoim marzeniom, osiągnie się zwycięstwo,
które w zwykłym dniu nie jest osiągalne.*

Nancy H. Kleinbaum, *Stowarzyszenie umarłych poetów*,
tłum. Paweł Laskowicz

W ogrodach salezjańskich rozłożyło się kolorowe miasteczko namiotowe. Przed małą sceną kilkuset młodych ludzi kołysało się przy scenie do dźwięków raperskiego monologu. Światła przesuwały się po ich głowach. Lula sama miała ochotę się z nimi pokołysać, ale nie była pewna, jak by to zostało przyjęte. Te dzieciaki, będące wolontariuszami przydzielonymi do różnych służb, sprawiały miłe wrażenie między innymi przez wzajemną życzliwość. Co rusz ktoś

pytał ich czwórkę, czy w czymś im pomóc. W ten sposób dowiedzieli się, że kolor ich zawieszek sygnalizował, że są specjalnymi gośćmi, chociaż niczego nie śpiewali ani nie prowadzili warsztatów.

Usiedli na skrzyniach od sprzętu oświetleniowego, trochę dalej od sceny, żeby przeanalizować plan działania. Gabriel na chwilę odszedł z telefonem za bazylikę.

– Kościół będzie otwarty długo – oznajmiła Ada. – Dowiedziałam się – poprawiła się na skrzyni – od jednej dziewczyny dyżurnej z bazyliki, że dzisiaj mniej więcej od dwudziestej trzeciej ma się tam odbywać nocne czuwanie. Wcześniej, gdzieś około dwudziestej drugiej – spojrzała na zegarek w telefonie – ma mieć występ Witek Muzyk Ulicy, na którego wszyscy czekają, i wtedy na chwilę wyskoczę, bo bardzo chciałam go poznać.

– Brawo, Ada, superwywiad zrobiłaś. – Ada lekko zaczerwieniła się po pochwale Luli i bezwiednie zerknęła na Krisa, który uśmiechnął się do niej z aprobatą. – Bo to znaczy, że od dwudziestej drugiej mamy około godziny, żeby się spokojnie rozejrzeć i ewentualnie dostać do korytarza. Albo przez te małe drzwiczki w ścianie, albo przez stalle, jeśli znajdziemy to przejście. Bo potem będzie pełno ludzi w kościele. Gabryś, powiedz, proszę, co ci powiedział Petrus przez telefon. – Lula zwróciła się do Gabriela, który właśnie do nich wrócił.

– Generalnie Petrus jednak uważa, że w ramie bądź gdzieś na obrazie między płótnem a ramą, najprawdopodobniej tym z Malachiaszem, jest ukryty mechanizm do drzwi, więc musimy go obmacać. Tuż przed naszym przyjazdem przeczytał w starych zapiskach, że klucz do mechanizmu jest w jakiś sposób pokazany na malowidle. Tylko nie był pewny, czy na tym w stallach, czy na

którymś z tych powyżej stalli. Dlatego tam wtedy wlaź na te rozstawione rusztowania. Chociaż może teraz mu się wydaje, że ktoś go popchnął, ale on niewiele pamięta z chwili tuż przed wypadkiem i po nim. Więc raczej przyjmuje, że się poślizgnął, bo i kto niby miałby go popchnąć. A te drzwiczki obok to według niego może być składzik na chorągiew przerobiony z niegdyś istniejącego korytarza. Mały czworobok z wymurowaną ścianką, ale on nie wyklucza, że w środku w ścianie mogą być ukryte drzwi prowadzące dalej. Nikt nigdy się temu nie przyglądał, bo i po co. Tak że musimy to dzisiaj sprawdzić. Powyżej stalli bez tych rusztowań nic nie sprawdzimy, wiadomo, w razie czego trzeba będzie coś innego wymyślić z Petrussem, jak wróci.

Około dwudziestej drugiej wszystkie dziewczyny wpatrywały się z uwielbieniem, a chłopcy z podziwem w brodatego Witka, który na gitarze grał tak, jakby rozmawiał z Panem Bogiem na poważnie. Ada dała sygnał, że to już, że widzi swoją nową koleżankę dyżurną kołyszącą się z tłumem. Rzeczywiście bazylika oświetlona tylko lampką przy ołtarzu i kilkoma małymi bocznymi wydawała się pusta. Witek ewidentnie miał męską charyzmę i nawet Lula trochę żałowała, że nie może na niego dłużej popatrzeć.

Najpierw Lula z Adą odsunęły bardzo ostrożnie klęcznik zastawiający dostęp do małych drzwiczek w ścianie z boku kaplicy. W świetle podręcznej latarki telefonu zobaczyły tylko stos sztandarów i chorągwi z mosiężnymi okuciami. Omiotły ściany światłem, badając centymetr po centymetrze rękoma. Nic, co by wskazywało, że jest coś poza murem, chociaż odgłos pukania w ścianę brzmiał zastanawiająco głucho, jakby za ścianą była pusta przestrzeń.

W tym czasie Gabriel i Kris jeszcze raz sprawdzali stalle i obraz za obrazem. Na ostatnim Malachiasz, starzec z siwo-rudą brodą, pochylał się litościwie nad postacią w płomieniach. Nie wiadomo, czy dzieckiem, mężczyzną czy kobietą, w każdym razie duszą w czyścucu. Bo to były ognie czyścicowe, nie piekielne, jak im wyjaśnił brat Mikołaj zagadnięty podczas obiadu. Malachiasz się specjalizował, jeśli można tak powiedzieć, w duszach czyścicowych, o które specjalnie zabiegał. Stąd ta dusza z czyścica na obrazie.

– Gabryś, ty do niego westchnij, bo trochę go przypominasz. Brody macie podobnego koloru – zażartowała półszeptem Lula, opadając na wygodne siedzisko zakonników w stallach po prawej stronie prezbiterium. Gabriel dzisiaj prezentował zestaw dwóch warkoczyków, czyli był w niezłym nastroju. Kris po drugiej stronie przymierzał się do wyjątkowo ozdobnego, rzeźbionego fotela na podwyższeniu, przeznaczonego dla opata czy biskupa.

– Nawet ubranka macie podobne – zachichotała Ada, wskazując ulubioną szarą bluzę dresową Gabrysia, długą do kolan, rozpinaną i z kapturem. Gabriel tylko zrobił zeza.

– Bardzo śmieszne! – fuknął.

– A ktoś zauważył, że bibliotekarz ma tak samo na imię jak ich najważniejszy święty? – Kris jak zwykle łączył kropki, które dla innych latały w charakterze much, a według niego łączyły je niewidzialne sznurki. – Ciekawe, czy to ma jakieś znaczenie.

– Ale ta dusza w ogniu taka biedna, ręce rozkłada. – Ada jak zwykle ulitowała się nad stworzeniem.

– Czekaście. – Lula zerwała się nagle. – Zobaczcie właśnie, jak ta dusza te ręce rozkłada. Malachiasz się modli, ona też powinna, a wyraźnie pokazuje coś po przeciwnych stronach obrazu... Zaraz,

gdzie precyzyjnie wypada to na przedłużeniu? Z jednej strony na środku ramy, dosięgnie ktoś? A z drugiej, po lewej, tuż przy palcu.

Gabriel podciągnął się wyżej i przejechał dłonią po górnej ramie.

– Tu coś jest, ta rama nie jest całością. Pod palcami jest wyczuwalna delikatna przerwa.

– To samo tutaj, po lewej stronie! Naciskam!

Kawałek ramy pod palcami Luli cofnął się i wskoczył na miejsce. Gabriel powtórzył jej manewr. Drewniany element cofnął się i również gładko wpasował się w drewnianą obudowę. Wszystko wyglądało tak samo jak przedtem.

– Słuchajcie, w opowieściach o dziwnych tajnych mechanizmach często czytało się o tym, że trzeba było coś nacisnąć albo w określonej sekwencji, albo równocześnie. – Kris postanowił sięgnąć do swoich zasobów.

Spróbowali więc różnych kombinacji, najpierw góra, potem dół i równocześnie.

– To popatrzmy jeszcze raz, tu musi być podpowiedź. Skupmy się. – Lula stanęła ze zmarszczonymi brwiami i jeszcze raz doświetliła obraz duszy smaganej płomieniami. Postać w ogniu kierowała dwa palce do góry i dwa palce na bok. Gabriel poderwał się nagle i nacisnął dwa razy górną część ramy, a Lula równocześnie dwa razy dolną. Coś zaskrzypiało, stuknęło, przeskoczyło i dolna część obrazu osadzonego na drewnianych drzwiach odskoczyła, uchylając się nieznacznie, równocześnie z ozdobnymi drzwiczkami na dole. Ale ku ich zaskoczeniu nie poruszył się obraz przedstawiający Malachiasza, tylko Piotra, na środku stali, na wprost schodków.

Ze środka z ciemności doleciał do nich zapach stęchlizny i starego kurzu. Gabriel pochylił się i przeszedł przez próg. Oświetlił

wnętrze. W kręgu światła latarki widać było schody ginące w mroku w górze, biegnące w wąskim korytarzu wymurowanym z kamieni i cegieł. Wydeptane stopnie zapadły się w niektórych miejscach. Kiedyś musiały być często używane.

– Wygląda na to, że doszedłeś do porozumienia z tym Malachiaszem. – Lula zajrzała do wnętrza niepewnie.

– To co, idziemy? – W głosie Gabriela słychać było podekscytowanie pomieszane z czymś innym, być może z odrobiną lęku przed nieznanym.

Lula wyobraziła sobie znowu te miliardy średniowiecznych bakterii, które tylko mlasnęły zbudzone po kilkusetletnim śnie i od razu jak stado piranii bezbłędnie skierowały się w stronę nadciągającego pożywienia. Z ogrodów słychać było, jak Witek Muzyk Ulicy zachęcał: „Możesz żyć po swojemu, nie mów mi, że nie możesz marzyć”. Miała ochotę go posłuchać.

Przyciągnęli drzwi i zatrzasnęli je, sprawdzając, czy rama jest dopasowana. Coś znowu kliknęło i stuknęło, coś się zasunęło w ciemności. Lula się przeraziła. A co będzie, jeśli nigdy już stąd nie wyjdą i nikt ich nie odnajdzie? Najwyżej po latach ktoś się natknie na cztery ściśnięte kościotrupy. Ale to będzie zagadka dla odkrywcy! Miejsca było rzeczywiście niewiele. Stali stłoczeni obok siebie. Ledwie mogli ruszać rękoma. Sufit był bardzo nisko, tuż nad ich głowami, a ramionami dotykali ceglanych ścian po obu stronach korytarza. Coraz szybsze oddechy dawały coraz więcej pary. Więcej wilgoci to więcej pożywienia dla bakterii. I grzybów. Na chwilę stanęli, przyzwyczajając oczy do ciemności rozpraszaną bladym światłem latarek z telefonów. Gabriel złapał Lulę za rękę, wiedział,

że teraz walczy z ogarniającą ją paniką w obliczu ciemności i ciasnej przestrzeni.

– Idźcie za mną. – Gabriel wysunął się naprzód.

Pierwsze kroki były najtrudniejsze. Światło zanikało, przesłaniane co chwilę przez osobę idącą z przodu, musieli więc zacząć wyczuwać szerokość stopni i odległość od ściany. Macali ostrożnie stopami każdy kolejny kamienno-ceglany stopień. Lula czuła, że Ada wczepiła się w jej bluzę. Będzie pomięta jak nic. Ona sama nieledwie wykręciła palce Gabrysiowi.

– Słuchajcie, musimy robić to z głową. – Gabriel czuł się odpowiedzialny za organizację tego pochodu ślepców. – Przede wszystkim musimy być cicho, bo nie wiadomo, czy nas słychać, czy nie. Poza tym ustawmy się jedno za drugim i od tej pory posługujmy się dwoma telefonami, żeby nam baterie nie wysiadły we wszystkich. Moim, bo idę pierwszy, i Ady, bo jest trzecia. Albo nie, Krisa, bo zamyka. I kolejna sprawa, patrzymy pod nogi, ostrożnie stawiamy kroki i spokojnie, wolno idziemy naprzód, trzymając się za ubranie osoby przed nami. Okej?

– Okej – odpowiedzieli chórem i ruszyli przed siebie.

Jak się idzie częściowo w ciemności, to się wydaje, że trwa to długo, jest daleko i wysoko. W gruncie rzeczy zaledwie po kilkunastu stopniach znaleźli się na szerszej ceglanej platformie, z której odchodziły trzy korytarze: jeden na przedłużeniu tego, którym tutaj dotarli, drugi zakręcający w dół i trzeci zakręcający w górę w lewo. Sufit trzeciego korytarza był wyższy.

– A ja mam taką propozycję. – Ada zdjęła śliczny różowy sweter, przedmiot cichej zazdrości Luli. – Nie wiemy, dokąd to nas zaprowadzi. Musimy mieć możliwość wrócić w to samo miejsce, skąd

przyszliśmy. – Chwyciła koniec wełnianej przędzy ze ściągacza. Wyciągnęła kilkoma szarpnięciami ponad dwa metry nitki.

– Szkoda go... – jęknęła Lula, ale Ada machnęła lekceważąco ręką. – Znajdziecie mi coś, do czego mogę doczepić koniec?

Udało się znaleźć wystający kawałek muru na tyle solidny, że od biedy mógł służyć za punkt zero.

– Jesteś jak Ariadna – zażartował Kris dumny z pomysłowości Ady. – To jaka decyzja? Góra czy dół?

Po krótkiej dyskusji zdecydowali się iść w górę, przedłużeniem korytarza, którym dotarli aż tutaj. Ada włożyła ponownie sweter i ruszyli powoli przy cichym szmerze odwijanej nitki z prutego swetra. Lula miała ciarki na plecach od tego dźwięku, kojarzył jej się z drapaniem paznokciami po szorstkiej tkaninie. Korytarz zakręcił drugi raz w górę. Stanęli przed ścianą. W świetle latarki było widać żelazną tarczę pokrytą roślinnym motywem.

– Cofnijcie się na wszelki wypadek. Kris, podejdź tutaj. Spróbujemy razem. – Gabriel miał zafrasowaną minę. Pamiętali z różnych opowieści, że te stare mechanizmy potrafiły zaskoczyć. – Jak myślisz, Kris, czy to po prostu rodzaj mechanizmu otwierającego drzwi? Nic nam nie spadnie na głowę, ewentualnie nie otworzy się nam zapadnia pod nogami? – zapytał z obawą.

– Wydaje mi się, że nie, choć nie mogę tego zagwarantować. Na moje wyczucie skręcaliśmy i wchodziliśmy wyżej, a Petrus mówił o korytarzu łączącym klasztor z kościołem. Wyjście może być gdzieś w klasztorze, na przykład w kuchni lub w sypialni opata – zażartował Kris, ale niebezpieczeństwo wyjścia gdzieś, gdzie by nie chcieli, wydawało się realne. Trudno, najwyżej będą się tłumaczyć.

Gabriel razem z Krisem zaczęli wolno obracać tarczę. Stawiała opór, ale usłyszeli, jakby rygle drgnęły, bolce zaczęły się wysuwać z futryny górnej i dolnej i rodzaj dźwigni przysunął drzwi zaskakująco cicho do nich na jakieś dwadzieścia centymetrów, po czym w miarę naciskania obrócone drzwi stanęły w poprzek ponad progiem futryny, tak że musieli się trochę cofnąć niżej na schodach. Światła latarń oświetlających bazylikę wpadały przez małe okna. Znajdowali się na poddaszu, a drzwi z drugiej strony okazały się tyłem starej szafy bibliotecznej. Przemknęli szybko do pomieszczenia, a Kris razem z Gabrielem powoli pchali szafę, starając się obserwować, co z tej strony otwiera i zamyka ten stary mechanizm. Okazało się, że zastosowano dość banalne rozwiązanie, oczywiście pod warunkiem, że się o nim wiedziało: żeby otworzyć, należało nacisnąć trzecią półkę od góry.

Drzwi na strych na szczęście nie były zamknięte na klucz. Cicho przeszli klatką schodową i zbiegli schodami na dół na pierwsze piętro do dormitoriów.

Przed drzwiami zastali Thomasa, który schylony i zgięty wpół zaglądał przez dziurkę od klucza do ich pokoju. Thomas nie wydawał się wcale zmieszany.

– Akurat przypadkowo przechodziłem i coś mi spadło na podłogę. – Thomas pewnym ruchem poklepał się po kieszeni.

Ada przejęła inicjatywę, pytając, czy czegoś od nich potrzebuje, bo jak nie, to oni chętnie pójdą spać. Dzień był dość męczący, a w ogóle to cudownie się bawili.

– Czy bratu też się podobał ten Witek Muzyk Ulicy? Co za zdolny młody człowiek! A jaki przystojny! A jak podopieczni z Niemiec? Miło spędzają czas? – I nie czekając na odpowiedź, trajkotała

radośnie dalej. – No to świetnie! No to dobranoc! – Ada zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, zanim zdążył odpowiedzieć chociaż na jedno pytanie.

Ludwika spojrzała w lustro starej szafy w rogu. Nic dziwnego, że Thomas patrzył na nich zdziwiony. Mieli brudne twarze i ręce, a każde z nich czarny pas kurzu na wysokości ramion i bioder. Wyglądali, jakby przed chwilą czyścili kominy. Ten korytarz rzeczywiście nie był za szeroki, natomiast oni posłużyli za froterkę i odkurzacz. Ale znaleźli pierwsze nieznanne przejście, a kolejne czekały na zbadanie. Obiecali sobie, że wrócą tam następnej nocy.



*To pewne, że jeśli się czegoś pragnie, trzeba
zaryzykować.*

Agatha Christie, *Zwierciadło pęka w odłamków stos*,
tłum. Elżbieta Gepfert

Następnego dnia odbili się od drzwi do biblioteki. Kilka razy wracali i pukali, ale Malachiasz im nie otworzył. Słyszeli, jak szura nogami, przechodząc z jednego pomieszczenia do drugiego, lecz ewidentnie udawał, że ich nie słyszy. Ależ to było wkurzające! Przecież się z nim umówili, że wrócą dzisiaj i dokończą badanie księgi. Mikołaj był tak zajęty, że mowy nie było, by go tu ściągnąć na interwencję.

– No, nie ma co walić w te drzwi, wrócimy po południu, czy też niestety dopiero kiedy Petrus wyjdzie ze szpitala. – Gabriel z trudem ukrywał rozczarowanie. – Proponuję, żebyśmy teraz obeszli całe

wzgórze i poszukali tego wyjścia korytarza ewakuacyjnego, o którym opowiadał mi ojciec. Zobaczmy też, dokąd prowadzą te wielkie żelazne bramy pod tarasem na dziedzińcu. Mam nadzieję, że współczesne drzwi kryją stare podziemia.

– Może to po prostu garaże przerobione ze średniowiecznych stajni. – Lula się uśmiechnęła.

– W dwunastym czy trzynastym wieku raczej by nie wkopywali stajni we wzgórze, ale kto wie? – Zamyślił się. – Skoro stajnie też znajdowały się w podziemiach Świątyni Salomona w Jerozolimie, a ona była wzorem dla podobnych budowli na całym świecie?

Ruszyli na obchód włości klasztornych. Ceglana dzwonnica i Brama Opata Kuli wyznaczały granicę między światem świeckim a zakonnym. Schodzili w dół wzgórza po schodach, po których od wieków wędrowali strapieni pielgrzymi do obrazu Matki Boskiej Czerwińskiej z nadzieją na rozwiązanie różnych problemów i uzdrowienie. Wśród nich było kilku władców, między innymi król Władysław IV Waza, chory na niezwykle bolesną dnę moczanową. Zostawił on w bazylice srebrne wota w podziękowaniu za ulżenie w chorobie. To ten król, którego wojska zajęły Smoleńsk i stanęły w Moskwie i który o mało co nie został carem. Ludwice bardzo podobało się, że Władysław, ze względu na chorobę, wszędzie woził ze sobą mały drewniany domek na kółkach, rodzaj prototypu współczesnej przyczepy kempingowej.

Ciekawe, czy wiedzą o tym producenci i pasjonaci tej ulubionej formy spędzania czasów przez Polaków, myślała, schodząc ze wzgórza za przyjaciółmi. Jeszcze niedawno pielgrzymów chroniły od upału wielkie drzewa, posadzone wzdłuż drewnianych poręczy po obu stronach schodów. Wycięto je niestety i teraz schody od wzgórza

oddzielały żelazne łańcuchy, pojękujące metalicznie na delikatnym sierpniowym wietrze. Ludwika przystanąła na chwilę i odwróciła się w stronę Bramy Opata Kuli. Z dołu na ceglanej ścianie bramy widać było wyraźnie ślady po zdemontowanym drewnianym balkoniku i otwory okienne pięter prowadzących do dzwonnicy.

– Hej! Poczekajcie! – krzyknęła do zajętej rozmową grupy, która już była u stóp schodów. – Obejrzyjcie się, proszę. Popatrzcie na bramę i na wzgórze, na którym stoi bazylika. Co wam to przypomina? Gabryś, ty szczególnie powinienesz skojarzyć.

Cofnęli się kilka stopni w górę.

– Nie wiemy, co masz na myśli, powiedz.

– A pamiętacie, jak oglądaliśmy Goszczanów, a tam w wieży dzwonnicy była studnia i zamurowane przejście do korytarza łączącego się z kościołem? I jak Gabryś oczywiście chciał to zamurowane przejście rozkuwać?

Teraz już wszyscy podeszli do Ludwiki.

– Sądzisz, że tutaj też jest przejście z dzwonnicy do bazyliki? – zapytał Kris.

– Raczej sygnalizuję, że koniecznie musimy ten temat zbadać, bo klasztor i bazylika stoją na podobnym jak tam wzgórzu. I tak samo jak w Goszczanowie zbudowano je na fundamentach poprzedniej warowni. Więc tędy też może iść ewakuacyjny korytarz, zamaskowany dzwonnica i bramą.

– Ciekawa koncepcja... – Kris się zamyślił. – Rzeczywiście temat do zbadania po powrocie na górę. I do dyskusji z Petruszem.

Obeszli wzgórze wąską ulicą prowadzącą wzdłuż Wisły aż do małego schludnego rynku. Gęsta roślinność i drzewa nie pozwalały stwierdzić, czy we wzgórzu było jakieś wejście. Nic nie wskazywało

też na to, że za bramami kryje się coś więcej niż garaże. Wszystkie poza jedną były zamknięte, ale po akcji z alarmem podczas pierwszej ich wizyty w Czerwińsku nie mieli odwagi na samodzielną eksplorację. Kolejna rzecz do omówienia z Petrussem.

Wieczorem zaplanowany był Różaniec Wiślany, pomysł salezjanów, żeby połączyć rekreację z modlitwą.

– Na trasie między Wychódzcem, Secyminem, Zdziarką, Pragą i Czerwińskiem zwykle płynie kilkadziesiąt łodzi. Całe rodziny z Czerwińska, okolic i nawet z Warszawy. Nie wyobrażam sobie, żeby was mogło zabraknąć, skoro pani Ludwika pisze powieść o Czerwińsku – oświadczył brat Mikołaj, którego spotkali na dziedzińcu. – Udział w tym wyjątkowym Różańcu Wiślanym pomoże wam zrozumieć, dlaczego ta bazylika od wieków przyciąga pielgrzymów.

Luli ze strachu skóra ścierpła na plecach. To była kolejna rzecz po bakteriach, której się organicznie, do szpiku kości, bała: wody w rzece i braku możliwości dotknięcia dna w wartkiej wodzie. Gabryś zauważył ten znajomy strach.

– Bez kamizelki ratunkowej Ludwika nie wsiądzie do żadnej łodzi! – oznajmił stanowczo.

– Ada także nie! – Ton Krisa był nie mniej zdecydowany. Obydwaj się wypowiedzieli, zanim którakolwiek z nich zdążyła wyrazić własną opinię.

– Oczywiście, że będą je miały! Wszyscy je mamy! – Mikołaj był równie zdeterminowany jak oni.

Nie było wyjścia, nie dało się wykręcić z tej rzecznej eskapady, widać ważnej dla zakonników i miejscowych. Mikołaj nalegał, żeby obie panie płynęły łodzią VIP-owską, tuż za pierwszą, prowadzącą,

z nim samym i z gościem honorowym, biskupem, który niespodziewanie zawitał do nich półprywatnie, wracając z domu rodzinnego w okolicy. Gabriel i Kris zostali poproszeni o pomoc wolontariuszom w przygotowaniu specjalnej drewnianej wiaty, w której miały się odbyć końcowe modły.

– Wiele rzeczy się nałożyło, a że biskup w swej łaskawości zaszczyił nas niespodziewaną i wyjątkową wizytą, nie wypada, żeby stał pod gołym niebem. Tym bardziej że być może zanoszą się na deszcz i burzę. – Mikołaj wskazał ciemniejące w oddali chmury. – Sami nie zdążą, bardzo was proszę o pomoc. Rzeka ma niski stan, więc ze trzy godziny zabierze nam manewrowanie, żeby ominąć mielizny. Macie czas.

Ludwika mało nie zemdląca, słysząc słowa „deszcz i burza”. Tego tylko brakowało, żeby podczas nawałnicy znaleźli się na środku Wisły. Gabriel znał to spojrzenie, które rzuciła mu, wsiadając wieczorem do samochodu. Mikołaj od razu zaproponował, że je obie podwiezie, niech się tym nie kłopotują.

Gabriel nie wiedział dlaczego, ale ogarnął go niepokój. Nie opuszczał go przez cały czas, kiedy razem z Krisem wbijał mocno gwoździe w kolejne słupy i deski, które powoli zmieniały się w altanę z dachem. Budowali ją tuż nad płaskim zejściem do Wisły, które w średniowieczu było małym portem komory celnej u stóp czerwińskiego wzgórza, pobierającej sowite opłaty dla klasztoru od statków przepływających tędy traktem handlowym z Rusią. Wisła w dawnych czasach była głębsza i zatłoczona przemieszczającymi się w różnych kierunkach statkami i łodziami. Ojciec opowiadał mu, że jeszcze do wojny po rzece kręciło się mnóstwo berlinek, łodzi, kryp wydobywających piasek i regularnie pływających do Czerwińska

parowych statków wycieczkowych. Jednym z ostatnich takich parowców odpłynęli do Warszawy, zaraz po wybuchu wojny, prawie wszyscy zakonnicy i klerycy z klasztoru uciekający przed Niemcami.

Deszcz zaczął bębnić o dach postawionej altany dokładnie w chwili, kiedy wbili ostatnie gwoździe. Wiatr zerwał się nagle i zaczął przeginać drzewa osłaniające brzeg Wisły. Gabriel pół godziny wcześniej próbował się dodzwonić do Ludwiki, ale od razu włączyła się automatyczna sekretarka. Pewnie Lula wyłączyła telefon, żeby nie przeszkadzać w modlitwach. Żałował, że jednak nie odradzili Ludwice i Adzie udziału w spływie. Zebrał narzędzia, poprosił wolontariuszy o posprzątanie placu wokół i znowu wyjął telefon. Na ekranie pulsowały wiadomości o kilkunastu nieodebranych połączeniach, ale ani jednej od Luli, za to kilka od Mikołaja. Poczuł, że wali mu serce.

Miał nadzieję, że sterujący łodziami byli na tyle rozsądni, że dobili do brzegu, zanim zerwał się wiatr. I że wrócili do klasztoru samochodami. Z tą myślą biegł z Krisem po śliskich od deszczu schodach na wzgórze.

Prawie bez tchu dotarli do Bramy Opata Kuli. Kilku policjantów zatrzymało ich przy przejściu. Na zwykle mrocznym dziedzińcu, oświetlonym tylko kilkoma latarniami, migotały niebieskie i czerwone światła policyjnych samochodów. Mikołaj stał pod parasolem, obok biskupa i dwóch roślących mężczyzn, w ceglanej bramie w murze opasującym zabudowania klasztorne. Poprzez lśniące w świetle krople deszczu zobaczyli, że jacyś ludzie w mundurach odgradzają bazylikę żółto-czarną taśmą, przepychając za nią tłum.

– Gdzie Ludwika?! – krzyknął Gabriel, szarpiąc zakonnika za rękaw i przerywając mu rozmowę. Mikołaj powstrzymał policjanta, pod którego ramieniem zanurkował Gabriel. Za nim ruszył Kris.

Mikołaj spojrział ze współczuciem na Gabriela i ręką wskazał na bazylikę.



Głęboko wierzę, iż jeżeli uda się skłonić kogoś do dłuższej pogawędki na jakikolwiek temat, wcześniej czy później ta osoba sama się zdradzi.

Agatha Christie, *Po pogrzebie*,
tłum. Anna Rojkowska

Ludwika czuła wszystkimi zmysłami, że nie powinna wsiadać do tej łodzi. Jej wewnętrzny alarm migotał ostrzegawczo, kiedy schodziły razem z Adą po betonowych płytach, ułożonych na płaskim brzegu nad Wisłą, do jednej z większych zacumowanych tam łodzi. Alarm podniósł się o stopień wyżej, kiedy łódź, chybotając się, wypłynęła na środek Wisły, żeby ominąć mielizny przy brzegu. Ada była zapewne

tak samo blada jak ona i również kurczowo trzymała się drewnianej burty łodzi, która choć czysta i odmalowana, wyglądała na sfatygowaną. Ludzie nią manewrujący, „najbardziej zaufani i doświadczeni żeglarze i rybacy z okolicy”, jak przedstawił ich Mikołaj, zerkali na nie z lekkim rozbawieniem. Lula wcale nie była pewna, czy nie wybierali specjalnie wartkiego nurtu, żeby dostarczyć im więcej – jej zdaniem mocno wątpliwych – atrakcji. Obiecała sobie w duchu, że ostatni raz nie wykazała asertywności, starając się nie zrobić przykrości innym i ich nie zawieść. Ludzie w łodziach na rzece wspólnie zaintonowali pieśń.

W chwilach kiedy Ludwika zapominała o strachu, musiała przyznać, że wszystko wygląda malowniczo. Był ciepły wieczór. Woda odbijająca się od zakoli i omijająca wyspy na środku nurtu płynęła spokojnie, fale delikatnie uderzały o burty, przerywając ciszę, a drewno łodzi skrzypiało pod ich stopami. Księżyc oświetlał im drogę, malując srebrną smugę na wodzie. Światła na łodziach, wieczorny zapach kwiatów z okolicznych ogrodów, recytowane wspólnie na kilkudziesięciu pokładach słowa i dźwięk pieśni, który niósł się nad wodą i odbijał od brzegu, to wszystko sprawiało, że wyobraziła sobie, że od stuleci ludzie prawdopodobnie w taki sposób przemierzali tę rzekę. Przyniosło jej to na chwilę ukojenie. Zrobiła dyskretnie kilka zdjęć, żeby pokazać widoki z wycieczki Gabrysiowi i Krisowi, a jednocześnie nikomu nie przeszkadzać.

Parę razy przybili do brzegu. Odmawiali wspólną część różańca i znowu ruszali w podróż. Ludwikę z zamyślenia wyrwały nerwowe rozmowy sterujących łodzią. Naradzali się przyciszonym głosem i coś ich wyraźnie niepokoiło. Wkładali długi drąg do wody to z jednej, to z drugiej strony łodzi. Minęli właśnie wielki głaz, na

którym płynący na poprzedniej łodzi dla ostrzeżenia innych postawili lampion ze świeczką, jak latarnię. Ludwikę ogarnął ponownie obezwładniający niepokój. Sprawdziła kolejny raz wszystkie zapięcia i klamry pomarańczowej kamizelki i włożyła telefon do kieszonki z zamkiem. Pokazała na migi Adzie, żeby zrobiła to samo. Czuła, że dygoce z zimna. Rozejrzała się. Nie wiedzieć kiedy nad ich głowami zawisły ciemne chmury. Podmuchy wiatru nasiliły się. Z góry rzeki nadpływała wysoka fala, a tuż za nią motorówka, która ją wywołała. Ludzie nią kierujący nie zwracali uwagi na machania i krzyki z łodzi, tylko płynęli wprost na nich, a nadciągająca fala coraz bardziej kołysała burtami, aż w końcu przewróciła ich i kilka innych łódek. Wpadli wszyscy do pociemniałej wody, tak jak w jednym z tych okropnych snów Ludwika. Czuła, że opada na dno i wir rzeki obraca nią, bezwładną. Czas się zatrzymał, wydawało się jej, że jak przez mgłę słyszy jakieś głosy. Była jak sparaliżowana, a powinna przecież walczyć. Po chwili kamizelka wypchnęła ją na powierzchnię.

Deszcz walił o powierzchnię wzburzonej wody. Ludwika zakrztusiła się, po czym łapczywie zaczerpnęła powietrza i rozpaczliwie zaczęła poruszać rękoma i nogami. Próbowwała płynąć w kierunku wchodzących w rzekę kęp z pochylonymi nad wodą powalonymi drzewami. Po iluś próbach udało się jej zaczepić o gałąź, potem o drugą i zaczęła się wczołgiwać na brzeg, mimo że woda wcale nie chciała jej puścić. Nie tym razem.

Gdzie jest Ada? Słyszała, jak skronie pulsują jej głośno. Nagle poczuła, że jakieś ręce łapią ją za ramiona i wciągają dalej na brzeg.

Otworzyła oczy, gdy tylko udało się jej uspokoić oddech. W ciemności, oślepiając ją latarką skierowaną prosto w oczy,

pochylała się nad nią jakaś męska twarz. Wydała się jej znajoma. Ludwika usiadła i natychmiast opadła znowu na ziemię pchnięta dłonią.

– *Nicht bewegen!* Nie ruszaj się! – usłyszała głos Hansa Pelki. Ten facet nigdy się od nich nie odczepi, ale tym razem nawet się ucieszyła na jego widok. Chciała mu to powiedzieć i nawiązać przyjazny kontakt, ale ponownie przewrócił ją na plecy i związał jej ręce czymś wbijającym się w skórę. Poczowała to pod palcami i usłyszała chrzęst zaciąganych plastikowych trytytek. No, naprawdę nie musiał. Nigdzie się chwilowo nie wybierała. Podniósł ją dość gwałtownie za ramiona z mokrej ziemi. Chciała mu zwrócić uwagę, że tak się nie postępuje z kobietami, ale zobaczyła w otwartych drzwiach jednego z samochodów, na tylnym siedzeniu wyłożonym workami na śmieci, przemoczoną Adę.

– Ada! – Lula dawno tak nie ucieszyła się na czyjś widok.

Adę, jak się okazało, wyłowili chwilę wcześniej. Akurat dzięki pomarańczowym kamizelkom były dobrze widoczne w skłębionej czarnej wodzie, całe szczęście, że Gabriel i Kris gruntownie sprawdzili wszystkie zapięcia, zanim obie wsiadły do samochodu i uparli się, żeby miały je od początku na sobie. Miała nadzieję, że reszcie ludzi z łodzi nic się nie stało, ale tutaj ich nie było. Widać Hans i jego koledzy stracili już na dziś entuzjazm do akcji ratowniczych. Motorówkę wciągnęli w krzaki w głąb łądu.

Hans i kierowca, jeden z tych ostrzyżonych na łyso kiboli, których znały ze Stuttgartu, patrzących zawsze na nich spode łba, ruszyli z piskiem opon, za nimi pozostałe samochody i w parę minut zaczęli się zbliżać do Czerwińska. Nawet byłoby to miłe z ich strony, że chcieli je podrzucić do miejsca noclegów, gdyby rzeczywiście takie

mieli intencje. Trudno jednak było w nie uwierzyć, skoro obie miały na rękach zaciśnięte trytytki, jak jej zdrewniała fioletowa wisteria w ogrodzie. Lula obiecała sobie, że po powrocie do domu natychmiast przetnie wszystkie druty na tym pnączu, bo a nuż wisteria też czuje to samo co one teraz, a nie ma jak tego zasygnalizować. Ten kretyn Hans nawet nie miał pojęcia, że użył kosmicznej technologii, żeby obezwładnić dwie słabe kobiety. Lula widziała kiedyś na zdjęciach NASA, że słynny łazik marsjański Perseverance miał przewody przymocowane do konstrukcji za pomocą identycznych czarnych opasek zaciskowych wrzynających się im obecnie w przeguby. Ada po drodze szeptem opowiedziała Luli, że rwąca woda ją także wyrzuciła na brzeg i że widziała resztę pasażerów z ich łodzi, jak trzymając się wywróconego dna, spływali w dół rzeki. Miały nadzieję, że dali sobie radę i że się uratowali z katastrofy wodnej wywołanej przez tego idiotę Hansa.

– Dlaczego najechałeś na nas motorówką, Hans? Mogliśmy się potopić! – Lula nie wytrzymała i zapytała dość agresywnym tonem, mimo że Ada kuksnęła ją w bok ostrzegawczo.

Hans, nie odwracając się nawet, warknął z pierwszego siedzenia:

– Stul morda! – Ten zawsze ma to samo mało wyszukane słownictwo. Lula się obraziła. Naprawdę mogła mu oddać tę jego brudną kurtkę, wystarczyło tylko grzecznie poprosić, a nie łąpać wrogo bez słowa w Stuttgarcie, potem latać za nią przez pół Europy, zostawiając ślad węglowy przez benzynę spalaną przez tyle samochodów, a na koniec napadać na nią motorówką.

– Mam nadzieję, że Gabriel i Kris się zorientują i będą tam – szepnęła do Ady.

– Ja też mam nadzieję, że one tam będą – odparł łamaną polszczyzną Hans i zarechotał.

– Matka cię nie nauczyła, żeby nie podsłuchiwać cudzych rozmów? – Teraz Ada skarciła go ostro.

– To stul morda i nie gadaj – powtórzył się Hans.

To jednak beznadziejny przypadek, stwierdziła Ada, Lula miała rację.

Na dziedzińcu przed bazyliką było cicho i ciemno, tylko nieliczne lampy kołysały się w zbliżającym się wietrze. Z dołu dochodziło stukanie gwoździ wbijanych w bale. Gabriel i Kris pewnie tam są i budują tę altanę, jak obiecali. Obie chciały wrzasnąć, wzywając pomoc, ale nie zdążyły, bo Hans i jego ludzie zatkali im usta i wepchnęli je przez małe boczne drzwiczki oraz portal do ledwo oświetlonego wnętrza bazyliki. Usłyszały za sobą zatraskiwane rygle głównego wejścia i zamykaną kratę, solidnie zrobioną przez kleryków przed wojną w ramach warsztatów. Pociągnęli je do pierwszych ławek i gwałtownie posadzili na wprost ołtarza.

– *Wir können jetzt chatten.* Teraz możemy pogawędzić. – Hans stanął przed nimi.

Woda kapała im z ubrań, a temu zebrało się na rozmowy.

– A o czym mianowicie chciałbyś pogawędzić? – zapytała może zbyt ironicznie jak na sytuację Ludwika, która czuła, jak narasta w niej irytacja. Woda z brudnej, jak powszechnie wiadomo, Wisły oblepiała jej skórę i na dodatek Lula miała wrażenie, że coś łazi jej pod ubraniem. Na pewno jakaś pijawka szuka właściwego miejsca, żeby się dobrać do jej krwi AB RH+, podobno wyjątkowo smacznej grupy.

– *Die Türklopfer*. Mówi ci to coś? – Podsunął jej pod nos zdjęcia zmarszczonych lwich pysków z kółkami i ludzkimi główkami w paszczach.

Przyjrzała się im uważnie. Miał zdjęcia, niewykluczone, że w lepszej rozdzielczości niż oni. Przy okazji może trzeba będzie grzecznie o nie poprosić.

– Czy któreś z nich nie rąbnął właśnie z tej bazyliki przodek rodziny twojego szefa, Baldura? – Nie mogła sobie darować złościwości. Hans zamachnął się, żeby ją uderzyć, ale powstrzymał go znajomy głos Linusa:

– *Wir schlagen keine Frauen! Erinnerst du dich?* Nie bijemy kobiet! Pamiętasz? – Linus wychylił się zza pleców Hansa.

– *Guten Tag, mein Schatz*. Dzień dobry, kochana – zagaił łagodnie.

– Dzień dobry, Linus, a co ty tu robisz z tym gadem Hansem? Myślałam, że sobie wszystko wyjaśniliśmy ostatnim razem.

– Powiesz nam prawda, gdzie ukryliście te kołatki mojego papy, on się strasznie na mnie pogniewał. A przecież, *mein Schatz*, nie chciałaś tego dla mnie... Kochana, wiedziałaś, jaki jest? – zagadywał dalej słodkim głosem Linus.

Lula w tej chwili dałaby sobie rękę uciąć, że on także musiał być wiernym słuchaczem podcastów i filmików coachingowych niejkiej Klary Atlas. „Kochana, weź, proszę, jeszcze kawałek tej pysznej szarlotki. Jest po prostu genialna, kochana” – ćwierkała matka głosem swojej idolki influencerki Klary Atlas, która głosiła, że powinniśmy wszyscy się kochać, i do wszystkich zwracała się per kochana. Matka uznała, że to jedyny właściwy sposób komunikowania się ze światem. Przez tę influencerkę Ludwika

musiała jej kupić nowy telefon, bo nie dało się założyć konta na Instagramie w starej Nokii. Karol nauczył babcię nagrywania krótkich filmików i wkrótce ich telefony zalały relacje z tego, co matka jadła, widziała lub robiła. Musieli je oglądać, bo ich odpytywała na bieżąco.

– Kochana, to są rolki. Teraz to najmodniejsze. Klara mówi, że każdy musi nagrywać rolki, bo inaczej nie i-s-t-n-i-e-j-e – wymawiała to słowo z lubością. – Kochana, obudź się, przecież ciebie nie ma na żadnych socialach, bo tego Fejsa, w którym ty czasami te beznadziejne teksty o życiu jakiegoś zapomnianego poety na dwie strony piszesz, to ja nie liczę, to dla starych bab. – Matka prychała znacząco, strzepując niewidoczny pyłek z granatowego żakiecika.

Ponieważ Lula nie miała odwagi zlikwidować numeru po śmierci matki ani rozładować jej komórki, to cały czas wpadały nowe rolki z instagrama Klary. Przy każdej Ludwika podskakiwała, bo dawniej w ślad za rolką matki rozdzwaniał się jej telefon i padało nieodłączne pytanie:

– Kochana! Widziałaś?

Dlatego Lula była na bieżąco w wielu kwestiach dotyczących wzmocnienia siły kobiet, takich jak na przykład kolejność smarowania kremem nóg. Albo innych bardzo ważnych porad w życiowych sprawach.

Ciekawe, co ta mądrała Klara Atlas poradziłaby dzisiaj w sprawie rąk z wbijającymi się w skórę plastikowymi trytytkami.

Dzisiaj Ludwika musiała sobie radzić sama. Przypomniały jej się zalecenia trenera z kursu samoobrony: w sytuacji porwania

próbować nawiązać bezpośredni kontakt z napastnikiem, żeby rozbroić jego negatywny ładunek emocjonalny i agresję.

– Wiadomo, że nie chciałam, żeby się twój tata na ciebie znowu pogniewał, Linus, no co ty. Jesteś inny niż on. Lepszy – powiedziała miękko i zawiesiła znacząco głos.

– O, to nie ma dwóch zdań. – Linus złapał haczyk. – Od zawsze wiedziałem, że jestem lepszy niż mój ojciec. Chciałem tylko, żeby on to zrozumiał. A o czym myślisz, *mein Schatz*? – Przerwał rozmyślenia Luli, która spróbowała przesunąć się na ławce i ułożyć wygodniej, tak żeby plastik mniej wbijał się w skórę, a wykręcone ręce tak nie cierpły. – Co się stało, że masz taką minę? Żałujesz teraz tych wszystkich podstępnych czynów? I że mnie tak oszukałaś? – Bawił się równocześnie pistoletem.

Lula uznała, że to już przesada w tej stylizacji na twardziela. Przewróciła znacząco oczami.

– Nie mów do mnie *mein Schatz*, proszę, niby czego mam żałować, Linus? Jeśli chcesz wiedzieć, to tak naprawdę myślę o tym, że powinnam porządnie przytulić Gabriela dzisiaj rano, zamiast klepać go po plecach. Przecież mężczyźni też potrzebują czułości.

Lula wiedziała, że nigdy nie okazywała przesadnie emocji. Czuła się jak idiotka, siedząc w pułapce w bazylice z porywaczami Linusem, Hansem i całą tą bandą kiboli i dyskutując, czy powinna była być bardziej otwarta emocjonalnie dla partnera. Zawsze starała się być twarda, ale uwięziona pomyślała nagle o tym, że Gabryś potrafił ją rozśmieszyć, nawet w trudnych chwilach. Teraz jednak zależało jej przede wszystkim na nawiązaniu emocjonalnego kontaktu z Linusem i skierowaniu go w stronę konkretnych tematów.

– Też tak uważam, Lula, ja już w Stuttgarcie zauważyłem, jaka jesteś dla niego surowa.

Miała wrażenie, że Linus wkręcił się w temat.

– Naprawdę tak myślisz? – zafrasowała się, starając się ciągnąć wątek. – Przecież go kocham, nie widać tego? – Lula zwróciła się do Ady, żeby i ją włączyć w tę miłą towarzyską pogawędkę.

– Ach, miłość. To jedyna rzecz, która może pokonać nawet najbardziej nikczemnych łotrów.

Ludwika zerknęła na Linusa. Ewidentnie świetnie się bawił rozmową, ale oczy miał zimne i pozbawione uczuć. Pewnie miał takie zawsze, tylko ona była ślepa. Teraz się czuła, jakby obie grały w kiczowatym sitcomie, w którym bohaterki wpadają w kłopoty, ale zawsze zdarzy się coś takiego, że za chwilę mają jeszcze większe.

– Widzę, że humory wam dopisują. – Zza ściany kaplicy z freskami wyłoniła się siostra Linusa.

Linus odwrócił się do niej.

– O, tu jesteś, siostrzyczko, witaj, *mein Schatz*. Cieszę się, że do nas dołączyłaś, kochana.

– Nie mów do mnie kochana, bracie. Wiesz, że nie znoszę, jak do mnie tak mówisz.

– Ale ja tak lubię cię denerwować, moja kochana. – Uśmiechnął się.

– Niezła stylówka, Walkiria. – Ada z uznaniem obrzuciła spojrzeniem siostrę Linusa w skórzanym wdzianku à la Lara Croft. – Nie wiedziałam, że Christian Louboutin robi też takie fajne buty na outdoor.

– Prawda? – Walkiria ucieszona pokazała jej czerwone podeszwy. – Robione na zamówienie. Bardzo wygodne trapery.

Genialnie miękka skórka.

– Gdybyś rozwiązała mi ręce, mogłabym pomacać – zaproponowała ciepłym głosem Ada.

Walkiria spojrzała na nią z politowaniem.

– Nie licz na to... moja kochana. Słuchajcie uważnie obie. Chcę, żebyście oddały cenne antaby tatusia, które ukradliście mi razem z waszymi mężami, czy jak ich zwał. Nasza rodzina je długo zbierała, są dla nas bardzo ważne.

– Na wycieczkach w Polska? – zakpiła niespodziewanie Ada już mniej ciepłym głosem.

Walkiria poczerwieniała z oburzenia.

– Nie tobie Walkiria, tylko mnie... no... nam – wtrącił się Linus.

– I podobno namierzyliście już tajny korytarz do dawnego skarbcza kanoników, w którym być może jest nadal depozyt templariuszy. Kasa i ważne papiery. Nie zaprzeczaj, Lula. Śledzimy was i mamy na podsłuchu od kilku tygodni.

– To oburzające, naruszające nasze prawa obywatelskie i wbrew ustawom zasadniczym w Unii Europejskiej. A tak na marginesie, z jakiego programu korzystacie, z Pegasusa? – Lula znowu spróbowała przekierować rozmowę na inne tory.

– Coś ty, jest masa innych, mniej kłopotliwych programów, na przykład ten...

– Oddawaj merce i artefakta Baldura zaraz! – przerwał im Hans.

– Masz na myśli te metalowe rupiecie porośnięte kurzem? A co, brakuje ci kasy, Hans, na czynsz, że chcesz coś sprzedać?

– Stul morda – wrzasnął swoim zwyczajem Hans Pelka, tylko tym razem źle trafił, bo wściekły Linus kazał mu zrobić wypad i stanąć na czatach przy bramie wejściowej. Linus bowiem myślał, że

to do niego było, bo akurat chciał coś odszczeknąć dowcipnie Luli, kiedy Hans jak zwykle, bez cienia znajomości *savoir-vivre'u*, wszedł mu w słowo.

Ludwika zrobiła minę świadcząca, że za późno już na wychowywanie tego buraka.

Linusowi górna warga latała z irytacji.

– Koniec z tymi gadkami. Chcę nasze merce i to pudło z dokumentami i zdjęciami.

– Ale ja przede wszystkim chcę antaby tatusia! – Walkiria przerzuciła na plecy blond warkocz z wplecionym brązowym rzemykiem. – Linus, co ci tak na tych starych zdjęciach z dzieciństwa zależy? Mamy wszystko poskanowane, niech sobie mają kolekcjonerzy z Polska. Za to te twoje samochody to już pewno dawno na części przerobili, taką świeżą dostawę im zrobiłeś. Nie licz, że ci zwrócą. Tatuś powiedział, że nie da na nowe, w życiu, musisz stare najpierw odrobić. – Wyraźnie z niego kpiła.

Linus zacisnął usta i zmrużył oczy. Słowna potyczka między rodzeństwem się rozkręcała.

– Niech cię nie obchodzą moje merce, *mein Schatz*.

– Nie mów do mnie „moja kochana”, bracie. Wiesz, że nie znoszę, jak się do mnie tak zwracasz. O jakich dokumentach i zdjęciach mówisz?

– Jemu chyba chodzi o te przerobione zdjęcia z procesu w Norymberdze, prawda, Ada? I pradziadka w mundurze SS. – Ludwika obojętnym tonem dorzuciła małą bombę do tej przyjemnej wymiany zdań.

– Masz na myśli te z doklejonymi głowami ich ministrów i kanclerza? – Ada w mig podjęła pałeczkę.

– Jakie przerobione zdjęcia z procesu w Norymberdze? Jaki mundur SS? O czym ona mówi? Tata nigdy nie miał takich zdjęć! – Walkiria miotła się przed Linusem jak jeden wielki znak zapytania.

– No i chyba chodzi mu o tę listę pod tytułem *Zur Liquidation!* Do likwidacji! z nazwiskami znanych niemieckich polityków – Lula ciągnęła temat.

– Stul morda! – Teraz Linus wrzasnął nie wiadomo do kogo, więc na wszelki wypadek obraziły się wszystkie.

Kto z kim przestaje, takim się staje, beznadziejny przypadek. Od tego Hansa Pelki należałoby trzymać się z daleka, jeśli się chce uchodzić za kulturalnych ludzi, doszła do wniosku Lula.

– Co ty kombinujesz, Linus? – warknęła Walkiria. – Nienawidziłeś tatusia. I zawsze byłeś o mnie zazdrosny, nawet jako dziecko. Czy ty wiesz, co by się stało z nami, z naszą, z moją karierą, gdyby takie coś wyszło na jaw?! – Wyczerpana nadmiarem emocji opadła na siedzisko w stallach pod obrazem Świętego Herculanausa trzymającego w ręku własną odciętą głowę, która mu, co prawda, odrastała po każdym ścięciu. Lula chciała jej poradzić, żeby się lepiej przeniosła pod obraz Świętego Floridusa, bo i od ziółek specjalista, i bodajże z pochodzenia Niemiec, a pod Herculanusem trochę nieswojo. Odpuściła jednak. W końcu każdy jest kowalem swojego losu.

Linus wbił w nią rozwścieczony wzrok.

– To ojciec zawsze mnie traktował z obojętnością! Zawsze mnie ignorował i uważał za nieudacznika. Ale teraz ja będę panem sytuacji, mam wszystko i jego w ręku, a on będzie musiał zwrócić wreszcie na mnie uwagę.

– Nie wiem, o czym mówisz, Linus, coś ty narobił? Idioto ciężki! Mów! W co wpakowałeś ojca! – Walkiria poderwała się i doskoczyła do niego.

Po czym zaczęli na siebie wrzeszczeć.

Ludwika i Ada były zgorzzone, w końcu to nie stajnia, tylko kościół, więc może by tak innym tonem i przy użyciu innych słów. Patrzyły razem z ekipą kiboli, jak tych dwoje biega po prezbiterium, wygrażając sobie pięściami i pistoletami i wypominając wszystko od przedszkola niemalże. Na wszelki wypadek koledzy kibole chowali się za romańskie i barokowe kolumny, za każdym razem, kiedy któreś z nich wymachiwało pistoletem. Mówili jakimś lokalnym szwabskim dialektem, więc nie wszystko rozumiały, jedynie to, że chyba Linus chciał donieść na ojca do władz i podrzucił mu do mieszkania własne papiery i zdjęcia z przygotowywanego przez siebie, razem z kolegami z ruchu Obywateli Rzeszy, zamachu stanu! Coś bełkotał o księciu Heinrichu XIII, który miał zostać po przewrocie kanclerzem, a Linus jego prawą ręką. To brzmiałoby i wyglądało jak operetka, gdyby nie ta lista i przemontowane zdjęcia z użyciem wizerunków prawdziwych ludzi. Oraz kilkadziesiąt dokumentów na temat planowanego szturmu na niemiecki parlament. Gabriel i spółka, wynosząc razem z antabami pudło ze zdjęciami i papierami, niespodziewanie pokrzyżowali Linusowi plany.

– Może wy sobie wyjaśnicie wasze rodzinne sprawy, a my sobie pójdziemy? – zaproponowała Ludwika.

– Nigdzie nie pójdziecie, dopóki nie oddacie naszych rzeczy! – wrzasnął Linus.

– Będziecie tu siedzieć do śmierci! – dodała Walkiria, machając pistoletem w kierunku Ady i Ludwika.

– Nie ma sprawy, akurat mam w kieszeni podróżną grę Monopoly, to zanim sobie wszystko wyjaśnicie, my tu sobie w międzyczasie strzelimy z Adą partyjkę. – Lula nie dała się wyprowadzić z równowagi dwoma wymierzonymi w nią pistoletami. – Tylko któreś z was musi mi pomóc wyjąć ją z kieszeni i uwolnić chociaż jedną rękę. Chyba że ktoś chce z nami zagrać?

Linus wybałuszył oczy z niedowierzaniem. Widać było, że przetrawia tę ostatnią informację i walczy ze sobą, jaką podjąć decyzję. Po chwili złapał Ludwikę za ramię i zaciągnął ją do kaplicy z freskami.

– Gadaj, co tam widzisz na ta freski! Sam słyszałem, jak ten stary klecha coś o freski mówił.

Lula musiała wybrać jakąś strategię, tu i teraz.

W pewnym momencie za plecami Linusa i Walkirii, ku zdumieniu Ludwika i Ady, pojawili się Gabryś i Kris z kijami bejsbolowymi w rękach.

Linus zobaczył ruch w ich źrenicach, odwrócił się i dzięki temu rozjuszony Kris nie zdołał rozwalić mu czaszki. Walkiria miała jeszcze więcej szczęścia, bo Gabryś nie byłby w stanie uderzyć żadnej kobiety, nawet jej.



Żeby coś znaleźć, trzeba wiedzieć, czego się szuka.

Ks. Jan Twardowski, Elementarz księdza Twardowskiego dla najmłodszego, średniaka i starszego

Gabriel i Kris nie mogli uwierzyć, jakim cudem Ludwika i Ada znalazły się z porywaczami w bazylice, kiedy oni byli na dole i zbijali altanę.

– Przecież popłynęły z wami? Co się stało?! – dopytywali zakonnika podniesionymi głosami Gabriel i Kris.

Zabrzmiało to mniej więcej tak: powierzyliśmy waszej opiece nasze kobiety, gdzie one są?

Mikołaj pokrótce zdał relację, że nieznani napastnicy zaatakowali ich motorówką, kiedy dopływali do Czerwińska, że wywrócili kilka łodzi, lecz na szczęście nikomu się nic nie stało. I że Ludwikę i Adę wyłowili również, tyle że napastnicy. Ktoś z pasażerów innej łodzi widział, jak je wciągali na brzeg wytatuowani mężczyźni, a potem związane wrzucili do samochodu, który pędem pojechał w stronę Czerwińska. Mikołaj dzwonił na przemian na policję i do Gabriela, żeby ich ostrzec i powiadomić, ale o ile policjanci odebrali telefon i zaraz przyjechali, to Gabriel nie słyszał dzwonka, czemu nikt się nie dziwił, bo burza i deszcz najwidoczniej go zagłuszyły. Tymczasem bandyci zaciągnęli kobiety do bazyliki i zamknęli się w środku. Jak dotąd nie wiadomo, czego żądają. Przyjechała policja, czekają na siły specjalne, które się na tym znają, oraz negocjator doświadczony w rozmowach z porywaczami.

Gabriel i Kris wymienili spojrzenia.

– Nie odebraliśmy, bo zbijaliśmy tam na dole tę niezbędną altanę! Gdybyśmy byli na górze, kiedy je przywieźli albo z nimi na łodzi, nie doszłoby do tego! – wybuchnął Kris.

Mikołaj rozłożył ręce w geście, że niezbadane są wyroki boskie, ale też doskonale rozumiał, do czego Kris pije. W końcu to on właśnie wymusił na Ludwice i Adzie udział w Różańcu Wiślanym, mimo że wiedział, że ta pierwsza panicznie się tego pływania bała. Nie ma co ukrywać, miał wyrzuty sumienia. Chciał im nawet oddać swój parasol, bo widział, jak obaj stoją w milczeniu w strugach deszczu na wprost wejścia, ale odmówili. Odprowadził więc biskupa do samochodu, przyrzekł mu solennie, że będzie informował go na

bieżąc, i poszedł zadzwonić do Petrusa, by poinformować go o całej sytuacji.

Gabriel i Kris nie odrywali wzroku od wielkich drzwi w nadziei, że się otworzą i zobaczą Ludwikę i Adę. Jeśli to rzeczywiście ludzie od Baldura, to byli gotowi oddać im wszystkie antaby i dokumenty, nic nie było warte, żeby narażać ich życie.

Poczuli, jak ktoś klepie ich po plecach.

– Chodźcie, nie ma co tu stać. Dzwoniłem. Zaraz przyjadą siły specjalne i się zajmą tym operacyjnie. Musimy pogadać. – Thomas Apengeter stał obok nich w żółto-czarnej pelerynie i gestem ręki pokazał im, żeby poszli za nim.

Zaprotestowali. Chcieli zostać przy tych drzwiach, w każdej chwili mogło się coś wydarzyć. Właściwie chyba nie byli zaskoczeni tonem Thomasa, który uparł się, żeby na chwilę odeszli od drzwi frontowych bazyliki, i poprowadził ich wzdłuż muru do klasztoru od strony tarasu. Nawet nie zapytali, jakim cudem Niemiec mówiący po polsku z twardym akcentem, opiekun młodzieżowego obozu modlitewnego, ma bezpośredni numer do sił specjalnych.

Na korytarzu Thomas otrzepał pelerynę i złożył ją na pół.

– Macie jakieś podejrzenia, kto to może być? – zapytał.

Kiwnęli potakująco głowami.

– Przyjdźcie, proszę, za chwilę do kancelarii, tylko się przebierzcie. – Gestem powstrzymał ich protesty, że szkoda czasu. – Będę was potrzebował, ale choć trochę bardziej suchych. Zaraz mi wszystko opowiecie.

Wokół nich na płytkach potworzyły się kałuże. W sumie miał rację. Byli przemoczeni do suchej nitki i nie powinni teraz

zachorować. Nie wiadomo było, jak długo to potrwa i jak długo będą potrzebni dziewczynom. Obiecali, że zaraz zejda.

Kiedy mijali dormitoria młodzieży z obozu modlitewnego i Campo Bosco, której również zaoferowano gościnę ze względu na gwałtowną zmianę pogody, zobaczyli na końcu korytarza ułożone na podłodze kije bejsbolowe po przerwanych charytatywnym meczu pokazowym. Spojrzeli na siebie i bez słów wiedzieli, jaki zrobią z nich użytek. Musieli najpierw jednak powiedzieć, co wiedzą, może z pewnymi wyjątkami, Thomasowi i ewentualnie policji czy siłom specjalnym. A potem postanowili spróbować sami wydostać Lulę i Adę.

Błyskawicznie zrzucili przemoczone ubrania, szczękając zębami. Stare mury klasztoru były wspaniałe, oferując chłód w upalny dzień, ale przypominały lodówkę, kiedy spadała temperatura na zewnątrz, tak jak teraz przez deszcz i burzę. Gabriel uświadomił sobie, że Lula i Ada na pewno trzęsą się z zimna, kompletnie przemoczone po wpadnięciu do wody. Postanowili zabrać ciepłe bluzy i dać negocjatorowi, może uda się przekonać porywaczy, żeby je przekazali Luli i Adzie.

Thomas im wyznał, że należy – jak sami już zaczęli podejrzewać – do międzynarodowej grupy śledczej rozpracowującej tajne stowarzyszenia, współpracujące w ramach sieci na terenie całej Europy. Poza tym jest zwykłym zakonnikiem w klasztorze w Bawarii. Akurat wykonywał w Polsce pewne zadania związane z próbami infiltrowania przez ruchy neonazistowskie grup młodzieżowych, także pochodzących z Niemiec.

Opowiedzieli Thomasowi o wycieczce do Stuttgartu i zdobyciu antab, pomijając szczegóły w rodzaju przejście przez balkon i wejście

do cudzego mieszkania. Ujęli to mniej więcej tak, że wskutek korzystnego zbiegu okoliczności, o których teraz nie czas rozmawiać, dostali się do mieszkania potomków Dagoberta Troya, żeby udowodnić, że rodzina jest nadal w posiadaniu ukradzionej przez ich przodka podczas wojny cennej kołatki, pochodzącej właśnie z bazyliki w Czerwińsku. Znaleźli tam dziewięć antab oraz pewne podejrzane dokumenty i zdjęcia, które są oczywiście gotowi przekazać właściwym władzom, ale dopiero wtedy, gdy Ludwika i Ada będą bezpieczne. Zaznaczyli, że jeśli porywcze zażądadają tych artefaktów, to oni je zwrócą. Najważniejsze dla nich jest życie ich partnerek. Opowiedzieli też o kilku poprzednich atakach i pościgach, jakie im zafundowali ci sami bandyci. Także o tym, że koledzy syna, kibice Arki i Lecha, spuścili kibolom z Niemiec wychowawcze lanie, po którym nastąpiła długa cisza. Już myśleli, że mają ich z głowy. Nie zgłaszali niczego do tej pory, bo sytuacja okazała się trochę... hm... niezręczna. Aha, i pewnie się przydadzą negocjatorowi znane im numery telefonów porywaczy, Linusa i Heinricha, jeśli ten drugi jest z nimi.

Thomas poderwał się i wybiegł z kancelarii. Za chwilę wrócił z jakimś mężczyzną, którego tytułował pułkownikiem i któremu musieli opowiedzieć to samo raz jeszcze i przekazać numery telefonów.

Przemałowano ich kilka razy. Ani Gabriel, ani Kris nie chcieli zdradzić, w jakich okolicznościach stali się posiadaczami średniowiecznych artefaktów, dokumentów i zdjęć. Ale zdjęcia mogli pokazać od razu, bo mieli je także w komórkach.

Pułkownik bardzo podziękował za te informacje. Były, jak im powiedział, niezwykle cenne. Aż gwizdnął i rzucił okiem

porozumiewawczo na Thomasa, kiedy dotarli do przerobionych zdjęć z Norymbergi, a wcześniej tatuażu Linusa *Avanti Reichsbürger!* – Naprzód, Obywatele Rzeszy! Kwestię wyjaśnienia okoliczności wejścia w ich posiadanie odłożono na razie na później.

W tej samej chwili do kancelarii wpadł któryś z członków grupy operacyjnej. Negocjatorowi udało się nawiązać kontakt przez jeden z numerów podanych przez Gabriela i Krisa. Porywacze byli gotowi przekazać za pięć minut swoje warunki i żądania. Grupa poszła do refektarza, w którym urządzono tymczasowy sztab i centrum dowodzenia.

Puszczono przez głośnik połączenie. Po kilku minutach odezwał się Linus. Wygłosił przemowę, w której oświadczył, pusząc się ewidentnie, że są gotowi wysadzić bazylikę, a co za tym idzie, także klasztor. Gabriel był gotów się założyć, że w tle słyszał głos Ludwiki komentującej wypowiedź Linusa. Wykrzykiwała epitety w rodzaju: ciężki idiota, nadęty bałwan, nedorobiony Mussolini. W zasadzie mogłaby sobie je darować w takiej sytuacji, ale doskonale wiedział, że nie ma na świecie siły, która powstrzymałaby Ludwikę od powiedzenia tego, co ma na myśli w danym momencie. Ale jedno było pewne – na razie żyła i miała się dobrze, sądząc po tonie, jakim dzieliła się komentarzami na temat exposé Linusa.

Gabriel uronił dyskretnie małą łzę.

Na zakończenie wypowiedzi Linus na pytanie, czy mogą wypuścić zakładniczki, oświadczył, że zrobią to pod kilkoma warunkami. Oto pierwszy z nich, resztę poda później:

– Żądamy oddania wszystkich zabranych podstępnie mojej rodzinie dokumentów i artefaktów oraz – zawiesił teatralnie głos – depozytu złożonego w tym klasztorze przez zakon templariuszy

w tysiąc trzysta dziesiątym roku! Od razu ostrzegamy, że jak będziecie coś kombinować, wysadzimy całą tę budę – zagroził i przerwał połączenie.

Po kilku długich minutach milczenia, które zapanowało w centrum dowodzenia, pułkownik wypowiedział słowo opatrzone przekleństwem, które zdusił ze względu na święte miejsce:

– P... wariaci?!

Thomas Apengeter uśmiechnął się tylko dwuznacznie.

Zdecydowano się na natychmiastową ewakuację wszystkich, w pierwszej kolejności młodzieży, z budynku klasztoru i przeniesienie ich do stojącego w pewnym oddaleniu Domu Pielgrzyma oraz plebanii. Mimo późnej pory i niedzieli postanowiono sprowadzić ze szpitala Petrusa. Czas najwyższy, żeby się tutaj pojawił, nawet jeśli jeszcze nie jest w idealnej formie. Te kwestie wykraczały już poza kompetencje sił specjalnych i policji oraz brata Mikołaja, który go zastępował do tej pory tak ofiarnie.

W chwilowym zamieszaniu i chaosie podczas wyprowadzania młodzieży z dormitoriów Thomas Apengeter stracił z oczu Gabriela i Krisa. Malachiasz odmówił kategorycznie opuszczenia klasztoru i zamknął się na klucz w bibliotece. Oświadczył, że ma blisko sto lat i zaprawdę nigdzie się nie wybiera, chyba że do domu Pana. Ciężkie drewniane drzwi z żelaznymi sztabami nie dawały żadnych szans, żeby je sforsować bez użycia choćby małego detonatora, a tego, wiadomo, nikt nie chciał próbować. Z drugiej strony okute drzwi i gotyckie grube mury gwarantowały Malachiaszowi pewne bezpieczeństwo. Pułkownik zdecydował, że poczekają na Petrusa, może on zdoła przekonać upartego starca.

Byli już niemal gotowi, kiedy Thomas Apengeter otworzył drzwi pokoju Gabriela.

– Trzeba było je zamknąć – powiedział z przekąsem, widząc spłoszone miny Krisa i Gabriela i kije bejsbolowe, które starali się ukryć za plecami. – Nie radzę, ale jeśli się upieracie, to musimy najpierw zobaczyć z góry, gdzie są Ada i Lula. Zanim jednak tam pójdziemy, to musicie wiedzieć, z czym się mierzycie, więc słuchajcie uważnie. – Zaakcentował ostatnie słowo. – Tam na dole są ludzie Baldura, ale to już wiecie. Nie wiecie natomiast, kim jest Baldur i dlaczego mu tak wściekle zależy na tych antabach i dokumentach. Baldur to stary bogaty wyjadacz, mąż wnuczki naukowca Dagoberta Troya, tego samego, który ukradł drogocenną kołatkę z Czerwińska. Nie mogą się do tego przyznać, bo rodzina straciłaby wypracowaną z trudem po wojnie reputację i pozycję. Może nawet odpowiedzialiby karnie. Zaprzeczali przez lata, że Dagobert kiedykolwiek brał udział w grabieży dzieł sztuki w Polsce. Według nich tylko je „zabezpieczał”. – Thomas uśmiechnął się ironicznie.

Kris chciał mu przerwać i coś powiedzieć, ale Thomas dał znak ręką, żeby zaczekał.

– Ojciec Baldura, Günter – kontynuował – wysoko postawiony w hierarchii SS, wychował go w kulcie Himmlera i zabierał ze sobą na tajne okultystyczne spotkania w Wawelbergu. Baldur od niego, a potem od Dagoberta przejął nadzieje na wskrzeszenie zakonu Czarnego Słońca, który uważa się za spadkobiercę zakonu templariuszy i neonazizmu. Obserwujemy ich dyskretnie. Jak wiele innych podobnych stowarzyszeń, którym się wydaje, że są w posiadaniu starożytnych tajemnic, mogących wkrótce dać im

władzę nad światem. – Thomas westchnął. – Stąd ich fascynacja antabami, muszą mieć ich dziewięć, wierzą w jakąś nonsensowną teorię z nimi związaną, odziedziczoną po templariuszach. Liczba dziewięć jest tutaj ważna. Wiemy, że Baldur zamawiał kopie różnych kołatek z muzeów. Traktowaliśmy to jako nieszkodliwe dziwactwo, ale ostatnio doszły do nas wieści, że te organizacje się radykalizują. Podobno córka Baldura miała przejąć wszystkie aktywa, jej najbardziej ufa, ale pojawił się ktoś jeszcze wewnątrz, nie wiemy kto. Linus sprawia wrażenie nieudacznika, więc chyba nie on, ale go nie wykluczamy. – Thomas zamilkł na chwilę. – Zdziwiła nas zaciekłość, z jaką was ścigają, stary może sobie zamówić kolejne kopie, stać go na to. Więc stoi za tym coś jeszcze, o czym nie wiemy. Nie możecie tych ludzi lekceważyć, mają być może na sumieniu parę osób i są, jak widać, gotowi na wszystko. Chodźcie, zobaczymy, co się tam dzieje.

Zaprowadził ich na samą górę na poddasze, do przejścia łączącego strych kościoła ze strychem bazyliki.

Pierwszy raz byli w takim miejscu. Poddasze świątyni otworzyło się przed nimi jak nawa wielkiej łodzi poprzecinana drewnianymi przęsłami. Ponad półkolistym sklepieniem przerzucone były wąskie kładki, łączące kwadratami jeden pomost z drugim. Thomas kazał im poruszać się bardzo cicho i położył się na jednym z pomostów.

– To oculus, wszystko widać. – Wycofał się ostrożnie, pokazując im owalny otwór w sklepieniu.

Przez ten otwór, stosowany przez starożytnych architektów do wymuszania ruchu powietrza, przeciągnięty był łańcuch, a na nim zawieszona lampa, ale dało się zobaczyć na samym dole małe ludzkie figurki. Doleciały do nich strzępy rozmów. Ludwika siedziała na ławce w pierwszym rzędzie przed prezbiterium, bliżej kaplicy

południowej. Widać było, jak się rusza i gestykuje, pewnie perorowała jak zwykle. Przed Ludwiką stał Linus i również gestykułował, chyba się kłócili. Tuż obok zobaczyli ramię Ady, więc bandyci najwyraźniej usadzili kobiety w pewnej odległości od siebie, ale na szczęście blisko. Były całe. Tylko ten pistolet, którym im machał przed twarzą Linus, był mocno niepokojący. W którymś momencie Linus złapał Ludwikę za ramię, a z drugiej strony ciągnął ją dość brutalnie Hans. Za chwilę również Ada zniknęła im z pola widzenia.

Gabriel i Kris zdecydowali, że nie mogą dłużej zwlekać. Thomas próbował ich powstrzymać, tłumacząc, że od tego są siły specjalne, które z całą pewnością mają plan na odbicie zakładniczek. I żeby poczekali, on zaraz pójdzie i się dowie, kiedy to nastąpi. Kiwali grzecznie głowami, że rozumieją, ale Thomas, biegnąc po dwa schodki na dół boczną klatką schodową, w zasadzie sam nie wierzył, że to prawda. Nie mógł ich do niczego zmusić ani im zabronić. Musiałby ich związać, co było pewną opcją, lecz teraz nie miał na to czasu.

Zabrali ze sobą dwa kije bejsbolowe i pędem wrócili na strych klasztoru. Przez chwilę w panice naciskali niewłaściwą półkę, ale w końcu usłyszeli, jak rygle drgnęły, wysunęły się z dolnej i górnej futryny, po czym stanęły w poprzek nad progiem. Przed nimi odsłoniły się znane już im schody. Szybko weszli do środka i kręcąc żelazną tarczą, obrócili mechanizm w drugą stronę. Znowu usłyszeli rygle, a drzwi zatrzasnęły się cicho. Szeptem jeszcze raz upewnili się nawzajem, że dobrze robią i zajdą bandziorów od tyłu, czego ci z pewnością się nie spodziewają. Błogosławili pomysł z różową nitką

ze sprutego swetra Ady, bo mogli iść za nim dosłownie jak po sznurku.

Kiedy doszli, usłyszeli, jak Lula za ścianą kaplicy głośno o czymś peroruje.

– Wszystkie sceny są bardzo ciekawe pod tym kątem. Chyba najbardziej jednak kluczowe są pierwsza i trzecia na dolnym pasie. Spójrzcie, proszę, na te trzy kreski, mięsień dźwigacz powieki oka, oka półprzymkniętego, a tutaj, proszę, zaczyna się nos, bardzo prosty... – Modulowanym głosem, w stylu wykładów profesora Wiktora Zina, objaśniała Ludwika.

– Ona im wykład robi? – zdziwił się Kris.

– Mądra dziewczynka, gra na czas – ocenił z dumą Gabryś.

W nabożnej ciszy, która zapanowała, nagle usłyszeli chrząknięcie, a potem ostry głos Walkirii:

– Co ty za przedstawienie odwalasz?!

– Nie przeszkadzaj jej, bardzo ciekawie mówi – podniosły się krzyki.

– Porąbało was, idioci, na kursy wieczorowe ze sztuki średniowiecznej się zapiszcie! Przecież robi sobie z nas jaja! Nie widzicie?! – darła się Walkiria. – Koniec tego dobrego!

Kris i Gabriel wiedzieli, że już nie ma na co czekać. Kris wypadł pierwszy z podniesionym kijem bejsbolowym i zamierzył się w głowę najbliższej stojącego Linusa. Ten odwrócił się i instynktownie uchylił przed ciosem. Gabriel stanął przed Walkirią, więc się zawahał, no bo jak tu uderzyć kobietę. Chwilę później ta sama kobieta bez wahania wyrwała mu kij. Gabriel upadł sobie wygodnie z potłuczoną głową obok Krisa na miękki czerwony dywanik, który szczęśliwie salezjanie dla komfortu niektórych akurat tutaj rozłożyli.

Wkrótce obaj mieli związane ręce i przystawione pistolety do głowy.

– Kogo tu mamy – zarechotał radośnie Hans Pelka. – Komplecik.

– Rzeczywiście komplecik, jak na zamówienie – ucieszył się też Linus. – A wy jak, kochany, się tutaj dostaliście? – Trącił nogą Gabrysia.

– Nie mów do mnie „kochany”! Nie lubię, jak tak do mnie się zwracasz – uprzejmie poprosił Gabriel. – Przez zakrystię oczywiście, nie umiecie nawet porządnej straży postawić przy każdym wyjściu – zakpił.

Teraz Linus zaczął się drzeć na swoich ludzi.

– Czy wy potraficie liczyć do czterech?! Trzy pary drzwi z przodu i czwarte od zakrystii. To ile jest razem?! Chyba chociaż raz byliście kiedyś w jakimś kościele, czy nie?! Może na bierzmowaniu?! Ślubie?! Kto tam stał? Lukas? Gdzie jest Lukas?

Niespodziewanie objawił się Łukasz i nieudolnie tłumaczył, że on tylko na chwilę podszedł, kiedy Ludwika zaczęła ten ciekawy wykład, a tak to cały czas tam stał, przysięga! – Walił się w umięśnioną klatkę tak, że echo się niosło po trzech nawach. Cokolwiek by powiedzieć, to Łukasz ciągle prezentuje niezłą sportową formę, pomyślała Ada, obrzucając jego bicepsy spojrzeniem pełnym uznania. Łukasz udał, że tego nie widzi, i odwrócił się, szczerząc się przymilnie do Walkirii. Zdrajca jeden, prychnęła Ada, kolejny burak, nie ma co.

– Macie chipsy i piwo? – zapytała kpiąco Lula. – To usiądziemy wygodniej i popatrzymy sobie, mamy przecież miejsce w pierwszym rzędzie.

– Zamknij morda! – Hans sięgnął do stałego repertuaru. – No dobra, koniec zabawa, chyba nie mamy czas. Gdzie macie artefakta i dokumenty? Pani profesor sobie przypomina szybko. – Patrząc na Gabriela, przystawił Ludwice pistolet do głowy.

W tym momencie Gabriel usłyszał huk. Instynktownie zamknął oczy. Kiedy je otworzył, wokół było pełno dymu i wszyscy krzyczeli. Kolejne zamaskowane postacie opuszczały się na linach z barokowej empory. Gabriel zobaczył, że Ludwika i Ada chowają się za drewnianymi osłonami przed siedziskami stali, i sam przetoczył się w ich kierunku. Ludwika wciągnęła go za jedną z przegród, miała wolne ręce, bo jak się okazało, Linus kazał ją rozwiązać, zanim zaczęła wykład o freskach. Zażądała uwolnienia rąk, żeby móc dokładnie pokazać im fragmenty, w których zaszyfrowane były informacje o skarbach. Jak miała je pokazywać? Nosem? Teraz się przydało, bo scyzorykiem z kieszeni Gabriela przecięła trytytki pozostałej trójce. Rozcierali ścierpnięte ręce, a tymczasem w nawie głównej i bocznej antyterrorysty rozprawiali się z kibolami Baldura i Linusa.

Gabriel się rozejrzał. Akurat przebiegał obok niego Linus, machając pistoletem, kiedy Łukasz niespodziewanie podstawił mu nogę. Linus gruchnął na posadzkę jak długi. Gabriel podsunął mu uprzejmię nogą dywanik.

Łukasz przeskoczył go i pobiegł dalej, ale wcześniej mrugnął porozumiewawczo do Gabriela. Po chwili Linus leżał związany przez zamaskowanego antyterrorystę na środku nawy głównej na wprost prezbiterium. Nigdzie nie było widać Walkirii i Hansa. Dopiero po wyjściu na dziedziniec zobaczyli ich w samochodzie policyjnym z rozwalonymi nosami, z których ciekła im krew. Na skórzanym

ubranku à la Lara Croft widniała wielka czerwona plama. Gabriel odwrócił się do Luli.

– Widać, że za szybko cwałowała.

Po czym uprzejmie przekazał Walkirii przez pilnującego ich policjanta chusteczki higieniczne. Trzeba być człowiekiem w każdej sytuacji. Takie ubranie dużo kosztowało przecież.

Jak się okazało, Walkirię i Hansa złapał młody policjant Paweł Lesiak. Oficjalna wersja brzmiała tak, że zapobiegł oddaleniu się z miejsca przestępstwa dwojga złoczyńców, którzy próbowali uciec i których on osobiście obezwładnił na terenie wirydarza.

Mniej oficjalna wersja była taka: Paweł Lesiak, któremu nie pozwolono wkroczyć do bazyliki z grupą antyterrorystów, stał ze swoimi ludźmi przy bocznych drzwiach od zakrystii, czyli je zabezpieczał. I właśnie tamtymi drzwiami Walkiria i Hans chcieli się wymknąć, kiedy spadli na nich z chóru antyterrorystów. Akurat Paweł Lesiak skończył wiązać but i podniósł się, uderzając w głowę Walkirię, która padła, pociągając za sobą Hansa Pelkę. Zdaniem Ludwiki, której to sumiennie zrelacjonował, żeby w swojej książce mogła przedstawić prawdę i tylko prawdę, w niczym to nie umniejszało zasług policjanta.

– Prawda? – ucieszył się starszy posterunkowy Paweł Lesiak i wyprężył dumnie pierś, na której wkrótce miał zawisnąć medal, a w ślad za tym szykował się awans w uznaniu przez szefów jego osiągnięć.

Wszak dzięki niemu placówka w Czerwińsku mogła się pochwalić współudziałem w rozpracowywaniu mrocznych organizacji Baldura i Linusa oraz ujęciu groźnych bandytów. A przecież te organizacje zaangażowane w nikczemne działania

w ramach międzynarodowej sieci tajnych stowarzyszeń starały się odkryć stare tajemnice, by przejąć i dzierżyć władzę nad światem. Starszy posterunkowy Paweł Lesiak nie mógł na to pozwolić.



Choć to szaleństwo, lecz jest w nim metoda.

William Shakespeare, *Hamlet*, tłum. Maciej Słomczyński

STUTTGART, 6 SIERPANIA 1979

Droga Ditto!

Najpierw wielką radość mi uczyniłaś swoim ślubem i wyborem męża. Dawno nie byłem tak radosny od czasu, kiedy przed wieloma laty odeszła ode mnie moja ukochana Henrietta. Baldur jest pracowity i pełen zapału dla sprawy. Udowodnił to jeszcze jako student, pracując bez wynagrodzenia przy moim Atlasie. Będzie umiał kontynuować sprawę, na którą ja już nie mam siły. Kto by się spodziewał, kiedy przyszedł do mnie przed laty, że będzie Twoim wybrankiem. Choć muszę się przyznać, że podejrzewałem, jakie targają nim uczucia, kiedy patrzył

na Ciebie podczas odwiedzin, które mi składałaś w gabinecie na uczelni. Pokładam w nim duże zaufanie i jak wiesz, powierzyłem mu wiele tajemnic, a także ważnych dla mnie spraw. Muszę Cię jednak uczulić i poprosić równocześnie o jedno: żebyś czuwała nad tą jego zapalczywością. Nasza rodzina doświadczyła wielu nieprzyjemności i z wielkim trudem odbudowała reputację w tym mieście. Proszę, żeby Baldur uważał na oficjalne oświadczenia. Bezwzględnie trzeba realizować sprawy w sekrecie. Nie trzeba nam teraz znowu łatki neonazistów, skoro ledwie odlepiliśmy łatkę nazistów. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Baldur dużo więcej dla sprawy może zrobić, zachowując ostrożność i dyskrecję. O to tylko proszę. A teraz ta wiadomość o Twoim błogosławionym stanie! Nic nie mogło mnie bardziej ucieszyć niż to, że niedługo przywitamy na świecie prawnuka. Dziękuję Wam za pomysł, żeby go nazwać Linus, tak jak miał na imię mój świętej pamięci syn, który zginął w pierwszych dniach wojny, a starszy brat Twojego ojca Christiana.

Cieszę się też niezmiernie z Waszej decyzji zamieszkania ze mną. Od dawna czuję się samotny i Wasze towarzystwo nic nie będzie przeszkadzać, szczególnie że to wielkie mieszkanie, zajmujące omalże całe piętro, łatwo da się podzielić.

A ja chętnie z Twym mężem będę gawędził w wolnych jego chwilach, bo sporo mam mu do przekazania i opowiedzenia. No i na koniec proszę, przyjmij od starego dziadka prezent, tę piękną grafikę, którą przywiozłem z moich dawnych podróży po wschodniej Europie. Baldur zna kogoś, kto pomoże ją sprzedać, a Wam jako młodemu małżeństwu i jemu w nowych biznesach pieniądze się przydadzą.

Uściski dla Was obojga

Dagobert Troy



Po każdej wojnie ktoś musi posprzątać.

Wisława Szymborska, Widok z ziarnkiem piasku

Z ZAPISKÓW ADY

Co to był za zwariowany czas ostatnio. Ciągle nie mogę dojść do siebie.

Następnego dnia wszyscy sobie pojechali, młodzież została odstawiona do pociągów albo odebrana przez rodziców, ekipy posprzątały teren, a policja i służby zabezpieczyły ślady. Dopiero wtedy pozwolili nam wejść do środka. Dziwnie było przebywać w bazylice po tym wszystkim. Umówiliśmy się, że poczekamy, aż Petrus odeśpi

wstrząs, jaki przeżył w obliczu niebezpieczeństwa wysadzenia bazyliki, i w ogóle dojdzie do siebie.

Lula i Gabryś i tak musieli najpierw załagodzić sprawę z Karolem, który przyjechał w nocy z Wincentym do Czerwińska i strasznie się wkurzył na Gabriela, że do niego nie zadzwonił od razu, jak mnie i Lulę porwali, tylko sam z Krisem zabrał się do odbijania nas. Przy opowieści o rzece tylko zazgrzytał zębami i nawymyślał Gabrielowi od emerytowanych Rambo. Potem zabrał Wicka i zawinął się do Warszawy. Lula mówiła mi później w sekrecie, że trochę trwało, zanim go ugłaskali i się do nich odezwał. Chciał, żeby mu obiecali, że więcej nie będą tak szaleć, ale podobno się wtedy roześmiali i powiedzieli mu, że dopiero się rozkręcają.

Ja byłam zła na Krisa, że zadzwonił wtedy w nocy do Neli i Emilii, by im powiedzieć, że nas porwali, ale cieszyłam się, że przedstawił sytuację i zabronił im przyjeżdżać. Obiecał, że będzie co godzinę informował, co się dzieje. O dziwo, obie go posłuchały. Kris powiedział, że nie mógłby spojrzeć im w oczy, gdyby coś mi się stało. Byłam zła, bo musiały się bardzo denerwować i martwić. Kiedy wróciłam do domu, Nela rzuciła mi się na szyję, a do odprowadzającego mnie Krisa rzuciła, nie patrząc na niego, „dziękuję”. Dobre i to, ale mimo wszystko nie mam odwagi ponownie zapraszać go do nas i na razie musimy się wstrzymać z zacieśnianiem relacji. Dziewczynki dużo przeszły w życiu. Lula mi mówi, że one są już dorosłe i niedługo wyfruną w świat, a ja zostanę sama, ale ich dobro jest dla mnie najważniejsze, tymczasem one, przynajmniej Nela, nie chcą zaakceptować innego mężczyzny przy moim boku. Wiem, że ich ojciec nie pytał, czy akceptują młodą macochę, i to je bardzo zraniło, dlatego ja nie chcę fundować im tego samego.

Petrus zaprosił nas kilka tygodni później wieczorem do refektarza na rozmowę o wszystkim, co się wydarzyło. Byli zakonnicy, pan posterunkowy Lesiak oraz Thomas i pan pułkownik, który okazał się bardzo miły. Z tej okazji Petrus poczęstował nas bardzo dobrym, słodkim i ciężkim czerwonym porto z zapasów w zakrystii, w takich kolorowych, rzeźbionych kryształowych kieliszeczkach. W życiu takich pięknych nie widziałam. Kiedy się nimi zachwyciałam, uśmiechnął się i powiedział, że to „resztki pańskiej fortuny”. Żartowniś. Jeśli chodzi o mnie, to ja z oporami piłam, bo mam wizję Pana Boga trochę jak z fresków Michała Anioła. Chodzi mi o tę scenę, jak wypędza Adama i Ewę. Nie chciałabym, żeby się na nas w podobny sposób pogniewał za to porto. Ale Petrus zapewniał, że Pan Bóg wybaczy, bo to wyjątkowa okazja. Ja mu ufam. A poza tym zaręczał, że Matka Boska Czerwińska zawsze dba, żeby im pożywienia i picia nie zabrakło. Na to się zaraz odezwał Gabryś, że oni niedługo mogą podrzucić Petrusowi porto ze swoich zapasów, które mają po ostatniej wycieczce do Portugalii. Czyli się od razu sprawdziło. Petrus się tylko do mnie uśmiechnął porozumiewawczo i nalał kolejny kieliszek.

A wracając do fresków, to Lula opowiedziała nam, jak nieźle z nimi wykombinowała. Linus się uparł, że musi mu zdradzić, gdzie jest skarb templariuszy. On przecież wie, że ona wie. Albo nie, najlepiej ma mu powiedzieć, gdzie są ukryte wskazówki. Wszak on uwielbia od dzieciństwa zagadki i rebusy i będzie je rozwiązywał a vista, a Lula ma go prowadzić. Dlatego Ludwika udała, że wskazówki są ukryte we freskach na ścianach kaplicy, i dlatego strzeliła im wykład o rysunku piórkiem i węglem, który poprzez specjalną kreskę wskazuje rozwiązanie. Mówiła tak ciekawie, że nawet ja sama, chociaż wiedziałam, że Lula opowiada bajki, pokuśtykałam bliżej, żeby lepiej

widzieć. Wszyscy dali się wkręcić, taki dała interesujący wykład. Muszę jej podpowiedzieć, żeby przemyślała kwestię kanału na YouTube czy też jakiegoś podcastu o sztuce. Tylko Walkiria się szybko połapała.

Thomas Apengeter razem z panem pułkownikiem wyjaśnili nam, że cała grupa była namierzana od dawna przez tajną niemiecko-polską komórkę. W tej grupie od paru lat mieli Łukasza, pracował pod przykryciem. A jednak! Od początku czułam, że to porządny młody człowiek, tylko ma jakąś tajemnicę. On musiał się tak zachowywać wobec mnie... nas, żeby nie budzić podejrzeń. Chodziło o to, żeby rozpracować i rozbić powiązania pomiędzy grupami z obu krajów.

Baldur jest ważną osobą dla niemieckiej skrajnej prawicy. Zarobił gigantyczne pieniądze na sprzedaży wysyłkowej nazistowskich pamiątek, które pozwoliły mu zostać właścicielem największej sieci barów futbolowych. Jako bogaty biznesmen oraz wydawca gazet i książek zaczął budować to swoje imperium już na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Przez dziesięciolecia wydawał prawicowy tygodnik i jawnie nazistowskie książki. Rząd federalny próbował nawet pozbawić go prawa do głosowania i kandydowania w wyborach oraz sprawowania funkcji publicznych, ponieważ nadużył tego prawa poprzez gloryfikowanie nazizmu.

Baldur Koch, już po siedemdziesiątce, oficjalnie zrezygnował z przywództwa założonego przez siebie stowarzyszenia o oficjalnej nazwie *Germanische Einheitsbund*, czyli Germański Związek Jedności, a nieoficjalnej: *Jedyni Spadkobiercy Zakonu Czarnego Słońca*. Ta nazwa wprost nawiązuje do dziedzictwa po Güntherze, ojcu Baldura, i łączy się z teoriami Troya.

– W rzeczywistości jednak, tak jak się wszystkim wydawało – powiedział pułkownik – za kulisami nadal przewodził drugiej swojej

grupie o nazwie Filary Rzeszy, praktycznie już jawnie neonazistowskiemu stowarzyszeniu, powiązanemu z innymi podobnymi organizacjami w Europie.

– Ale służby popełniły błąd – wtrącił Thomas. – To nie Baldur, ale Linus był szefem tej grupy, która miała bardzo groźne plany zamachu na niemiecki rząd i którego członkowie regularnie spotykali się w barach piłkarskich sieci Baldura. Baldur się jej oficjalnie wyparł i być może pierwszy raz w życiu mówił prawdę, bo Linus przyznał się do wszystkiego. Także do tego, że kiedy grunt zaczął mu się palić pod nogami, podrzucił kompromitujące papiery do mieszkania ojca.

– Co za typ, a ja go polubiłam w tym Stuttgarcie. Myślałam, że się pogubił przez odrzucenie przez ojca. – Ludwika była głęboko rozczarowana.

Thomas wyjaśnił dalej, że Linus liczył trochę na to, że w razie gdyby powinęła mu się noga, to ojciec tak czy owak się wykręci, a z drugiej strony miał nadzieję, że w chaosie i zamieszaniu zdoła przejąć aktywa Baldura, na które miał ochotę. I które ojciec chciał przekazać Walkirii. Sprawdzamy jeszcze wątek jej udziału w machinacjach grupy Filary Rzeszy.

Baldur oficjalnie wyparł się też związku z porwaniem Ludwiki i Ady, co spowodowało chwilowe zerwanie relacji z Walkirią oraz całkowite z Linusem, co jest trochę zabawne w kontekście tego podrzucenia ojcu trefnych papierów. Linus nie może wybaczyć Baldurowi zdrady, bo akurat ojciec jego wysyłał rzeczywiście, żeby odebrał skradzione mu antaby. Nie wiedział, że Linus chciał przy okazji odzyskać własne papiery.

Apengeter wyjaśni nam więcej w mniejszym gronie.

Ten Thomas wszystkich nas intryguje. Niby prawdziwy zakonnik, niedługo wraca do macierzystego klasztoru w Bawarii, ale równocześnie współpracownik tajnych służb specjalnych i antyterrorystów. Zwykli ludzie nie mają telefonów do szefów specsłużb jak on. Hm, z drugiej strony my też mamy. Pułkownik przed odjazdem prosił nas, wręcz nalegał, byśmy zapisali sobie jego numer i powiadomili natychmiast, jeśli coś podejrzanego się wokół nas zacznie dziać. Zapisałam go sobie pod nazwiskiem Piotr Żelazny, bo tak mi się przedstawił, zanim wsiadł do samochodu. Kris skrzywił się, kiedy przy nazwisku pułkownika zrobiłam dopisek w nawiasie (przystojny). Mruknął, że to przesada, ale przypomina mi tego aktora Tadeusza Łomnickiego w roli Wołodyjowskiego. Podkochiwałam się w nim jako dziewczynka. Nawet wąsiki ma podobne!

Lula zapytała Thomasa wprost, jak godzi ideę bycia zakonnikiem, czyli nieużywania przemocy i broni, z byciem współpracownikiem tajnych służb. Odpowiedział jej od razu, że nie on pierwszy w historii łączy broń z modlitwą, kontemplacją i pracą dla dobra Kościoła i ludzi.

– Tak? – zapytała z niepotrzebną ironią. – A niby kogo masz na myśli?

Thomas popatrzył jej głęboko w oczy i zapytał, czy pamięta, o czym i o kim ona ma zamiar pisać w swojej książce.

– O templariuszach, przecież wszyscy wiemy, że Lula pisze o tym najlepiej – szepnęłam cicho. Lula uśmiechnęła się do mnie z wdzięcznością.

Kiedy wyszedł, Malachiasz zadał nam z zagadkowym uśmiechem takie pytanie:

– A zastanawialiście się kiedyś, co znaczy nazwisko Thomasa – Apengeter?

Spojrzeliśmy po sobie.

– Nie, a dlaczego?

– To sprawdźcie sobie kiedyś, jak nazywał się jeden z najświetniejszych odlewników w średniowieczu, pracujący dla połowy europejskich biskupów i zakonów. I dla templariuszy.



*Ludzie są naprawdę wielcy dzięki
instytucjom, jakie po nich pozostają.*

Napoleon Bonaparte, tłum. obiegowe

Następnego dnia przyjechali ponownie do Czerwińska. Petrus bardzo uprzejmie zaoferował im poprzedniego wieczoru gościnę, ale Ada chciała koniecznie wracać do domu, bo powiedziała, że córki źle znoszą jej wyjazdy do Czerwińska, a Lula wymówiła się koniecznością używania własnej łazienki, bardzo przepraszając za tę kłopotliwą fobię. Teraz jednak musiała odważyć się ponownie nocować w klasztorze, bo Petrus stanowczo się uparł, że przystąpią do badania korytarza odkrytego przed porwaniem dopiero późnym

wieczorem, po wszystkich zajęciach i kiedy w klasztorze nie będzie już osób postronnych.

Ze względu na Petrusa wybrali się więc na wolniutki spacer najpierw po ogrodach, potem po wirydarzu, a na końcu po korytarzach klasztornych.

Thomas Apengeter wyjaśnił im, dlaczego Troy, a potem Baldur kolekcjonowali antaby. Mieli na tym punkcie prawdziwą obsesję.

– Troy uważał, że są wytworem geniuszu germańskiego ducha, on zaś, posiadając tę wiedzę w najczystszej postaci, jest spadkobiercą średniowiecznych tajemnic. Dagobert sądził nawet, że jego imię potwierdza, że został do zachowania tej wiedzy delegowany. Według niego nieprzypadkowo dano mu na imię Dagobert, tak jak ostatniemu królowi z rodu Merowingów. Troy był wysoce cenionym specjalistą od tajemnych symboli średniowiecznych zakonów rycerskich. Antaby były w centrum jego zainteresowań. Udało mu się zdobyć prawdopodobnie trzy oryginalne, w tym tę z Czerwińska i być może dwie z Nowogrodu Wielkiego, który był pod niemiecką okupacją do tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Nie mamy pewności, trwają badania, czy te nadal wiszące w Nowogrodzie są oryginałami, czy kopiami. Do tej pory nie można było ich z niczym porównać, zatem to, co zdobyliście w mieszkaniu Baldura – Thomas uśmiechnął się znacząco – oraz to, co skonfiskowano w jego domu w Stuttgarcie, posłuży nie tylko Czerwińskowi.

– Ja nie chcę znać żadnych szczegółów tego zdobywania – wtrącił Petrus.

– Ta obsesja Troya udzieliła się Baldurowi – ciągnął Thomas. – Baldur zainteresował się antabami jeszcze przed przybyciem

Dagoberta do Czerwińska. Bo, tu niespodzianka, Baldur urodził się w Czerwińsku!

– Przecież Heinrich mi powiedział w Stuttgarcie, że Baldur urodził się w Polsce! W ogóle tego nie skojarzyłam. – Lula palnęła się dłonią w czoło.

– No właśnie, był chyba w tym samym czasie w Czerwińsku co twój ojciec, Gabrielu, i brat Marian. Też słyszał tę legendę o templariuszach. Musieli się znać, nie wiem, czy się przyjaźnili – kontynuował Thomas. – Przyjazd ważnego profesora po antabę na początku wojny tylko utwierdził go w przekonaniu, że tutaj coś musi być. Miał na tym punkcie obsesję, podobnie jak Dagobert. Dlatego tak dobrze się dogadali, kiedy Baldur go odszukał po wojnie jako młody człowiek. Dość łatwo, jak wiadomo, wkręcił się w jego rodzinę. Obaj byli gotowi na wszystko, byle się dostać do depozytu – podsumował Thomas. – Wrócimy też do sprawy śmierci brata Mariana, bo z waszej relacji wynikało, że może tam nie wszystko było takie oczywiste. Pokażemy wam zdjęcia różnych ludzi z ekipy Baldura, których mamy teraz na utrzymaniu, czy rozpoznacie tego pielęgniarza. W domu opieki byli zaskoczeni, nikt taki u nich nie pracuje ani nie pracował.

– Och, to byłaby straszna wiadomość. Czyli to bezwzględny, wyrachowany drań – zmartwiła się Ada.

– Tego nie powiedziałem – zaoponował Thomas. – Bo jeszcze nie wiem. W każdym razie to on skompletował ten uroczy zestawik antab, dysponując znacznie większym majątkiem niż Dagobert. Robił kopie lub zdobywał jakimiś dziwnymi drogami oryginały. Miał ich, jak wiecie, dziewięć powieszonych w trzech rzędach. Neonaziści uznający się za spadkobierców templariuszy uważali, że cyfra trzy

symbolizuje świętość, natomiast trzy pomnożone przez trzy, czyli dziewięć, oznaczało najświętszą z liczb, będącą wyrazem doskonałości. Dziewięć jest cyfrą magiczną. – Thomas zawiesił na chwilę głos i wyciągnął przed siebie dłoń z wyprostowanym kciukiem i zaciśniętymi palcami, które prostował w miarę wyliczania. – Założycieli zakonu templariuszy było dziewięciu. Dziewięć lat pełnili służbę w pałacu króla Jerozolimy Baldwina I, zanim w tysiąc sto dwudziestym ósmym roku pod przewodnictwem Bernarda, opata klasztoru cystersów z Clairvaux, zebrał się synod w Troyes i zatwierdził regułę templariuszy oraz oficjalne statuty. Wiecie, z ilu artykułów składają się reguły obu zakonów? – Miny nie wskazywały, że wiedzą, choć się starali nadażać za tokiem rozumowania Thomasa. – Reguły obu tych zakonów składają się z siedemdziesięciu dwóch artykułów. – Przerwał, obserwując ich reakcję.

– I co z tego wynika? – zapytał Kris.

– Nie jest to przypadek, lecz tajemne znaczenie liczb. Pomnóżmy osiem przez dziewięć. I co nam to daje? Siedemdziesiąt dwa, przy czym ósemka symbolizuje odnowę i odrodzenie, a dziewiątka – doskonałość. Zróbmy jeszcze takie małe działanie matematyczne. Dodajmy siedem i dwa, i co nam to daje ponownie? Dziewięć. A więc w liczbie siedemdziesiąt dwa powstaje połączenie odnowy i doskonałości. Ten, kto zgromadzi dziewięć antab, osiągnie doskonałość i będzie miał moce, aby odnowić ziemię. – Thomas spojrzał na nich uważnie. Wyglądali na oszołomionych.

– Jakbyście się przyjrzeni wnikliwie architekturze naszej oryginalnie romańskiej bazyliki, to zobaczycie, że cyfra trzy i jej mnożniki zarówno w wysokości, jak i szerokości tutaj też królują. –

Petrus uśmiechnął się pobłaźliwie. – Dagobert i Baldur uwierzyli, że jeśli uda im się w końcu zdobyć wszystkie oryginały dziewięciu antab, to zyskają ostatecznie możliwość wpływania na bieg historii. Przypisywali im też magiczną moc przyciągania pieniędzy.

– Biorąc pod uwagę majątek, jaki zgromadził Baldur, może to nie jest takie głupie – zaśmiała się Lula. – Ciekawe, czy dzięki temu, że te antaby były przez chwilę u nas, do nas też jakaś kasa przywędruje.

Thomas pokiwał głową.

– Życzę wam tego oczywiście. Wracając do samego Troya i jego rodziny, która do tej pory tak zaciekle zaprzecza jego rabunkowej działalności w Polsce, to naukowcy mają już listy Dagoberta, które własnoręcznie pisał w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku do swojego pracodawcy, starosty Dolnego Śląska, o konieczności uzupełnienia podczas wyprawy do Polski pierwszej wersji spisu dzieł sztuki zrobionego przez niego już w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym. Przed wybuchem wojny Ministerstwo Nauki Trzeciej Rzeszy zalecało niemieckim pracownikom naukowym ograniczenie kontaktów z polskimi uczonymi. Wycieczki profesora Troya w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku musiały więc mieć raczej inny charakter niż tylko naukowy i odbywać się na konkretne zlecenie w konkretnym celu. Dagobert, pod pretekstem pracy naukowej nad średniowieczną sztuką w Polsce, zabiegał przed wojną o przyjaźń znakomitych polskich naukowców, między innymi profesora Lorentza. Był u niego dwukrotnie w Polsce z wizytą i zapraszał do odwiedzin we Wrocławiu, gdzie kierował katedrą. Co więcej, nawet podejmował go wraz z żoną obiadami we własnym domu. Więc szokujące jest, że jak wiemy z zeznań profesora Lorentza,

spoliczkował go w obecności innych złodziei w mundurach SS, kiedy w listopadzie tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku zjechał do Warszawy, by swoją wiedzą o zasobach polskich muzeów i bibliotek służyć przedstawicielom urzędu tak zwanego Specjalnego Pełnomocnika do Sporządzenia Spisu i Zabezpieczenia Dzieł Sztuki i Zabytków Kultury. Był już wtedy po wizycie w Czerwińsku i zrabowaniu stąd cennych ksiąg, dwóch dzwonów, a nawet mebli i przede wszystkim antaby.

– A dlaczego ta czerwińska miała dla niego takie znaczenie? – zapytała Lula.

– Antaby miały funkcję dekoracyjną, symboliczną i prawną. Ich dotknięcie wzmacniało zobowiązanie prawne, przysięgę, przekazanie własności, czy wreszcie uzyskanie prawa azylu. Antab przedstawiających w stylistyce gotyckiej różne mniej lub bardziej mityczne zwierzęta jest w Europie około pięciuset.

– O, tak, brat Marian nam już to mówił, to całkiem sporo, prawda? – wtrąciła Ada.

– Tak, ale antaba czerwińska jest jedną z dziewięciu takich w Europie. Widzicie? Znowu cyfra dziewięć się pojawia. Jak wiecie, templariusze byli maniakami tajemnic, hermetycznych znaków i symboli, których znaczenie przez wieki częściowo popadło w zapomnienie. Czerwińska antaba przedstawia głowę lwa o łagodnych, wyłupiastych migdałowatych oczach, otoczoną, niczym aureolą, puklami grzywy. Lew był jedynym zwierzęciem wspomnianym w regule templariuszy i symbolem ich potęgi. Według przypuszczeń wielu badaczy był też znakiem zostawianym przez uciekinierów z pogromu templariuszy, urządzonego im na rozkaz

króla Filipa Pięknego. Znak ten informował o ukryciu w danym miejscu cennego depozytu.

– Ano właśnie, dochodzimy do sedna. – Gabriel się uśmiechnął.

– Czy to możliwe, żeby templariusze, uciekając przed prześladowaniami, dotarli aż do Polski? Jest tyle teorii na ten temat i tylu chętnych, żeby sobie przypisać udzielenie im schronienia. Szkoda, że mniej chętnych było, kiedy ich Filip Piękny zaatakował.

– Zdziwilibyście się. Wcale nie było ich tak mało. Poza królem Filipem z Francji nikt się nie śpieszył, żeby iść w jego ślady.

– A dlaczego on się tak na nich uwziął? – zapytała Ada.

– Jak nie wiadomo, o co chodzi, to zwykle chodzi o pieniądze. I tutaj też tak było, plus ewidentnie chodziło o władzę. – Thomas rozłożył ręce.

– Czy to prawdopodobne, żeby templariusze znani z doskonałej organizacji i kontaktów na całym świecie dali się tak zaskoczyć? – Ludwikę ta kwestia nurtowała od dawna i wiele razy o tym dyskutowali między sobą, zastanawiając się nad prawdopodobieństwem i przede wszystkim możliwością wywiezienia czegokolwiek tuż pod nosem oprawców.

– Oczywiście, że nie dali się zaskoczyć, choć ostatecznie zderzyli się ze świetnie przygotowaną machiną państwową, która przyniosła im zagładę. Filip Piękny przygotowywał się do tego kilka lat. Zakon formalnie był jedynie pod władzą papieża, Filip więc najpierw, między tysiąc trzysta trzecim a tysiąc trzysta piątym rokiem, zorganizował porwanie i zabójstwo papieża Bonifacego Ósmego, który wcześniej rzucił na niego klątwę. To jest ten papież, którego Dante w *Boskiej Komedii* umieścił w najniższym kręgu piekieł. Jak to trzeba uważać na dobre relacje z pisarzami, bo inaczej cię obsmarują

w swoim dziele i zostaniesz tam już napiętnowany na wieki. – Thomas spojrział porozumiewawczo na Ludwikę, która zrobiła minę pod tytułem „ale nie wiem, o co chodzi”. – Potem Filip prawdopodobnie otruł figami kolejnego papieża, Benedykta Jedenastego, nie zważając na to, że ten ostatni starał się doprowadzić do pojednania zwaśnionego z papiestwem Filipa Pięknego i zdjął z niego tę klątwę. Następnie pod wpływem króla wybrano papieża Klemensa Piątego, tego, który przeniósł stolicę papiestwa do Awinionu. Klemens był od Filipa zupełnie zależny, nie mógł więc odmówić żądaniu, pod pretekstem oskarżenia o herezję, wydania dekretu o likwidacji zakonu, przejęcia jego majątku i potępienia – kontynuował Thomas.

– Jako ciekawostkę wam powiem, że trzynastego września dwa tysiące pierwszego roku, czyli po blisko siedmiuset latach od procesu, odkryto w tajnych archiwach watykańskich sensacyjny dokument tegoż Klemensa Piątego, który uznawał templariuszy za niewinnych herezji i zarzucanych im czynów. Papież nie opublikował nigdy tego dokumentu, bo bał się Filipa Pięknego – wtrącił Petrus.

– To jest ciekawe dla mnie ze względu na skutki prawne, czy w ogóle są możliwe. Na przykład, czy może to skutkować żądaniem oddania zawłaszczzonego majątku? – zapytał Kris i po chwili sam sobie odpowiedział. – Nie, to niemożliwe. Ale to byłby galimatias! Pewnie skończy się na przeprosinach. Dopiero co papież przeproszał za inkwizycję.

– Chyba pod względem prawnym jest okej – powiedział Thomas.
– Nie może skutkować takim żądaniem. Bo z tego, co pamiętam, zakon jako podlegający papieżowi został rozwiązany rozporządzeniem administracyjnym podczas soboru w tysiąc trzysta

dwunastym roku, a więc dwa lata przed spaleniem Jakuba de Molay. Czyli uznano, że sprawa jest już posprzątana. Wróćmy do tego, czy templariusze byli zaskoczeni aresztowaniami. Filip przeprowadził tę operację w stylu SS lub gestapo. Do wszystkich najwyższych zwierzchników wojskowych w prowincjach całego kraju wysłano zalakowane tajne rozkazy, które miały być jednocześnie odczytane i natychmiast wykonane o świcie trzynastego października tysiąc trzysta siódmego roku. Wszyscy templariusze, począwszy od wielkiego mistrza, mieli być równocześnie aresztowani, a ich dobra skonfiskowane. Był to piątek i stąd być może się bierze przesąd o pechowym piątku i pechowej trzynastce.

– Angelina Jolie ma na ręce tatuaż z rzymską trzynastką. Obiecałem sobie, że jak ją spotkam – Gabriel uśmiechnął się przekornie do Luli, która palnęła go karcąco dłonią po ramieniu – od razu więcej, bo przyniesie mi pecha.

– Ten to zawsze musi żartować – skomentowała Lula, prychnając i przewracając oczami.

– Królowi, jak pewnie uważał – ciągnął dalej opowieść Thomas – udało się zaskoczyć templariuszy, ale wcale nie zdołał przejąć bogactw zakonu. Kiedy Filip Piękny osobiście tego dnia wkroczył o świcie do paryskiej świątyni i komandorii, to nie znalazł ani pieniędzy, ani dokumentów. Możemy sobie tylko wyobrazić jego furię. Dzisiaj wiemy, że ostrzeżeni najwyżsi dostojnicy zakonu, przy pomocy oddanych ludzi, opróżnili przed tym dniem główny skarbiec komandorii Francji ze wszystkiego, co wartościowe, a Jakub de Molay kazał spalić dużą część archiwów zakonu. Ci zaufani ludzie podobno wypłynęli na morze z pięćdziesięcioma rycerzami na osiemnastu galerach zakonu. I tu ślad się urywa. Dostojnicy zakonu

zostali na pożarcie Filipa, być może poświęcili się, aby mocą autorytetu zatrzymać zagładę zakonu, może nie wierzyli, że skończy się to tak tragicznie, a może ufali, że papież Klemens Piąty ich obroni.

– Jak widać, może się starał, ale mu nie wyszło – skomentował Kris.

– Wiadomo przecież, że mogli odczytać te pisma z zalakowanych kopert wcześniej. – Gabryś uśmiechnął się przebiegle. – To bardzo proste wyjąć pismo z zalakowanej koperty. Wkładasz w dziurkę na rogu koperty cienkie szczypce i nawijasz delikatnie pisemko, czytasz, a potem wkładasz i odwijasz. Zero śladów. Nawet jakby król chciał osobiście sprawdzić, czy nie otworzyli wcześniej. – Zaśmiał się.

– Matko Boska Czerwińska! A ty skąd znasz takie sposoby? – Petrus załamał ręce z lekkim oburzeniem pomieszany z rozbawieniem.

– A z jakiegoś serialu o brytyjskich agentkach z drugiej wojny – krótko wyjaśnił Gabriel. – Lepiej powiedz, Thomasie, czy te osiemnaście galer przypląnęło do Czerwińska?

– Na to pytanie to już raczej nasz drogi Petrus musi ci odpowiedzieć. – Thomas uśmiechnął się tajemniczo i zatrzymał się przed wejściem do biblioteki z napisem „Zakaz wstępu”. Wysokie drzwi uchyliły się i w progu stanął Malachiasz oparty na lasce, z zagniewaną jak zwykle miną. Wszyscy przywitali się z nim z szacunkiem.

– Mam nadzieję, że nie przychodzicie mi oznajmić, że znowu ktoś na nas napadł? – zaskoczył ich Malachiasz.

– Nie, nie, spacerujemy sobie – odparł odważnie Petrus. – I... rozmawiamy o templariuszach, czy zawitali do Czerwińska, czy nie.

Malachiasz patrzył na niego w milczeniu przez dłuższą chwilę, po czym podniósł wzrok na Gabriela i Krisa i zrobił przywołujący ruch ręką, równocześnie cofając się w głąb biblioteki.

– Mamy wejść? – upewnił się Gabryś, zanim przekroczył próg. Za nim weszła reszta. O dziwo, Malachiasz wydawał się nawet zadowolony. Szurał nogami szybciej i energiczniej niż zwykle. Przytargał wielką księgę, zobaczyli, że jest to ten sam brewiarz, który wtedy oglądali, i położył zamasyście na pulpicie. Przez chwilę się zawahał, po czym podpiął łańcuch do oprawy księgi i przekręcił kluczyk.

– Matko Boska Czerwińska, Malachiaszu, naprawdę? – Petrus się przeżegnał.

– Przepisy są, *libri catenati*. – Odwrócił się z uśmiechem i mrugnął łobuzersko do Gabriela.

– Sprzed ośmiuset lat. – Zrezygnowany Petrus rozłożył ręce.

– Ale nikt ich nie odwołał! – oświadczył Malachiasz triumfalnie.

– Wy tu sobie lepiej poczytajcie, o tutaj... – Przełożył kilka kart i ostentacyjnie postukał gładkim drewnianym wskaźnikiem we fragment tekstu. – Nie tutaj, dalej, litery są częściowo niewyraźne.

Petrus i Thomas pochylili się nad pergaminem. Gabriel, który stał najbliżej, widział, jak sylabizują łacińskie słowa, po czym równocześnie podnieśli głowy i wbili wzrok w bardzo zadowolonego z siebie Malachiasza. Petrus z trudem wydobył głos ze ściśniętego gardła.

– Na litość boską, Malachiaszu, dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

– A pytałeś?

Kiedy już wszystkim minęła pierwsza euforia, której ze spokojem przyglądał się Malachiasz spod swoich niemal stuletnich brwi, Petrus jeszcze raz powoli odczytał ledwie widoczne łacińskie litery.

Wszyscy tego szukali, ktoś coś wiedział, słyszał, ale nikt nie umiał tego dosłownie wskazać i zacytować, a teraz mieli czarno na białym, że templariusze przyплыnęli do Czerwińska w tysiąc trzysta siódmym roku i poprosili o schronienie, po czym odpłynęli w nieznanym kierunku.

– Zaraz, zaraz! – zapytała Lula. – Czy wy powiedzieliście w tysiąc trzysta siódmym? Wszyscy powtarzali, że to było w tysiąc trzysta dziesiątym?

– A pomyśl, moja droga. – Malachiasz po raz pierwszy ją zauważył i zwrócił się do niej. – Kiedy lepiej uciekać: przed rozpoczęciem aresztowań czy po? Petrusie, powiedz, bo ja się zmęczyłem już.

– W trakcie działań, kiedy cała machina państwowa się rozkręcała, byłoby coraz trudniej się im wymknąć – wyjaśnił Petrus. – Raczej uciekli wcześniej. Już we wrześniu tysiąc trzysta siódmego roku urzędnicy królewscy znali rozkazy króla. Pamiętajmy, że one musiały jeszcze dotrzeć do wszystkich urzędników króla w danym regionie. A nie było telefonów komórkowych. Z pewnością również do tego się przygotowywano i naradzano dużo wcześniej. Obecnie uważa się, że uprzedził templariuszy seneszał Szampanii, Jean de Joinville, biograf króla Ludwika Dziewiątego Świętego, dziadka Filipa Pięknego. Jean de Joinville miał w rodzinie członków zakonu i sam brał udział w krucjacie z królem Ludwikiem Dziewiątym. Był

ważną i poważaną postacią w królestwie. Albo przestrzegł ich sam papież Klemens, którego matka pochodziła z rodziny jednego z wielkich mistrzów zakonu. W tysiąc trzysta szóstym roku Filip wypędził Żydów z Francji i przejął ich majątki. Hitlerowcy czerpali sporo inspiracji ze sposobu działań Filipa, który bardzo starannie się przygotował do ataku na kolejną instytucję, której był winien pieniądze. Więc podejrzewam, że statki templariuszy rzeczywiście zaczęły rozwozić po świecie do zaprzyjaźnionych miejsc swoje archiwa, relikwie i skarby między rokiem tysiąc trzysta szóstym a sierpniem tysiąc trzysta siódmego.

– Czy wiadomo, dokąd popłynęła flota templariuszy i co się z nią stało? Czy rzeczywiście mieli osiemnaście galer? I czy one mogły przyplłynąć tutaj do Czerwińska w tysiąc trzysta siódmym? – dociekała Lula, wciąż patrząc na Petrusa.

– Nie wiadomo na pewno, czy było to osiemnaście galer. – Petrus potrząsnął głową. – Ale wiadomo, że w porcie La Rochelle stało kilka statków handlowych przeznaczonych do transportu wina dla różnych klientów templariuszy. Można sobie wyobrazić, że bez budzenia podejrzeń w takich samych beczkach jak zawsze przetransportowano na statki sporą część zawartości głównego skarbcza i archiwum. – Petrus był wyraźnie pełen uznania dla przebiegłości templariuszy. – Było kilka kierunków typowanych jako docelowych dla floty templariuszy i ja skłaniam się ku temu, że kilka, a nie jeden, to byłoby najwłaściwsze strategicznie. Ja bym tak zarządził na miejscu Jakuba, gdyby ode mnie zależało przetrwanie naszego zakonu i jego spuścizny. – Petrus miał minę, jakby rzeczywiście ktoś od niego oczekiwał, żeby wczuł się w rolę odpowiedzialnego za sprawę.

– Mówi się o Szkocji i Irlandii, gdzie ponoć zostawili księgi do przepisania – wtrącił Thomas. – Portugalia nie uznała decyzji papieża i przygarnęła wielu zakonników-rycerzy oraz wykorzystwała ich wiedzę nawigacyjną. Wiedzieliście, że Kolumb uczył się nawigacji w szkole utworzonej przez księcia Henryka Żeglarza, też templariusza? – zwrócił się do grupy.

– Gdzieś o tym czytaliśmy z Lulą. – Gabriel pokiwał twierdząco głową.

– Mało mówi się o Skandynawii, była na uboczu i tam prawdopodobnie przechowało się kilku rycerzy – kontynuował Thomas. – Ich potomkowie, pod opieką zafascynowanego templariuszami i ich wiedzą króla Karola Dwunastego, zapoczątkowali specyficzny szwedzki ruch wolnomularski, który pretenduje do bycia wprost spadkobiercą zakonu. Lula, dla ciebie powinien być ciekawy wątek kataloński. – Thomas zwrócił się do Ludwiki. – Powstała tam bardzo aktywna Wielka Kompania Katalońska, w której paru byłych templariuszy zatrudniono jako najemników. Jeden z nich nawet został zięciem siostry cesarza bizantyjskiego i okropnie rozrabiał w okolicy. Może ta historia ci się przyda w twojej książce? – Thomas uśmiechnął się żartobliwie.

– To by mogło być materiałem na inną opowieść. – Lula machnęła ręką. – Oraz oczywiście pojawili się w Polsce?

– Czyli chodzi o nasz Czerwińsk? – ucieszyła się Ada.

– Też, ale nie tylko. – Tym razem odpowiedział Petrus. – Czerwińsk, bo byli tutaj zaprzyjaźnieni kanonicy Grobu Bożego, bardzo bliska formacja mająca tę samą regułę. Wpłynięcie choćby jednego czy dwóch statków pod białymi żaglami z czerwonymi krzyżami do portu w Czerwińsku zrobiło takie wrażenie, że pamięć

o tym przetrwała w opowiadaniach ludowych. To mniej więcej tak, jakby wpłynął tu dzisiaj transatlantyk. – Petrus wskazał Wisłę jedną ręką. – Jak widać z tego zapisu, mogli albo przypłynąć z misją, żeby zostawić depozyt i kiedyś odebrać, albo wiedząc, że koniec zakonu się zbliża, podzielili bogactwa i starożytne archiwa pomiędzy zaprzyjaźnione zgromadzenia, aby bezcenna wiedza i majątek nie dostały się w łapy chciwego Filipa. Pamiętajmy, że kanonicy pochodzili z Francji, z regionu, z którego również przybył do Polski arcybiskup Aleksander z Malonne, fundator klasztoru. Z podobnych rejonów wywodzili się założyciele zakonu templariuszy.

– Podobno nigdy nie znaleziono spisów inwentaryzacyjnych testamentów i darowizn? – Kris pocierał czoło w zamyśleniu.

– A ja nie mogę przestać myśleć o tym, co czuł Jakub de Molay dwunastego października, tego ostatniego dnia przed aresztowaniem. – Ada miała smutny głos. – Z tego, co opowiadaliście, jak gdyby nigdy nic król Filip ramię w ramię z nim brał udział w pogrzebie żony swojego brata, udając, że wszystko jest okej.

– Niezwykłe, że ty zawsze pomyślisz o człowieku, nawet gdy mowa o takiej starej historii. – Ludwika spojrzała na nią z sympatią.

– To prawda, masz dobre serce. – Petrus poklepał Adę serdecznie po dłoni.

– Bo historię tworzą ludzie, nie przedmioty. – Ada zarumieniła się lekko. Kris delikatnie ją przygarnął i pocałował we włosy. Taka była i on był z niej bardzo dumny. Tym razem się nie opierała.

Wieczorem, kiedy wszyscy już skończyli swoje codzienne zajęcia i zamknięto bramę wejściową na teren klasztoru, Petrus dał sygnał,

że już można ruszać. Sam przeszedł do Malachiasza do biblioteki i oznajmił im, że tam na nich poczeka.

– Jestem już za stary, żeby się wycierać po nieznanym, niezbadanych korytarzach – oznajmił.

– Żartujesz chyba – oburzył się Gabryś. – Jesteśmy w tym samym wieku! A świat nie należy do młodych, tylko do tych, którzy mają odwagę po niego sięgnąć.

– Bardzo pięknie powiedziane, ale idźcie sami. Ja tu poczekam. Ktoś poza tym będzie musiał wezwać ślusarzy, gdybyście się gdzieś zatrzasnęli – zażartował. – No i nie mam takiego profesjonalnego ubranka jak wy.

Rzeczywiście tym razem wszyscy byli przygotowani, nawet Thomas. Ubrania mieli ochronne, w ciemnych kolorach, z mnóstwem użytecznych kieszeni. Wszyscy, poza Adą, która prezentowała się w identycznym kroju, ale w kolorze pomarańczowym. Kris żartował z niej, że wygląda, jakby była gotowa pójść do Guantanamo. Ada była zwolenniczką teorii, że nic nie zwalnia kobiety od bycia elegancką i niewzruszoną. Nie zważając na żarciki, przed wyruszeniem nawilżyła usta balsamem.

– Już nie pamiętacie, ile tam było kurzu? Jeszcze będziecie się prosić. – Schowała sztyfcik do kieszonki na piersi.

Brakowało tylko w tle muzyki otrąbiającej sygnał do wymarszu na akcję.

Prowadzili Gabriel i Kris. Thomas nie robił wrażenia zaskoczonego lokalizacją wejścia do ukrytego korytarza ani patentem na otwarcie drzwi. Zasunęli je za sobą, kręcąc tarczą w przeciwnym kierunku. Thomas zapalił latarkę. Ustalili, że na

przede idzie Gabriel, za nim Thomas, potem Lula i Ada, a pochwód zamyka Kris.

Thomas wziął w palce różową nitkę.

– Co to jest? – Uśmiechnął się. – Nić Ariadny?

– Ustaliliśmy, że raczej nić Adriadny. – Wszyscy się zaśmiali. –

Dzięki temu mamy pewność, że wrócimy do punktu wejścia.

Ruszyli. Żwawo idąc wzdłuż różowego sznurka, dotarli do szerszej platformy wymurowanej gdzieniegdzie z kamiennych bloków i gdzieniegdzie z cegieł, z której jeden korytarz prowadził w górę, a drugi w dół. Wiedzieli już, że z tego miejsca odchodzą trzy korytarze: jeden na przedłużeniu tego, którym tutaj dotarli, wiodący do bazyliki, bo tam prowadził różowy sznurek ze sweterka Ady, drugi, zakręcający w dół, i trzeci, odchodzący w górę w lewo.

– Idziemy najpierw w dół, a potem zobaczymy, co dalej? – zaproponował Thomas i wszyscy się zgodzili.

Bardzo szybko dotarli do końca schodów. Drogę zagroziło im zwalisko kamieni. Nad nim, na granicy, między ostatnim schodkiem a dalszą częścią korytarza, wisiała ogromna, gruba siatka pajęczyny.

– W życiu czegoś takiego nie widziałam – powiedziała Lula i odmówiła choćby zbliżenia się do niej. Gabriel i Kris rozcięli zasłonę z pajęczyny. Zza rozchylonych dwóch jej części w świetle latarek widać było półkoliste, łukowate sklepienie krzyżowe nad miejscem, do którego nie sięgnęły kamienie.

– Sądząc po kierunku, w którym zmierza tunel, to może być ten korytarz ewakuacyjny wychodzący u stóp wzgórza – zawyrokował Kris, obracając mapą.

– Dzisiaj nic z tym nie zrobimy. Dalsze decyzje należą do tutejszych zakonników – odparł Thomas. – Wracamy?

Powietrze było dość ciężkie, zakonnik stwierdził, że chyba warto by zaplanować wietrzenie podziemi. Oczywiście po konsultacji ze specjalistą, by nie wpłynęło to negatywnie na budowlę i znajdujące się w niej bezcenne obrazy i artefakty.

Kamienne schody wyślizgane przez lata, a raczej wieki, skręcały lekko i przeszły w kolejny korytarz, już szerszy. Popatrzyli w górę. Sufit miał formę sklepienia beczkowego, zbudowanego z ociosanych kamieni połączonych zaprawą. Na ścianach, na wysokości ich głów, w świetle latarek wyłaniały się co parę metrów rzeźby różnych stworów, szczerzących paszcze. Wszystkie miały je otwarte i skierowane na dół.

– Trochę przerażające. Czy one nie są podobne do tych przy portalu głównym, przy wejściu do bazyliki? – zapytała Ada.

– Są, zgodnie ze sztuką miały takie być. – Thomas pokiwał głową. – Zobaczcie, proszę – omiół wzrokiem ściany do tyłu i do przodu – te maskarony są rozmieszczone w pewnym porządku. Według was, w jakim?

Zamilkli i zaczęli się im przyglądać. Nie bardzo wiedzieli, co mu odpowiedzieć. Jednak tak, była pewna regularność. Lula cofnęła się parę kroków.

– Okej, czy to nie jest prawidłowość, że powtarzają się w sekwencjach co osiem? O, tutaj jest stwór z winoroślą wychodzącą z pyska, potem nie wiem, jak to nazwać, smok? Dziwny wąż? Potem gryf i czekajcie – Lula dotykała figur po kolei – cofam się w kierunku wejścia. Zobaczcie. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, osiem, dziewięć. Wynika z tego, że układ figur powtarza się dziewięć razy po osiem w tej samej kolejności.

– Lula, poczekaj. Kris, chodź, proszę, ze mną. – Gabryś jeszcze raz przeszedł drogę Luli w kierunku wejścia. Przez chwilę światło jego latarki znikło za rogiem, widać było tylko lekką migotliwą poświatę. Po dłuższej chwili Gabriel i Kris wrócili.

– Wiem! – Gabriel uśmiechnął się z triumfem.

– Co? Co wiesz? Mów. – Ludwika niecierpliwie klepnęła go po ramieniu.

– Kris, mamy to, prawda? – Gabriel był bardzo z siebie zadowolony. Kris podobnie. – Zobaczcie, ile mamy lwich głów. Nie musicie wracać, zrobiłem zdjęcia z lampą. To jest pierwsza ósemka stworów, to druga, trzecia, no i jesteśmy tutaj.

Nawet Thomas pochylił się zaciekawiony nad ekranem telefonu. Podniósł głowę i porównywał przez chwilę obraz z rzeczywistością.

– No tak, jest ich w sumie osiemnaście, ale tylko dziewięć ma w paszczy główkę człowieka. To musi coś znaczyć. Z jakiegoś powodu lwów jest najwięcej. Ktoś sobie zadał dużo trudu, żeby w niedostępnym korytarzu umieścić tyle rzeźb. Zwróćcie uwagę na kolejną wskazówkę – dodał Thomas żartobliwym tonem. – Ile jest jeden plus osiem? Dziewięć, znowu dziewięć.

– I na dodatek one mi przypominają te z kolekcji Troja, czy raczej Baldura. – Lula przesunęła szybko zdjęcie po zdjęciu. – Gabryś, widzisz to? Ada, ty masz dobre oko do szczegółów, musimy sprawdzić każdą z tych dziewięciu.

– Zobaczcie, czy któraś z nich nie ma ruchomej części, czegoś, co się obraca lub wciska. Potem sprawdzimy jeszcze raz. I uwaga, jak coś jest ruchome, to powiedzcie, zanim to wciśnięcie, żeby nam nic nie runęło na głowę. W każdej książce czy filmie o skarbach coś się zawala na bohaterów – zażartował jak zwykle Gabriel. Lula dopiero

zauważyła, że miał tylko jeden warkoczyk w brodzie, co wskazywałoby na pewnego rodzaju niepewność, którą pokrywał humorem.

Podzielili się. Kris i Gabriel wrócili do pierwszej ósemki na początku korytarza, Thomas ruszył jako trzeci, a Lula i Ada przejęły najbliższe figury. Dotykali wszystkich po kolei. Nagle Lula krzyknęła:

– Stop! – Wszyscy zamarli. – Zobaczcie, tylko jedna wygląda tak samo jak ta z drzwi bazyliki. No ta, którą zarąbał Troy. Tę trzeba uważnie zbadać.

Obie z Adą przejechały rękoma centymetr po centymetrze.

– Ona ma ruchomą główkę – zaczęła Ada w momencie, kiedy kawałek ściany z głową lwa, do tej pory jednolity, drgnął. Zamarli. Przez głowę przeleciały im obrazy z filmów. Ukazała się długa szpara, pokrywający ją tynk zaczął się osypywać. Usłyszeli złowrogie skrzypienie, a ściana przesunęła się o jakieś dwadzieścia centymetrów. Po prawej stronie pojawiły się żelazne okucia zawiasów.

– Pamiętam jak przez mgłę, że ojcu się wydawało, że przed przyjściem Niemców Rafael mówił coś o tynkowaniu ścian. Nawet się dziwił, że akurat w tym momencie. Tylko raz o tym wspomniał. Wygląda na to, że Rafael sam albo z kimś pokrył grubą warstwą tynku korytarz, maskując coś. Może te drzwi, bo to są drzwi.

Kris z Thomasem i Gabrielem zaczęli je pchać.

– Kurczę – wysapał Gabriel – w porządnej powieści albo filmie o skarbach taki mechanizm nawet po ośmiuset latach działa jak świeżo naoliwiony! – W tym momencie drzwi otworzyły się na oścież.

Nikt nie miał odwagi przestąpić progu.

W świetle latarek widać było, że jest to mała kwadratowa sala z półkolistym sklepieniem jak w kaplicy. Dwa filary dźwigały łuki krzyżujące się na szczycie niczym ramiona krzyża. Miejsce ich przecięcia łączyła mała okrągła płytką z płaskorzeźbą lwa.

W ścianach wykute były wnęki zabudowane drewnianymi półkami, na których ułożono zaledwie kilka ksiąg i pudła. Na środku, na drewnianym postumencie stała ciemnobrązowa, masywna drewniana skrzynia.

Jej front stanowiły umieszczone w ramie pomiędzy solidnymi narożnymi słupami prostokątne płyciny z rzeźbionymi łukami, rozetami i roślinnymi motywami. Żelazne okucia z guzami i łańcuchem łączyły przód z wiekiem skrzyni. Z przodu wisiała dziwna, duża prostokątna kłódka.

Thomas zarządził, że co najmniej jedna osoba musi zostać na korytarzu, na wszelki wypadek, gdyby ci, którzy zbudowali ten mechanizm, szykowali im jakąś niespodziankę. Wyciągnął z kieszeni rękawiczki.

– Niczego nie dotykajcie gołymi rękami, tak na wszelki wypadek. Kto ze mną wchodzi pierwszy?

Grupa zdecydowała, że najpierw z Thomasem wejdą Lula i Gabriel, a Kris zostanie z Adą.

– Gabryś, to chyba ta skrzynia, o której opowiadał Edward – powiedziała cicho Ludwika. – Masz ten klucz?

Gabriel kiwnął głową i wyciągnął z kieszeni na nogawce gruby spleciony sznurek, na którego końcu wisiał szary woreczek.

– Mądry jesteś. Przynajmniej nie zgubisz go jak ojciec – zauważyła Ada z uznaniem.

Gabriel wyjął klucz. Odwrócił się i spojrzał na Thomasa, który kiwnął głową przyzwalająco. Mężczyzna ostrożnie włożył klucz do otworu kłódki. Przez chwilę delikatnie nim obracał, nasłuchując równocześnie. W sali panowała taka cisza, że prawie było słyhać, jak drobiny kurzu, poruszone przez intruzów, opadają na podłogę ułożoną w czarno-białą szachownicę. Kabłąk odskoczył. Kris spojrzał prosząco na Adę.

– Zostaniesz na chwilę sama na korytarzu? – I nie czekając na odpowiedź, szybko podszedł do Gabriela. Obaj powoli podnieśli płaskie wieko skrzyni i pochylili się ostrożnie nad jej wnętrzem.

Unieśli wzrok i nieomalże równocześnie zapytali:

– Co to jest?

W świetle latarek wyłoniły się z głębi trzy nietypowe, opasłe księgi. Kris zamienił się z Thomasem, który włożył rękawiczki, ostrożnie wyciągnął księgi jedną po drugiej i położył na drewnianym pulpicie. Warstwy sztywnych, nierówno przyciętych kart ułożone były w wysoką stertę i owinięte grubym pasem klejonym z pergaminu, nachodzącym na siebie na wierzchu. Spięte były skórzanymi zapinkami, na których wyciśnięto niewyraźną pieczęć. Owinięto je dodatkowo po bokach dwiema taśmami, szerokimi mniej więcej na palec, z wytłoczonym napisem. Thomas przyglądał im się przez chwilę, po czym przesunął po nich dłoń.

– Wiecie, co tu jest napisane? – Dotknął jednego z pasów.

Pokręcili przecząco głowami.

– *Non nobis, Domine, non nobis, sed nomini Tuo da Gloriam.* Czyli: „Nie nam, Panie, nie nam, lecz Twemu imieniu daj chwałę”. – Po czym dodał: – Tak brzmią pierwsze słowa *Psalmu sto piętnastego*. To motto templariuszy.

Pół godziny później przerzucili ostrożnie karty trzech kodeksów, oświetlając je telefonami. Trudno było im się zorientować, co to właściwie jest. Rozumieli pojedyncze słowa po łacinie i odczytywali cyfry, wydawało im się, że nazwiska zapisano w starofrancuskim. Część tekstu, na tyle, na ile mogli się zorientować, była prawdopodobnie napisana zaszyfrowanym językiem. Mignęły im rysunki trójkąta i kwadratu pomieszane z drobnym tekstem, pisanym w ścisłych linijkach jedna pod drugą. Nie dało się niczego zrozumieć.

– Te cyfry wskazywałyby, że mogą to być dokumenty księgowo albo bankowe. Templariusze prowadzili rachunki swoich klientów w bardzo podobnym systemie, jak teraz się to robi. Albo to są księgi inwentarzowe, kto, co, ile im przekazał. A że napisane jakimś szyfrem, to zupełnie rozumiały. Oni posługiwali się nawet w komunikacji wewnętrznej szyfrowanymi wiadomościami. A te diagramy i figury geometryczne wskazują na jakieś architektoniczne obliczenia. Tekst jest być może częściowo po grecku... Te informacje były i są na wagę złota. Powinni się tym zająć specjaliści. – Thomas rozłożył ręce. – Musimy zabrać księgi na górę, razem ze skrzynią i tymi pozostałymi z półek – dodał.

– Nie widać tu nigdzie żadnych złotych rulonów ani figurek. – Gabriel był wyraźnie rozczarowany.

– Nie, nie ma tu skarbu jak na filmach z Indianą Jonesem. – Thomas był nieco rozbawiony. – Ale wierz mi, te księgi są bezcenne, jeszcze nikt nie znalazł kompletu finansowych dokumentów templariuszy, jakie przecież musiały istnieć. To była ogromna wojskowo-finansowa korporacja o międzynarodowym zasięgu. Cały ówczesny świat był im coś winien. Pewnie zakon podzielił te

dokumenty i może w kilku kopiach przekazał jako depozyty do różnych miejsc, takich jak to. Prawdopodobnie złota tutaj nie było. Bierzmy się za tę skrzynię, włóżcie ostrożnie kodeksy do środka.

Kiedy wychodzili, dźwigając skrzynię, Ada zauważyła na podłodze tuż przy dolnej listwie drzwi coś okrągłego. Zatrzymała się, kucnęła i podniosła przedmiot z kurzu. Przetarła kilka razy o ubranie i podała Gabrielowi. Na dłoni połyskiwała mu złotawa mała moneta, doszczętnie wytarta z jednej strony, ale z widocznym krzyżem templariuszy z drugiej. Podał monetę Apengeterowi, który obrócił ją kilka razy, podniósł do oczu, po czym mu ją zwrócił. Obojętnym głosem powiedział:

– To chyba złoty bezant z Trydentu – wyjaśnił.

Po chwili odwrócił się do Gabriela i mrugnął porozumiewawczo.



Boże, użycz mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić, odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić, i szczęścia, aby mi się jedno z drugim nie popieprzyło.

Stephen King, *Miasteczko Salem*,
tłum. Arkadiusz Nakoniecznik

Z ZAPISKÓW ADY

Skrzynię i resztę ksiąg zanieśliśmy do biblioteki. Petrus i Malachiasz siedzieli tam nastroszeni jak dwie kwoki martwiące się o swoje pisklęta,

które poszły sobie i zaginęły na długo. Tyle w każdym razie mniej więcej rozumiałam z długiego przemówienia, które wygłosili, gdy tylko przekroczyliśmy próg. W życiu bym się nie spodziewała, że Malachiasz mnie przytuli i że ma taki żelazny uścisk. Chyba codziennie ćwiczy, przenosząc te księgi na pulpit. Przecież każda waży z kilka kilogramów. No nic, krzepki z niego starzec, ale nie odważę się sprawdzić, czy ma bicepsy, co najwyżej zapytam. Już się go nie boję, od kiedy dowiedziałam się, że ta jego wściekła mina utrzymała mu się kilkanaście lat temu po tym, jak się darł trzy godziny na robotników, którzy skopali remont sklepienia biblioteki i o mało co nie zdewastowali namalowanych tam fresków. Podobno zwyzywał ich od nazistów, i że są tak samo bezmyślni. Nadmieniam, że naziści w czasie wojny urządzili magazyn chleba w refektarzu i bezpowrotnie zniszczyli tamtejsze freski. Porównanie więc było mocne. Zakładam z góry zatem, że on się życzliwie uśmiecha, nawet jak ma minę bardziej przypominającą wilka z Czerwonego Kapturka.

Petrusowi trzęsły się ręce, jak otwierał kodeksy. Bałam się o niego, bo ledwie wyszedł z tego szpitala. Wyjaśnił nam jeszcze dokładniej niż Thomas, że szyfr templariuszy był złożonym systemem, który utrudniał osobom postronnym odczytanie ich wiadomości i miał zapewnić im maksymalne bezpieczeństwo. Polegał na przestawianiu liter wiadomości według określonego wzoru. Opierał się na serii nakładających się kół, które tworzyły kształt krzyża podobnego do maltańskiego. Każdej literze alfabetu przypisano określoną pozycję w kręgach, a litery wiadomości były zapisywane spiralnie wzdłuż krzyża. To skomplikowane i pogubiliśmy się od razu. W każdym razie ja nadal nie rozumiem, jak to działa, ale też Lula nie miała zbyt pewnej miny. Pamiętam tylko, że aby odszyfrować wiadomość, odbiorca musiałby znać określony wzór użyty

do stworzenia szyfru, żeby użyć tego samego wzoru do odczytania wiadomości, podążając spiralną ścieżką liter wzdłuż krzyża. Uff...

Najważniejsze: pomimo wielu prób szyfr templariuszy pozostaje jedną z tylko częściowo rozwiązanych zagadek. To jak my się dowiemy, co jest w tych księgach? Thomas i Petrus mają się skontaktować dyskretnie z kilkoma ekspertami w Polsce i na świecie. Tymczasem mamy wszyscy siedzieć cicho, dopóki nie zostanie choćby wstępnie ustalone, co udało nam się znaleźć.

Lula też „odpięła wrotki”. Jak wyszliśmy wieczorem po tych przeżyciach w tajnym korytarzu, żeby się choć chwilę przejść na świeżym powietrzu, zaczął padać deszcz. I Lula, ta Lula, która zawsze ma ze sobą małą parasolkę w torebce, żeby nie zmoczyć sobie, jak sama mówi, pracowicie ułożonej rano grzywki, odtańczyła w deszczu taniec radości na dziedzińcu przed bazyliką, klaszcząc i skacząc w kałużach. Petrus powiedział, że gdyby nie reumatyzm, który mu się zawsze odzywa przy takiej pogodzie, to też by z Lulą zatańczył i poskakał. Tupał więc tylko z boku. Udzieliło nam się i wszyscy odtańczyliśmy taniec jak Gene Kelly w filmie Deszczowa piosenka.

Z nowości osobistych: Kris mniej więcej raz w tygodniu mówił mi, że ładnie wyglądam. Byłam w szoku, bo jak na niego to gejzer uczuć i komunikacji, aż sprawdzałam dyskretnie wyniki jego badań okresowych, czy mu coś nie dolega. Ale nie, nie umiera, tylko podobno tak się przeraził, gdy nas porwali, że teraz nie chce marnować ani minuty i czekać na wewnętrzną przemianę oraz odbudowanie relacji ze sobą i ze światem, połączoną z pracą nad rozwojem osobistym. Kris uważa, że to kwestia decyzji. Jeśli się decydujesz być z kimś, to rób wszystko, żeby tej drugiej osobie było z tobą dobrze, a nie marudź i nie wymyślaj. Wiedziałam o tym, więc to był najwyższy czas, żeby

zareagować. Musiałam się z nim rozmówić, żeby go nie oszukiwać. Umówiłam się z nim na spacer, specjalnie nie w domu, żeby mi było łatwiej rozmawiać. Taki był radośnie uśmiechnięty, kiedy zaczęłam.

– Kris, niestety nadal uważam, że nie mogę Neli i Emilii stawiać przed faktem dokonanym i fundować im ojczyma, skoro tego nie akceptują. – Jego twarz, w miarę jak mówiłam, tężała i robiła się szara, aż mnie serce zabolowało. – One mają bardzo trudny okres za sobą, ledwie doszły do siebie i powinny iść w świat z poczuciem, że matka daje im bezpieczeństwo i stabilność.

– Nie sądzisz, że czas, żeby już wyfrunęły z domu i zaczęły być samodzielne? One są dorosłe! Jak długo jeszcze będziesz im kwoczyć? Tobie należy się wreszcie własne życie. Popętniasz błąd. – Kris się zdenerwował. Nie chciałam, żeby tak się to zakończyło.

– Proszę, zostańmy przyjaciółmi, przepraszam, myślałam, że już jestem gotowa na nowy związek. – Złapałam go za ramię, ale wyszarpnął je i odwrócił się na pięcie. – Kris, proszę, nie gniewaj się na mnie – poprosiłam, ale nawet się nie odwrócił. Patrzyłam za nim, jak odchodzi, nagle znowu przygarbiony, i przemknęła mi przez głowę myśl, że może ma rację, że może popełniam błąd, ale zaraz ją zdusiłam. Muszę myśleć o dzieciach!



*Dobre książki nie zdradzają od razu
wszystkich swoich tajemnic.*

Stephen King, *Serca Atlantydów*,
tłum. Arkadiusz Nakonecznik

- Kris! Uważaj! Tam był znak skrętu! – Ada w pierwszym odruchu chciała złapać za kierownicę samochodu, który prowadził Kris.
- Był! Teraz już za późno, jedź dalej, zaraz sprawdzimy, jak tam wrócić. Ta nawigacja nie działa. – Lula potrząsała telefonem.
- Nie było tam kiedyś żadnego znaku! Co wy mówicie? – oburzył się Kris. – Znowu jakiś idiota postawił znak bez uprzedzenia!
- A miał do ciebie zadzwonić czy jak? Bo się domyślił albo wyśledził, że zmierzasz do Czerwińska, a potem będziesz wracać? –

Lula zachichotała. – Jedź po prostu dalej, gdzieś się zatrzymamy i sprawdzimy trasę na mapie. Mnie się nie śpieszy, a wam?

Im też się nie śpieszyło. Było jak zwykle. Lula uparła się, żeby Ada usiadła na miejscu obok kierowcy. Naprędce zmyśliła pretekst, że jej samej wygodniej będzie na tylnym siedzeniu. Kris nalegał, żeby prowadzić, i jak zazwyczaj udało mu się coś pokręcić z drogą pomimo nawigacji. Zawsze wprawiało ich to w dobry humor, teraz także. Tym bardziej że wracali z uroczystości zorganizowanej z wielką pompą przez władze zakonne z udziałem burmistrza i władz regionalnych.

Minęło już kilka miesięcy od tamtych burzliwych wydarzeń. Kris po pewnym czasie zaczął się odzywać do Ady, ale unikał jej spojrzenia i narzucił znowu dystans między sobą a przyjaciółmi. Gabryś chciał z nim o tym porozmawiać, ale Kris wyraźnie dał mu do zrozumienia, że nie chce poruszać tej kwestii. Ada również nie była zbyt rozmowna. Należało więc uszanować decyzję przyjaciół. Lula miała nadzieję, że czas leczy rany i że wszystko wróci do normy. Zaraz po ostatnim pobycie w Czerwińsku, kiedy odkrywali nowe korytarze, oddali antaby do zbadania niezależnym ekspertom, do których zwrócił się Petrus. Czekali dość długo na oficjalną ekspertyzę i potwierdzenie, że któraś z nich jest tą oryginalną, skradzioną przez Dagoberta. Najbardziej chyba denerwował się sam Petrus, któremu zależało na umieszczeniu odzyskanej kołatki w bazylice przed upływem roku rocznicowego i główną uroczystością stulecia obecności zgromadzenia w Czerwińsku. Wyznał im kiedyś, że jako przedstawiciel zakonu miał niejasne poczucie winy wobec kanoników, że salezianie nie upilnowali jej podczas wojny.

– Co ty mówisz? Cały kraj nie dał rady się upilnować wtedy – zdenerwowała się Lula.

Petrus któregoś dnia w końcu zadzwonił do nich z dobrą wiadomością.

– Mamy to! – Nieledwie słyszeli, jak podskakuje po drugiej stronie.

– Co mamy? – Ludwika z trudem ukrywała podniecenie.

– No jak to co mamy? – Petrus udawał, że jest oburzony. – Mamy antabę!

To znaczyło tylko jedno: eksperci się zgodzili co do autentyczności jednej z tych przywiezionych ze Stuttgartu. Pułkownik Piotr Żelazny dał im nomen omen „list żelazny”, dzięki któremu nikt nie zadawał pytań, jakim cudem weszli w posiadanie antab.

Przed uroczystością pokazał im artykuł, który był przygotowywany do opublikowania w mediach ogólnopolskich. Na pierwszej stronie zobaczyli znane im zdjęcie Dagoberta w mundurze esesmana, a w tle klasztor po drugiej stronie rzeki. Dagobert trzymał przed sobą z triumfalną miną antabę. W artykule umieszczono wywiad z potomkiem świadka, fotografa, który na początku wojny widział Troya na miejscu podczas rabunku oraz był autorem tego zdjęcia, nigdy do tej pory niepokazywanego. Pojawił się komentarz, że zbrodnicze geny najwyraźniej odezwały się w prawnukach Dagoberta, które podobnie jak pradziadek nie stronią od przemocy, co ilustrowało zdjęcie przedstawiające Linusa i Walkirię grożących w kościele pistoletami dwóm starszym kobietom. Wyraźnie widać było, jaki to kościół. W tekście pojawiła się też informacja, że w Niemczech trwają aresztowania, ponieważ okazało się, że złapana

niedawno w Polsce grupa niemieckich terrorystów ma powiązania z pewnymi osobistościami w Niemczech, i kanclerz zdecydował się na najostrzejszą reakcję, aby zdławić wszelkie załączki pomysłów zachwiania demokracją.

Przed dniem spotkania w lokalnych mediach ukazał się też artykuł podpisany tylko inicjałami L.R. Kris przyjechał z Adą wieczorem do Luli i Gabriela, żeby mogli wspólnie się z nim zapoznać. Ponieważ wyrywali go sobie niecierpliwie, Kris zaczął im czytać obszerne fragmenty.

Artykuł informował o tym, że w bazylice w Czerwińsku odkryto zasypany korytarz, a kiedy zaczęto go odgruzowywać, odnaleziono tam cenne średniowieczne dokumenty, obecnie będące przedmiotem badań naukowych. Niemniej jednak już teraz wiadomo, że jeden z nich, księga, jest rodzajem spisu wydatków i kalendarium zakonnego templariuszy. Zauważono w niej między innymi pokwitowanie informujące, że ówczesny przełożony klasztoru kanoników, opat Maciej, potwierdza, iż przyjmuje w depozyt jedną skrzynię, zapieczętowaną, oraz klucz do niej, którego można użyć tylko w nadzwyczajnych okolicznościach, zgodnie z obowiązującą regułą lub po otrzymaniu zgody od przedstawiciela zakonu. W zamian za to zakon templariuszy ofiarowuje bratniemu zakonowi kanoników pewną kwotę na rozbudowę opactwa, ku chwale Bożej.

Ponadto w odnalezionych dokumentach dokonano interesujących odkryć geometrycznych diagramów, liczb i rysunków topograficznych.

Wskazywano, że bardzo obiecujący jest obecnie badany wątek wiążący Czerwińsk z Jerozolimą, Bornholmem i miejscowością

Rennes-le-Château we Francji. Temat ten autor artykułu zilustrował trójkątem narysowanym na średniowiecznej mapie Europy. Trójkąt ów łączył te trzy miejscowości w taki sposób, że jego wierzchołkiem była Jerozolima, jeden dłuższy bok biegł od Jerozolimy i przecinał Polskę w Czerwińsku i biegł dalej do Bornholmu, a drugi dłuższy od Jerozolimy do Rennes-le-Château. Linia trzeciego, najkrótszego, stanowiąca podstawę trójkąta, łączyła tę ostatnią miejscowość z Bornholmem.

Pod ilustracją znajdowało się pytanie utrzymane w sensacyjnym tonie: „Czy polscy odkrywcy są na tropie wyjaśnienia zagadki kolejnego prawdziwego skarbu templariuszy, zakonników, dzięki którym w Europie pojawiły się gotyckie katedry?”.

– Dobrze, mocne pytanie – powiedział Kris triumfującym tonem.

– Prawda? – Podniósł wzrok i rozejrzał się po pokoju.

Lula słuchała uważnie, siedząc na kanapie. Gabriel pokiwał z aprobatą głową. Cały czas zaglądał mu przez ramię i czytał tekst prawie równocześnie z nim.

Autor podkreślił, że po powrocie do Europy templariuszy z Jerozolimy w 1127 roku zapewne nie bez powodu nagle, w ciągu niecałych stu lat, wzniesiono tyle gotyckich katedr i kościołów. Zostały zbudowane przy użyciu zaawansowanej wiedzy w zakresie inżynierii, matematyki i geometrii.

Wytłuszczone zdanie pod ilustracją oddzielało kolejny fragment artykułu: „W jaki sposób w całym współczesnym chrześcijańskim świecie doszło do rozkwitu i pojawienia się jednocześnie tylu zadziwiających innowacji, jak na przykład zastosowanie ostrołukowych sklepień krzyżowo-żebrowych? Te nowe metody konstrukcyjne pozwalały na tworzenie imponujących budowli

kamiennych, górujących nad średniowieczną zabudową prawie równocześnie we wszystkich regionach. Musiały budzić lęk i wydawać się boskiego pochodzenia”.

Autor zastanawiał się, czy za całą tą operacją krył się jakiś dobrze zorganizowany plan. Skąd brały się środki na finansowanie tak gigantycznych przedsięwzięć? Dlaczego ten sposób budowania, wykorzystujący współdziałanie zasad geometrii i prawa powszechnego ciężenia, nazwano sztuką gotycką?

Kris zerknął na przyjaciół, których twarze ewidentnie wskazywały, że też bardzo chcą się tego dowiedzieć. Wrócił do artykułu:

„Już pochodzenie samego słowa «gotyk» wydaje się interesujące. Jak sugerował – zanim zaginął w zagadkowych okolicznościach przed drugą wojną światową – tajemniczy francuski alchemik o pseudonimie Fulconelli w książce *Tajemnice katedr*, termin «gotyk» może pochodzić od greckiego *goetik* (coś magicznego). Twierdził on, że *art gothique* (sztuka gotycka) może być innym sposobem zapisania słowa *argotique*, czyli specyficznego języka określonej klasy społecznej. Zatem Fulconelli wiązał słowo «gotyk» z pewnego rodzaju językiem.

Język składa się ze słów, czyli symboli dźwiękowych. W dekoracjach katedr gotyckich odnajdujemy wspólną zawiłą symbolikę, język zrozumiały tylko dla wtajemniczonych. Symbole zastosowane w ich architekturze można opisać za pomocą pojęć geometrii, widocznych we wszystkich budowlach sakralnych całego ówczesnego świata”.

– To prawda – przytaknęła Ada. – Wszystkie gotyckie katedry łączy zdumiewająca symbolika.

Kris spojrział z uznaniem na Adę i kontynuował:

„Jednym z elementów symboliki geometrycznej jest kwadrat wpisany w okrąg. Kwadrat ma cztery boki równej długości oraz dwie przekątne, również równej długości, łączące jego przeciwległe wierzchołki. Jeśli za pomocą cyrkla połączymy wszystkie cztery rogi kwadratu, to narysujemy obwód okręgu, w który ten kwadrat będzie wpisany.

Są zatem trzy kategorie składające się na elementy symbolu kwadratu wpisanego w okrąg: bok, przekątna i obwód. Symbolizują one pojęcie struktury wszechświata. I tutaj mamy do czynienia z jedną z najbardziej niezrozumiałych i tajemniczych zagadek, jakie istnieją w naturze: pojęcia miary.

Choć nasza logika nam podpowiada, że wszystko da się zmierzyć, to jednak, jak się okazuje, nie zawsze jest to możliwe. Powiedzmy, że zmierzaliśmy bok kwadratu w metrach, stopach czy jardach, ale jak zobaczymy, nie da się, używając tej samej jednostki, określić precyzyjnie długości przekątnej kwadratu.

Geometria poradziła sobie z tą kwestią, wynajdując nowy system liczenia, równoległy do zwykłych liczb. Te nowe liczby wyrażane są jako pierwiastki kwadratowe i nazwano je liczbami niewymiernymi (bo wydają się przeczyć naszej ludzkiej logice), w przeciwieństwie do zwykłych liczb, nazywanych wymiernymi. Tutaj kłania się twierdzenie Pitagorasa, o którym każdy słyszał w szkole. Dla szybkiego przypomnienia, metoda Pitagorasa pozwala na obliczenie długości przekątnej kwadratu, jeśli znamy długości jego boków, poprzez podniesienie tychże długości do kwadratu, dodanie otrzymanych wyników do siebie oraz obliczenie pierwiastka kwadratowego z sumy otrzymanej z dodanych wyników”.

Gabryś mruknął do Luli:

– Szkoda, że mi kiedyś w szkole tego tak prosto nie wytłumaczyli. Ten Pitagoras po nocy mi się śnił i mnie straszył do matury.

Kris uśmiechnął się i czytał dalej:

„To jeszcze nie koniec zagadki. Istnieją bowiem liczby, które nie są ani wymierne, ani niewymierne, lecz przestępne. Każdy z nas słyszał o jednej z tych przestępnych liczb, określanych grecką literą pi, zwaną czasem ludolfiną lub stałą Archimedesesa (od zajmujących się nią badaczy Ludolpha van Ceulena i Archimedesesa z Syrakuz). Ta przestępna liczba pi jest nam niezbędna do zmierzenia obwodu koła i jego powierzchni, ponieważ nie da się tego zrobić za pomocą innych liczb, wymiernych czy niewymiernych”.

– Wszyscy słyszeliśmy o pi – odezwała się znowu Ada, zanurzona w żółtym fotelu. Rude włosy i pomarańczowy wełniany szal odcinały się od żółtego obicia. Ada zarumieniła się, bo Kris przez chwilę zawiesił się na tym widoku, po czym drgnął i wrócił do czytania.

„Spójrzmy ponownie na nasz kwadrat wpisany w okrąg. Autor artykułu zwraca uwagę, że obrazują one trzy różne grupy liczb, których nie da się połączyć ze sobą i które tworzą i mierzą wszystko, co istnieje we wszechświecie. Ta symboliczna konstrukcja jest obecna we wszystkich budowlach świątynnych na świecie, czyli ich budowniczości świadomie jej używali, obrazując równocześnie coś, co z jednego punktu widzenia jest niewymierne, a z drugiego wymierne. Zatem architektura sakralna symbolizuje zjednoczenie elementów pozornie niełączących się ze sobą poprzez budowlę służącą ziemskiej adoracji tego, co boskie”.

Autor podkreślał na koniec, jak niezwykła jest geometria rozmieszczenia kościołów na Bornholmie, a właściwie rotund tych kościołów, związanych z początkami historii protoplastów arystokracji burgundzkiej, z których wywodzili się pierwsi templariusze. Prawdopodobnie właśnie z Bornholmu trafili do Burgundii we Francji.

Właśnie miejsca budowy kościołów kryją w sobie jądro tajemnicy, pięcioramienną gwiazdę, czyli pentagram. Ta geometryczna figura wielbiona przez geometrów, architektów i budowniczych symbolizuje to, co kiedyś nazywano boską proporcją, a obecnie złotym podziałem, uważanym za symbol życia i wieczności. Pięcioramienna gwiazda jest obecna również w okolicy Rennes-de-Château.

– I teraz najciekawsze, uwaga! – Kris lekko podniósł głos.

„Linia boków trójkąta łącząca Jerozolimę, Bornholm, Rennes-de-Château i przechodząca przez Czerwińsk być może jest wskazówką ogniwa łączącego je wszystkie poprzez enigmatyczne opowieści o ukrytym tam skarbie. Być może tym skarbem, ukrywanym i chronionym przez pokolenia, który templariusze przywieźli z Jerozolimy, jest wiedza o geometrycznym systemie, istniejącym od wieków. Po śmierci założyciela zakonu, Świętego Bernarda, templariusze przestali być nietykalni. Nic byłoby więc dziwne, gdyby przewidując problemy, ukryli skarby zakonu w więcej niż jednym miejscu. A najlepiej w odległych kryjówkach, które nie kojarzyłyby się z zakonem. Poprzez sekretny język geometrii w katedrach gotyckich ziemskie budowle adorują pierwiastek boski i poprzez ten język można wyjaśnić boskie reguły rządzące światem. Sposób użycia klucza geometrycznego jest najtajniejszą wiedzą. Kto

wie, jaką potęgą ta wiedza, ukryta poprzez poprzednie pokolenia, może się jeszcze okazać”.

Kris złożył gazetę i położył ją na stole. Cała czwórka analizowała usłyszane przed chwilą słowa. Uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo, Gabryś uniósł kciuk i delikatnie poklepał Lulę po ramieniu na znak, że artykuł został przyjęty.

– To będzie bardzo interesująca książka. – Gabriel pękał z dumy.
– Jesteś zadowolona z pracy?

Lula pokiwała głową. Tak, cała ta szalona przygoda dała jej więcej materiału, niż potrzebowała, i szansę na kolejny tom. Pozwolono jej zostawić sobie komplet skanów dokumentów znalezionych w domu Baldura. Szczególnie interesująca wydała się jej kopia artykułu, w którym była mowa, jak pobieżnie go przejrzała, o wizycie Himmlera w 1940 roku w Hiszpanii i hojnym prezencie podarowanym mu przez ówczesny faszystowski rząd. Hiszpania żądała zwrotu bezcennych wizygockich artefaktów wykopanych dziesięć lat wcześniej na cmentarzysku koło Segowii. Ciekawe, czy poza pracą coś łączyło ojca Baldura, Güntera Kocha, z ariańskimi szaleństwami Himmlera. Ale to zbada kiedy indziej. Lula podniosła kryształowy kieliszek, wyjmowany tylko na specjalne okazje. Czerwone wino delikatnie zaśniło w świetle.

– Za nas! Za naszą drużynę! – Wzniosła toast.

– Za nas! – Stuknęli się kieliszkami.

Następnego dnia na spotkaniu Petrus podziękował im niezwykle gorąco i wręczył dwie odbitki z rysunkiem klasztoru oraz bazyliki, zrobione matrycą z siedemnastego wieku, taką, jaką kanonicy rozdawali pielgrzymom. Na każdej odbitce zaznaczył ręcznie ledwie widoczne małe strzałki, i napisał w nagłówku: „Jedyne dwie takie

numerowane odbitki zrobione z przeznaczeniem jako specjalne podziękowanie dla pani Ludwika Rekuckiej i pana Gabriela Górskiego za trud włożony w odzyskanie i konserwację zabytków bazyliki”. Dalej widniał podpis oraz wielka pieczęć. Taki sam napis znajdował się na osobnych odbitkach przeznaczonych dla Ady i Krisa. Trochę się uśmiali z tego „trudu odzyskania i konserwacji”, ale było im miło. Co zrozumiałe, nie mógł podziękować im wprost za to, że wzięli sprawy w swoje ręce, ani też za „relokację” antaby ze Stuttgartu do Czerwińska. Z tej też przyczyny nie można było zawiesić złotej tabliczki w bazylice z ich nazwiskami. Lula wyglądała na rozczarowaną, kiedy o tym usłyszała. Petrus po tym, gdy Gabryś na osobności wyjaśnił mu, dlaczego jest taka zawiedziona, zaproponował w ramach rekompensaty wpis do brewiarza na końcu księgi, do czego był z racji swojej pozycji w pełni upoważniony. Stosowny wpis po łacinie został dokonany, a nazwiska dobroczyńców uwiecznione. Lula chodziła dwa razy go oglądać i za każdym razem Malachiasz po wyniesieniu księgi przyczepiał do niej łańcuch.

– *Libri catenati*. – Wzruszał ramionami. – Nikt nie odwołał.

Uroczystość zawieszenia antaby w Czerwińsku była dość kameralna i elitarna. Zaproszono tylko władze regionu i lokalne, dostojników zakonu oraz najbliższych przyjaciół.

Petrus podziękował wszystkim obecnym za trud włożony w odzyskanie antaby i jej powrót na macierzyste drzwi akurat w stulecie obecności zgromadzenia w Czerwińsku.

– To bardzo symboliczne – cieszył się Petrus na prywatnym spotkaniu w wąskim gronie przed główną uroczystością.

Wieczorem po wszystkim Petrus uparł się, że odprowadzi Lulę, Adę, Gabrysia i Krisa do samochodu. Wręczył im zakłopotany dwie

plastikowe torby z napisem *Nicht nur polnische Wurst! Polnische Woche im Kaufland*, czyli „Nie tylko polska kiełbasa. Tydzień polski w Kauflandzie”.

W pierwszej chwili nie załapali. Lula nawet zaczęła protestować, bo była przekonana, że daje im kawałki pysznych ciast zebrane ze stołu po obiedzie, taki zwyczajowy gościniec, jaki wręcza się gościom w jej rodzinnych stronach po większych uroczystościach. Petrus pokręcił głową i wyszeptał, oglądając się:

– Nie możemy tego zatrzymać. To nie nasze. Co innego oryginał. To nasza własność. Te nam zwrócono po ekspertyzie.

Dopiero zrozumieli. Zajrzeli do środka i zobaczyli zawinięte w folię bąbelkową dwie antaby. Dwie kopie. Poza tym Petrus wręczył im jeszcze białą torbę bez napisów. W niej znaleźli prostokątne pudełko, które w czerwonym aksamitnym opakowaniu kryło dwa piękne pióra wyglądające na przedwojenne oraz cztery kolorowe kryształowe kieliszeczki, które tak się podobały Adzie. Na samym dnie pudełka znajdowała się koperta z trzema dokumentami: listem od inspektora prowincji z podziękowaniem i zaproszeniem do odwiedzin pozostałych, należących do salezjanów klasztorów w Polsce i Europie w dogodnym dla nich czasie, kserokopią listu po francusku podpisanego przez kogoś o nazwisku Henry Dunant, oraz kopią pisma w języku starohiszpańskim od zakonnika ze zgromadzenia augustianów, na co wskazywała pieczęć.

– Wygląda na to, że uznano nas za godnych kolejnego zlecenia oraz że zostawiono nam wybór, którym mamy się zająć. – Gabriel był zachwycony. – Może założymy agencję detektywistyczną, taką do zadań specjalnych? Nazwiemy ją na przykład: Agencja RD.

– A co znaczy RD? – zaciekała się Lula.

– *Retired Detectives* – zachichotał Gabriel. – „Emerytowani detektywi” brzmi jakoś mniej sexy i nie pasuje do tych zadań, prawda, Petrusie?

Petrus podniósł ręce, a wyraz jego twarzy mówił: „ja nic nie wiem”.

– Ja tylko miałem przekazać.

– To ja od razu uprzedzam – Gabriel spojrzał znacząco na Petrusa – że od następnych znalezisk będziemy brali dziesięć procent. – Uśmiechnął się łobuzersko. – Ty miałeś gratis!

– Gabrys! – skarciła go Lula. – Wiadomo, że nie zaczniemy teraz robić tylko na drutach przy kominku, skoro tak dobrze nam poszło, ale najpierw ja skończę książkę, niewiele już mi zostało. A potem chyba musimy chwilę odpocząć i załatwić jeszcze jedną rzecz.

Lula popatrzyła na uśmiechniętych Krisa i Adę stojących w małym kręgu na parkingu.

– Mam absolutne przekonanie, że nigdy nie jest za późno na małą przygodę, a nasza była czymś więcej niż tylko odkryciem skarbu. Zdobyliśmy nowych przyjaciół, a życie jeszcze raz potwierdziło, jak bardzo są dla nas ważni ci, których już mamy.

Lula spojrzała na Petrusa, który wycierał rękawem sutanny oczy, podobno wilgotniały mu od wieczornego wiatru. Podeszli bliżej.

– Czy my nie sprawdziliśmy się w akcji jak czterej muszkietierowie? – Zaczęli się śmiać. Lula otoczyła ramionami z jednej strony Gabrysia i z drugiej Adę, która wyciągnęła rękę do Krisa, a on po chwili wahania ją przyjął. Po czym wszyscy objęli się mocno z Petrusem.



*(...) człowiek ma paskudny charakter
w wieku lat dwudziestu i czterdziestu, jeszcze
gorszy po sześćdziesiątce, a około
osiemdziesiątki wręcz wstępuje w niego
diabeł.*

Agatha Christie, *Dom nad kanałem*,
tłum. Anna Bańkowska

Baldur był zadowolony. Chwilowe perturbacje, które spowodowali polscy prawnicy i służby specjalne, szybko udało się wyprostować dzięki jego niemieckim prawnikom. Zadzwonili, gdzie trzeba, więc szybko przeproszono go za zamieszanie. Bo też i co na niego mieli? Nic, zupełnie nic!

Po wyjściu z jednodniowego aresztu Baldur wygłosił oświadczenie dla czekających na niego przedstawicieli różnych mediów. Na wiecach własnego stowarzyszenia i partii przez wiele lat wygłaszał przemówienia do zgromadzonych tłumów i przyzwyczał się do używania mocnych, wyrazistych słów, więc czuł się jak ryba w wodzie. To przemówienie odbiło się szerokim echem w Niemczech i w Polsce. Oto pokrótce jego sens.

Nikomu nie można zabronić posiadania kopii znanych zabytków, a on akurat ma takie hobby, że zamawia kopie różnych zabytków za własne, ciężko zarobione pieniądze. Płaci rzemieślnikom wysokie stawki, jakich zażądatają, dzięki którym utrzymują oni swoje rodziny. Wszystko jest do sprawdzenia. Więc o co chodzi?

On w życiu nie widział tamtych trzech antab, które podobno były u niego w mieszkaniu i jakimś cudem przemieściły się do Polski ze Stuttgartu. I nic o tym nie wie, aby jego rodzina kiedykolwiek w przeszłości była w ich posiadaniu. Dagobert Troy, dziadek jego żony, zaprzeczał do końca życia fałszywym oskarżeniom, że w czasie wojny ograbił ze średniowiecznej antaby kościół w Czerwińsku. Przeciwnie, potwierdzono w licznych przesłuchaniach po wojnie tylko to, że on i jego współpracownik Grundmann starali się zabezpieczyć w Polsce cenne dzieła sztuki przed walcem wojny. Dagobert Troy dzięki pracy naukowej opisał i ocalił od zapomnienia wiele zabytków na Wschodzie będących wytworem niemieckich rzemieślników w średniowieczu i wspaniałym przykładem przenikania się kultur w Europie.

Kiedy Baldur doszedł do tego punktu swojego przemówienia, rozłożył szeroko ręce, zwracając się do zgromadzonych:

– Czy polscy przyjaciele, seniorzy, którzy byli z taką gościnnością przyjmowani w naszym barze i przez kibiców naszej wspaniałej drużyny, twierdzą, że weszli w posiadanie wspomnianych antab poprzez nielegalne wejście do mojego domu? – Baldur z widocznym oburzeniem przenosił wzrok na kolejnych dziennikarzy. – Muszę o to spytać – kontynuował – ponieważ nie miałem przyjemności ich zapraszać ani też u siebie gościć. Z bardzo prostej przyczyny, byłem w owym czasie w prywatnej podróży, towarzysząc mojej małżonce podczas konferencji w Londynie. A nie słyszałem o żadnym zgłoszeniu włamania i sam też takowego nie zgłaszałem. – Przesłał triumfalny uśmiezek kilku potakującym osobom.

Co do ewentualnego jego udziału w zamachu stanu składa pełne dementi i protest. Nie zna też treści zeznań, które ponoć złożył jego syn w tej sprawie. Bez wątpienia nie brał udziału w żadnym spisku ani nie szykował zamachu stanu.

– Młodość ma swoje prawa i musi się wyszumieć – podjął temat Baldur. – Znają oczywiście państwo to powiedzenie marszałka Bismarcka, pozwolę sobie przytoczyć je tutaj w wersji trochę strawestowanej: „Kto za młodu nie był rewolucjonistą...” i tak dalej. Taka jest naturalna potrzeba młodych, żeby się buntować przeciwko zastanemu porządkowi. Obecnie mój syn działa raczej w ruchach ekologicznych i razem ze swoją ukochaną buntuje się przeciwko działaniom Lasów Państwowych (śmiej). Wychowałem go na patriotę, więc nie uwierzę w ani jedno słowo, dopóki z nim albo ja, albo moi adwokaci nie porozmawiają. – Baldur otarł czoło. – Co do zarzutów o porwanie dwóch pań i tego, że podobno wysłałem syna i córkę na czele prywatnej armii ultrasów, aby odebrać swoją

własność, to muszę je jeszcze raz odrzucić z całą stanowczością. – Uderzył pięścią w przygotowany do jego przemówienia pulpit, aż kilku dziennikarzy podskoczyło, mimo że byli przyzwyczajeni do ekspresyjnego stylu Baldura. – Nigdy nikogo nie wysyłałem ani nie zlecałem porwania. Z mojego domu nic nie zginęło. Z tego, co wiem, to zarówno syn, jak i córka udali się do Polski na mecze. Są zagorzałymi fanami futbolu, a miłość do piłki nożnej, jak wiadomo, nie zna granic ani wieku. Nie mam pojęcia, skąd i dlaczego znaleźli się razem z domniemanymi porwanymi w kościele, słyszałem tylko, że byli bardzo zainteresowani wykładami o sztuce średniowiecznej, prowadzonymi przez jedną z pań, niejaką Lulę Rekucky. Syn i córka mają rozległe zainteresowania, na przykład kochają historię. Natomiast nasi prawnicy rodzinni sprawdzają w tej chwili, wskutek czyich działań moje dzieci doznały uszkodzeń ciała podczas tego wykładu, o czym będziemy na bieżąco informować. To by było wszystko w temacie – zakończył.

Baldur pozwolił się przeprosić lokalnym władzom i obiecał, że nie wycofa dofinansowywania wielu szlachetnych przedsięwzięć, które wspiera od dziesiątków lat. Ale w duchu obiecał sobie, że do tematu jednak wróci w stosownym momencie. Kiedy sprawa przyschnie, musi się też policzyć z tym idiotą sprzątaczem, który od początku tak pokpił sprawę w Polsce. Zamiast załatwić wszystko czysto i bez rozgłosu, przez swój brak kompetencji wplątał mu rodzinę. Ewidentnie się już postarzał i nie nadawał się do roboty jak kiedyś.

Tego zimowego wieczoru było niezwykle pięknie. Tak pięknie, że zdecydowali się z Dittą na długi spacer w kierunku miejsca, gdzie

odbywała się uroczystość. Co prawda Ditta trochę marudziła, że trudno jej chodzić w wieczorowej sukni i w futrze, ale przecież kazał kierowcy wolniutko jechać samochodem za nimi. Nie było zatem przeszkód, by zmieniła sobie szpilki w nagrzanym samochodzie przed wyjściem na galę.

Nic nie mogło się równać z tym miastem oświetlonym tysiącem świateł w jednym z ostatnich dni tego roku podczas *Stuttgarter Weihnachtsmarkt* – jarmarku bożonarodzeniowego, który otwiera się w ostatni czwartek listopada nieprzerwanie od 1692 roku na Schlossplatz.

Kiedyś przychodzili tu z dziećmi, żeby zobaczyć cudowną miniaturową kolejkę, szopki i lodowisko. Teraz nie ma o tym mowy. Walkiria po ostatnich wydarzeniach, jak im się wydaje, ochłodziła z nimi relacje i zaczęła zadawać dużo pytań, jakby wątpiła w słuszność jego decyzji. Ditta mówi, że to się da naprawić, tylko trzeba dać dziewczynie czas. W końcu to jego ukochana córeczka. Linus zerwał z nimi kontakt zupełnie, niewdzięczny smarkacz. Nie dość, że postanowił podnieść rękę na własnego ojca i przeciwko niemu się zbuntować, to jeszcze nawet mu nie podziękował za wyciągnięcie z więzienia. Nawet nie wie, ile go to kosztowało, do kogo musiał zadzwonić i co obiecać. Ditta twierdzi, że jak nie wie, to nie może być wdzięczny, bo nie wie za co. Logika matki i kobiety. Jednak i jego ojciec Günter, i Dagobert mieli rację, że miejsce kobiet jest w domu, ale takie teraz czasy, że nie można powiedzieć tego na głos, boby go zjedli.

Dobrze, że chociaż muzyka Wagnera jest wieczna, myślał Baldur, nalewając sobie kieliszek wyśmienitego czerwonego wina i rozkoszując się ciągle jeszcze trwającym pięknym wieczorem. Lubił

te chwile, gdy pokój był oświetlony tylko lampkami choinki sięgającej sufitu. Wrócili właśnie do domu. Nastrój był podniosły. Ditta poszła do łazienki się przebrać, a on postanowił puścić jedną z tych cudownych oper Wagnera. Rzucił surdut na oparcie kanapy. Opuścił szelki od sztuczkowych spodni i grzebał w stosie płyt. Pod tym względem był też konserwatywny, uważał, że nic nie zastąpi dźwięków z czarnej, obracającej się płyty. Spod igły niosły się niezrównane dźwięki *Götterdämmerung – Zmierzchu bogów*, kiedy patrzył z kieliszkiem wina w oświetlone okna naprzeciwko. W szybie zobaczył paczkę na stole jadalnianym.

– Co to jest? – zapytał Dittę, która wyszła w szlafroku z łazienki i kremowała dłonie.

– Nie wiem, przyszło dzisiaj po południu, chyba z Polski, zapomniałam ci powiedzieć. Nalej mi też jeden. – Pokazała podbródkiem butelkę.

Rozcinał papier precyzyjnie, jak chirurg, centymetr po centymetrze. Nie znosił bałaganu nawet przy rozpakowywaniu paczek. Ditta przeciwnie, była zbyt niecierpliwa, już dawno by ją rozerwała, a kawałki poszarpanego papieru fruwałyby naokoło.

Na wierzchu, w przezroczystej koszulce, zobaczyli kopie dwóch zdjęć: pierwsze to była fotografia Dagoberta w mundurze esesmana. W tle kadru widniał klasztor po drugiej stronie rzeki. Dagobert z triumfalną miną trzymał przed sobą antabę. A drugie przedstawiało kadr z procesu w Norymberdze, z wklejonymi głowami najważniejszych obecnie osób w państwie oraz listę z nazwiskami dostojników państwowych z podpisem „Do likwidacji”. Kopie zdjęć były częścią oficjalnego dokumentu z laboratorium, który

potwierdzał, że odciski palców zdjęte z dwóch obiektów są tożsame. Tym drugim obiektem była szklanka do piwa z logo jego baru.

W środku były jeszcze dwa przedmioty nieregularnego kształtu, opakowane w folię bąbelkową. Ręka mu drżała, kiedy je odkładał na stół.

Ale już jak dotykał pierwszej, przeczuwał, co tam znajdzie. Tym razem to on zerwał niecierpliwie folię. Zobaczył najpierw spiczaste uszy, potem znajome wyłupiaste migdałowate oczy i jajowatą głowę w otwartej paszczy lwa.

OD AUTORKI

Bardzo dziękuję za przeczytanie mojej książki *Dziewięć kołatek Troya*, bo zakładam, że przeczytaliście, skoro dotarliście aż do podziękowań. Nie znam nikogo, kto by przeskoczył od razu do tej części, choć sporo osób podobno nie może się powstrzymać, żeby nie zerknąć na zakończenie. Dlatego napisałam je tak, żeby trzeba było przeczytać choć kawałek ze środka.

Chciałabym wspomnieć, że opisane tutaj historie i postaci, choć inspirowane prawdziwymi, są przeze mnie wymyślone. Najważniejsze, że oryginalna antaba, wywieziona przez niemieckiego naukowca Dagoberta Freya na początku drugiej wojny światowej, nadal nie wróciła na swoje miejsce. Przedstawione zdarzenia są wyrazem głębokiego pragnienia, żeby się tak stało naprawdę. Kołatka, która wisi obecnie na romańskich drzwiach w Czerwińsku, jest kopią. Może kogoś to natchnie i odda bazylice w Czerwińsku jej własność, oryginalny artefakt, który znajdował się tutaj przez prawie tysiąc lat.

O tajemnicy klucza geometrycznego pisało wielu naukowców i autorów, najciekawszą jednak teorię na ten temat wysnuli Erling Haagenen i Henry Lincoln w dziele *Wyspa skarbu templariuszy*, która w niezwykle interesujący sposób opowiada o zagadce Bornholmu. Pomimo konieczności przebrnięcia przez wiele wzorów matematycznych zainspirowała mnie do wymyślenia zagadki w mojej powieści. Polecam tę książkę każdemu, kto chce poszerzyć wiedzę na ten temat.

Uprzedzam od razu wszystkich, którzy zapragną samodzielnie eksplorować tajne tunele i korytarze w Czerwińsku, że skutecznie ukryłam i zmyliłam tropy. Klasztor i Sanktuarium Matki Bożej Pocieszenia w Czerwińsku ma wiele innych wspaniałych historii i miejsc do odkrycia. Zachęcam do odwiedzenia tego miasteczka tak bliskiego Warszawy, choć leżącego nieco na uboczu.

*

Wiele lat temu marzyłam, czytając podziękowania w książkach innych pisarzy, że ja też kiedyś zgrabnie i celnie będę umiała je wyrazić wobec tych wszystkich, którzy mnie wsparli w mojej oszałamiającej przygodzie. Teraz siedzę i szukam właściwych słów, bo trochę się tych osób uzbierało.

Zacznę od wyrażenia wdzięczności Ani Landowskiej, mistrzyni redakcji i korekty, mojej pierwszej redaktorce, która zaskoczyła mnie nie tylko perfekcyjną znajomością składni i interpunkcji, ale też między innymi sprawdzeniem, z której strony słońce zachodzi nad jeziorem, o którym mowa w mojej książce. Dziękuję, Aniu, w nadziei na dalszą przyjazną i twórczą współpracę.

Chciałabym serdecznie podziękować mojej pierwszej w życiu mentorce Jagnie Rolskiej, świetnej pisarce i osobie, która poświęciła bardzo dużo prywatnego czasu onieśmiałej debutantce. Dziękuję za te wszystkie uwagi, niezwykle taktownie sformułowane pytania: Czy to dobrze napisany dialog? I delikatne dopytywanie, czy Thomas na pewno tak by się zachował? Mentorka, będąca uosobieniem entuzjazmu i taktu, jest bezcennym darem dla debiutującego autora.

Dziękuję bardzo Agnieszce Trzeszkowskiej-Berezie z Wydawnictwa Mięta za bacik owinięty puszką, którym podczas kursu powieściopisarstwa zmobilizowała mnie do przełamania się i dokończenia książki. Odpowiednio wyznaczony terminarz i umiejętnie użyte motywacje poskutkowały i oto mam swoją wymarzoną pierwszą powieść. Agnieszka w najlepszym możliwym momencie udzieliła mi zachęty, jakiej wówczas potrzebowałam. Powiedziała, że w chwilach zwątpienia we własną książkę pod wpływem różnych opinii innych ludzi mam się trzymać jednej wybranej zasady i opinii. Własnej. Będę się jej trzymać przy pisaniu kolejnych. Jestem Ci za tę zachętę, Agnieszko, niezwykle wdzięczna. Dziękuję również Tobie oraz Kasi Berenice Miszczuk za zaproszenie mnie na Miętowy pokład. Miło mi zaokrętować się wraz z tak zadaną załogą koleżanek i kolegów. Jestem wdzięczna Kasi także za zaangażowanie emocjonalne w wybór okładki; miałam poczucie, że przejmujesz się nią na równi ze mną. Zachowując proporcje, dzieliłyśmy emocje jak przy wyborze imienia dla pierwszego dziecka!

Często mówię tutaj o czymś lub kimś pierwszym dla mnie. Chociaż jestem doświadczoną producentką programów telewizyjnych, w których wiele razy opowiadałam różne ludzkie historie, to dopiero pisanie książki dało mi pierwszy raz swobodę w kreowaniu postaci i fabuły, a jednocześnie pozwoliło na przekazanie ważnych dla mnie treści w osobisty sposób.

Pomysł napisania tej powieści przyszedł mi do głowy podczas kolejnych wycieczek do Czerwińska nad Wisłą. Wspaniały salezjanin ksiądz Jacek Wilczyński, którego już niestety z nami nie ma, oprowadził mnie, mojego męża Maćka i parę przyjaciół, Agatę

Wawer i Krzysztofa Woźniaka, po bazylice i klasztorze. Zaraził nas od razu miłością do tego pomnika historii z jego prawie tysiącletnią przeszłością, w którym zatrzymał się czas. Ksiądz Jacek pokazał nam różne sekretne miejsca, tajne korytarze, wybudowane prawie tysiąc lat temu, i powierzył kilka tajemnic. Dziękowaliśmy już wtedy i ja dziękuję jeszcze raz za tę wiarę, że stać nas na wszystkie szalone przygody bez względu na wiek. I przepraszamy ponownie za ten alarm i straż pożarną. Mam nadzieję, że mimo stresującej sytuacji ksiądz Jacek też się z nami dobrze bawił, bo że wkręcił się w zagadkę, to wiem na pewno. Jestem głęboko wdzięczna również, że ksiądz Jan Chabierski i ksiądz Łukasz Mastalerz, proboszcz bazyliki, są tak samo gościnni jak ksiądz Jacek i dali nam nieograniczony wstęp do bazyliki i klasztoru, domu salezjanów od stu lat. Wszak to burzliwe fragmenty historii tego wyjątkowego miejsca natchnęły mnie do napisania tej powieści i stworzenia bohaterów, którzy zupełnie już samodzielnie domagają się kolejnej przygody i kolejnej książki.

Specjalne podziękowanie kieruję do Marty Kalarus z Twardej Oprawy, która była moją pierwszą profesjonalną recenzentką wewnętrzną. Kilka jej życzliwych sugestii oraz komentarzy wsparło mnie przy zwiększeniu potencjału tej powieści. Dodatkowo Marta Kalarus obdarowała mnie niezwykle motywującymi podsumowaniami. Dziękuję. Taki recenzent wewnętrzny to skarb nie tylko dla debiutanta.

Przez długi czas odkładałam napisanie tej powieści, jestem więc wdzięczna wielu osobom, które mnie przekonywały, że warto to zrobić.

Moim fenomenalnym przyjaciółkom, zawsze ciekawym świata: Izie Siweckiej, Madzi Jabłońskiej, Dorotce Borek, Ilonce Jurkiewicz

i Oli Ciepłuch. Ciągłe się czegoś nowego od Was dowiaduję. Zawsze mnie dopingowałyście i wierzyłyście we mnie. Bez waszej pozytywnej energii nie dałabym sobie rady.

Moim fantastycznym siostrzym ciotecznym, jedynym takim: Ani Sajler, Halince i Małgosi Jugowicz, Marysi Poskłonce, Halince Matras. Dziękuję za Waszą nieustanną motywację i wsparcie. Dziękuję też wierzącej w moje umiejętności góralskiej rodzinie, szczególnie Joli i Iwonie Kościelniak oraz Pawełkowi Sajlerowi i Mai Kuryłło, którzy pomimo licznych obowiązków znajdują czas na dopingowanie mnie i zainteresowanie postępami w pisaniu.

Niezmiernie jestem wdzięczna wspaniałej grupie przyjaciół, którzy otaczają mnie jak puchem serdecznością i wiarą w moje umiejętności. Szczególnie dziękuję ks. Jankowi Ospie, Markowi Durlikowi, Grażynce Malukiewicz, Norbertowi Jabłońskiemu i Donatowi Ciepłuchowi. Wasze życzliwe zainteresowanie to najlepsza zachęta, jaka mogła mi się trafić.

Sporo zawdzięczam mojej grupie z kursu powieściopisarstwa StoryLab.pro, która tak bardzo się nawzajem wspierała i wspiera. Nie wiem, jak to możliwe, ale wszyscy jesteście nieprawdopodobnie utalentowani i wróżę Wam wiele sukcesów.

Dziękuję gorąco Agatce Wawer, najlepszej przyjaciółce, jaką można sobie wymarzyć, z którą zaczęłam tę przygodę w Czerwińsku, za wiele inspiracji, za cierpliwość, mądrość i nieustające wsparcie. Pożyczyłam sobie od Ciebie dla mojej bohaterki Ady Twój urok i niezmaconą wiarę w drugiego człowieka oraz skrzydła husarii, które natychmiast rozkładasz i biegniesz na ratunek, kiedy komuś jest źle. Od Ciebie, Krzysiu, pożyczyłam znajomość komputerów, która się przydała jednemu z bohaterów, zbliżone imię oraz

wyjatkowe umiejętności prowadzenia samochodów. Krisopedię dzielisz z Maćkiem.

Serdeczne podziękowania kieruję do Oli Wolf, doświadczonej scenarzystki i redaktorki programów telewizyjnych, która była czytelniczką każdego rozdziału i zaraz po przeczytaniu domagała się z entuzjazmem kolejnego. To wiele dla mnie znaczyło, szczególnie na początku tej drogi, podobnie jak Twoje dowcipne komentarze. Dziękuję za nie.

Miałam szczęście, że kiedy książka była napisana, wspierali mnie w jej czytaniu od początku oddani i błyskotliwi beta readerzy, którzy widzieli pierwsze i kolejne wersje powieści. Należą do nich Bartek Chmielowski – przyszywane sercem dziecko z Północy – który prawie codziennie dopingował mnie do pracy nad powieścią, oraz przyjaciel Paweł Paździor. Zawsze byli gotowi służyć radą i pomocą. Każdy autor, który ma takie wsparcie zaangażowanych beta readerów, może mówić o wielkim szczęściu. Muszę też im podziękować za kilka fachowych uwag dotyczących niektórych sytuacji. Wy wiecie, o które chodzi.

Na koniec chciałabym podziękować mojej najwspanialszej małej rodzinie. Mojej ślicznej, dzielnej i mądrej Weronice Orzażewskiej-Szreder oraz niezłomnie pozytywnie nastawionemu do życia Rafałowi Szrederowi, którzy trzymają cały czas za mnie kciuki i powtarzają, że są ze mnie dumni. Chcę, żebyście zawsze pamiętali, że to ja jestem cały czas dumna z Was i wdzięczna za wszystko. Chociażby za tę wyjątkową małą rodzinę i za wnuczkę Walusię, która jest dla mnie nieustanną radością i zadziwieniem.

A zupełnie na koniec chciałabym podziękować mojemu mężowi Maćkowi Orzażewskiemu, bez którego nie byłoby tego wszystkiego.

Pisanie powieści okazało się rzeczywiście ciężką pracą. Maciek wspierał mnie w każdym momencie psychicznie i fizycznie podczas tego trudnego dla mnie – również z innych względów – roku. Był najpierwszy na froncie poszukiwań, kiedy trzeba było znaleźć odpowiednią dokumentację lub słowo, nieustrudzenie czytał kolejne wersje, wysłuchiwał cierpliwie wszelkich nowych pomysłów i wątków oraz podsuwał błyskotliwe i dowcipne rozwiązania. Podnosił mnie na duchu za każdym razem, kiedy wątpiałam, i czasami był bardziej po mojej stronie niż ja sama. Jest najlepszym, co mnie spotkało w życiu. Jeszcze raz dziękuję Ci za wszystko.